

Najbardziej szokujący
thriller tego roku!



MAESTRA

L.S. HILTON

L.S. HILTON

MAESTRA

Z języka angielskiego przełożyła
Ewa Penksyk-Kluczkowska



Tytuł oryginału:

MAESTRA

Copyright © L S Hilton 2016

Originally published in the English language as Maestra by

Bonnier Publishing Fiction, London

The moral rights of the author have been asserted.

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: © Gray318 & Blacksheep-uk.com

Wykonanie okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska

Korekta: Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7999-833-3

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Prolog

Część pierwsza. Na zewnątrz

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Część druga. Wewnątrz

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Część trzecia. Na zewnątrz

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Część czwarta. Na zewnątrz

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Epilog. Wewnątrz

Przypisy

Nordyckiemu bogu wszystkiego – z podziękowaniami

Prolog

Suknie sunęły z szelestem, zabójcze obcasy stukotały po parkiecie. Przeszliśmy przez hol do dwuskrzydłowych drzwi – dobiegający zza nich cichy szmer zdradzał, że panowie są już w środku. W sali płonęły świece, między kanapami a niskimi krzesłami ustawiono stoliki. Czekający mężczyźni byli ubrani w czarne piżamy z grubej satyny, do tego kurtki z sutaszami. Połyskująca na zagięciach tkanina kontrastowała z krochmalonymi koszulami. Gdzieś w wielkiej spince od mankieta albo w zegarku odbił się złotem błysk płomienia świecy, wyszywany monogram zmarszczył się pod ekstrawagancką jedwabną chusteczką. Wyglądałoby to głupio i sztucznie, gdyby detale nie były tak perfekcyjne, a mnie wręcz zahipnotyzowały – serce biło mi powoli, miarowo. Do Yvette podszedł partner z pawim piórem wpiętym w mankieta. Podniosłem wzrok i ujrzałam, że do mnie zbliża się inny mężczyzna. W kłapie marynarki miał gardenię, taką samą jak moja.

– Czyli tak to się odbywa?

– Do końca posiłku właśnie tak. Później można wybierać. *Bonsoir*.

– *Bonsoir*.

Był wysoki i szczupły, jego twarz – pomarszczona, o ostrych rysach – wydawała się starsza niż ciało. Siwe włosy miał zaczesane do tyłu nad wysokim czołem, ogromne oczy lekko przymknięte, niczym bizantyjski święty. Zaprowadził mnie do sofy, zaczął, aż usiądę, i podał mi kryształowy kieliszek z białym winem, czysty i twardy jak krzemień. Cała ta ceremonia sprawiała wrażenie sztucznej, ale ja lubię choreografię. Julien wyraźnie cenił sobie przewidywalność. Niemal nagie kelnerki wróciły, niosąc niewielkie talerze z maleńkimi pasztecikami z homara, następnie podały kawałeczki piersi kaczki w miodzie i paście imbirowej oraz *tuile* z malinami i truskawkami. Symboliczne jedzenie – nic, czym moglibyśmy się nasycić.

– Od czerwonych owoców cipka nabiera wybornego smaku – zauważył mój towarzysz.

– Wiem.

Toczono ciche rozmowy, ale wszyscy głównie patrzyli i pili, taksowali wzrokiem siebie nawzajem i przemykające kelnerki o ciałach tancerek, smukłe, ale silnie umięśnione, o pełnych łydkach w wysokich, opinających kostki butach. Czyżby dorabiały sobie tutaj tancerki z baletu? Po drugiej stronie sali mignęła mi Yvette, karmiona za pomocą srebrnego widelczyka o ostrych zębach figami z migdałem. Jej ciało ułożyło się niczym wąż, ciemne udo wylaniało się spomiędzy czerwonego jedwabiu. Kelnerki uroczyście okrążyły salę z gasidłami do świec, wzbijając chmurę o zapachu wosku pszczelego, a wówczas na moim udzie zagościła męska dłoń.

Krążyła, sunęła i głaskała, całkowicie niespiesznie, aż poczułam napięcie między udami. Dziewczęta podały lakowe tace z prezerwatywami, niewielkie kryształowe karafki z olejkami monoi, lubrykanty przelane do maleńkich naczynek. Niektóre pary się całowały, zadowolone z doboru partnerów, inni goście podnosili się niespiesznie i ruszali na obchód, aby znaleźć swoją zdobycz. Suknia Yvette kotłowała się wokół jej rozsuniętych nóg, głowa mężczyzny pochylała się nad nią. Uchwyciłam jej spojrzenie – uśmiechnęła się lubieżnie, zanim jej głowa w narkotycznej ekstazie opadła do tyłu między poduszki.

**CZĘŚĆ PIERWSZA
NA ZEWNĄTRZ**

Rozdział 1

Gdyby mnie ktoś zapytał, jak to się zaczęło, musiałabym zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że przypadkiem. Dochodziła osiemnasta, miasto wierciło się i drżało w posadach, na górze po ulicach hulał ostry wiatr – jak przystało na typowy żalony dzień majowy – ale na dole, w metrze, panował obrzydliwy wilgotny zaduch. Klębiło się tu od darmowych gazet i opakowań po fast foodach, a także od drażliwych turystów w jaskrawej odzieży sportowej, wciśniętych między zrezygowanych szarych mieszkańców. Na peronie stacji Green Park czekałam na pociąg linii Piccadilly po bajecznym początku kolejnego bajecznego tygodnia w mojej megabajecznej pracy, w której nieustannie mnie dręczono i pouczano. Gdy odjechał skład zmierzający w drugim kierunku, przez tłum przebiegł cichy zbiorowy jęk. Tablice informacyjne właśnie obwieściły, że następny skład utknął na Holborn. Pewnie człowiek na torach. „Oczywiście” – odmalowało się na twarzach czekających osób. Dlaczego oni zawsze muszą się zabijać w godzinach szczytu? Pasażerowie z tamtego peronu zaczęli się rozchodzić, wśród nich zaś dziewczyna w obezwładniających obcasach i żarówiastoniebieskiej sukience bandażowej. Ostatnia kolekcja Azzedine’a Alaïa dla Zary. Pewnie zmierzała na Leicester Square z innymi przegranymi ćwokami. Miała niesamowite włosy – wspaniałą, spływającą kaskadami śliwkową grzywę z przedłużkami splecionymi chyba złotymi niciami, od których odbijało się światło jarzeniówek

– Judy! Judy! To ty?

Machała do mnie entuzjastycznie. Udawałam, że nie słyszę.

– Judy! Tutaj!

Ludzie już się zaczęli gapić. Dziewczyna, kolebiąc się na wysokich obcasach, dokuśtykała do złotej linii.

– To ja! Leanne!

– Koleżanka panią woła – powiedziała usłużnie kobieta stojąca obok mnie.

– Spotkajmy się na górze! – Rzadko już słyszałam takie głosy jak jej. I się nie spodziewałam, że jej głos jeszcze kiedyś usłyszę. Skoro najwyraźniej ani myślała zniknąć, pociąg zaś ani myślał się pojawić, przewiesiłam sobie przez ramię ciężką skórzaną aktówkę i ruszyłam przez tłum. Leanne czekała w przejściu między peronami.

– Hej! Taksądziłam, że to ty!

– Cześć, Leanne – wydukałam nieufnie.

Potknęła się na ostatnich stopniach i padła w moją stronę, rozrzucając ramiona, żeby objąć

mnie niczym odnalezioną po latach siostrę.

– Ale wyglądasz! Profesjonalnie że ho, ho. Nie miałam pojęcia, że mieszkasz w Londynie!

Powstrzymałam się od trafnej uwagi, że pewnie dlatego, że od dziesięciu lat ze sobą nie rozmawialiśmy. Przyjaźnie facebookowe nie były w moim typie, nie potrzebowałam także powrotów do przeszłości ani korzeni.

Nagle poczułam się jak ostatnia suka.

– Doskonale wyglądasz, Leanne. Masz świetne włosy.

– Tak szczerze, to nie używam już imienia Leanne. Teraz jestem Mercedes.

– Mercedes? O... ładnie. Ja na ogół używam Judith. Wydaje mi się bardziej dorosłe.

– O tak, właśnie! No proszę, co? Nagle takie jesteś dorosłe.

Wtedy chyba wcale nie wiedziałam, na czym polega dorosłość. Zastanawiałam się, czy ona wie.

– Słuchaj, mam wolną godzinę przed robotą. – Słyszałam w jej słowach wyraźny akcent liverpolski. – Może skoczmy na drinka? Pogadamy?

Mogłam powiedzieć, że jestem zajęta, że się spieszę, mogłam wziąć od niej numer telefonu, jakbym rzeczywiście zamierzała zadzwonić. Dokąd jednak miało mi się spieszyć? I było coś w tym głosie, mile znajomym, że w jednej chwili poczułam się samotna i spragniona otuchy. Mój majątek sprowadzał się do dwóch banknotów dwudziestofuntowych, do wypłaty zostały zaś trzy dni. Niemniej zawsze mogło się coś nieoczekiwanie poprawić.

– Pewnie – odrzekłam. – Ja stawiam. Chodźmy do Ritza.

Dwa koktajle z szampana w barze Rivoli – trzydzieści osiem funtów. Zostało mi dwanaście funtów na karcie Oyster i dwa funty gotówką. Do końca tygodnia chyba pogłoduję. Było to może głupie, tak się popisywać, ale czasami człowiek musi się trochę światu postawić. Leanne – Mercedes – swoim fuksjowym tipsem wyłowila ruchliwą maraschino i radośnie ją wsiorbnęła.

– To było megamile, dzięki. Chociaż osobiście ostatnio wolę roederera.

I miałam za swoje, nie trzeba było szpanować.

– Pracuję tu niedaleko – zaczęłam opowiadać o sobie niepytana. – W domu aukcyjnym. Zajmuję się dawnym malarstwem. – W zasadzie się nie zajmowałam, choć przecież nie miałam powodu się obawiać, że Leanne odróżniłaby Rubensa od Rembrandta.

– Górna półka – odparła. Sprawiała już wrażenie znudzonej, bawiła się mieszadłem. Zastanawiałam się, czy żałuje, że mnie zawołała. Zamiast się jednak złościć, poczułam się żalosna, że chciałam jej dogodzić.

– Tak mogłoby się wydawać – odparłam poufałym tonem, czując, jak brandy i cukier docierają do mojej krwi, łagodząc mi nastrój – ale płacą gównianie. Zwykle jestem bez grosza.

„Mercedes” z kolei wyznała, że jest w Londynie od roku. Pracowała w barze szampanowym

w St James's.

– Uchodzi za luksusowy, ale przychodzą tam takie same brudne stare dupki jak gdzieś indziej. Nic szemranego – dodała pospiesznie. – Bar jak bar. Za to napiwki są powalające.

– Twierdziła, że wyciąga dwa tysiące tygodniowo.

– Tylko że przez to całe picie można się roztyć – dodała smętnie, wypychając chudy brzuch. – Przynajmniej nie musimy za nie płacić. Olly mówi, że w razie potrzeby możemy wylewać drinki do roślinek

– Olly?

– To właściciel. Wiesz, powinnaś kiedyś wpaść, Judy. Dorobisz sobie, skoro jesteś splukana. Olly stale szuka dziewczyn. Chcesz jeszcze drinka?

Przy stoliku naprzeciwko usiadła starsza wiekiem para w strojach wieczorowych, zapewne zmierzająca do opery. Kobieta otaksowała krytycznym wzrokiem traktowane samoopalaczem nogi mojej koleżanki i jej błyszczący dekolt. Mercedes obróciła się na krześle, po czym powoli zmieniła ułożenie nóg, prezentując i mnie, i nieszczęsnym starszkom czarne koronkowe stringi, cały czas patrząc kobiecie prosto w oczy. Nie trzeba było pytać, czy ktoś ma tutaj jakiś problem.

– Jak mówiłam – podjęła, gdy spłoszowała kobieta zajęła się kartą alkoholi – super się bawimy. Dziewczyny są właściwie zewsząd. Ty, jak się trochę odpicujesz, wyglądasz rewelacyjnie. Chodź, mówię ci!

Spojrzałam po sobie – na czarny tweedowy kostium od Sandro. Dopasowany w talii żakiet, krótka plisowana spódniczka. Z założenia miałam wyglądać nieco kokieteryjnie, na pewno profesjonalnie, trochę zaś mój wygląd miał sugerować artystyczną duszę – przynajmniej tak sobie mówiłam, gdy nieporadnie po raz enty cerowałam rąbek – ale przy Mercedes wyglądałam żałośnie i wieśniacko.

– Teraz?

– Pewnie, czemu nie? Mam w torbie zapasowe ciuchy.

– No nie wiem, Leanne.

– Mercedes.

– Przepraszam.

– Chodź! Możesz włożyć mój koronkowy top. Super będzie wyglądał na twoich cyckach. Chyba że masz randkę...

– Nie – odparłam, odchylając głowę, żeby wysączyć ostatnie krople bąbelków i angostury. – Nie mam randki.

Rozdział 2

Przeczytałam gdzieś, że przyczyna i skutek to zabezpieczenie przed przypadkiem – przerażająco chaotyczną zmiennością losu. Dlaczego tamtego dnia poszłam z Leanne? Gorzej być nie mogło. Tak już jednak jest, że najpierw dokonujemy wyboru, a dopiero później szukamy wyjaśnień. W świecie sztuki liczą się tylko dwa domy aukcyjne, a pozostałych można nie mieć pojęcia. To te dokonujące transakcji na setki milionów funtów, zajmujące się kolekcjami zubożałych księżyąt i zakompleksionych oligarchów, którzy przepuszczają tyśiącletnie piękno przez swoje pokoje ciche niczym muzea i zamieniają je w twardą, seksowną gotówkę. Gdy trzy lata temu podłapałam robotę w British Pictures, wreszcie poczułam, że mi się udało. W każdym razie czułam tak przez dwa, trzy dni. Szybko zrozumiałam, że obrazami przejmują się wyłącznie ochroniarze i faceci, którzy wszystko dźwigają. Pozostali mogliby handlować zapałkami albo masłem. Chociaż decyzja o moim zatrudnieniu była podyktowana względami merytorycznymi, chociaż ciężko i pilnie pracowałam, mogłam się również pochwalić dość imponującą wiedzą o sztuce, musiałam przyznać, że – według standardów obowiązujących w British Pictures – zdecydowanie nie byłam bóg wie czym. Po kilku tygodniach pracy zdałam sobie sprawę, że nikogo właściwie nie obchodzi, czy odróżniasz Bruegla od Bonnarda, że muszę złamać inne, ważniejsze kody.

Po trzech latach nadal sporo rzeczy w swojej pracy lubiłam. Podobał mi się pachnący orchideami hol, gdzie mijałam odzwiernego w liberii. Podobały mi się pochlebne, pełne czci spojrzenia klientów zarezerwowane dla „ekspertów”, gdy wspinałam się po okazałych dębowych schodach, ponieważ oczywiście wszystko w domu aukcyjnym wyglądało na okazałość zgoła trzystuletnią. Podobało mi się podsłuchiwanie rozmów identycznych eurosekretarek biegle władających eleganckim francuskim i włoskim – i równie elegancko zarzucających włosami. Podobało mi się, że w przeciwieństwie do nich się nie gimnastykuję, żeby schwytać mijanego samca w pasma wymodelowanych włosów. Byłam dumna ze swoich osiągnięć – że po roku stażu w British Pictures zostałam asystentem. Co prawda nie zamierałam zabawić tutaj długo. Nie chciałam przez resztę życia gapić się na obrazy psów i koni.

Tamten dzień – dzień, gdy wpadłam na Leanne – zaczął się od maila od Laury Belvoir, zastępcy szefa działu. Nosił nagłówek Pilne!, ale nie zawierał żadnej treści. Podeszłam do jej gabinetu, zapytać, czego dokładnie chce. Szefostwo było niedawno na szkoleniu z zarządzania i Laura pojęła ideę komunikacji cyfrowej w zakładzie pracy, ale niestety, jeszcze sobie nie

radziła z klawiaturą.

– Chcę, żebyś zrobiła atrybucje dla dzieł Longhiego.

Na nadchodzącą aukcję dzieł włoskich przygotowywaliśmy serię portretów *conversation piece* pędzla weneckiego artysty.

– Mam sprawdzić tytuły w magazynie?

– Nie, Judith. To dzieła Ruperta. Idź do Heinza, może będziesz w stanie zidentyfikować modeli.

– Rupert był szefem działu, rzadko pojawiającym się w firmie przed jedenastą.

Archiwum Heinza to wielki katalog portretów – miałam sprawdzić, którzy konkretnie angielscy paniczcy zażywający uciech osiemnastowiecznego *gap year* mogli pozować Longhiemu, ponieważ identyfikacja poszczególnych osób zwykle podnosiła atrakcyjność obrazów w oczach klientów.

– Dobra. Możesz mi dać komplet zdjęć?

Laura westchnęła.

– Są w bibliotece. Oznaczone jako Longhi-wiosna.

Ponieważ dom aukcyjny British Pictures zajmował cały budynek, wyprawa z naszego działu do biblioteki zajmowała cztery minuty, ja zaś spacer ten podejmowałam kilka razy dziennie. Wbrew pogłoskom o nastaniu dwudziestego pierwszego wieku nasza firma wciąż właściwie funkcjonowała jak bank epoki wiktoriańskiej. Wielu pracowników całymi dniami włóczyło się po korytarzach, dostarczając sobie jakieś świstki. Archiwum i biblioteka nie były nawet prawie wcale skomputeryzowane – często można się było natknąć na małe dickensowskie upiory wciśnięte w mroczne kłitki między sterty pokwitowań a fotokopie rachunków sporządzone w trzech egzemplarzach. Wzięłam kopertę ze zdjęciami i wróciłam do biurka po torebkę. Zadzwoił mój telefon.

– Halo? Mówi Serena z recepcji. Mam tutaj spodnie Ruperta.

Powłókłam się więc do recepcji, odebrałam wielką torbę od krawca Ruperta, przesłałą kurierem z odległej o pół kilometra Savile Row, a następnie zaniósłam ją do swojego działu. Laura podniosła wzrok

– Judith?! Jeszcze nie poszłaś? Co ty wyrabiasz, na litość boską? Skoro jednak już tu jesteś, mogłabyś mi przynieść cappuccino? Ale nie z bufetu, tylko z tej knajpeczki w Crown Passage. I weź paragon.

Po przyniesieniu kawy wyruszyłam do archiwum. Miałam w torebce pięć zdjęć – sceny z teatru La Fenice, z Zattere i kawiarnię w Rialto, a po kilkugodzinnym przetrząsaniu pudeł przygotowałam listę dwunastu rozpoznanych modeli, którzy przebywali we Włoszech w okresie powstania portretów. Skonfrontowałam dane z katalogu Heinza z obrazami, żeby nadawały się do katalogu, i zaniósłam to Laurze.

– Co to jest?

– Obrazy Longhiego, o które mnie prosiłaś.

– To są obrazy Longhiego z aukcji sprzed sześciu lat. Naprawdę, Judith. Zdjęcia przesłałam ci mailem dziś rano.

Czyli miały być w tym pustym mailu...

– Ależ, Lauro! Powiedziałaś, że są w bibliotece.

– Miałam na myśli bibliotekę elektroniczną.

Zmilczałam. Zalogowałam się do naszego katalogu *online*, znalazłam właściwe zdjęcia (w katalogu nazwanym oczywiście Longhi), pobrałam je na swój telefon i wróciłam do Heinza, nasłuchawszy się jeszcze od Laury na temat marnowania czasu. Skończyłam drugą partię atrybucji, zanim ona wróciła z lunchu w Caprice, i zajęłam się obdzwanianiem gości, którzy nie potwierdzili obecności na prywatnej prezentacji dzieł. Następnie napisałam biogramy i wysłałam je mailem Laurze i Rupertowi, pokazałam Laurze, jak otwierać załącznik, wsiałam do metra, pojechałam do składnicy sztuk użytkowych niedaleko Chelsea Harbour, żeby sprawdzić próbkę jedwabiu, która – zdaniem Ruperta – powinna pasować do prezentacji płócien Longhiego, stwierdziłam, zgodnie z oczekiwaniami, że nie pasuje, pokonałam większość drogi piechotą, ponieważ linia Circle dojeżdżała tylko do Edgware Road, i zboczyłam do Lillywhite's na Piccadilly Circus po śpiwór dla syna Laury wybierającego się na plenerową wycieczkę szkolną, wróciłam wykończona i brudna o siedemnastej trzydziści po kolejną reprimendę, że nie było mnie, gdy nasz dział w komplecie oglądał obrazy, nad którymi pracowałam całe przedpołudnie.

– Naprawdę, Judith – mówiła Laura. – Nigdy nie ruszysz do przodu, jeśli będziesz biegać po mieście, zamiast patrzeć na dzieła sztuki.

Pomijając inne względy – może nic w tym dziwnego, że gdy jakiś czas później wpadłam na stacji metra na Leanne, poczułam, że muszę się napić.

Rozdział 3

W rozmowie kwalifikacyjnej w Gstaad Club tego wieczoru uczestniczył Olly, wielki pośepny Fin, który był właścicielem przybytku, *maître d'* i bramkarz – wszyscy taksowali mnie wzrokiem, odzianą w koronkową kremową bluzkę, którą pospiesznie wciągnęłam w toalecie w Ritzu.

– Możesz pić? – zapytał mnie Olly.

– Ona jest z Liverpoolu – zachichotała Mercedes. Cóż więcej dodać?

Tak więc przez następne osiem tygodni w czwartkowe i piątkowe wieczory pracowałam w klubie. Dla większości osób w moim wieku nie były to ulubione godziny, ale ja drinków po pracy z kolegami nigdy nie postrzegałam jako ważnych dla własnej kariery zawodowej. Nazwa lokalu, jak wszystko, co się z nim wiązało, świadczyła o niemodnym już podszyciu się pod szyk i klasę – jedyne, co było w tym klubie prawdziwe, to rzeczywiście powalająca marza na szampana. Gstaad Club niewiele się nawet różnił od Annabel's, nieistniejącego już nocnego klubu kilka ulic dalej, na Berkeley Square. Takie same żółte ściany dla nadętych przedstawicieli socjety, identyczne nijakie obrazy, ten sam tłum tragicznych starszych panów z brzuszkiem, to samo stado wysiadujących dziewcząt, które nie były może dziwkami, ale nie wystarczało im na czynsz. Praca była prosta. Pół godziny przed otwarciem klubu, o dwudziestej pierwszej, około dziesięciu dziewcząt stawiało się na łyceczek dla kurażu wymierzany przez barmana Carla w nieskalanie odprasowanej, choć nieświeżej białej marynarce. Pozostały personel tworzyli zasuszone staruszka, która zajmowała się szatnią, i Olly. Punktualnie o dwudziestej pierwszej otwierał on drzwi od ulicy i z powagą rzucał zawsze tym samym dowcipem:

– Dobra, dziewczęta! Majtki w dół.

Po otwarciu siedziałyśmy przez godzinę, rozmawiając, wertując magazyny plotkarskie albo pisząc esemesy, aż zaczęli nadciągać klienci, niemal wszyscy samotnie. Według założeń mieli oni sobie wybrać dziewczynę, która im się podoba, i wraz z nią sięść w którejś z obitych różowym aksamitem wnek, co określano mianem zajmowania. Gdy już byłaś zajęta, twoim zadaniem było dopilnowanie, aby klient zamówił jak najwięcej absurdalnie drogich butelek szampana. Nie dostawałyśmy pensji, tylko dziesięć procent od każdej butelki i to, co klient zechciał zostawić. W pierwszą noc chwiejnym krokiem oddaliłam się od stolika w trakcie opróżniania trzeciej butelki i musiałam poprosić staruszkę, żeby przytrzymała mi włosy, gdy będę u siebie wywoływać wymioty.

– Niemądra dziewczyna – staruszka kręciła głową z ponurą satysfakcją. – Ty wcale nie masz tego pić.

Później już to opanowałam. Carlo podawał szampana w ogromnych kielichach wielkości wazonu, my zaś miałyśmy je opróżnić do wiaderka na lód albo do kwiatów, gdy tylko klient oddał się od stolika. Inna strategia polegała na przekonaniu klienta, żeby zaprosił do spożycia trunku „przyjaciółkę”. Dziewczeta nosiły czółenka – sandały były wykluczone – ponieważ w ramach jeszcze innej sztuczki można było sprowokować klienta, aby napił się z twojego buta. W Louboutin rozmiar trzydzieści dziewięć wchodzi zadziwiająca ilość szampana. Jeśli już wszystko inne zawiodło, po prostu wylewałyśmy trunek na podłogę.

Z początku wydawało mi się cudowne, że lokal działa aż do świtu. Całe to niezdarne flirtowanie i wygórowana opłata za twoje towarzystwo wydawały mi się istic edwardiańskie. Po co facet sobie zadawał tyle trudu, skoro mógł zamówić dowolną prostytutkę przez aplikację na iPhone'a? To wszystko było takie boleśnie staromodne. Po pewnym czasie zrozumiałam jednak, że to właśnie przyciąga tych gości, dlatego wracają. Nie chodziło im o seks, chociaż wielu bardzo się ośmiało po kilku wazonach szampana. Nie byli to żadni wyjadacze, nawet nie mieli takich aspiracji. Byli to zwyczajni żonaci kolesie w średnim wieku, którzy przez kilka godzin chcieli poudawać przed sobą, że są na prawdziwej randce, z prawdziwą dziewczyną, śliczną dziewczyną, ładnie ubraną, o porządnym manierach, szczerze zainteresowaną rozmową z nimi. Mercedes ze swoimi tipsami i przedłużkami była zakładową niegrzeczną dziewczynką – dla klientów, którzy chcieli czegoś bardziej pikantnego, ale Olly wołał, żeby reszta z nas ubierała się w proste, dopasowane sukienki, nie malowała się przesadnie, miała czyste włosy i dyskretną biżuterię. Klienci nie chcieli ryzykować, nie chcieli kłopotów, nie chcieli, żeby żona się dowiedziała, nie chcieli nawet narażać się na potencjalnie kłopotliwą sytuację, gdy musiałyby im stanąć. Choć wydawało się to niewiarygodnie żałosne, oni chcieli po prostu poczuć się pożądanymi.

Olly znał rynek i doskonale zaspokajał jego potrzeby. W klubie znajdował się niewielki parkiet do tańca, Carlo robił za didżeja, żeby stworzyć wrażenie, że nasz towarzysz w każdej chwili może porwać nas do tańca, chociaż miałyśmy do tego absolutnie nie zachęcać. Było menu, w nim zaś całkiem dobry stek, przegrzebki i desery lodowe – panowie w średnim wieku lubią patrzeć, jak dziewczęta jedzą tuczące łakocie. Oczywiście deser lodowy z owocami i śmietaną zwracałyśmy, gdy tylko zdołałyśmy się wymknąć do kibla. Dziewczyny, które brały albo za bardzo kojarzyły się z dziwkami, znikaly po jednej nocy – panów obowiązywał kategoryczny, dyskretnie przekazywany zakaz proponowania towarzystwa młodym damom poza klubem. Oni mieli się o nas starać.

Szybko stwierdziłam, że nie mogę się doczekać czwartkowych i piątkowych wieczorów. Wszystkie dziewczyny z wyjątkiem Leanne (naprawdę nie byłam jeszcze w stanie myśleć o niej Mercedes) były neutralne – ani wrogie, ani przyjazne. Miłe, ale obojętne. Sprawiały wrażenie niezainteresowanych moim życiem. Może dlatego, że jeśli same zdradzały jakieś szczegóły

dotyczące swojego życia, to żadne nie były prawdziwe. Pierwszej nocy, gdy dość niepewnym krokiem podążałyśmy Albemarle Street, Leanne zasugerowała, żebym wybrała sobie imię do pracy w klubie. Na drugie miałam Lauren. Neutralne, nawet nijakie.

Powiedziałam, że studiuje zaocznie historię sztuki. Wyglądało na to, że wszystkie dziewczyny coś studiują, przy czym większość zarządza, i może niektóre rzeczywiście studiowały. Żadna z nich nie była Angielką. Klienci lubili chyba myśleć, że dziewczyny pracują w klubie, żeby coś w życiu osiągnąć – może kojarzyło im się to z Elizą Doolittle. Leanne mówiła z akcentem liverpoolskim, ja swój tymczasem poprawiłam – w pracy mówiłam głosem moich marzeń – aby nie od razu można się było zorientować, że to wymowa wyuczona, ale ku ewidentnemu zadowoleniu Olly’ego i tak sprawiałam wrażenie osoby z wyższych sfer.

Na Prince Street, w mojej pracy dziennej, obowiązywały miliony drobnych kodów. Do określenia miejsca zajmowanego na drabinie społecznej wystarczyło jedno spojrzenie, przyswojenie zasad było zaś o wiele trudniejsze niż rozpoznawanie obrazów, ponieważ cały problem z tymi zasadami polega na tym, że jeśli należysz do właściwej klasy, niczego nie musisz się uczyć – wszystko wiesz. Na owoce wielogodzinnej pilnej nauki, jak mówić i jak chodzić, wiele osób mogło się nabrać. Na przykład Leanne z rozbawieniem, choć niechętnie, okazywała, że moja transformacja robi na niej wrażenie – ale gdzieś tam w firmie stała ukryta szkatułka kluczy Alicji w Krainie Czarów dla mnie niedostępna, kluczy, które otwierały drzwi do każdego najmniejszego ogrodu o murach niezdojetych, przede wszystkim niewidocznych. W Gstaad Club uchodziłam jednak za przedstawicielkę socjety i dziewczyny, jeśli w ogóle się nad tym zastanawiały, uważały, że nie ma żadnej różnicy między WAGs a podstarzały mi debiutantkami, które zajmowały sąsiednie strony w magazynie „OK!”. Oczywiście w pewnym sensie może miały rację.

Pogawędki w klubie na ogół dotyczyły ciuchów oraz nabywania markowych butów i torebek, a także mężczyzn. Niektóre dziewczyny twierdziły, że mają stałych chłopaków, często żonaty (w takim wypadku należało narzekać bez końca na chłopaków), inne chodziły na randki (w takim wypadku należało bez końca narzekać na randki). Dla Natalii, Anastasii, Martiny i Karoliny wydawało się oczywistą prawdą, że mężczyźni są złem koniecznym, które trzeba znosić w imię butów, torebek i sobotnich wieczornych wypadów do japońskich restauracji w Knightsbridge. Bez końca analizowały esemesy, ich częstotliwość i szczerść, ale emocje okazywały tylko wtedy, gdy się zastanawiały, czy mężczyźni spotykają się z jakimiś innymi kobietami albo czy przynoszą odpowiednie prezenty. W rezultacie knuto intrygi i kontrintrygi, prowadzono rozmowy o mężczyznach z jachtami, nawet o mężczyznach z samolotami, ale nigdy nie odniosłam wrażenia, że tym wszystkim sprawom towarzyszy jakaś przyjemność. Żadna z nas nie władała biegle takim narzędziem jak miłość – naszą walutą były świeża skóra i jędrne uda, stanowiące

wartość jedynie dla tych, którzy byli zbyt starzy, żeby uważać to za oczywistość. Wszystkie dziewczęta zgodnie twierdziły, że starsi panowie to znacznie mniejszy kłopot, głośno jednak krytykowały ich niedostatki fizyczne. Choć łysiny, cuchnący oddech czy seks na viagrze były na porządku dziennym, trudno było znaleźć ślad tej rzeczywistości w kokieteryjnych esemesach, którymi dziewczyny komunikowały się ze swoimi facetami. Tak funkcjonował ich świat, wzgardę i okazjonalne łzy rezerwowały dla nas.

W Gstaad po raz pierwszy w życiu znalazłam przyjaciółki, i trochę się wstydziłam, że sprawia mi to taką radość. W szkole mnie to ominęło. Miałam często podbite oczy, byłam wyniosła i agresywna, wagarowałam i bez ograniczeń poznawałam radość seksu, ale na przyjaciółki brakowało mi czasu. O mnie i Leanne koleżanki wiedziały, że znamy się z północy, że jesteśmy kumpellami z czasów szkolnych (jeśli bierne uczestnictwo we wpychaniu czyjeś twarzy do kibla mieściło się w definicji kumpowania), o reszcie nigdy zaś nie wspominałyśmy. Oprócz Frankie, sekretarki w British Pictures, jedynymi kobietami obecnymi w moim życiu były moje współlokatorki – dwie poważne Koreanki studiujące medycynę w Imperial College. Sumiennie przestrzegałyśmy harmonogramu porządków wiszącego w łazience, poza tym w zasadzie nie miałyśmy potrzeby rozmawiać. Z wyjątkiem kobiet, które spotykałam na specyficznych przyjęciach, na które lubiłam chodzić, ze strony przedstawielek mojej płci zawsze się spodziewałam wrogości i pogardy. Nigdy się nie nauczyłam, jak plotkować, jak doradzać, jak wałkować w kółko sprzeczne pragnienia. Tutaj jednak odkryłam, że potrafię w tym uczestniczyć. W metrze przestałam czytać „Burlington Magazine” i „The Economist”, zaczęłam zaś „Heat” i „Closer” – dzięki temu, gdy nudziła się nam rozmowa o facetach, miałam coś do powiedzenia na temat nieskończonych telenoweli i gwiazd filmowych. Zmyśliłam zawód miłosny (i wynikłą z tego aborcję), aby uzasadnić niechodzenie na randki. „Nie byłam gotowa”, za to chętnie słuchałam, że nadejdzie czas na domknięcie i życie potoczy się dalej. O moich nocnych eskapadach nie wiedział nikt. Ten dziwny, mały i skoncentrowany świat mi odpowiadał – tu świat zewnętrzny wydawał się daleki, tu nic nie było do końca prawdziwe. Tu czułam się bezpieczna.

Leanne nie kłamała w kwestii zarobków. Może trochę przesadziła, ale i tak były one nadzwyczajne. Mój udział w butelkach szampana szedł na opłatę za taksówki, zarabiałam więc na czysto sześćset funtów, czasami więcej, w napiwkach, zmiętych dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Już po dwóch tygodniach zlikwidowałam żaloszny debet na koncie, kilka tygodni później wsiadłam zaś w niedzielny pociąg do outletu pod Oksfordem, żeby poczynić kilka inwestycji. Czarna spódniczka Moschino z żakietem miała zastąpić wysłużone Sandro, do tego kupiłam prostą białą sukienkę kockajlową od Balenciagi, buty na niskim obcasie Lanvina i dzienną sukienkę we wzorki DVF. W końcu wybieliłam sobie również laserowo zęby na Harley Street, umówiłam się do Richarda Warda na strzyżenie – moje włosy wyglądały niemal tak samo, ale na pięć razy

droższe. To wszystko nie miało nic wspólnego z klubem. Do Gstaad kupiłam kilka prostych sukienek ze zwykłego sklepu i dopełniłam je oczywistymi czółenkami Louboutin, tak że całość prezentowała się szykownie. Opróżniłam półkę w szafie i starannie rozłożyłam tam większość zakupów zawiniętych w bibułkę. Lubiłam na nie patrzeć, lubiłam je przeliczać jak archetypiczny sknera. Kiedy byłam mała, pochłaniałam książki Enid Blyton o szkole z internatem, St Clare's, Whyteleaf i Malory Towers. Nowe ciuchy były moim mundurkiem i kijem do lacrosse, mundurkiem osoby, którą zamierzałam się stać.

Zaczął przychodzić, gdy pracowałam w klubie od miesiąca. W czwartki w Gstaad zawsze panował największy ruch, nazajutrz bowiem biznesmeni ruszali do swoich wiejskich posiadłości. Tego dnia jednak lało, w środku siedziało tylko dwóch gości. Kolorowe magazyny i telefony były zakazane, dopóki więc do lokalu nie wszedł jakiś gość, dziewczęta siedziały apatyczne lub wyskakiwały pod markizę, aby skulone wypalić papierosa, niezgrabnie chroniąc fryzury przed wilgocią. Zadzwonił dzwonek i wszedł Olly.

– Głowy do góry, drogie panie! To wasz szczęśliwy wieczór!

Kilka minut później do pomieszczenia wtoczył swój wielki brzuch jeden z najbardziej spasionych mężczyzn, jakich w życiu widziałam. Nawet nie próbował się przymerzać do stołka barowego, tylko padł natychmiast na najbliższą ławę, z irytacją odganiając Carla, aż rozwiązał krawat i otarł twarz chustką. Miał flejtuchowaty wygląd, z którym może sobie poradzić jedynie naprawdę nadzwyczajne krawiectwo, jego krawiec najwyraźniej jednak nie podolał zadaniu. Spod rozpiętej marynarki wylaniała się kremowa koszula napięta na brzuchu, który spoczywał na rozsuniętych kolanach, nad kołnierzykiem kołysały się fałdy tłuszczu, nawet buty wyglądały na wypchane do granic możliwości. Poprosił o szklankę zimnej wody.

– Czego takiego jeszcze nie widziałem – ktoś syknął.

Dziewczęta miały rozmawiać z ożywieniem, często zarzucając włosami i zerkając spod rzęs – miałyśmy wyglądać tak, jakbyśmy wpadły do lokalu przypadkiem, samotne w swoich szykownych sukienkach, dopóki klient nie dokona wyboru. Grubas nie zwlekał. Kiwnął na mnie, a jego sflaczałe żyłkowane policzki zakołysały się w uśmiechu. Gdy podeszłam do niego, zauważyłam, że zdjęty krawat ma uczelniane paski, a w głębinach tłustego małego palca kryje się sygnet. Oho!

– Jestem Lauren – uśmiechnęłam się nieśmiało. – Mam do pana dołączyć?

– James – odrzekł.

Usiadłam skromnie, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, i patrzyłam na niego całą promieniejąca oczekiwaniem. Żadnych rozmów, dopóki klient nie złoży zamówienia.

– Pewnie mam ci postawić drinka? – zapytał niechętnie, jakby wiedział, na jakich zasadach klub działa, ale i tak uważał je za nadużyte.

– Dziękuję. Byłoby miło.

Nie spojrział na menu.

– Który jest najdroższy?

– Myślę... – zawahałam się.

– Miejmy to już za sobą.

– Cóż, Jamesie. Cristal 2005. Masz ochotę?

– Zamów. Ja nie piję.

Ruchem głowy dałam znak Carlowi, zanim klient się rozmyśli. Cristal 2005 kosztował całe trzy tysiące. Zarobiłam więc już trzy stowy. James miał gest.

Carlo przyniósł butelkę z taką rewerencją, jakby niósł syna swojego pierworodnego, ale James odprawił go ruchem ręki, odkorkował butelkę i pewnym ruchem napełnił kielichy.

– Lubisz szampana, Lauren? – spytał.

Pozwoliłam sobie na lekko drwiący uśmiech.

– No, może się znudzić.

– A więc może przekażesz go koleżankom, a sama zamówisz coś, co lubisz?

Podbił tym moje serce. Fizycznie był odpychający, to prawda, ale podobało mi się, że nie wymaga ode mnie udawania. Zamówiłam hennessey i popijałam go powoli, a James opowiedział mi trochę o tym, czym się zajmował, czyli oczywiście pieniędzmi, po czym dźwignął się i poczłapał do wyjścia, zostawiwszy na stoliku pięćset funtów w nowych pięćdziesiątkach. Następnego wieczoru wrócił i uczynił to samo. W środę rano dostałam esemesa od Leanne, że pojawił się we wtorek i pytał o Lauren, w czwartek zaś przyszedł ponownie, kilka minut po otwarciu. Kilka dziewcząt miało stałych klientów, ale żaden nie dorównywał Jamesowi szczodrością, co zapewniło mi wśród nich nową pozycję. O dziwo, nie odczułam z ich strony zazdrości. W końcu biznes to biznes.

Rozdział 4

Odłkąd zaczęłam pracować w klubie, lepiej znosiłam codzienne upokorzenia związane z pracą w British Pictures. W Gstaad towarzyszyło mi przynajmniej złudzenie, że mam wszystkie atuty w ręku. Wmawiałam sobie, że to mnie bawi, że moje zwyczajne życie – moje „prawdziwe” życie, które dzieli raptem kilka ulic od Olly’ego i dziewczyn – nie ma żadnej wartości ani mocy. W klubie czułam się wartościowa za każdym razem, gdy zakładałam nogę na nogę, podczas gdy w swojej rzeczywiście pracy, tej, która oznaczała podobno moją karierę zawodową, nadal byłam właściwie chłopcem na posyłki. Prawdę mówiąc, Gstaad i najbardziej elitarny przybytek sztuki na świecie miały ze sobą tyle wspólnego, że dla zachowania komfortu psychicznego lepiej było o tym nie myśleć.

Praca w British Pictures mogła wydawać się rozczarowująca, ale ja wciąż żywo pamiętałam dzień, gdy po raz pierwszy widziałam obraz. To wspomnienie paliło się we mnie jasnym płomieniem. Alegoria Bronzina *Zwycięstwo Czasu nad Miłością* czy *Alegoria z Wenus i Kupidynem* w National Gallery na Trafalgar Square. Obraz ten do dziś ma dla mnie ogromne znaczenie, nie tylko ze względu na manieryczną, tajemniczą elegancję kompozycji – żartobliwą i niewinnie erotyczną lub mrocznie przypominającą o przemijaniu i śmierci – ale także dlatego, że do tej pory żaden badacz nie przedstawił jego przekonującej interpretacji. Piękno tego dzieła polegało na frustracji, którą wywoływał.

Przeżyłam to podczas szkolnej wycieczki do Londynu – gorące godziny w autokarze wypełnionym zapachem pasztecików i serowych czipsów, klasowe gwiazdy paplające i handryczące się na tylnych siedzeniach, nasze nauczycielki wyglądające jakoś bezbrinnie w swoich niecodziennych codziennych ubraniach. Pogapiliśmy się na bramy pałacu Buckingham, po czym powlekliśmy się przez The Mall do galerii, ubrane w granatowe bluzy – wystarczy tylko przypiąć plakietkę z imieniem i już możesz pracować w *call center*. Chłopcy ślizgali się po parkietach, dziewczęta hałasowały, przy każdym mijanym akcie padały ordynarne uwagi. Próbowалам się oddalić od klasy, pochodzić sama – chciałam się zatracić w nieskończonych, zdawałoby się, salach ekspozycyjnych, gdy przypadkiem wpadłam na Bronzina.

Czułam się tak, jakbym się potknęła i wpadła do dziury – najpierw zapało mi dech, następnie szybko wychodziłam z szoku, umysł nie nadążał jednak za ciałem. Na obrazie byli bogini i jej synek, a nad nimi tajemniczy starzec. Wtedy nie wiedziałam, kim są, ale od razu zyskałam pewność, że skoro już ujrzałam te delikatne kolory, jak lśnią, jak się przenikają, nigdy już nie

zaznam spokoju. Wówczas poznałam także pożądanie – po raz pierwszy miałam poczucie, że wiem, czego chcę, i wiem, czego nie mam. Nie podobało mi się to uczucie. Nie podobało mi się, że wszystko, co znam, nagle wydawało mi się brzydkie, i że źródło tego uczucia, jego tajemnicze przyciąganie i powab promieniają na mnie z tego obrazu.

– Rashers się podnieca tą gołą babą!

Dopadła mnie Leanne ze swoją bandą.

– Jebana lesba!

– Lesba-a-a! Lesba!

Ich chropawe, piskliwe głosy przeskądzały innym zwiedzającym, kolejne osoby odwracały głowy w naszą stronę. Moja twarz zapłonęła ze wstydu. Leanne miała wówczas włosy w kolorze pomarańczowy blond, katowane trwały i tak nażelowane, że tworzyły kask na czubku głowy. Podobnie jak przyjaciółki nakładała na twarz grubą warstwę ciemnego podkładu, czarną kreską podkreślała powieki.

– Skoro nie potrafia się zachować, nie powinni być wpuszczani – usłyszałam czyjś głos. – Wiem, że tu jest darmowy wstęp, ale...

– To prawda – przerwał inny głos. – Zachowuj się jak zwierzęta.

Patrzyli na nas, jakbyśmy śmierdzeli. Zastanawiałam się, czy dla nich rzeczywiście śmierdzimy. Nienawidziłam wzgardy w ich gładkich, kulturalnych głosach. Nienawidziłam, kiedy się mnie stapiało z innymi. Ale Leanne również je usłyszała.

– Weźcie się odpierdolicie! – warknęła napastliwie. – Czy także jesteście lesbami?

Dwie kobiety tylko patrzyły zbulwersowane. Nie protestowały, odeszły spokojnie do innych sal. Odprowadziłam je poządlwym wzrokiem. Odwróciłam się do dziewczyn.

– Mogą złożyć skargę. I jeszcze nas wyrzucą.

– Co z tego? Już i tak skończyliśmy. Co z tobą, Rashers?

W bójkach nabrałam już znacznej biegłości. Moja matka, gdy w ogóle zadała sobie trud, żeby zwrócić na mnie uwagę, delikatnie traktowała moje podbite oczy i siniaki, na ogół jednak starałam się ukrywać ślady. Mimo to uważała mnie za napastliwą. Mogłam się rzucić na Leanne bez wahania, ale – może to przez obraz, może przez te kobiety za plecami – nie chciałam. Nie zamierzałam się tak poniżyć, już nie. Nic więc z tym nie zrobiłam. Próbowalam oblec się we wzgardę niczym w futro, pokazać im, że są tak daleko poniżej mojego poziomu, że nie zasługują na moją uwagę. Do końca szkoły ciężko pracowałam, żeby utwierdzić się w tym przekonaniu. Oszczędzałam dwa lata na swoją pierwszą podróż do Włoch, pracując na stacji benzynowej, zamiatając te wszystkie larwy odciętych włosów w salonie piękności, przecinając sobie palce na kartonikach z jedzeniem w chińskiej knajpie, kąpiąc krwią do wieprzowiny w sosie słodko-kwaśnym zamawianej przez pijaków w piątkowe wieczory. Zarobiłam na *gap year* w Paryżu i na

miesięczny kurs przygotowawczy w Rzymie.

Sądziłam, że na uniwersytecie wszystko będzie wyglądało inaczej. Nigdy nie widziałam takich osób, nie mówiąc o takim miejscu. Oni należeli do jednego świata: te istoty i te budynki – te wszystkie pokolenia, które korzystały z należnych z urodzenia przywilejów, łączyły miodowy kamień z miodową skórą w architektoniczną doskonałość widoczną w każdym dopracowanym przez czas szczególe. Miałam w college’u romanse, owszem, ale gdybyście wyglądali jak ja i naprawdę lubili takie rzeczy jak ja, może dziewczyny by was nie interesowały. Powiedziałam sobie, że ich nie potrzebuję, poza tym między biblioteką a pracami dorywczymi nie miałam za dużo czasu na cokolwiek poza czytaniem.

Nie poprzestawałam na lekturach obowiązkowych – wraz z Gombrichem i Bourdieu przeczytałam setki powieści, gorączkowo poszukując szczegółów na temat obcego mi świata klasy wyżej. Chciałam się dowiedzieć, jak mówić, poznać zasób słów, które odróżniają należących do niewidzialnego klubu od tych nienależących. Pracowałam niezłomie nad językami: francuski i włoski to języki sztuki. Czytałam „Le Monde” i „Foreign Affairs”, „Country Life” i „Vogue’a”, „Opera Magazine” i „Tatlera”, magazyny dla graczy w polo i „Architectural Digest” oraz „Financial Times”. Uczylałam się o winie, o oprawach starych książek i starym srebro. Chodziłam na wszystkie możliwe darmowe recitale, najpierw z obowiązku, później dla przyjemności. Nauczyłam się posługiwać widelczykiem do ciast i naśladować Bóg wie jaki akcent. Wiedziłam już, że nie ma sensu udawać kogoś, kim nie jestem, ale sądziłam, że jeśli zostaną dostatecznie dobrym kameleonem, nikomu nie przyjdzie do głowy zadawać mi pytania.

To nie snobizm mną kierował. Częściowo była to ulga, że znajduję się w otoczeniu, w którym przyznanie się do zainteresowania czymkolwiek oprócz pieprzonych *reality show* nie jest zachętą do bójki. Jeśli urywałam się ze szkoły, wsiadałam w autobus do miasta, żeby odwiedzić Picton Reading Room w Central Library albo Walker Art Gallery, ponieważ w tych tchnących spokojem przybytkach obcowałam z czymś więcej niż pięknem. Tam było miło i kulturalnie. A bycie kulturalnym oznaczało wiedzieć co trzeba. Jakkolwiek wielu ludzi udaje, że to nie ma znaczenia – to nieprawda. Zaprzeczanie temu jest równie głupie jak twierdzenie, że uroda nie ma znaczenia. Żeby trafić gdzie trzeba, osiągnąć co trzeba, należy obcować z właściwymi ludźmi. W ich gronie nie zaszkodziło zaś znać różnicy między markizem dziedzicznym a honorowym.

Gdy zatrudniłam się w domu aukcyjnym, wydawało mi się, że mam już właściwą wiedzę i stosowne obycie. Krawędzie zostały wygładzone. Miałam dobre układy z Frankie, sekretarką działu. Mówiła jak biała pani rozkazująca swoim sługom, a jej przyjaciele nosili kontrowersyjne przydomki. Frankie pasowała do tego świata w sposób dla mnie nieosiągalny, ale jednocześnie trochę się miotła w krzykiwej nowej fali pieniędzy, które ostatnio napływały do British Pictures. Świat sztuki budził się powoli ze swojego afektowanego snu na placu zabaw miliarderów,

w którym dziewczyny w rodzaju Frankie zaliczały się do wymarłego gatunku. Kiedyś wyznała mi dość smutnym tonem, że wolałaby mieszkać na wsi, ale – zdaniem jej matki – ma większe szanse „poznać kogoś”, pracując w mieście. Chociaż Frankie należała do zagorzałych czytelniczek „Grazi”, można było odnieść wrażenie, że w ogóle nie nadąża za trendami – nosiła niemilosierną aksamitną przepaskę do włosów, a jej tyłek wyglądał jak wielki jaśniepański grzyb. Kiedyś musiałam dyplomatycznie ją odciągnąć od naprawdę fatalnej turkusowej sukni balowej z tafty, gdy cichaczem wymknęłyśmy się do Petera Jonesa. Moim zdaniem jej matka w najbliższym czasie nie musiała się przejmować zamawianiem zdobnych zaproszeń, ale podziwiałam niezłomny styl Frankie, jej imponującą pogardę dla diet i niesłabnący optymizm, że pewnego dnia znajdzie mężczyznę swoich marzeń. Miałam szczerą nadzieję, że tak się stanie – widziałam ją już na plebanii georgiańskiego probostwa, jak swojej kochającej i zdrowej rodzinie serwuje zapiekankę rybną z agi.

Czasami jadłyśmy razem lunch i podczas gdy ja nie mogłam się nasłuchać o jej dzieciństwie w Pony Club, ona chyba lubiła słuchać (surowo ocenianych) opowieści o wybrykach mojego dzieciństwa. Frankie zdecydowanie należała do tych elementów mojej pracy, które lubiłam. Innym był Dave, który pracował jako ochroniarz w magazynie. Dave był w zasadzie jedyną osobą oprócz Frankie, która – w moim odczuciu – rzeczywiście mnie lubiła. Stracił nogę w Bagdadzie w czasie pierwszej interwencji w Iraku, wracając zaś do zdrowia, oglądał filmy o sztuce. Miał niebyswale oko i bystry umysł – jego pasją był osiemnasty wiek. Powiedział mi kiedyś, że po tym, co widział w Zatoce, sztuka jako jedyna czasami trzyma go przy zdrowych zmysłach – obcowanie z wielkim malarstwem. Widziałam, że obchodzi się z dziełami sztuki z wielką miłością. Szczerść jego zainteresowania i jego wiedza budziły mój wielki szacunek, na pewno więc dowiedziałam się więcej o obrazach od Dave’a niż od kogośkolwiek z moich przełożonych.

Oczywiście flirtowaliśmy. Nigdy tak się nie zaangażowałam we flirty pracownicze, ale miałam pewność, że ze strony Dave’a nic mi nie grozi. Jeśli nie liczyć sporadycznych zuchwałych żarcików, okazywał mi raczej staromodne, rodzicielskie zainteresowanie. Przyśłał mi nawet kartkę z gratulacjami, gdy dostałam dyplom. Wiedziałam jednak, że jest szczęśliwym mężem (o żonie zawsze mówił „moja pani”), i – powiem wprost – uważałam za odprężające towarzystwo faceta, który nie chciał mnie zerznąć. Oprócz sztuki rokokowej Dave pasjonował się kryminalnymi opowieściami dokumentalnymi. Popularnym ich motywem był na przykład kanibalizm małżeński – mężowie spożywali swoje niezadowolone żony w formie pasztetu z naleźycie schłodzonym chardonnay. Dave, którego kontakt z bronią ograniczał się do wydajnej broni palnej, delectował się szekspirowską pomysłowością narzędzi zbrodni bohaterów tych historii. Zdumiewające, co można zrobić z lokówką elektryczną i scyzorykiem, jeśli się człowiek trochę postara.

W zakurzonych rejonach magazynu spotykaliśmy się na fajce, aby radośnie analizować najnowsze tendencje w makabrycznych mordach, ja zaś czasami się zastanawiałam, czy Dave w pięknych bogach i boginiach hasających z wdziękiem po ukochanych płótnach znajduje pociechę po całej przemocy, której był świadkiem, czy też w ich nierzadko erotycznej urodzie dostrzega dowód, że świat antyczny był równie brutalny i okrutny jak wszystko, co widział na pustyni. Na mnie amatorskie ekspertyzy Dave'a robiły duże wrażenie, on zaś czasami okazywał aż krępujący szacunek do mojego statusu specjalisty.

Pewnego ranka po wieczorze z Jamesem, w piątek na początku lipca, mając kilka minut przed rozpoczęciem pracy, zaszłam do magazynu, do Dave'a. Po długiej i pracowitej nocy w Gstaad oczy mnie bolały od dymu i bezsenności. Dave to zrozumiał, gdy tylko zobaczył, że o dziewiątej rano mam na nosie okulary przeciwsłoneczne.

– Ciężka noc, co, skarbie?

Zorganizował kubek słodzonej herbaty, dwa nurofeny i tabliczkę galaxii. Cholera, nie ma to jak czekolada na ból głowy. Dave w swojej życzliwości żywił głębokie przekonanie, że – podobnie jak wiele dziewcząt pracujących w British Pictures – prowadzę ołsniewające życie towarzyskie w gronie rozrywkowych osób z wyższych sfer w Chelsea. Nie wyprowadzałam go z błędu. Gdy już poczułam się jak człowiek – na tyle, żeby zdjąć okulary – wyjęłam z teczki taśmę i notes i przystąpiłam do mierzenia niewielkiej serii neapolitańskich pejzaży na najbliższą aukcję Grand Tour.

– Jestem w szoku – zauważył Dave. – Dwieście tysięcy ceny gwarancyjnej, że niby to Romney. To nawet nie jest szkoła Romneya!

– Również jestem w szoku – wycedziłam przez zęby, w których trzymałam długopis. Na początku pracy w British Pictures nauczyłam się, że cena gwarancyjna to cena minimalna, której domaga się sprzedający, żeby w ogóle dostarczyć płótno. Ruchem głowy wskazałam kieszeń w spodniach Dave'a.

– Nowa książka?

– Tak, pożyczę ci, jeśli chcesz. Kapitalna.

– Przypomnij mi, kiedy Romney przebywał we Włoszech?

– Od tysiąc siedemset siedemdziesiątego trzeciego do tysiąc siedemset siedemdziesiątego piątego. Głównie w Rzymie i w Wenecji. W tej książce żona przerobiła męża w sprzęcie Cuisinart. W Ohio.

– Lipa, Dave.

– Lipny to jest ten Romney.

Telefon pingiem obwieścił nadejście esemesa od Ruperta, szefa działu. Miałam pojechać na wy cenę, gdy tylko przygotuję notatki.

Rupert raczył się przy swoim biurku chyba właśnie trzecim śniadaniem, które stanowiła kanapka z kiełbasą. Wylała się już z niej musztarda na jego podwójne mankiety. „Znowu mnie czeka wyprawa do pralni” – pomyślałam żałośnie. Dlaczego ciągle musiałam się użerać z tymi grubasami? Podał mi adres w St John’s Wood i szczególnie klienta i polecił ruszyć natychmiast, ale gdy tylko dotarłam do drzwi gabinetu, zawołał mnie z powrotem.

– Uhm, Judith... – Jedną z wielu rzeczy, których szczerze nie znosiłam u Ruperta, to maniera, przez którą można było odnieść wrażenie, że na pierwsze imię mam Uhm.

– Słucham, Rupercie?

– Jeśli chodzi o te Whistlery...

– Poczytałam o nich wczoraj, tak jak prosiłeś.

– Uhm... właśnie, ale pamiętaj, proszę, że pułkownik Morris to bardzo ważny klient. Oczekuje bezapelacyjnego profesjonalizmu.

– Oczywiście, Rupercie.

Może jednak nie nienawidziłam Ruperta aż tak bardzo. Powierzał mi właśnie poważną wy cenę. Wysyłano mnie już kilka razy w drobniejszych sprawach, kilkakrotnie nawet poza Londyn, ale oto po raz pierwszy musiałam rozmawiać z ważnym klientem. Odebrałam to jako dobry znak – że mój szef pokłada we mnie coraz większe zaufanie. Jeśli zdołam właściwie ustalić cenę – właściwie, ale atrakcyjnie dla sprzedającego – firma dzięki mnie będzie miała zapewnioną transakcję, nabywając dzieła do sprzedaży. Whistler był znanym artystą, takim, który przyciąga poważnych kolekcjonerów, i mógł oznaczać niebagatelny zysk.

Aby to uczcić, wzięłam taksówkę na koszt firmy, choć młodszemu personelowi nie wolno było jeździć taksówkami. Ten budżet był zarezerwowany na ważne okazje, takie jak przewiezienie Ruperta z Wolsley za róg, na Piccadilly. Wsiadłam kilka przecznic od celu, aby przejść się spokojnie pod pachnącymi latem drzewami nad kanałem. Głowa przestała mnie już boleć, zza murów ogrodów dolatywał zapach wilgotnych bżów. Mimowolnie uśmiechnęłam się na myśl o tym, że te rezydencje, z oddziałami poważnych filipińskich nian i polskich robotników instalujących wielkie baseny, kiedyś były tylko ogromnym popularnym burdelem dla wyższych sfer, gdzie za ciężkimi pluszowymi zasłonami, ułożone jak nagości Williama Etty’ego kurtyzany czekały, aż ich kochankowie wpadną w drodze z City do domu. Londyn zawsze był i zawsze będzie miastem kurew.

Gdy zadzwoniłam do mieszkania w suterenie pokrytego kremowym tynkiem budynku, przesunęło się po mnie laserowe oko. Klient osobiście otworzył drzwi. Chyba spodziewałam się gosposi.

– Pułkownik Morris? Jestem Judith Rashleigh – przedstawiłam się, wyciągając rękę. – Z British Pictures... Umówiliśmy się na spotkanie w sprawie prac Whistlera...

Prychnął coś na powitanie i wprowadził do holu swój zadek odziany w spodnie z diagonalu. Co

prawda nie spodziewałam się szykownego oficera, ale mało się nie wzdrygnęłam, gdy żylastą łapą o żółtych szponach chwycił mnie szybkim ruchem za rękę. Złośliwe oczka drgały nad siwiejącym hitlerowskim wąsikiem, który przyłgnął do górnej wargi niczym ślimak do rozbiegu skoczni narciarskiej. Nie zaproponował mi herbaty i poprowadził prosto do dusznego salonu, w którym jasne zasłony tworzyły dziwny, prowincjonalny kontrast z nadzwyczajnymi obrazami na ścianach. Pułkownik odsunął zasłony, gdy ja wpatrywałam się w Sargenta, Knellera i maleńki wyborny rysunek Rembrandta.

– Jakie wspaniałe obrazy. – Warte co najmniej dziesięć milionów. To naprawdę będzie wypasiona wycena.

Kiwnął z wyższością głową, znowu pry chając jak mors.

– Rysunki Whistlera mam w sypialni – wysapał, truchtem ruszając do drugich drzwi.

Ten pokój był jeszcze bardziej mroczny i ciasny, unosił się tu niemiły, gryzący zapach suchego potu zmieszanego z cierpką, staromodną wodą kolońską. Większość miejsca zajmowało wielkie łóżko zaścielone zgniłozielonym kocem o długim włosie. Miałam precyzyjnie bokiem do sekretarzyka, nad którym wisiało pięć niewielkich obrazów. Wyjęłam latarkę i każdemu przyjrzałam się uważnie, badając zgodność podpisu, po czym bardzo delikatnie zdjęłam obrazy, aby sprawdzić znaki wodne na papierze.

– Cudowne – powiedziałam. – Studia do serii *Sonata Tamizy*, jak pan sugerował. – Całkiem mi się podobał fachowy ton, którym wygłosiłam swoją opinię.

– Nie potrzebowałam pani, żeby się tego dowiedzieć.

– Oczywiście. Zastanawia się pan jednak czy wystawić je do sprzedaży? Na naszą włoską aukcję raczej nie byłyby odpowiednie, ale doskonale by pasowały do katalogu wiosennego. Oczywiście posiada pan proveniencje? – Proveniencja w tym biznesie była kluczowa, śledziła bowiem losy obrazu od sztalugi artysty przez rozmaitych właścicieli i sale aukcyjne. Był to papierowy ślad, który dowodził autentyczności dzieła.

– Naturalnie. Może zechciałaby pani zerknąć tutaj, podczas gdy ja ich poszukam? – Podał mi ciężki album. – To dzieła z końca epoki wiktoriańskiej. Absolutnie niezwykle.

Może to przez zachłanne łapska gorączkowo sięgające do moich pośladków, ale miałam smętną pewność, jak będą wyglądać kwasoryty pułkownika. Potrafiłam sobie jednak poradzić z taką sytuacją. Odepchnęłam ręce i otworzyłam album. Niezłe jak na dziewiętnastowieczne porno. Przerzuciłam kilka kartek, jakbym rzeczywiście była zainteresowana. Profesjonalizm – tylko tego potrzebowałam. Wtem jednak poczułam, że jedna z łap sięga do moich piersi, i nagle pułkownik naparł na mnie, ja zaś pod ciężarem jego ciała padłam na łóżko.

– Pułkowniku! Proszę mnie natychmiast puścić! – Uraczyłam go swoim najlepszym głosem urażonej gospodyni klasy, ale sytuacja nie przypominała już pantomimy. Wyduszając mi

powietrze z płuc, przesunął się odrobinę na bok, aby swoimi odrażającymi paluchami sięgnąć pod moją spódniczkę. Zielony koc mnie dławił. Nie mogłam podnieść głowy. Usiłowałam się z nim szarpać i te próby najwyraźniej mu się podobały, ponieważ złożył ohydny wilgotny pocałunek na mojej nagiej szyi i jeszcze bardziej przygniół moje ciało.

Oddychałam szybko i płytko – nie mogłam zaczerpnąć powietrza, co zwykle sprawiało, że wpadałam w panikę. To mi się zupełnie nie podobało. Usiłowałam zaprzeć się dłońmi o łóżko, aby się dźwignąć i go zepchnąć, ale on przyszpilił do posłania mój prawy nadgarstek. Zdołałam przekręcić głowę na bok i wciągnęłam nosem cuchnące powietrze spod jego pachy. Pot pułkownika przemoczył przód koszuli Viyella, gęsta sieć zmarszczek na jego twarzy pulsowała przed moimi oczami. Z tej odległości widziałam, że zamiast zębów ma szkaradne brązowe pniaczki.

– Jak ci się podoba? – zapytał zdyszany głosem, uwodzicielsko mrucząc zaropiałe oczy. – Mam tego dużo więcej. Mam również dużo wideo. Założę się, że takiej małej suce by się spodobało.

Poczułam, jak jego brzuch przelewa się po moich plecach, on zaś gmera przy rozporoku. Diabli wiedzą, co spodziewał się tam znaleźć. Nagle ugryzłam go w rękę, z całej siły. Czulałam, jak skóra ugina się pod moimi zębami. Gdy pisnął, po czym ryknął, chwyciłam swoją torbę, znalazłam w niej telefon i stanowczym ruchem wycelowałam go w jego krocze niczym pistolet.

– Ty mała...

– Suko? Już pan mówił. Z psami już tak jest, że gryzą. A teraz słuchaj: odpierdol się ode mnie.

Cackał się ze swoją ręką. Krew co prawda nie poleciała, ale na wszelki wypadek splunęłam na niego.

– Zaraz zadzwonię do Ruperta!

– Nie sądzę. Widzi pan, pułkowniku Morris, kasety wideo są już trochę nie na czasie. Przeszliśmy na zapis cyfrowy. Do nakręcenia filmu wystarczy telefon. Mogę to nagrać i od razu wysłać materiał do wszystkich moich znajomych. Chociaż nie mam szła powiększającego, na wypadek gdyby zamierzał pan wyciągnąć to coś, co chowa w gaciach. Słyszał pan o YouTube?

Czekałam, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Czulałam, jak napinają mi się wszystkie mięśnie. Nie miałam jak uciec z tej graciarni, musiałam zacząć, aż on mnie wypuści. Powoli wciągnęłam powietrze, a następnie je wypuściłam. To był bardzo ważny klient.

– A więc dziękuję bardzo za poświęcony mi czas, panie pułkowniku. Nie będę już nadużywać pańskiej uprzejmości. Dziś po południu przyślę z magazynu kogoś do pakowania grafik, dobrze?

Przy drzwiach wejściowych dopadł mnie jeszcze jeden, krótki moment paniki, że są zaryglowane, ale nie były. Zamknęły się za mną z cichym trzaskiem. Aż do Abbey Road szłam sztywno wyprostowana. Wciągałam powietrze, licząc do czterech, trzymałam je w płucach,

licząc do czterech, i w tym samym tempie wypuszczałam. W końcu wyjęłam z torby chusteczkę, wytarłam twarz, uporządkowałam włosy i zadzwoniłam do pracy.

– Rupert? Mówi Judith. Możemy po południu wysłać kogoś po Whistlery.

– Uhm, Judith. Wszystko, uhm, poszło dobrze?

– A dlaczego miałoby pójść inaczej?

– Żadnych, uhm, problemów z pułkownikiem?

Wiedział. Jebany tłusty Rupert wiedział. Zachowałam spokój w głosie.

– Absolutnie żadnych. W każdym razie żadnych, których nie umiałabym rozwiązać.

– Świetna robota.

– Dziękuję, Rupercie. Niedługo wrócę do biura.

Oczywiście, że wiedział. Dlatego wysłał ładną dziewczynę, zamiast samemu dokonać wyceny. Dlaczego jesteś taką idiotką, Judith? Dlaczego sądziłaś, że powierzył jakiemuś popychadłu wielkie zadanie, dlaczego nie przyszło ci do głowy, że klient zażył sobie jakichś bonusów? On nie miał wątpliwości, do czego się nadaje, prawda?

Na kilka sekund oparłam się o mur i schowałam twarz w dłoniach, czekając, aż opadnie mi we krwi poziom adrenaliny. Dygotałam tak silnie, że czułam, jak mnie bolą mięśnie brzucha. Czułam, jak cuchną odorem pierdolonego pułkownika Morrisa, z wściekłości dyszałam zaś ciężko, jakby ktoś walnął mnie pięścią w brzuch. Z całych sił powstrzymałam się od płaczu. A przecież mogłam się rozplakać. Mogłam wtulić twarz w szorstki londyński mur i oplakać wszystko, czego nie mam, całą niesprawiedliwość, całe swoje cholerne zmęczenie. Mogłam zapłakać nad małą ofiarą losu, którą po części wciąż byłam. Gdybym się jednak rozplakała, nie zdołałabym przestać. Nie mogłam tego zrobić. Nic się nie stało, zupełnie nic. Mimowolnie pomyślałam, że Rupert może być mi nawet wdzięczny, ponieważ nie podjęłam kroków oczywistych, czyli nie rzucałam oskarżeń o molestowanie seksualne, nie wzywałam policji, ale zdusiłam tę myśl, gdy tylko przestałam uważać się nad sobą. Oczekiwanie pochwały byłoby stratą czasu, tak samo jak marnowaniem sił była moja gorycz. Może nie miałam właściwego nazwiska, może nie chodziłam do odpowiednich szkół czy na jakieś, kurwa, polowania z właściwymi osobami, ale nie czułam nienawiści do Rupertów tego świata i miałam tyle siły, żeby nimi nie pogardzać. Nienawiść jest lepsza. Dzięki nienawiści zachowujesz spokój, idziesz szybko naprzód i jesteś sama. Jeśli musisz się zmienić w kogoś innego, samotność to dobry punkt wyjścia.

Kiedy przyszłam na rozmowę kwalifikacyjną na Prince Street, Rupert pokazał mi od niechcienia kilka pocztówek do rozpoznania – podstawowe rzeczy: Velázquez, Cranach. Zastanawiałam się, czy w ogóle przeczytał moje CV, czy też mu się nie chciało, później zaś, gdy napomknęłam coś o moim dyplomie, po wyrazie jego twarzy, na której odmalowało się nerwowe zaskoczenie, poznałam, że on dyplomu nie ma. Ostatnia pocztówka, którą ukradkiem przesunął po stole,

przedstawiała smukłą pólnagą dziewczynę o piersi przesłoniętej przezroczystą tkaniną.

– Artemisia Gentileschi *Allegoria dell’Inclinazione* – powiedziałam bez wahania. Przez ułamek sekundy Rupert pozwolił sobie okazać, że jest pod wrażeniem. Miałam tę pocztówkę powieszoną na ścianie od swojej wyprawy do Florencji w wieku szesnastu lat. Artemisia była córką malarza, najzdolniejszym z jego uczniów. Jeden z jego współpracowników zgwałcił ją, gdy wykonywali zleczone prace malarskie w Rzymie. Sprawa trafiła do sądu, Artemisję torturowano, żeby się upewnić, że mówi prawdę – zginiatano jej kciuki specjalną śrubą. Ostatecznie gwałcieciel został skazany. Choć ręce były ważne dla przyszłości dziewczyny – ryzykowała, że zostaną nieodwracalnie uszkodzone – nieugięcie domagała się sprawiedliwości. Wiele spośród jej obrazów służyło do gwałtowności, tak bardzo, że krytykom trudno było uwierzyć, że namalowała je kobieta, ja zaś wybrałam ten właśnie, ponieważ Artemisia dała kobiecie na obrazie swoją twarz.

Gdy namalowała ten obraz, miała dwadzieścia jeden lat. Chcąc nie chcąc, wyszła za trzeciorzędnego malarzynie, który pasożytował na jej talencie, ale moim zdaniem, przedstawiła siebie tak, jak chciała: bezwstydną, o dość zwyczajnej pogodnej twarzy, z kompasem w dłoni – symbolem swojej determinacji. „To ja decyduję – mówił do mnie ten obraz – Ja decyduję”. Jak wszystkie zakochane nastolatki, byłam przekonana, że nikt lepiej nie rozumie Artemisii. Obiekt mojego uczucia był może niekonwencjonalny, ale samo uczucie już takie nie było. Byłyśmy takie podobne, ona i ja. Gdyby ona nie umarła prawie czterysta lat temu, mogłybyśmy zostać najlepszymi przyjaciółkami.

To Artemisia załatwiła mi tę pracę. Tamta rozmowa kwalifikacyjna była jedynym momentem, gdy Rupert mnie w ogóle zauważył, czyli ujrzał we mnie osobę, nie zaś nędzne stworzenie. Ale nawet wtedy widział tylko doskonałą, bystrą wyrobniczkę, która wykona swoją szarą robotę i nie piśnie ani słowa skargi. Tu, pod tym murem, powstrzymując łzy, czułam, jak maleńki strzępek miłości szybuje ku szesnastoletniej Judith stojącej w Casa Buonarroti z torbą pełną książek, w straszliwych ciuchach, i żalowałam, że nie mogę przed nią stanąć niczym duch z przyszłości i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ponieważ będzie. Nie pójdę na policję. Rupert by mnie zwolnił, gdyby m tylko złożyła zeznanie. Nie. Dam radę. Wszystko będzie dobrze.

Rozdział 5

Wróciłam do domu wciąż zdenerwowana i doszłam do wniosku, że po tym całym pułkowniku Morrisie zasługuję na odrobinę rozrywki. Napisałam esemesa do Lawrence'a zapytaniem, czy odbywa się dziś u niego jakaś impreza. Poznałam Lawrence'a zaraz na początku swojego pobytu w Londynie: bogaty, trudny i trochę uzależniony od heroiny. Nasze drogi zbiegły się w świecie imprez – hermetycznym, jak w wypadku wszystkich specyficznych hobby. Teraz organizował skromniejsze imprezy w swoim domu w Belgraviu i właśnie zasugerował, żebym wpadła na Chester Square około dwudziestej trzeciej.

Wejście na imprezę Lawrence'a zwykle kosztowało sto pięćdziesiąt funtów, ale wiedziałam, że mnie wpuści za darmo. Otworzyłam drzwi swojego pokoju, oparłam głowę o wiszące tam jedwabne kimono, wdychając zapach czystej tkaniny i olejku geraniowego z mojego ceramicznego kominka zapachowego. Spojrzałam na swoje książki, na starannie pościelone łóżko, kolorowy szal z Bali przewieszony przez paskudną żaluzję i stwierdziłam, że nie mogę znieść już tego widoku. Wszystko wydało mi się takie tanie, takie żałośnie optymistyczne. Nawet obietnica pięknych ubrań w garbatej melaminowej szafie nie dawała mi pocieszenia. Przebierałam w swoich ciuchach, starając się zdecydować, co pasuje do mojego nastroju. Nic za bardzo agresywnego. Pod spodem musiałam być łagodna, kobieca. Na wierzchu mogłam być kotem, który chodzi swoimi ścieżkami. Zdecydowałam się na koronkowe szorty w kolorze kawowym i taki sam stanik. Na to wciągnęłam luźne bojówki, czarny podkoszulek i converse'y. Na miejscu włożyłam szpilki – ostatnio było już mnie stać na taksówkę, ale potrzebowałam trochę ruchu, chciałam oczyścić płuca z lepkich zarodników koca pułkownika. Niespiesznie zrobiłam makijaż, który wyglądał, jakby go nie było, i piechotą ruszyłam do Belgraviu.

Białe tynkowane domy sprawiały wrażenie spowitych tajemnicą. Tutaj zawsze panował taki spokój – jeśli za tymi plutokratycznymi portykami ukryto jakieś grzechy, na ich straży stały wielkie pieniądze. Przed wejściem do domu pod numerem trzydzieści trzy przy Chester Square stał Lawrence i palił papierosa. Pewnie szukał chwili spokoju z dala od komuny głośnych wyrzutków Soho, którzy zamieszkiwali jego poddasze, pasożytujących, pijących i zakochanych w sobie artystów. Teoretycznie opłata za imprezy zapewniała im herę i winyle. Czasami rozważałam, czy nie poprosić tutaj o pokój dla siebie, żeby oszczędzić na czynszu, ale panował tu zbyt wielki zamęt. Tu nie mogłabym się skupić na swoim celu – mojej przyszłości.

– Witaj, piękna. – Lawrence miał na sobie granatowe welwetowe spodnie z jedwabnym paskiem i starą białą koszulę, z której postrzępionych mankietów wychylały się chude nadgarstki.

– Cześć, Lawrence. Kto jest? Jakaś piękność?

– Teraz już tak, kochana.

– Wchodzisz?

Z długości samogłosek Lawrence’a wywnioskowałam, że tu, na progu, rozpoczyna właśnie heroinowy odlot.

– Nie, skarbie, jeszcze nie. Idź sama. *Amuse-toi*.

Impreza odbywała się w suterenie, ale ja najpierw przeszłam się po domu, jak zawsze wyobrażając sobie, jak bym żyła, gdyby taka rezydencja należała do mnie, jak zmieniłabym pokoje, na jaki kolor przemaalowała, jak bym je umeblowała. Nikt nie widział, jak muskam dłonią zmysłowy łuk osiemnastowiecznej poręczy, jak dotykałam ciepłego, pokrzepiającego lśniącego mahoni. Dowiedziałam się z co szykowniejszych magazynów wnętrzarskich, że domy powinny wyglądać na za bardzo zadbane, że szkaradna zielona sztruksowa kanapa z lat siedemdziesiątych w salonie Lawrence’a jest równie niewątpliwą oznaką jego klasy jak sposób mówienia czy noszenie postrzępionych koszul, ale wyobrażałam sobie, jak by tu wyglądało, gdyby ściany zrobić w kolorze *gris trianon*, z mebli wstawić kilka zaledwie doskonałości, a w tym oszczędnym i wykwinnym wnętrzu siedziałabym ja – sama i pogodna. Chester Square było znacznie lepszym lekarstwem na pułkownika Morrisa niż moja wcześniejsza nadęta gadka motywacyjna. „Pożądanie i niedostatek – powiedziałam sobie – i dzieląca je przestrzeń, tym chciałam się zająć”. Czasami widziałam swoje życie jako siatkę lin akrobaty cznych, po których muszę iść, rozciągniętych między tym, co mogę dać – czy też udaję, że mogę to dać – a tym, co posiadę. Zdjęłam większość swoich ciuchów i włożyłam czarne zamszowe czółenka od Saint Laurenta, po czym obeszłam pokój, sunąc palcami po pięknych, zaniedbanych antykach Lawrence’a, dotykając ich niczym talizmanów. Niemal w podskokach pokonałam schody do suterenu.

Gdy przeszłam pod czarną zasłoną z szantungu, zobaczyłam blondynkę, którą zapamiętałam z wcześniejszych przyjęć – obciągała czterdziestoparoletniemu facetowi, zawodowo odgarniając włosy z twarzy, żeby miał doskonały widok na jej usta obejmujące całą jego długość jednym gładkim ruchem. Była Rosjanką, ale mówiła o sobie Ashley – Lawrence zwykle wprowadzał między gości kilka wynajętych osób, by impreza się lepiej kręciła. Minęłam ich i wzięłam drinka od barmana i bramkarza w jednej osobie, który stał w oficjalnej pozie pod jedną z czarnych lśniących ścian z tacą kieliszków szampana, niewzruszony, jakby podawał tartinki na przyjęciu dyplomatycznym. Upiłam łyk, ale nie potrzebowałam alkoholu.

– Jest Helene? – zapytałam. Inny stały gość u Lawrence’a.

– Tam. – Wskazał kierunek ruchem głowy.

Helene leżała na czarnym aksamitnym szezlongu, jej piersi wylewały się z wyszywanego

gorsetu niczym budyn.

– Witaj, Judith, kochanie.

Uniosła ku mnie twarz, ja zaś się pochylałam, żeby ją ucałować. Wsunęła mi do ust język, delikatnie kwaskawy od szampana.

– Lawrence mówił, że przyjdiesz. Czekaliśmy na ciebie, prawda?

Spomiędzy jej szczodrze krągłych ud wyjrzała głowa młodzieńca. Ciało Helene nie budziło we mnie pożądania, ale czułam dziwne zamilowanie do jej brzucha, jego miękkiej bladej pości. Przesunęłam powoli z rozkoszą dłonią po pełnym wzgórku, badając jego elastyczność i połysk.

– Poznaj Stanleya.

– Witaj, Stanleyu. – Wstał i pochylił się, żeby mnie pocałować, za szybko, bym zdążyła poczuć jego twarz. Usta miał szerokie i jędrne. Spod wody kolońskiej poczułam charakterystyczny dla młodzieńca zapach wilgotnego siana. Przebiegłam palcami po jego nagich plecach, gdy przyciągnął mnie do siebie, czując, jak napinają się mięśnie między łopatkami. Nieźle.

Helene leniwie bawiła się kajdankami – błyszczącymi, stalowymi, prawdziwymi policyjnymi.

– Mówiłam Stanleyowi, że może miałabyś ochotę na dwulufkę.

– Pewnie, skarbie. Gdzie byś sobie mnie zyczyła?

– Pod spodem. Może tak być, Stanleyu?

Kiwnął głową. Elokwencja nie należała chyba do jego największych zalet. Usadowiłam się na szezlongu obok Helene i zaczęłyśmy się znowu całować. Ja gładziłam rozkoszne zagłębienia i krągłości jej ciała, ona zaś powoli zsunęła mi majtki i delikatnie położyła palec na wargach mojej cipki. Wzięłam w usta jej sutek i ssalam, tocząc językiem wokół brodawki, aż usłyszałam, jak pomrukuje, i wtedy wsunęłam w nią dwa palce. Jak zawsze – wybornie ciasna i taka miękka, taka mięciutka. Czułam teraz, jak wzbiera we mnie żądza, obróciłam się więc twarzą w dół, tak manewrując, żeby nasze ciała ułożyły się równo – ja z twarzą w welwetowym siedzisku, a jej zmysłowy brzuch na moim krzyżu. Wyciągnęłam w górę prawą rękę, ona zrobiła to samo. Stanley trochę nieporadnie skuł nasze nadgarstki kajdankami.

– Czyż to nie piękne? – szepnęła Helene.

Ja wziął pierwszą, od tyłu, rozsunąwszy moje nogi. Czułam jego jądra, jej rozpalone łono i soki na moim tyłku. Lewą ręką sięgnęłam do swojej łechtaczki i zaczęłam się pieścić. Rozpalona, pragnęłam, żeby wsadził teraz mnie. Unosiłam biodra jednocześnie z Helene, gdy nacierał na nią rytmicznie. Usłyszałam jej zduszony krzyk – Stanley wysunął się z niej, a wtedy główka jego penisa, lśniąca i gładka w gumce, sięgnęła do moich warg i wreszcie wszedł gładko we mnie, opierając się rękoma o biodra Helene. Doprowadził mnie prawie do szczytu, po czym wrócił do Helene, rznął ją teraz ostrzej, aż jej ciało się napięło i szarpnęło nade mną, po czym znowu

wszedł we mnie. Modliłam się, żeby wytrzymał, aż mnie doprowadzi do końca, i zrobił to, Helene zaś zsunęła się na bok, wilgotną cipką lgnąc do mojego uda, i dokończyła go ustami. Leżałam bezwładnie, dysząc ciężko. Jedna moja noga się zsunęła, mój sok chłodził drżące wargi mojej cipki. Ależ miałam frajdę. Nie chodziło o jakąś zwykłą zmysłową rozkosz – gdy ktoś zupełnie obcy dosiadał mnie i rznął, czułam się taka wolna, taka nietykalna.

Rozdział 6

Jak się okazało, była to ostatnia impreza, na którą poszłam w Londynie. Teraz, gdy pracowałam w Gstaad Club, musiałam dbać o siebie – znaleźć czas na sen i na bieganie, podobnie jak na pracę zawodową. Powiedziałam sobie, że muszę zapomnieć o zajściu z pułkownikiem Morrisem. Staremu łajdakowi nie powiodła się żalosna próba gwałtu, jedyne zaś, co dla mnie miało znaczenie, to rezultat. Dokonałam wyceny, a w firmie tylko to się liczyło. Musiałam więc trzymać formę, nawet jeśli oznaczało to nastawienie budzika na piątą i odbębnienie kilku okrążeń po Hyde Parku przed wyjściem do pracy. Odłąd James zaczął się wtaczać do klubu z deszczem pięćdziesiątek, fundowałam sobie regularnie manikur i zabiegi na twarz, wykupiłam także sesje pilatesu na siłowni. Ze swoich nowych czasopism dowiedziałam się, że to nie jest żadna ekstrawagancja, ale czas dla mnie – inwestycja w siebie. James miał już oficjalnie uznany status mojego stałego klienta. Olly powiedział, że nie muszę się zajmować nikim innym, choć czasami siadałam z jakimś mężczyzną, jeśli mnie poprosił, tak że James biedny czekał samotnie, przyglądając mi się uważnie, aż obowiązkowa butelka została opróżniona i mogłam, kołysząc biodrami, przejść do niego przez parkiet z miłym uśmiechem na twarzy.

Mimowolnie fantazjowałam, co mogłabym zrobić, gdyby zacny James interesował się mną dłużej. Pensja w British Pictures zaspokajała jedynie moje podstawowe potrzeby. Mimo że moje studia były właściwie darmowe, po dyplomie wzięłam kredyt absolwentki w wysokości dziesięciu tysięcy funtów, żeby mieć na czynsz i inne wydatki. Niedługo będę musiała zacząć go spłacać. Sądziłam, że jestem dostatecznie dobra, żeby awansować, zanim ten dzień nadejdzie, wydawało mi się więc, że warto zaryzykować, ale spłaty miały się zacząć jesienią, czyli już za kilka miesięcy, dopóki zaś nie zaczęłam pracy w klubie, ledwie mi wystarczało na życie. Mając tysiąc tygodniowo od Jamesa i to, co dorabiałam przy innych klientach, mogłam mieć nadzieję, że zacznę spłacać kredyt i odetchnę, może nawet wynajmę mieszkanie tylko dla siebie. Otworzyłam konto oszczędnościowe i patrzyłam, jak rosną moje zaskórniaki.

Od początku było jasne, czego chce James, ale tuszował to nieśmiałością, jakby nie do końca wiedział, od czego zacząć. Podobnie jak w wypadku większości mężczyzn, ulubionym tematem rozmów był dla niego on sam, łatwo więc było go rozruszać. Miał żonę Veronicę i nastoletnią córkę, która mieszkała w Kensington, niedaleko Holland Park. Twierdził, że w wolnym czasie lubi się zajmować filozofią, choć jego podejście do tematu bardziej kojarzyło się z nowoczesnymi herezjami niż z myślą estetyczną Kanta. Niemniej mieliśmy o czym rozmawiać. Poprosiłam, żeby polecił mi kilka tytułów, i wyszukałam w Internecie recenzje, by udawać, że przeczytałam

te pozycje. Veronica prowadziła dom i zasiadała w zarządach różnych organizacji charytatywnych. Zastanawiałam się czasami, czy ona wie – i czy w ogóle ją obchodzi – gdzie jej mąż spędza wieczory. Wątpiłam. Sypiali ze sobą? Nie wyobrażałam sobie, że James jest w stanie się bzykać – nawet jeśli estrogen wytwarzany przez całe to sadło nie zniszczył jego fajfusa, to już samo pokonanie schodów do klubu oznaczało dla niego ryzyko zawału. W miarę jednak jak nasze wspólne wieczory nabierały rumieńców, coraz gorliwiej mnie zapewniał, że swego czasu niezły był z niego samiec. Och, kiedyś to się James umiał zabawić! Starsza wiekiem mężatka w St Moritz, dwie siostry na Cap Ferray. Miał tyle lat, że podobno załapał się na status *deb's delight*, czyli dobrze urodzonego przystojniaka stanowiącego wymarzoną partię dla każdej debiutantki. Ja z kolei opowiadałam mu mnóstwo anegdot o laskach, które dawały kolegom w samochodach kombi i na placach Londynu, o szaleńczych wesołych domówkach i o klubach nocnych w Soho. Najwyraźniej to, co zostało z londyńskiej socjety w latach siedemdziesiątych, było erotycznym rajem dla chorobliwie otyłych.

– Może ciasteczko? – zapytała Frankie, наша sekretarka, ściągając mnie na ziemię i przesuwając po stole konferencyjnym talerz z czekoladowymi herbatnikami. Laura ściągnęła brwi. Odbywaliśmy właśnie spotkanie, które Rupert nazywał Konsultacją Najwyższego Priorytetu – ja, Frankie, Rupert, Laura i Oliver (specjalista od portretów, który był nieco chudszy i mniej czerwony niż nasz szef).

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam szeptem.

Laura spojrzała na nas groźnie i podciągnęła jeszcze bardziej paszminę, żeby ukryć zniszczenia wyrządzone opalenizną barbadoską. Zmieniłam zdanie i wzięłam ciasteczko. Przynajmniej Frankie okazywała jakąś subtelną kobiecą solidarność, w przeciwieństwie do Laury, która traktowała mnie na ogół jak nieudolną gosposię.

– Przyniosłam – obwieścił dziewczęcy głos. Zdyszana wysoka blondynka o artystycznie natapirowanych włosach położyła na stole stos nowych katalogów.

– Poznajcie Angelicę – powiedziała Laura. – Angelica dołączyła do nas na miesięczne praktyki. Właśnie skończyła Burghley we Florencji.

Gdyby był tutaj Dave, wzniosłabym oczy do nieba. Burghley organizował kursy historii sztuki dla dzianych tępaków, zbyt leniwych, żeby się dostać na choćby parodię uniwersytetu. Trzymali swoich studentów przez rok w renesansowym Disneylandzie, zakładając, że między skrętami dzięki osmozie przyswoją może odrobinę kultury, na koniec zaś wręczali im uroczy certyfikaty.

– Witamy na pokładzie, Angelico – powiedział Rupert miłym głosem.

– To takie miłe z waszej strony, że mnie przyjąłicie – odrzekła.

– Angelica jest moją chrześnicą – dodała Laura, katując swój botoks promiennym uśmiechem. To wszystko wyjaśniało. Odrobinę się wyprostowałam na krześle.

– Wracając do tematu – podjął Rupert – mamy dziś co świętować, moi drodzy. Mamy Stubbsa. – Puścił w obieg katalogi. Wyglądały jak program osiemnastowiecznej opery. „George Stubbs – głosił napis na okładce – *Księżę Richmond z małżonką przyglądający się koniom w galopie*.

– O-o-o-och! – pisnęła Frankie, jak przy stało na równą kumpelę. – Stubbs!

Wiedziała, z czego wynika jej ekscytacja. George Stubbs był artystą bardzo dochodowym, jego prace osiągały na aukcjach cenę ponad dwudziestu milionów. Sama miałam do niego słabość – pochodził z Liverpoolu, jak ja, mimo jednak ukończenia studiów anatomicznych, dzięki czemu jego obrazy koni były najlepsze spośród wszystkich powstałych w osiemnastym wieku, został wówczas odrzucony przez Royal Academy jako „malarz sportowy” i nigdy nie włączono go w poczet członków tego grona. Ciekawe, którą z jego prac mamy.

– Przeczytajcie to uważnie – dodał Oliver. – Sporo czasu nad tym spędziłem.

Szybko przelartkowałam katalog, ale gdy dotarłam do najważniejszej ilustracji, zrobiło mi się zimno. Widziałam już ten obraz i nie było mowy, żeby należał do tego katalogu.

– Rupert! – odezwałam się. – Przepraszam, ale nie rozumiem. To obraz, który oglądałam w styczniu? Ten w posiadłości koło Warminster?

– Nic się nie przejmuj, twoja wycena była prawidłowa. Pojechałem tam osobiście rzucić na niego okiem. Trudno oczekiwać, żeby stażystka rozpoznała Stubbsa!

Nie rozpoznałam Stubbsa, ponieważ to nie był Stubbs. I nie byłam już stażystką, o czym Rupert doskonale wiedział. Ciężko pracowałam, żeby takie ewaluacje leżały w zakresie moich kompetencji. Spróbowałam raz jeszcze.

– Nie powiedziałaś...

Rupert przerwał mi sztucznym śmiechem.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę. A teraz...

– Ale ja nie miałam żadnych wątpliwości – tym razem to ja mu przerwałam. – Zrobiłam zdjęcia.

– Obraz został oczyszczony, Judith, po tym, jak go przywiozłem. Detale, które właściwie rozpoznałaś, okazały się nadmalowaniami. Widzisz jakiś problem?

Wiedziała, że lepiej odpuścić.

– Nie, oczywiście, że nie! – Zmusiłam się do okazania entuzjazmu. – Niesamowite!

Na wrzesień zaplanowano dwutygodniową ekspozycję przed sprzedażą. Zdaniem Ruperta tak ważny obraz zasługiwał na samodzielną aukcję. Zdaniem Oliviera należało go włączyć do aukcji zbiorowej. Laura rozmawiała o tym, których kolekcjonerów powiadomić. Frankie notowała. Ja byłam tak wstrząśnięta, że nie bawiłam się nawet roztrząsaniem, jakie to myśli przetaczają się przez przestronne puste przestrzenie w głowie Angeliki. Na koniec wydusiłam z siebie kilka

uważnych pytań dotyczących ustaleń w zakresie pokazów prywatnych, żeby powiadomić dziewczyny od organizacji wydarzeń, i spytałam swobodnym tonem, czy się wybierają na siłkę do magazynu dziś po południu.

– Pomyślałam, że mogłabym zabrać tam Angelicę, żeby się rozejrzała – zasugerowałam przyjaznym tonem.

Siłka, jak wyjaśniłam Angelice po drodze przez zakurzoną płataninę korytarzy piwnicznych, to nasze żargonowe określenie procesu rozładowywania obrazów, nazwane tak, ponieważ trzeba je było wtoczyć po rampie do magazynu. Dla młodszych pracowników była to sposobność obejrzenia dzieł z bliska, gdy rozpakowano je w specjalnym pomieszczeniu, do którego później schodzili eksperci. Jak tłumaczyłam, to naprawdę nadzwyczajnie zobaczyć dzieła sztuki wyeksponowane na zwykłym drewnianym stole, nie zaś w świętej przestrzeni galerii. Angelica była zaabsorbowana bez reszty swoim telefonem.

– No – wydusiła, przeczesując dłonią blond grzywę. – Widziałam rozładunek w Uffizi. Przyjechał akurat ten, no... Branzini?

– Pewnie Bronzino?

– O, właśnie.

Dave był na miejscu – i taką właśnie miałam nadzieję. Razem z kolegą rozładowywali Pompea Batoniego na zbliżającą się aukcję Grand Tour.

– Dobrze wyglądasz, Judith, naprawdę. Masz nowego faceta?

– Wiesz, że jesteś moim jedynym, Dave – podjęłam flirt. Zamówiłam całe mnóstwo powieści dokumentalnych z Amazona i trochę poniszczyłam okładki. Gdy przedstawiłam Angelicę, podałam Dave'owi książki i powiedziałam, że znalazłam je jako paczkę w Oxfamie na Marylebone.

– Co dziś mamy? – zapytałam na użytek Angeliki, ponieważ jej tak zwana uwaga nadal była skupiona na telefonie.

– Batoni w Rzymie.

– Włochy! – pisnęłam. – Doskonale, Angelico! Może pomożesz w mierzeniu? – Gestem przekazałam Dave'owi, że czas na dymka, on zaś pokuścił ze mną do części piwnicy uchodzącej za palarnię, zasłanej niedopałkami.

Szybko opowiedziałam mu o wyprawie do Warminster. Rupert powiedział mi wtedy, że przyjął zlecenie od gościa, który handluje antykami w Salisbury. Ten człowiek widział obraz na przyjęciu i jego zdaniem był to autentyk. Mnie wysłano tylko z tego powodu, że Rupert akurat był na polowaniu. Właściciel domu, były gwardzista, który przedstawił się jako Tiger, wyjaśnił, że jego rodzina mieszka tam od jakichś stu lat. Sądził, że obraz został nabyty przez jego pradziadka. Nie zadawałam za dużo pytań, ponieważ Rupert nakazał mi pod żadnym pozorem nie sugerować,

że obraz może być autentykiem.

Zdjęłam dzieło ze ściany w jadalni i przenieśliśmy do okna, żeby mieć lepsze światło. W pierwszej chwili zrozumiałam, czym się tak podekscytował znajomy Ruperta. W harmonijnej kompozycji grupa dam, dżentelmenów i służby zajmowała miejsce w głębi po lewej stronie, przyglądając się trzem koniom, które galopowały przez pierwszy plan w stronę oglądającego. Konie były pięknie przedstawione, dwa kasztany i jeden siwy, kończyny miały symetrycznie wyprężone. Większość kolorów wydawała się przygaszona, jakby w mglisty poranek, tylko czerwone liberie stajennych konkurowały blaskiem z lśnieniem końskich uprzęży. Gdy się jednak przyjrzałam uważniej, grupa widzów wydała mi się bez życia i byle jaka, przestrzeń dookoła nich została zarzucona ekwipunkiem wymyślnego osiemnastowiecznego pikniku. Zakłócała równowagę kompozycji, odciągając uwagę od eleganckiego najazdu zwierząt, i zdominowali płótno w sposób, który wydawał mi się nietypowy dla Stubbsa. Niepewna znalazłam podpis, który wydał mi się zbyt wyraźny, następnie obróciłam obraz, żeby sprawdzić tył. Do ramy przyklejono niewielką etykietę, na której widniał napis Ursford and Sweet. Galeria z Londynu, od dawna nieistniejąca. Na etykiecie widniał także tytuł: *Księżę Richmond z małżonką przyglądający się koniom w galopie* i data: 1760. Za postaciami na obrazie znajdował się drogowoskaz Newmarket. Stubbs był najlepszym malarzem koni swojej epoki, może nawet wszech czasów, ale o ile wiedziałam, nigdy nie pracował na Torze Wyścigów w Newmarket. Zabrałam ze sobą *catalogue raisonné*, najnowsze kompendium wszystkich znanych prac Stubbsa, przerzuciłam więc tablice, aż znalazłam inny obraz tej samej pary księżęcej przyglądającej się treningowi koni w Goodwood. Obraz był datowany na tysiąc siedemset sześćdziesiąty rok. Twarze wykazywały pewne podobieństwa, chociaż było to podobieństwo bardziej ogólne, charakterystyczne dla epoki niż indywidualne – teraz się domyślałam, że to właśnie przekonało Ruperta. Niewykluczone, że Stubbs namalował swoich klientów w Newmarket, choć katalog o tym nie wspominał, podobnie jak nie wspominał o istnieniu obrazu stojącego przede mną. Nowo odkryty Stubbs byłby wielką sensacją – wielce dochodową – z żalem sfotografowałam więc pieczołowicie obraz i sporządziłam solidną notatkę służbową, dodając na koniec własną opinię, że to falsyfikat z epoki. Później miałam godzinę do odjazdu pociągu, Tiger zaproponował zatem, że oprowadzi mnie po stajniach. Oszczędziłam Dave'owi relacji z naszej rozkosznej przejażdżki. Uznałam, że nie musi o tym wiedzieć.

– To dziwne, Dave. Napisałam w styczniu „szkoła Stubbsa”, latem zaś się okazuje, że to Stubbs. Zniknęła także drogowoskaz z napisem Newmarket, Rupert powiedział, że to było nadmalowanie i zostało usunięte podczas renowacji, a podpis wskazuje inne miejsce.

– Mówiłaś, że skąd on się wziął?

– Właściciel powiedział, że kupił go jego pradziadek. Miał etykietę z Ursford and Sweet na

Bond Street. Od wojny już ich nie ma.

– Ale mówiłaś, że to obraz z osiemnastego wieku?

– Tak..

– Ursford musiał go zatem skądś wziąć.

– Nie od nas. Gdyby proveniencja wskazywała na nas, Rupert umieściłby to w katalogu.

– Czyli od Tamtych?

Podobnie jak w wypadku Oksfordu i Cambridge, nazwy innych domów aukcyjnych stanowiły tabu i nie wolno ich było wymawiać.

– Mogła to być oczywiście transakcja prywatna, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że chodziło o nich. Zdobyćcie pozwolenia na zbadanie ich archiwów zajęłoby jednak całe wieki.

– Cóż, mam u Tamtych kumpla w magazynie dawnych mistrzów. Może cię wprowadzić do archiwum bez problemu. Nawet dziś w czasie przerwy na lunch. Swoją drogą, dlaczego tak się tym interesujesz?

– Nie wiem. Nie chciałabym po prostu, żeby doszło do pomyłki.

Nie byłam w stanie wyjaśnić Dave’owi, że nagle przedzierzgnęłam się w Nancy Drew, ponieważ sądziłam, że w ten sposób w końcu będę miała okazję zdobyć uznanie w firmie – uratuję bowiem jej wizerunek przed wielkim skandalem. Każde pojawienie się dzieła Stubbsa na rynku było sensacją. Brytyjczycy zawsze woleli dzieła sztuki, na których znajdowało się jakieś zwierzę. Czułam się podekscytowana. Wyobrażałam sobie, jak obwieszczę swoje odkrycie na następnym posiedzeniu działu, odbywa się może nawet lunch dziękczynny w sali konferencyjnej, przychodzi awans z prawdziwego zdarzenia. Pokażę, że nadaję się do czegoś więcej niż wkurzanie typów w rodzaju pułkownika Morrisa. Byłaby to dla mnie szansa na sukces z rzeczywistych powodów, sukces zawdzięczany talentowi i pilności, szansa udowodnienia, że można mi powierzyć odpowiedzialne zadania.

Oficjalnie na lunch miałam godzinę, ale bez trudu mogłam tego czasu nadużyć, ponieważ pozostali pracownicy British Pictures uważali najwyraźniej, że mają dziedziczne prawo do lunchu trzygodzinnego. Ruszyłam przez Piccadilly na New Bond Street, mając do dyspozycji czterdzieści minut.

– Ty jesteś Mike? Kumpel Dave’a? Jestem Judith Rashleigh. Bardzo ci dziękuję za pomoc, mamy w firmie sytuację podbramkową.

Uśmiechnęłam się na widok wystającej z kieszeni jego spodni książki: *Zdruzgotani. Prawdziwa historia matczynej miłości, Teksas – niewierny mąż i morderstwo z zimną krwią.*

– Mogę cię wprowadzić, potem wychodzę na lunch. Kumam, że macie sytuację podbramkową, ale gdyby cię ktoś spytał, dlaczego nie masz zezwolenia od szefa działu, to ja nie mam z tym nic wspólnego, dobra?

– Jasne. Naprawdę jesteśmy wdzięczni za pomoc. Jak mówiłam, sytuacja jest awaryjna. Dzięki raz jeszcze.

Archiwum naszej konkurencji mieściło się w galerii wyłożonej piękną boazerią. Okna budynku wychodziły na Savile Row. Jeszcze się nie skomputeryzowali, tak jak my, i jeśli się spojrzęło na długie rzędy ciężkich podwójnych szafek z aktami sięgającymi osiemnastego wieku, to trudno było uwierzyć, że w obliczu takiego chaosu nawet najbardziej wypasiony mózg elektroniczny nie stopiłby się w smętną kałużę. Pracowało tutaj o tej porze kilka osób, z czego większość w moim wieku – stażyści i asystenci tęskniący za lunchem, dyskretnie esemesujący.

Jeśli datowanie obrazu było trafne, czyli pochodził z tysiąc siedemset sześćdziesiątego roku, to powstał sto pięćdziesiąt lat przed zamknięciem Ursforda w tysiąc dziewięćset trzynastym roku. Ursford otworzył galerię mniej więcej w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku, ale etykietę wypisano na maszynie, co wskazywałoby, że do zakupu obrazu doszło nie wcześniej niż w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku, logicznie było więc rozpocząć poszukiwania od tej daty. Na szczęście w tym archiwum korzystano z takiego samego systemu jak u nas, zaczęłam zatem od kart katalogowych, z których każda opisywała jedno dzieło, często ze zdjęciem, podawała także dokładną datę sprzedaży i cenę. Uaktualnianie kart katalogowych było jedną z tych nudnych prac, do których byłam przyzwyczajona. U naszej konkurencji przeprowadzono wiele transakcji sprzedaży dzieł Stubbsa, ale żaden opis nie pasował do obrazu, z którym miałam do czynienia. Znalazłam nawet wiele obrazów opisanych jako „szkoła Stubbsa”, czyli wykonanych w stylu naśladowującym słynnego malarza, pochodzących z tego samego okresu, ale niekoniecznie przez samego artystę, z czego pięć było datowanych na lata tysiąc osiemset siedemdziesiąt do tysiąc dziewięćset dziesiąt. Jeden z nich odpowiadał domniemanemu Stubbsowi, o numerze identyfikacyjnym *ICHP905/19* – skrót oznaczał aukcję Important Country House Pictures z tysiąc dziewięćset piętego roku, obraz zaś znalazł się wśród dziesięciu innych dzieł. Pobiegłam z powrotem do półek i oburącz złapałam za uchwyty pudła oznaczonego 1900–1905. Ciągnęłam je, aż pojawiła się dostatecznie duża luka. Pudła przesuwały się na rollach i trudno było je wyciągnąć na tyle, aby dostać się do pakietu i czytać. Szybkim spojrzeniem omiotłam kolejne akta, aż dotarłam do tysiąc dziewięćset piętego roku i do Important Country House Pictures. Był! *Dobra hrabiego: Książę Richmond z małżonką przyglądający się koniom w galopie*. Sprzedane W.E. Sweetowi za tysiąc trzysta gwinei. Pewnie chodziło o hrabiego Halifaksu, który posiadał jedną z największych kolekcji Stubbsa w kraju. A więc to był autentyk. Mimowolnie poczułam rozczarowanie. Mój olśniewający plan, aby uratować Ruperta przed popełnieniem katastrofalnej pomyłki z atrybucją, legł w gruzach. Mogło to tak wyglądać – jakiś ekspert błędnie uznał autentyk za falsyfikat, i tyle. Popełniłam błąd. Niemniej mogłam wnieść jakieś przydatne informacje na temat proveniencji obrazu. Z tego Rupert na pewno się ucieszy.

Wracałam przez Burlington Arcade, zaglądając w witryny sklepów z kaszmirami. Zerknęłam na słodką i uroczą wystawę sklepu z makaronikami Ladurée. Przyszło mi do głowy, że powinnam sobie kupić dobry klasyczny sweter za pieniądze zarobione w klubie. Coś mi jednak nie dawało spokoju. Tysiąc trzysta gwinej w tysiąc dziewięćset piątym roku było znaczną sumą, ale w całym tym podnieceniu Stubbssem w firmie nikt nie wspomniał o cenie minimalnej. Przypomniałam sobie kartkę katalogu – na odwrocie dyskretnie wydrukowano sumę ośmiuset tysięcy. Absurdalnie niska. To nie miało sensu. Jeśli obraz był autentycznym, dlaczego Rupert zgodził się na tak niską cenę rezerwowaną?

W pracy zastałam tylko Frankie przeżuwającą wielką serową kanapkę na ciepło z garkuchni w Crown Passage. Na zewnątrz było wilgotno, jak zwykle zresztą, i mimowolnie zauważyłam, że jej zakiet, przewieszony przez oparcie krzesła, mocno pachnie labradorem. Poczułam, jak zalewa mnie fala tkiwości.

– Frankie – zagaiłam – pamiętasz, gdzie wsadziłaś notatkę, którą sporządziłam po wizycie w Warminster kilka miesięcy temu? Na temat domniemanego Stubbsa?

– Powinna być w materiałach do aukcji. Rupert jest taki podekscytowany!

– Tak tak, oczy wiście. Chciałam tylko zerknąć.

Sięgnęła za siebie po teczkę, a następnie przejrzała ją, kręcąc głową.

– Nie – powiedziała. – Tu jej nie ma. Tylko notatka Ruperta i zdjęcia po czyszczeniu. Mam poszukać?

– Nie, nie ma sprawy. Przepraszam, że przeszkadzam ci w lunchu.

Coś mi w tym wszystkim ciągle zgrzytało. Sprawdziłam numer w Warminster w służbowych zbiorach i poszłam do obskurnego kibla zadzwonić. Odebrała pani Tiger. Nie poznałam jej w czasie wizyty – udało się w odwiedziny do siostry w Bath, może to zresztą i lepiej, jeśli wziąć pod uwagę, co pan Tiger potrafił zrobić ze szpicrutą. Sądząc z głosu, była to miła i serdeczna kobieta.

– Mówi Judith Rashleigh. Kilka miesięcy temu byłam w Warminster. Pani mąż był tak miły, że zgodził się, żebym zbadała obraz należący do państwa.

– Ach tak. Tak było nam bardzo miło. Czy mam mogę pani służyć?

– Musieli się państwo ucieszyć z atrybucji?

– Tak. Cóż, w głębi serca zawsze wiedzieliśmy, że to nie jest Stubbs. Ale ten pan nam zaproponował naprawdę dobrą cenę.

– Nabywca?

– Ten pan, który przyjechał.

– Oczywiście – odparłam szybko. – Rupert.

Pani Tiger się zawahała.

– Nie... chyba tak się nie nazywał.

– Och. – Siłałam się na lekki ton, żeby nie okazać zmieszania. – Przepraszam, coś mi się pomyliło. Cóż, chciałam się tylko upewnić, że ma pani nasze dane, gdyby chcieli państwo, żebyśmy jeszcze się czymś zajęli. Jesteśmy zawsze do dyspozycji.

– Bardzo miło, że zaproponowali państwo inną galerię.

– Ach, hm... Nie ma o czym mówić. Nie chcę już pani zajmować czasu, ale czy może pamięta pani nazwisko tego pana, który do was przyjechał?

– Nie. – Usłyszałam w jej głosie nutę nieufności. – A dlaczego pani pyta?

Rzuciłam coś w żargonie specjalistycznym, podziękowałam jej i rozłączyłam się. Usiadłam na kłębku, żeby pomyśleć. Pani Tiger ze smutkiem się pogodziła z tym, że ich obraz nie jest dziełem Stubbsa. Sprzedała go i cieszyła się, że dostała dobrą cenę za naśladowcę. Ale obraz, którego aukcję przygotowaliśmy, był tym samym dziełem.

Jeszcze raz zerknęłam do przygotowanego katalogu. W informacjach podano, w konwencjonalnym stylu, że to dzieło „ze zbiorów prywatnych”. Oczywiście założyłam, że chodzi o zbiory pana Tigera, ale najwyraźniej nie. Wersja Ruperta zgadzała się z moimi poszukiwaniami w archiwum konkurencji – obraz został błędnie przypisany, ten więc, kto odkrył, że jest on oryginalnym Stubbsem, musiał być tajemniczym „panem”, który kupił dzieło od Tigerów i teraz zamierzał je sprzedać za naszym pośrednictwem. Tigerowie mieli pecha, ale ja raczej nie będę taka głupia, żeby im to uświadomić. Jeśli „pan” ich oszukał, to nie była nasza sprawa – najwyraźniej zapłacił uczciwą kwotę na czuja i teraz zbierał plony. Niemniej... coś się nie zgadzało. Nie mogłam się uspokoić, coś mnie ciągle gryzło, i uczucie to nie dało mi spokoju, aż o piętnastej niedbałym krokiem wrócił do biura Rupert, najwyraźniej po kolejnym wymienionym lunchu, i burknął coś o spotkaniu w Brooks. Zapewniali tam członkom poduszki, żeby w bibliotece ucięli sobie popołudniową drzemkę.

– A więc widzimy się wieczorem, Angelico – powiedział, wychodząc.

Angelica nawet nie zadała sobie trudu, żeby oderwać wzrok od pilnego esemesa.

– Tak jasne, Rupi.

Zastanawiałam się, o jaki „wieczór” chodzi, gdy Rupert przystanął przy moim biurku, szukając czegoś w aktówce.

– Uhm, Judith... Tak sobie pomyślałem, że może by ci się spodobało takie wyjście. – Podał mi sztywną kopertę. – Angelica także idzie. Poudzielamy się trochę towarzysko. Ubierz się elegancko!

– Postaram się, Rupercie.

– Nie wątpię. Zawsze wyglądasz, uhm, bardzo ładnie. A więc do zobaczenia!

Na chwilę zostawiłam kopertę tam, gdzie Rupert ją położył, żeby Angelica nie pomyślała, że

nie wiem, na co jestem zapraszana, ale gdy ją otworzyłam, z trudem powściągnęłam szeroki uśmiech. Rupert dał mi zaproszenie na imprezę Tentis w Serpentine Gallery. Tentis & Tentis było wielką firmą architektoniczną, która właśnie skończyła w City adaptację – znajdowały się tam jedne z najdroższych mieszkań w Londynie. Celebryckie magazyny w Gstaad Club były pełne ich zdjęć. Rupert zdołał opchnąć im partię ostatnich obrazów z dziewiętnastego wieku, żeby mogli obwiesić nimi ściany miliardarów. Cały tydzień kleciłam naprędce proveniencje. Imprezę organizowano na cześć uzgodnionej współpracy z targami sztuki Frieze Masters. Rupert mnie osobiście zaprosił. Będą fotoreporterzy. Dziewczeta w klubie może zobaczą mnie na zdjęciach. Może nawet zobaczą mnie suki, z którymi chodziłam do szkoły.

U dołu grubego, klasycznego kremowego kartonika wydrukowano uwagę o obowiązującym stroju: strój wieczorowy. Nie miałam długiej sukni, ale teraz nie pora była liczyć się z groszem. Z zegarkiem w ręku wyczełam do siedemnastej, po czym pobiegłam do banku na Piccadilly, stamtąd zaś wzięłam taksówkę. Zanim o osiemnastej wróciłam do mieszkania, zdążyłam zbiec do Harveya Nicholasa i właśnie dzierżyłam w dłoni płócienną torbę z prostą czarną jedwabną suknią od Ralpha Laurena, szczepioną na jednym ramieniu niemal niewidocznym złotym łańcuszkiem. Była idiotycznie droga, ale nie będę się tym przejmować. Odrobię to w klubie. Nie mogłam powiedzieć, że zdanie Ruperta o moim guście modowym należy do moich priorytetowych trosk, była to jednak pierwsza prawdziwa okazja, aby nawiązać kontakty z poważnymi ludźmi. Chciałam wyglądać doskonale.

Miałam jednak problem z biżuterią. Małe brylantowe kolczyki, które dostałam od matki na dwudzieste pierwsze urodziny, dawno poszły pod zastaw w lombardzie, przypominałam więc sobie, że brak biżuterii zawsze jest lepszy niż niewłaściwa biżuteria, i tego postanowiłam się trzymać. Pod sukienkę nie musiałam wkładać nic, wystarczyły szpilki. Dla dopełnienia stylizacji wybłagałam od Pai jej czarną kopertówkę Gucciego. Dyskretny makijaż – tylko tusz do rzęs i odrobina szminki. Zamówiłam taksówkę, żeby się nie wymięć po drodze. Wyraz twarzy taksówkarza, gdy wsiadłam do auta, powiedział mi wszystko, co musiałam wiedzieć.

Do szklanego pawilonu w Hyde Parku, połyskującego różem i fioletem niczym statek kosmiczny z dawnej epoki, prowadził czerwony dywan. Kłębił się przy nim tłum paparazzich. Kilku pstryknęło mi zdjęcie, pewnie po prostu przez grzeczność, ale i tak dobrze mi to zrobiło. Słyszałam odgłosy imprezy, dudnienie muzyki, jednolite, organiczne, jak pomruk jakiegoś potężnego potwora. Podałam obsłudze zaproszenie i wprowadzono mnie do środka. Zamknęłam oczy na ułamek sekundy wyczekiwania, szykując się na wchłonięcie doznań.

Jak by się czuł Kopciuszek, gdyby dotarliśmy wreszcie na bal, znalazł się na imprezie biurowej agentów nieruchomości? Wielkie świece zapachowe od Jo Malone nie radziły sobie ze zbiorowym wyziewem szampanowych oddechów. Setki ziemistych facetów w kiepskich

garniturach kłębiły się wokół darmowego baru, podnieconych niczym mormoni przed natarciem na Atlantic City. To, gdzie Tents & Tents znalazło swój tłum płatnych bywalców, było oczywiste w strefie serwowania darmowego Moët. Wypatrzyłam małą głowę emerytowanej supermodelki, wystającą ze ścisku niczym lodyga zdumionego selera, ale poza tym można by odnieść wrażenie, że trafiłam w piątkowy wieczór do All Bar One w Hammersmith. Poczułam potworny żal na myśl o rachunku z Harvey Nichols leżącym na moim biurku. Jedyłą inną osobą, która przejęła się adnotacją o obowiązującym stroju, był Rupert, który dzięki urokowi osobistemu zebrał wokół siebie własną minisekcję VIP-ów. Rozmawiał z kimś, kto wydał mi się znajomy – był to Cameron Fitzpatrick, właściciel galerii. Rupert mnie zauważył i ruszył ku mnie szybkim krokiem. Niewielu mężczyznom nie służy strój wieczorowy, Rupert zaś do tej garstki należał, ale choć raz ucieszyłam się na jego widok

– Rupert – zawołałam towarzysko, machając do niego kopertówką. – Cześć!

Przez chwilę sprawiał wrażenie zmieszanego.

– Och, uhm, Judith. Właśnie wychodzę, prawdę mówiąc. Mam kolację.

– Nie chcę cię zatrzymać, ale poszperałam trochę w sprawie proweniencji Stubbsa.

– Słucham?

– Pamiętasz dzisiejsze zebranie? Na temat Stubbsa?

– Judith, muszę lecieć, pogadamy jutro – rzucił przez ramię, oddalając się.

Jedyłą moją nadzieją na pogawędkę został Fitzpatrick, ale okazało się, że zdążył zniknąć w tłumie. Przepchnęłam się do baru przez stadko dziewczyn w mikrosukienkach z butami w guście Coleenn Rooney. Nawet nie umiałam się cieszyć spojrzeniami, którymi mnie obdarzyły. Najwyraźniej słyszały, że należy się popisować zasobami, ale o jakie zasoby chodzi – tego już nie rozgryzły. Tymczasem pakowanie tyłka w spódniczkę, która obwieszczała całemu światu, że jesteś na bieżąco z depilacją okolic intymnych, nie było raczej najlepszą drogą do emancypacji. Zgadywałam, że ich wieczór zakończy się mało entuzjastycznym tańcem erotycznym o trzeciej nad ranem w jakiejś całodobowej knajpie dla tłumu utyłanych majonezem szaraków. To nie dla mnie, co to, to nie. Nie dla Judith, dobrze rokującej marszand i hostessy zarazem. W zasadzie nie chciałam pić alkoholu, ale wzięłam dwa kieliszki, żeby czymś się zająć. Powoli obesłam salę, udając, że do kogoś zmierzam, ale straciłam serce do imprezy.

Angelica się nie pojawiła. Może nie miała pojęcia o malarstwie, ale najwyraźniej świetnie się orientowała, których przyjęć unikać. Kolejny tajemny kod, którego nie złamałam. Jak to możliwe, że tak żałośnie się cieszyłam na tę imprezę? Czego właściwie się spodziewałam? Miłych konwersacji z olśniewającymi gośćmi, wymiany żartów z Jayem Joplingiem, żeby na koniec wymknąć się na kolację przy dawnym stoliku Luciena Freuda w Wolseley?

Nigdy się tego nie doczekałam, ponieważ byłam nikim, prawda? Szarą myszą. Zarozumiałą

posługaczką. Poczułam się upokorzona. Nawet paparazzi sprzed wejścia oddalili się w poszukiwaniu bardziej atrakcyjnych okazji. Zniknęła także stara modelka, pewnie pakując do torebki sowity czek za pojawienie się w staniku wypchanym wkładkami, i poszła gdzieś, gdzie rzeczywiście bawili się bywalcy. Boże, ależ byłam żałosna. Przyszło mi do głowy, że powinnam wymierzyć sobie karę i na piechotę wrócić do domu, ale za bardzo się czułam przygnębiona. Co mi zmieni kolejna dwudziestka na taksówkę? Przynajmniej mogłam powiedzieć Dave'owi, że byłam w eleganckim miejscu. On lubił takie rzeczy. Czy jednak zawsze tak było? Czy Londyn to kolekcja coraz mniejszych klauzur popakowanych niczym matrioski, tak że kiedy już sądzisz, że dotarłeś do środka, okazuje się, że to tylko kolejna pięknie malowana szkatułka? Już gdy płaciłam taksówkarzowi, zdierałam z siebie tę durną kieckę. Delikatny łańcuszek pękł, a ja byłam tak wściekła, że chwyciłam rozporek na nodze i rozdarłam kurewstwo na pół, ku zdumieniu starszych państwa, którzy minęli mnie z programami do Albert Hall w rękę.

Mieszkanie czekało na mnie, pomrukując wściekłe. Gdy już przedarłam się przez ohydny labirynt rowerów, butów, kasków, które zawsze blokowały przejście przez korytarz, na kuchennym stole ujrzałam pudełko z przyklejoną taśmą karteczką, na której widniał napis: *Judy*. W środku znalazłam gruby ceramiczny różowy kubek z króliczymi uszami. I karteczkę: *Bardzo Cię przepraszam. Pożyczyłam Twoją filiżankę i przypadkiem ją stłukłam. Kupiłam Ci za to kubek!* Moja współlokatorka narysowała uśmiechniętą buźkę, durna cipa. Zajrzałam do śmietnika. W środku leżały kawałki mojej filiżanki ze spodkiem, doskonały Villeroy z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku, pokryty szkliwem w kolorze absyntowej zieleni. Chodziłam wokół niej całe dwa tygodnie. Kosztowała raptem czterdzieści funtów, ale nie w tym rzecz. Po prostu nie w tym rzecz! Pomyślałam, że może znajdę klej w szufladzie okropnego quasi-wiktoriańskiego kredensu, ale że szuflada się zacięła, kopnęłam w nogę jebanego mebla tak mocno, że ta odleciała, a cała szafka przechyliła się na jedną stronę, tak że wszystkie zasrane szkła ze środka się potłukły. Dopiero po długim czasie, gdy już wszystko posprzątałam, zdołałam się uspokoić.

Rozdział 7

Obudziłam się o piątej, w głowie mi szumiało. Leżałam naga na łóżku, wpatrując się w ten sam co zawsze bolesny sufit. Dałam się ogłupić w tym klubie. Koleżeństwo z dziewczynami i łatwe pieniądze wybiły mnie z rytmu. Muszę to zmienić, to zaś oznacza rozpracowanie zakupu Stubbsa. O żalostnej imprezie trzeba zapomnieć. Muszę się skupić.

Przyszłam do biura przed czasem, chciałam bowiem jak najszybciej zobaczyć się z Dave'em. Niestety, dopadła mnie Laura – kilka godzin musiałam zniecierpliwiona przetrząsać minimalne ceny na dzieła Stanleya Spencera, ponieważ jakiś właściciel funduszu hedgingowego chciał sobie zmniejszyć podatek od zysków kapitałowych. Jeśli наша firma w jakiegokolwiek dziedzinie była rzeczowa, to właśnie w podatku od zysków kapitałowych. Zeszłam do magazynu na lunch, ale Dave'a nie było. Zadzwoiłam na jego komórkę i zaproponowałam, że postawię mu drinka po pracy, po czym przeszłam do N. Peal i kupiłam piękny błękitny kaszmirowy sweter, na który wydałam niemal tyle samo, ile poprzedniego dnia przeputałam u Harveya Nicholisa. Wydawanie pieniędzy ewidentnie pomagało mi pogodzić się z fiaskiem imprezy Tentisa. Zamierzałam przebrać się w damskiej toalecie w London Library na St James's Square, żeby mieć czas spotkać się z Dave'em w Bunch of Grapes na Duke Street. Gdy przykuśtykał – duma nie pozwalała mi wspomagać się laską – postawiłam mu kufel London Pride. Sama zdedykowałam się na tonik

– Dzięki za drinka, Judith, ale moja pani będzie się zastanawiać, gdzie przepadłam.

Wyjaśniłam, że najwyraźniej zaginęła moja notatka na temat obrazu i że Stubbs został kupiony nie od małżeństwa z Warminster, lecz za pośrednictwem tajemniczego nabywcy. Choć to wszystko nie brzmiało przekonująco, byłam pewna, że coś się nie zgadza. Nie potrafiłam wyjaśnić tego Dave'owi, ale po totalnej kłęsce poprzedniego wieczoru wydawało mi się jeszcze ważniejsze udowodnić, że mam słuszność w sprawie Stubbsa.

– Chcę go obejrzeć, Dave. On jest w magazynie, prawda? Masz lepsze oko niż ja. Nie wierzę w te nadmalowania.

Dave ściszył głos.

– Ale ty nie sugerujesz, że Rupert próbuje opchnąć falsyfikat?

– Oczywiście, że nie! Myślę, że się ewentualnie pomylił, i nie chcę, żeby doszło do skandalu.

Nic poza tym. Jeśli pomagając im zachować twarz, sama dobrze wypadnę, to tym lepiej dla mnie. Poza tym nie po raz pierwszy doszłoby do pomyłki z atrybucją, prawda? Sam przecież wiesz. Proszę... Dziesięć minut i możesz mi powiedzieć, że jestem idiotką, a nigdy już słowem o tym nie wspomnę.

– Judith, są od tego specjaliści. Potrzebowaliby m, nie wiem, jakichś narzędzi.

– Dave... Dzieła sztuki nie są ci obojętne, prawda? Uważasz, że powinniśmy sprzedawać autentyki? Honor pułki, te rzeczy?

– Powinniśmy mieć pozwolenie, naprawdę.

– Ja tam pracuję, ty tam pracujesz. Mamy przepustki, ja mogłabym po prostu patrzeć na dzieła, co w kółko mi zaleca ta cholerna Laura.

– Dziesięć minut?

– Maksymalnie. Proszę cię... – przybrałam błagalny ton. – Jesteśmy kumplami, prawda?

– Och, dobra!

Większość pracowników już wyszła, Dave wprowadził mnie więc tylnym wejściem, korzystając ze swojego kodu. W magazynie musieliśmy skorzystać z latarek, dla dobra dzieł sztuki panował tam bowiem mrok. Dave podszedł prosto do właściwej skrzynki i wyjął obraz. Wycelowałam promień latarki w miejsce, gdzie moim zdaniem powinien stać drogowskaz z napisem Newmarket, i w miejsce, skąd usunięto podpis.

– Nie wiem, Judith. Nie widzę nic podejrzanego.

– Ale tutaj był drogowskaz. O, tu. Ile ma ten werniks?

Przyglądaliśmy się obrazowi z nosami przy płótnie, niemal dotykając palcami zmienionego miejsca.

– Jeśli został wyczyszczony – powiedział Dave, teraz już zaabsorbowany – może uda się znaleźć ślady podmalówki. Musimy go obejrzeć w porządnym świetle.

– A możemy go przenieść?

– Gdzie miał być ten podpis?

– Właśnie, gdzie on był? – usłyszeliśmy głos Ruperta. Podobno grubi ludzie często poruszają się zadziwiająco bezszelestnie.

Zaśmiałam się głupio.

– Rupert! O, cześć, przepraszam, my tylko...

– Proszę bardzo, wyjaśnij mi, co robicie. Należysz do personelu niższego rangą, nie wolno ci tu przebywać. – W rzeczywiście to wcale nie był problem. Wiele razy zachodziłam tu po pracy. Zwykle dlatego, że Rupert mnie o to prosił. Tymczasem on zwrócił się do Dave'a i przemówił już łagodniej: – Co tu robicie? Czy ty nie powinieneś już pójść do domu?

Dave zakłopotany wydukał coś na pożegnanie. Bardzo mi się nie podobało, jak mówił do Ruperta „proszę pana”. Dopóki nie pokuściła na górę, Rupert zachowywał się przyjaźnie, grzecznie i spokojnie, po czym przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. W niebieskawym świetle wyglądał jak osobliwie opuchnięty El Greco. Wiedziałam, że nie zrobi awantury. Władza jest znacznie skuteczniejsza, jeśli zachowuje spokój.

– Judith, już od pewnego czasu chciałem z tobą porozmawiać. Nie sądzisz, że trochę nie pasujesz do naszej firmy? Chciałem ci dać szansę, ale otrzymałem kilka skarg dotyczących twojego zachowania. Uwagi, które wygłosiłaś na zebraniu na temat Stubbsa, były nie na miejscu, a nawet impertynenckie.

– Myślałam tylko... To znaczy, tak mi się wydawało... nie byłam pewna... – Jąkałam się jak uczennica karnie wezwana do dyrektora. Choć budziło to moją wściekłość, nie mogłam przestać.

– Lepiej chyba będzie, jeśli spakujesz swoje rzeczy i natychmiast opuścisz siedzibę firmy – dodał spokojnie.

– Ty mnie... ty mnie zwalniasz?

– Jeśli tak wolisz to ująć, to owszem, zwalniam cię.

Stałam oszołomiona. Zamiast protestować, zamiast się bronić, po prostu zaczęłam płakać. Absurd. Wszystkie łzy frustracji, które do tej pory dusiłam w sobie, wybrały właśnie ten moment, żeby wystrzelić niczym gejzer, sprowadzając mnie, wbrew mojej woli, do skłamej o łaskę kobiety. Ale nawet gdy te gorące wściekłe łzy gromadziły się w moich oczach, czułam, że Rupert coś ukrywa. Zaproszenie na to durne przyjęcie również miało mnie uciszyć. To przecież nie tak miało jednak być, prawda? Chciałam postąpić słusznie, chciałam się zachować jak trzeba.

– Rupert, proszę. Nie robiłam nic złego. Może pozwolisz mi wyjaśnić?

– Nie interesują mnie twoje wyjaśnienia.

W drodze do biur naszego działu całkowicie mnie ignorował. Ja szłam przed nim wąskimi korytarzami, czując się jak więzień. Gdy zbierałam swoje rzeczy z biurka, on stał ze skrzyżowanymi ramionami. Wrzuciłam wszystko do aktówki. Na samym dnie leżała sukienka i szpilki do klubu. Nie chciałam na nie patrzeć.

– Gotowa?

W milczeniu skinęłam głową.

– Poproszę twoją przepustkę. Chyba nie muszę prosić ochrony, żeby cię wyprowadziła.

Podaliśmy mu przepustkę, nadal nic nie mówiąc.

– A więc żegnam, Judith.

Przypomniałam sobie pułkownika Morrisa. Przypomniałam sobie, jakim popychadłem byłam dla Ruperta, jak przynosiłam jego garnitury od krawca, jak odbierałam koszule z pralni, jak załatwiałam telefony, gdy on urywał się z roboty, przypominałam sobie nadgodziny przesiedziane w bibliotece czy archiwach, gdy próbowałam udowodnić, że jestem lepsza, że jestem mądrzejsza, że umiem biegać szybciej, że mogę więcej i lepiej. Byłam pokorna i posłuszna. Nigdy nie okazywałam, że czuję się zlekceważona czy wykluczona. Nikomu z nich – Laurze, Oliverowi, Rupertowi – nigdy nie dałam do zrozumienia, że w ogóle dostrzegam różnicę między nami. Żadne z nich nie miało takiego dyplomu jak ja. Wierzyłam, że z czasem, dzięki

swojej ciężkiej pracy, dam radę, że przyjmą mnie do swojego kręgu. Nigdy przed sobą nie udawałam, że Rupert mnie szanuje czy ceni. Ale uwierzyłam, że jestem przydatna, że jestem coś warta. Żalodne.

– Pewnie moją posadę dostanie Angelica? – Ależ to ohydnie zabrzmiało, jękiwie i gorzko.

– To nie twój problem. A teraz już wyjdź.

Spojrzałam mu w oczy, wiedząc, że moja twarz jest umazana łzami. Zastanawiałam się, jak to będzie, gdy obudzę się rano w swoim mieszkaniu i nie będę musiała iść na Prince Street. Zimny hol, przyjazna szorstka poręcz pod dłońią. To była moja szansa. Może nie dostałam się daleko za próg, ale owszem, znalazłam się w tym świecie, należałam do niego i każdego dnia wspinałam się odrobinę wyżej. Uświadomiłam sobie, że będę musiała rozsyłać CV – i że skuteczność tego działania będzie mizerna. Spierdoliłam sprawę. Straciłam kontrolę, chciałam za dużo, za dużo oczekiwałam, bezmyślna idiotka. Zapomniałam o swojej wściekłości, skakałam jak Pollyanna, myśląc, że najważniejsza jest życzliwość i że damy radę zorganizować przedstawienie w szopie z przeciekającym dachem. Gniew zawsze był moim sojusznikiem, ja zaś go zaniedbałam. Pozwalał mi chodzić z podniesioną głową, widział mnie przez bójki i zniewagi. Napędzał mnie od czasów mojej beznadziejnej szkoły średniej po uniwersytet. Był moją siłą i pocieszeniem. Przez chwilę czułam biały żar tego gniewu głęboko w swoim wnętrzu i mignął mi obraz zakrwawionej twarzy Ruperta zapadającej się nad komputerem. „Śmiało! – wabił mnie Gniew. – No już. Śmiało!” Moja zniszczona torba miała w narożnikach mosiężne okucia. Wyobraziłam sobie, jak wykonuję nią zamach, jak wymierzam cios w jego skroń, ale nie potrzebowałam tego. Czułam ból w ścięgnach ramion, w zębach. Chciałam mu się rzucić do gardła jak pies. Przyglądał mi się i przez ułamek sekundy widziałam w jego oczach niepokój. To mi wystarczyło.

– Wiesz, Rupercie – powiedziałam lekkim tonem. – Jesteś pizdą. Tłusty m, nadętym beztalenciem z wielką dupą.

– Wynos się.

Sama nie wiedziałam, czy bardziej pogardzam nim czy sobą.

Żeby jakoś sobie poradzić, postanowiłam zapisać Gniew. Dobry towarzysz, Gniew, dotrzymywał mi kroku kieliszek po kieliszku. Do przyjścia Jamesa zdążyłam opróżnić półtorej butelki bollingera, wraz z innym klientem, i tym razem przeżyłam. Nie zwracałam sobie głowy pożegnaniem, zostawiłam po prostu frajera ze zdumionym wyrazem twarzy i padłam na siedzenie u boku Jamesa, podczas gdy Carlo szyłował cristala.

– Tak sobie myślę, że dziś rzeczywiście go skosztuję, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Ciężki dzień?

Kiwnęłam głową. Na pewno nie upijałam się na wesoło. Czułam się przemarznięta, okrutna i bezmyślna. Podniosłam mój wazon w ironicznym toaście. Wydawał mi się obrzydliwy, ale

piliśmy w barze ostatnie szansa, Gniew i ja.

– James... skończmy z tymi podchodami. Ile by byłś skłonny zapłacić, żeby mnie przelecieć?

Popatrzył na mnie z konsternacją. A potem z obrzydzeniem.

– Ależ ja nie muszę płacić za seks.

– Dlaczego? To dla ciebie mniej ważne niż pieniądze?

– Lauren, o co chodzi?

Gdyby to był film, teraz byłby dobry moment na ostre cięcie montażowe. Wir wspomnień, dzielna mała Judith odbierająca dyplom, Judith wlokąca się późnym wieczorem do domu po pracy, siedząca nad katalogami, łaza pły nie wruszająco po policzku Judith, gdy Rupert ją zwalnia, Judith z szeroko otwartymi oczami uświadamia sobie, że tu, w tej obskurnej knajpie, ten ohydny stary klient jest jej jedyną nadzieją. Tamta Judith wstałaby i grzecznie odeszła do swojej bajecznej przyszłości, ponieważ nie musiała sprzeniewierzać się swoim zasadom, za nic. Tak, właśnie. Miałam już za sobą nowe, kurwa, początki. To była moja nadzieja. Jeśli do tego byłam stworzona, to będę to robić jak trzeba. Ja i Gniew niejedno już widzieliśmy.

Łzy, które powstrzymywałam od kilku godzin, wypełniły moje oczy, trochę zadrżała mi warga, zagryłam ją. Podniosłam ku niemu twarz.

– James, bardzo cię przepraszam. To było wulgarne. To przez tę knajpę. Nie mogę znieść, że myślisz sobie, że ja... że jestem taka... Sprawdzalam cię. Widzisz, jesteś taki wspianiały, a ja... ja...

Nawet jego olbrzymie ego nie lękłoby słowa „miłość”, tylko więc załkałam cicho. Znowu, Jezu Chryste. On podał mi chustkę do nosa, wielką, białą i pachnącą persilem. Przypomniała mi się mama, jak w swoich lepszych chwilach kąpała mnie i owijała w czysty biały ręcznik, który pachniał taksamo, i wtedy już zaczęłam płakać naprawdę. A potem pogadaliśmy i powiedziałam mu, że jestem przerażona, ponieważ straciłam pracę (recepjonistki w galerii), gdy zaś on zaproponował, żebym wyjechała z nim na weekend, udawałam, żeby nigdy nie byłam na południu Francji, i czyż to nie byłoby cudownie, ale może weźmy moją przyjaciółkę, żeby pokazać, że nie jestem jedną z tych dziewczyn. Albo że nie do końca. Delikatnie sugerowałam, by mnie poprzekonywał, że jest inaczej. Prawdę mówiąc, właśnie na wypadek gdybym musiała się z nim przespać, chciałam zabrać kogoś ze sobą. Poza tym – a nuż nabierze ochoty na trójkącik? Lepiej było się przygotować. Bez trudu podsunęłam, że dałabym się przekonać za, powiedzmy, trzy tysiące funtów, tyle, żebym przetrwała do znalezienia nowej pracy. Kiedy więc wyszedł, na stole leżało tysiąc funtów, na dwa bilety do Nicei, a ja doskoczyłam do Mercedes i oznajmiłam jej, że lecimy na Riwierę.

– Jezus Maria, Jude! – powiedziała z podziwem. – Coś ty brała? Crack?!

Rozdział 8

Część pięćdziesiątek od Jamesa wydałam na skompletowanie ekwipunku na wyjazd. Niewielka pleciana torba podróżna i do tego torebka ze sklepiku na Marylebone – mogły od biedy uchodzić za Bottegę Venetę – czarne bikini wiązane z boku od Eres, okulary przeciwsłoneczne Toma Forda, turkusowo-beżowy szal w lamparcie cętki od Louisa Vuittona. Gdy wylądowałyśmy na lotnisku w Nicei, z przyjemnością stwierdziłam, że dzięki tym akcesoriom niemal niczym się nie odróżniam od innych kobiet przybyłych na weekend – bardzo zadbanych, ale bez zadęcia. Mercedes (ustaliłyśmy, że będziemy używać imion klubowych, żeby się nie pomylić) wyglądała nietypowo powściągliwie w zwykłych džinsach i białej koszuli. James czekał na nas w kawiarni obok hali przylotów. Głośno wciągnęłam powietrze, gdy dostrzegłam nieskrępowaną górę jego masy i plamy potu na bladoróżowej koszuli. Oczywiście był gruby, ale czy musiał być takim niechlujem? Dopatrywałam się w tym jakiejś arogancji, jakby dzięki pieniądзом mógł sobie pozwolić na lekceważenie wrażenia, jakie wywołuje w otoczeniu – co zresztą było prawdą. Odetchnęłam głęboko. Nagle poczułam dziwną tęsknotę, żeby znaleźć się z powrotem w moim okropnym mieszkaniu. Tyle godzin spędziłam tam na planowaniu, na marzeniach i fantazjach, że przyszłość jest przede mną. Ale to nieprawda. Przyszłość właśnie nadeszła. W każdym razie – z braku lepszego planu – przyszłość na następne kilka miesięcy. „Dam radę” – mówiłam sobie. Przede wszystkim jednak musiałam dać radę, nie miałam innego wyjścia. Wszystko było kwestią kontroli.

Młody mężczyzna o urodzie Marokańczyka, w ciemnej marynarce z plakietką Hôtel du Cap na piersi, zapakował nasze bagaże do czarnej limuzyny. James z wysiłkiem władował się na przednie siedzenie i samochód natychmiast przechylił się niczym stare łóżko. Nie byłam w stanie spojrzeć na Mercedes.

– *S'il vous plaît, mesdemoiselles.*

Przytrzymał mi drzwi, ja zaś wsunęłam się na kanapę obciągniętą kremową skórą. W środku panował chłód, szyby były przyciemnione, silnik warkotał cicho. W każdym razie takie wówczas odnosiłam wrażenie. James zajmował się swoim telefonem, nie musiałam więc podejmować rozmowy. Gdy dotarliśmy do hotelu, Mercedes podeksytowana ścisnęła mnie za rękę.

– James, to cudowne – szepnęła, trącając mnie łokciem.

– Naprawdę wspaniałe – dodałam z entuzjazmem.

Czekałyśmy dyskretnie w holu wyłożonym czarnym marmurem, aż James nas zamelduje. Jedna z recepcjonistek poprosiła nas o paszporty. Szybko odpowiedziałam jej po francusku, że

znajdują się w naszym bagażu i że doniesiemy je później. Nie chciałam, żeby James przypadkiem zobaczył nasze prawdziwe imiona. To by popsulo nastrój.

– Ależ ty mówisz po francusku! – powiedziała Mercedes zaskoczona.

Wzruszyłam ramionami.

– Pewnie lepiej, żeby James o tym nie wiedział.

Zaprowadzono nas do apartamentu na drugim piętrze. Oprócz dwóch sypialni miałyśmy do dyspozycji wielki salon z białymi kanapami i wielkim bukietem kalii. Dwuskrzydłowe drzwi prowadziły na długi trawnik schodzący na sławny basen, który widziałam w tyłu magazynach. Dalej, po prawej, w stronę Cannes, w starym porcie tłoczyła się flotylla wielkich jachtów. Wyglądało na to, że wszystko tutaj jest wielkie i z rozmachem.

Wśród tych gigantycznych jachtów jeden szczególnie się wyróżniał – jego wielki kadłub górował nad pozostałymi niczym kraken. Tę jednostkę również widziałam na zdjęciach. Należała do Michaiła Balańskiego – „Człowieka ze Stanu”, jak w uproszczeniu nazywały go angielskie gazety – uzbekiego przemysłowca, którego kariera, opisywana nawet przez poważne media, przypominała fragment komiksu. Zaczynał od pól naftowych, później zajął się handlem bronią, ale gdy uznał, że za mało jest wojen, żeby można było na nich zarobić, postanowił sam wszcząć kilka konfliktów zbrojnych. Sfinansował grupy rebeliantów w jakimś niewielkim kraju, o którym nie mieliśmy zielonego pojęcia, uzbroił obie strony i patrzył, jak walczą do upadłego. Później kupił resztki majątku pozostałe w rękach rządu, który pomógł powołać. Bardzo skuteczny. To wszystko działo się dwadzieścia lat temu – teraz Balański pojawiał się na galach w towarzystwie głów państwa, wpadał na Met Ball albo na Serpentine Summer Party, fotografowano go również, jak szastał kilkoma milionami na jakąś odrażającą charytatywną hucpę, która robiła za specjalność dnia. Niesamowite, czego się człowiek dowiaduje, gdy śledzi na bieżąco „Hello!”.

– *Mademoiselle?*

Goniec hotelowy dyskretnie wyrwał mnie z rozmyślań. Miałam już w dłoni przygotowany banknot o nominale dziesięciu euro. Podałam mu napiwek i poprosiłam, żeby postawił nasze torby w sypialni po lewej, z kolei bagaż pana po prawej. Cokolwiek Jamesowi chodziło po głowie, nie zamierzałam dzielić z nim łoża. Na wypadek gdyby chciał coś powiedzieć, wyszłam na balkon i wbiłam wzrok w widok. Poczuliśmy, jak zbliża się do mnie i wyciąga rękę.

– Zadowolona, kochanie?

„Kochanie”... O Boże!

– Tutaj jest przepięknie – odparłam z lekkim wahaniem.

– I kupiłem ci jeszcze to – dodał, podając mi zmiętą plastikową czarną torbę. Na jego twarzy dostrzegłam uśmiech, w zamierzeniu zapewne łobuzerski. – Żebyś włożyła. Później.

Zastanawiałam się, jakie potworności znajdują się w środku, zmusiłam się jednak do złożenia

pospiesznego pocałunku na jego lepkiem policzku.

– Dziękuję, kochanie. Bardzo o mnie dbasz.

– Myślałem, że moglibyśmy zjeść lunch nad basenem, a później pojechalibyśmy do Cannes na małe zakupy. To by się wam pewnie spodobało.

– Świetnie! Tylko się przebiorę.

Mercedes kręciła się po łazience, podziwiając przybory toaletowe Bulgari.

– O Boże drogi! Ta łazienka jest większa niż całe moje mieszkanie!

– Znajdź minibarek – syknęłam. – Muszę się, kurwa, napić.

Na lunch w Eden Roc nad hotelowy basen nad urwiskiem James przybył w wielkich jaskrawych kąpielówkach Vilebrequin pod białym hotelowym szlafrokiem, który zwiślał potulnie po bokach jego mlecznobiałego brzuszyska. Zza okularów przeciwsłonecznych dojrzałam w wodzie dwójkę blond dzieci, jak wytykają go palcami, chichocząc, uciszane przez opiekunkę. Wszyscy zamówiliśmy sałatkę z homara i wodę Perrier. James do każdego kęsa dodawał kawałek masła. Okruchy spadały w fałdy jego podbródka i więzły w szarym materacu włosów na klatce piersiowej. Czulałam się tak, jakbym oglądała animacje Luciana Freuda, ale od tej myśli wcale nie patrzyło mi się lepiej. Gdy Mercedes pojadła sałatkę, bawiąc się telefonem (pomyślałam, że trzeba jej powiedzieć, żeby nie trzymała noża jak długopisu), ja zachęcałam Jamesa, żeby powiedział mi raz jeszcze o – zmyślonej oczywiście – przeszłości w charakterze playboya Riwiery, i udawałam bezgraniczną fascynację barwnymi opowieściami, jak to tańczył z Elizabeth Taylor w Jimmy'z i imprezował z Dionne Warwick w Golfe Juan. Nie w tym rzecz – uświadomiłam sobie – że próbował mnie przekonać, że kiedyś był świetną partią. Rzecz w tym, że on sam naprawdę w to wierzył.

Po lunchu podjechalśmy na Croisette. Na plaży naprzeciwko hotelu Carlton grupa kobiet w burkach ochlapała się wodą. Niebo było pochmurne, wilgotność powietrza osiągnęła zaś nieprawdopodobny poziom i James, rozdrażniony, niegrzecznym tonem pouczał kierowcę, że zna najlepsze miejsce do parkowania, po czym lajał go w nieudolnej francuszczyźnie, gdy musieliśmy trzykrotnie objechać okolicę. Nie sądziłam, żeby wystarczyło mu cierpliwości na całe zakupy, zasugerowałam więc, żebyśmy się zatrzymali przed sklepem Chanel – samochód miał na nas zaczekać. Weszłam do butiku pierwsza i poprosiłam sprzedawczynię, żeby przyniosła jakieś krzesło, gdy my z Mercedes będziemy oglądać torebki. Kobieta wyglądała na trochę zbulwersowaną sugestią, że miałyby zrobić coś tak służebnego. Nagle jednak ujrzała w drzwiach Jamesa.

– Jak sobie pani życzy, madame.

Wiedziałam, czego chcę – czarnej przesywanej torebki na ramię, ze skórzano-złotymi uchwytami. Mercedes nie mogła się zdecydować, przeglądając wieszak z nietypowymi dla tej

pory roku płaszczami tweedowymi. Były piękne. Chętnie któryś bym przy mierzyła, żeby poczuć jedwabną podszewkę na nagich ramionach i muśnięcie drobniutkiego złotego łańcuszka wszytego na karku, ale James najwyraźniej uznał, że rola sponsora jest trochę wyczerpująca.

– Którą torebkę byś chciała, Mercedes?

– Dużą.

Chyba całe wieki minęły, zanim sprzedawczyni zapakowała torebki w bibułkę i czarne bawełniane woreczki zadrukowane splecionymi literami „C”, po czym wsadziła je w końcu do szylkownie sztywnych toreb wiązanych na kokardki. Zdążyłam już pojąć, że James się tak irytuje, bo nie przyjmuje do wiadomości, że jego ciągle wyczerpanie i fatalne samopoczucie nie jest problemem całego świata, tylko jego osobistym, ponieważ jest, kurwa, za gruby, żeby się w ten świat wpasować. Niemniej dzielnie podał swoją kartę, gdy my z Mercedes udawałyśmy zainteresowanie apaszkami, dyskretnie odwracając wzrok od kasy. Liczy się rezultat. Gdy jednak James odrzucił moją dość okrutną sugestię, żebyśmy przeszli się po stromych brukowanych uliczkach starego miasta, zażądał zaś powrotu do hotelu na sjęstę, wiedziałam, że nadchodzi czas odpłaty.

Po powrocie do apartamentu wepchnęłam Mercedes do naszego pokoju.

– Może weźmiesz miły odprężający prysznic, kochanie? – zaszczebiotałam przez ramię. Przynajmniej nie musiałabym się pokryć tym ohydny m potem.

– Nienawidzę cię – powiedziałam, gdy ona szykowała się na basen.

– Nic się nie przejmuj. On chce się tylko poprzytulać. Zresztą zobacz, co mam.

Pokazała mi kilka fiolek z lekami w przepelnionej kosmetyczce.

– Co to takiego?

– Nic wielkiego. Xanax. I trochę valium.

– Dawaj.

– Nie dla ciebie, dla niego.

– Nie kłamam.

– O matko. Podamy mu środek nasenny. Nie chcę spędzić całego wieczoru z tym tłściochem. Jesteśmy na Lazurowym Wybrzeżu, Jude!

– Lauren.

– Oczywiście. Posłuchaj – szeptała, chociaż z drugiego pokoju dobiegał nas szum wody. – Pójdziemy na kolację, po czym rozkruszę kilka tabletek i wsypiemy mu do brandy.

– On nie pije.

– A więc do wody gazowanej. Pół godziny i padnie, my zaś będziemy mogły wyjść na miasto. Rano będzie cudownie wypoczęty. I o niczym nie będzie wiedział.

– On jest naprawdę gruby. Wydaje mi się, że martwi klienci nie będą dobrze wyglądać

w naszym CV.

– Nie panikuj, te pigułki nie są mocne. Sama cały czas je biorę. Przygotuję je teraz w kiblu przy basenie. Czy może później będziesz miała ochotę na kolejną sesję na gumowym materacu?

– Świnia. Ty masz wszystko za darmo.

– Wiem. Chodzi mi tylko o to, że może ty także byś się trochę zabawiła. Pójdziemy na dół, tam, gdzie stoją te wszystkie jachty. No, zgódź się, zaszalejemy.

Może to przez beztroski nastrój Riwiery, ale trochę się podniosłam na duchu. A, do diabła! Nawet jeśli James się dowie, tylko się wścieknie i wyśle nas do domu z naszymi torebkami po dwa tysiące funtów – niezły bilans jak na jeden dzień. Trafi się coś innego.

– Dobra – powiedziałam. – Tylko uważaj. I czytaj ulotki.

– Najlepiej weź ze sobą jakieś wyjściowe ciuchy. Majtki w dół, dziewczęta!

Gdy Mercedes się zmyła, zajrzałam wreszcie do niewielkiej torebki od Jamesa. Znalazłam w niej plastikowe figi bez krocza, krótką siatkową koszulkę na ramiączkach, sznurowaną jak gorset, z otworami na sutki, czarne pończochy i plastikowy ozdobny pasek. Niegrzeczne zabawki z gatunku sprzedawanych w sklepach dla turystów w Soho. Założyłam to wszystko, podmyłam się, po czym wtarłam olejek monoi w paseczek włosów łonowych i między pośladki. Do tego wsunęłam czarne szpilki i rozwichrzyłam włosy, po czym przyjrzałam się sobie w lustrze na tle luksusowej marmurowej łazienki. Cóż, skoro miał ochotę na tanią dziwkę... Pewnie mogło być znacznie gorzej. Jeśli zmrzyłam oczy, mogłam udawać, że to bardziej kreacja z *Kabaretu* niż strój ulicznej kurewki. „Mama thinks I'm living in a convent, a secluded little convent, in the southern part of France”¹ – zanuciłam pod nosem, oblekając się w leniwy, drapieżny uśmiech. Świetnie. Naprawdę świetnie.

Posuwistym krokiem pokonałam salon i zapukałam do drzwi pokoju Jamesa.

– Jestem gotowa, kochanie – zamruczałam.

– Wejdz.

Pokój był pusty. Z łazienki usłyszałam plusk rozchlapującej się wybuchowej spraczi, po niej zaś rykoszet pierdnieć. Przystanąłam w drzwiach. O Boże! Kilka minut później usłyszałam, jak James spuszcza wodę – i oto pojawił się on sam, w parnym obłoku woni gówna i esencji cytrynowej Penhaligon's.

– Mam lekkie rozwolnienie – rzekł oskarży cielskim tonem. Dlaczego tych obrzydlistw nie mógł zatrzymać dla siebie? Pod rozchylonym szlafrokiem był nagi. Gdy spojrział na mnie, na jego twarzy odmalował się cień pożądania, wahał się jednak, czy do mnie podejść. Uświadomiłam sobie, że to jego pierwszy raz. Poczułam się pewniejsza, ruszyłam więc ku niemu. Zamknęłam oczy i przesunęłam palcami po domniemanej linii jego szczęki, po gardle i wzgórkach klatki piersiowej.

– Co chcesz ze mną zrobić? – spytałam szeptem.

Cisza. Szykowałam się na pocałunek, zerkając spod rzęs.

– James był niegrzeczny. – Otworzyłam oczy. Wydymał usta, a przy całym tym tłuszczu na twarzy wyglądał teraz jak naburmuszony maluch.

– James był bardzo niegrzeczny i chce, żeby pani go ukarała.

Miałam ochotę uśmieć się z uciechy.

– A więc kładź się na łóżku. Natychmiast!

Wstrzymałam oddech i wskoczyłam do łazienki po pasek od zapasowego szlafroka. James leżał bezwładnie na łóżku. Ciężar jego ciała stanowił wyzwanie nawet dla bardzo nowoczesnego materaca. Gdy przesunęłam mu ręce nad głowę i związałam nadgarstki, spojrzałam na wielki plamiasty brzuch. Czy będę musiała szukać penisa pod zwałami tłuszczu i skóry? Jezu! Nie miałam pola do improwizacji, wyciągnęłam więc pasek ze szlufek spodni przewieszonych przez krzesło. Trzymając sprzączkę, okręciłam go trzykrotnie, przełknęłam mocno ślinę, po czym podeszłam do łóżka. Trzy tysiące funtów. Kilkę miesięcy spokoju. Co prawda jeszcze nigdy nie miałam do czynienia z podobnym szkaradztwem, ale powtarzałam sobie, że w nocy wszystkie koty są czarne.

– Odwróć się!

Przetoczył się na bok. Dalej nie mógł, chyba że wycięto by mu dziurę w łóżku. Jego pośladki wyglądały jak dwa tanie brojlery. Musiałam się skupić, albowiem się bowiem roześmiała, albo zagadała. Przejechałam prowizorycznym cepem po pomarszczonym tyłku.

– James zasługuje na solidne lanie. Widziałam, jak patrzy na dziewczyny na basenie. Byłam bardzo zazdrosna. Niegrzeczny chłopiec, bardzo niegrzeczny! – Z każdym „niegrzecznym” wymierzałam mu klapsa, starając się ocenić, jak mocno mam go bić.

– Tak, pani, byłem bardzo niegrzeczny.

– I zasługujesz na karę, prawda?

– Tak

Teraz mocniej.

– Tak, co?

– Tak, pani?

Jeszcze mocniej – na tyle, żeby został czerwony ślad. Westchnął. Ja też.

Kontynuowałam tę zabawę przez chwilę, ale nie miałam pojęcia, czy to go podnieca. Twarz poczerwieniała mu już wcześniej od słońca. Przetoczyłam go więc z powrotem, rozwiązałam kamizelkę, żeby popatrzeć na moje cycki, i stanęłam nad nim na czworakach, z twarzą nad jego kroczem, wypinając tyłek, tak żeby widział moją cipkę przez szparę w majtkach. Fiuta miał maleńkiego – pięciocentymetrowy kłucik sterczał wesoło z porośniętej strzechą poduszeczki.

Miałam przerwatwę ukrytą w bucie, ale nie było szansy, żeby mu ją włożyć, a co dopiero żeby James mi wsadził. Niby super, coś jednak muszę z nim zrobić.

– Zaslugujesz na nagrodę, niegrzeczny chłopczyku?

– Tak, proszę, błagam!

Trzask

– Jak do mnie mówisz?!

– Proszę, pani!

– A czego chcesz?

Znowu skrzywił buzię, sepleniał, jeszcze bardziej odrażający.

– Chłopcy kchce deselek, pani.

W dziedzinie seksu miałam za sobą dużo. Większość mi się podobała, choć nie wszystko, do niektórych rzeczy się zmuszałam, czasami z ciekawości, czasami dlatego, że chciałam się przekonać, ile zniosę. Dziewczyny, chłopcy, trójki, grupowo. Niekiedy się bałam, niekiedy coś bolało, ale tylko w tych chwilach miałam prawdziwą władzę i mogłam sprawdzić jej zasięg. Każdy z tych wychnów był kolejną warstwą emalii na mojej mocy – ta była po prostu kolejną. To wszystko nic. Odgarnęłam włosy i wzięłam jego penisa w usta. James doszedł w jakieś dwadzieścia sekund małą strużką śluzu, którą przełknęłam jak lekarstwo. Liczy się cel. W swojej łazience zdarłam z siebie niegrzeczną bieliznę i wzięłam szybki prysznic. Zastanawiałam się chwilę, jak powinnam się czuć. Jedyne, co czułam, to chęć, żeby popływać, poszłam więc na basen.

James nalegał, żebyśmy kolację zjedli w lokalu o nazwie Tétou. Twierdził, że serwują tam najlepszą *bouillabaisse* na południu Francji.

– Faj, zupa rybna – burknęła Mercedes. – Nie jedz dużo tej pasty czosnkowej, będziemy śmierdzieć.

Gdy tylko kamerdyner otworzył drzwi, wpadłam kłusem do restauracji, która wyglądała jak przeszkłony domek na plaży, i szybko zerknęłam na krzesła. Chciałam, żeby Jamesowi nie popsuł się dobry humor, który zachował od naszego sam na sam.

– *Monsieur* potrzebuje innego krzesła – szepnęłam szybko do kelnera po francusku. – Jest bardzo... dorodny.

Kelner spojrział na mnie dziwnie, zanim jednak do lokalu dowlókl się James, znalazło się krzesło bez poręczy. Mercedes była podekscytowana. Długo dobierałyśmy stroje, ostatecznie ona występowała w jednej ze swoich niemiłosiernie opiętych sukienek bandażowych, ja zaś wybrałam bardzo prostą cytrynową jedwabną sukienkę, niemal dziewczęcą – mięką tunikę sięgającą dwa centymetry za majtki – do tego założyłam piętnastocentymetrowe zamszowe szpilki od Zanottiego. Nie umknęła mi satysfakcjonująca chwila ciszy wśród gości, gdy

usiedliśmy, choć raczej nikt sobie nie pomyślał, że James zabiera siostrzenice na kolację, żeby uczcić ich świadectwa z paskiem. Z łobuzerskim uśmiechem James zasugerował szampana i po chwili pojawiła się butelka Kruga.

– Dalej, James! – zachęcała go Mercedes. – Zaszalej! Napij się. – Policzki naszego towarzysza zadygotały w uśmiechu, gdy podawał kieliszek do napełnienia.

– Czemu nie? Ten jeden raz...

Bouillabaisse podano w dwóch naczyniach – w jednym mocny bulion z owoców morza, z grzankami i *rouille*, w drugim ryby. Sos szafranowy wyglądał przepysznie, ale Mercedes miała rację co do czosnku. Był to bardzo przyjemny posiłek, naprawdę. Uprzedziłam Mercedes, żeby odłożyła ten cholerny telefon, teraz więc słuchała z uwagą trzeciej serii anegdot Jamesa, śmiejąc się we właściwych momentach i dyskretnie, z pełnym profesjonalizmem pilnując, żeby w jego kieliszku nieustannie było trochę trunku. Gdy talerze były już puste i podano nam kartę deserów, James nas przeprosił.

– Mała spraczką – wyznał.

Poczułam, jak serce mi staje z przerażenia. Co z nim było?! Obie odwróciłyśmy wzrok, gdy przetaczał się między stolikami i głośno pytał o *la toilette*.

– Szybko – powiedziała Mercedes. – Daj serwetkę. Mam to tutaj. – W jej dłoni ujrzałam zwitek z kartki papieru listowego Hôtel du Cap. Opróżniła zawartość do kieliszka Jamesa niczym jakobicki morderca, podczas gdy ja zamawiałam dla naszej trójki *tarte tropéziennes*.

James odmówił udania się na zaproponowany przeze mnie romantyczny spacer po plaży, wiedziałam zresztą, że odmówi, czekający więc na nas samochód ruszył do hotelu. Zaproponowałam dla odmiany, żebyśmy się napili na tarasie, delektując się widokami. Jechaliśmy krótko, ale głowa Jamesa już po pięciu minutach opadła na bok niczym zwiędła kapusta. Chrapał głośno i potężnie. Dostrzegłam wzrok kierowcy w lusterku.

– Może pan zaczekać, aż pomożemy koledze dojść do pokoju? Pewnie trochę za dużo szampana...

Chrzęst żwiru na podjeździe Hôtel du Cap zbudził Jamesa. Udawał oczywiście, że wcale nie spał, ale dodał niewyraźnie, że może się położyć. Troskliwie odprowadziłam go do apartamentu i szykowałam się do tkiwego pocałunku na dobranoc, ale on już człapał w kierunku łóżka. Przez kilka minut dobiegały mnie jakieś hałasy, po czym pas światła pod drzwiami zniknął i zapadła cisza. Policzyłam powoli do sześćdziesiąciu, później jeszcze raz, aż usłyszałam chrapanie.

Mercedes chciała pójść do Jimmy'z, sławnego klubu nocnego w porcie w Cannes, ale o tej godzinie był on jeszcze zamknięty, poza tym mnie ten pomysł średnio się podobał. Poprosiłam kierowcę, żeby zabrał nas w jakieś miejsce *décontracté*, on zaś skręcił w prawo, w kierunku Antibes, oddalając się od wybrzeża. Przez kwadrans jechaliśmy w głąb lądu, w góry, aż

dotarliśmy do niskiego kamiennego budynku w stylu Ibizy, całego na biało i srebrno, z wielkim tarasem i grupką odzianych na czarno bramkarzy. Gdy podjechaliśmy, przed wejściem stały dwa ferrari.

– Super wygląda, co? – ucieszyła się Mercedes, a ja nagle zaczęłam chichotać. Nigdy wcześniej nie miałam z kim chichotać, teraz zaś czułam się upojona radością i nawet poczułam do niej jakąś tkiwość. Powiedziałam kierowcy, że może jechać. Poprosimy, żeby nam wezwano taksówkę.

– Idziemy, mała – powiedziałam głosem, który od dziesięciu lat był mi obcy. – Teraz to zaszalejemy.

Selekcjoner otaksował nas wzrokiem i odpiął welwetowy sznur.

– *Bonsoir, mesdames.*

Zajęłyśmy stolik na tarasie i zamówiłyśmy kir royal. Oprócz nas w lokalu znajdowało się kilka grup starszych wiekiem Europejczyków, wszyscy w białych rozpiętych koszulach, z wielkimi zegarkami, stadko zagłodzonych rosyjskich dziwek i kilka par młodszych wiekiem. Gdy się zastanawiałam, czy pojawi się tu sam Baleński, podano nam dwa kieliszki szampana.

– Z wyrazami sympatii od dwóch dzentelmenów – wyrecytował kelner z powagą.

Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam, jak kiwa nam głowami dwóch młodych Arabów w absurdalnych okularach przeciwsłonecznych.

– Odeślemy to – szepnęłam do Mercedes. – Nie jesteśmy prostytutkami.

– Mów za siebie, skarbie.

– Suka.

Wypiłyśmy trzy kolejki kir royal, zanim klub wypełnił się gośćmi, po czym przeniosłyśmy się na parkiet. Widziałam, jak mężczyźni na nas patrzą. Chyba ten moment lubię najbardziej – flirtowanie, wybieranie. Może pan? Albo pan? A może jednak pan? Trochę sobie popląsałyśmy bez przekonania, analizując ofertę.

– A oni?

– Za starzy.

– Może tamci?

– Za grubi. Zdecydowanie, kurwa, za grubi.

Zaniosłyśmy się od głośnego śmiechu. Można by pomyśleć, że to najzabawniejsze na świecie.

– A oni?

– Obiecujący.

Mercedes jak szalona trzepotała sztucznymi rękami w stronę wyniesionej nad parkiet węgla, która najwyraźniej stanowiła strefę VIP. Przy stoliku z wiaderkiem wódki siedziało dwóch mężczyzn, obaj wysyłali esemesy, podczas gdy kelner ustawiał przed nimi sushi. Byli młodzi,

atrakcyjni, ale z tej odległości nie mogliśmy ocenić zegarków ani butów.

– A więc do dzieła.

– Pójdę się przywitać.

Chwycałam ją za rękę.

– Nie możesz! Nie wypada! – Dziewczyny tak do siebie mówią, prawda? – Usiądziemy i zaczekamy, aż oni do nas podejda.

– A jeśli nie podejda? Jeśli ktoś ich dopadnie przed nami?

– Podejda.

I godzinę później rzeczywiście siedzieliśmy w kabrioletcie Porsche, jadąc idiotycznie szybko do starego portu w Antibes – na mojej żółtej sukience sechł Dom Pérignon, Mercedes namiętnie całowała jednego z naszych towarzyszy w kark. Wszyscy palili, a mały przysadzisty koleś, którego imienia nie znałyśmy, wciągał kłęk z lusterka kompaktu Guerlaina na półce za kanapą.

– Ja chcę jechać do Saint-Tropez – krzyknęła Mercedes, podnosząc na chwilę głowę.

– Ja chcę zobaczyć Picassy – również krzyknęłam.

I już skręcaliśmy w szaleńczym pędzie na bruk starego miasta, niemal przejeżdżając wymęczonego paparazzo kłęczącego na nabrzeżu. Mały gruby gdzieś zniknął, Mercedes zaś, niesiona po trapie przez swojego towarzysza, wymachiwała nogami jak żuk.

– Zdejmij buty! – krzyknęłam.

– Jasna dupa, Lauren! – piszczała. – Dawaj tu!

Kierowca porsche i właściciel jachtu, równie nowego i równie ostentacyjnego jak jego pieniądze, miał na imię Steve, gdybym więc była ruską kurwą, uznałabym go za dar niebios. Zauważyłam, że nie tknął ani wódkę, ani koki. Postąpiłam tak samo, a gdy Mercedes gdzieś poza kadrem wydawała odgłosy rodem z porno dla ubogich, Steve zrobił mi czekoladę na gorąco i oglądaliśmy jego trzy Picassy, które były dość dobre. Opowiedział mi o swojej kolekcji malarstwa współczesnego, ponieważ oczywiście kolekcjonował sztukę współczesną, a potem Mercedes i Tamten wrócili, wszyscy się rozebraliśmy i weszliśmy do jacuzzi na pokładzie ogromnego jachtu Steve'a. Wypiliśmy znowu Dom Pérignon, Steve zaś starał się sprawiać wrażenie, że to wszystko go uszczęśliwia. Może to było szczęście. Może kiedy człowiek nie musi już się wykazywać i starać, rzeczywiście jest szczęśliwy.

Około trzeciej chwiejnym krokiem wróciłyśmy do Hotel du Cap. Na bosaka, z butami w rękę, boleśnie pokonałyśmy zwirowany podjazd, po czym minęłyśmy niewzruszonego nocnego portiera. Ostrożnie otworzyłyśmy drzwi do apartamentu i zamierzałyśmy wykonać komandoski desant do naszego pokoju, ale Mercedes, wykonując przewrót, zaczęła ramieniem o stolik i zrzuciła barokowy wazon z liliami, ten zaś roztrzaskał się z takim hukiem, że było go chyba słychać w Saint-Tropez. Zamarłyśmy, ale jedynym dźwiękiem był nasz przyspieszony oddech.

James nawet się nie poruszył za drzwiami swojej sypialni. Nawet nie chrapał. Dzięki temu, zanim dotarliśmy do swojego pokoju, mało się nie udusiłyśmy od tłumionego chichotu. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio zasypiałam taka uśmiechnięta.

Okolo dziewiątej obudziło mnie pasmo mocnego białego słońca przedzierające się przez szparę w ciężkich zasłonach. Wysunęłam się spod kołdry i zajrzałam do salonu. Lilie zniknęły za sprawą magicznej różdżki, na stoliku leżał rozłożony „Times”, ale poza tym nie było widać śladu ludzkiej obecności. Wydłubałam z torebki kilka nurofenów i poczłapałam pod prysznic. Woda spływała mi po rozmazanym makijażu. Musiałam jeszcze przetrwać tylko ten jeden dzień. Może przekonam Jamesa, żebyśmy pojechali do muzeum Picassa w Antibes? Spodoba mu się kontakt z kulturą. Po ostatniej nocy prawie było mi go żal. Zawinięta w wielki ręcznik, poszłam obudzić Mercedes.

– Chodź, James jeszcze nie wstał. Zostawimy mu karteczkę i pójdziemy na śniadanie do ogrodu.

Ubrałyśmy się w bikini i szlafroki, gdy zaś siedziałyśmy w okularach przeciwsłonecznych, z kryształowymi pucharkami ze świeżym sokiem z pomarańczy, wszystko wydawało nam się fantastyczne. Przyszło mi do głowy, że może ładniej by było zamówić śniadanie na trzy osoby, choć jednak bez pośpiechu rozkoszowałyśmy się wybornymi ciepłymi croissantami i małąkimi słoiczkami dżemu pigwowo-figowego, James się nie pojawił. Gdy patrzyłam na innych gości spożywających śniadanie i na ogrodników w czerwonych kurtkach grabiących ścieżki i praktycznie polerujących trawę, niemal o nim zapominałam, jakbyśmy były tam same. I to także było fantastyczne. Mercedes zsunęła okulary i skrzywiła się porażona promieniami ostrego słońca.

– Myślisz, że nic mu nie jest?

– Pewnie. Może zamówił śniadanie na górę. – Chociaż zostawiłyśmy mu karteczkę, on zaś na pewno zechciałby w pełni cieszyć się chociaż moim towarzystwem.

– Pobiegnę sprawdzić – zaproponowała Mercedes.

Wróciła z dwoma ręcznikami i z hotelowym monogramem.

– Pułałam do drzwi, ale nie zareagował. Chodźmy popływać!

Rozdział 9

Może to zabrzmieć podejrzenie, ale gdy James nie pojawił się na lunch, wiedziałam, że coś jest nie tak. Mercedes zasnęła na słońcu – rozwiązane paseczki jej stanika zsunęły się z pleców – ja zaś czytałam biografię Chagalla, którą przywiozłam na wypadek, gdybyśmy miały szansę wpaść do Saint-Paul de Vence. O dwunastej trzydzieści zaczęłam się martwić i choć próbowałam jeszcze kilka minut skupić się na książce, wiedziałam, że to dziwne. A jeśli się pochorował? W końcu miał taką makabryczną biegunkę. Może potrzebował lekarza? Ostatnie, czego nam było trzeba, to kłopoty. Zawiązałam szlafrok i ruszyłam przez trawnik do środka. Nie miałam cierpliwości czekać na windę. Na drugim piętrze biegłam już przez korytarz, rzucając „Przepraszam” do pokójówki, która pochylała się nad odkurzaczem. Wpadłam do pokoju Jamesa i gdy tylko na niego spojrzałam, wiedziałam.

Nigdy jeszcze nie widziałam trupa. W tym ciele była jednak jakaś nieruchomość, dziwna pustka twarzy, która nieomylnie zdradzała całkowity brak życia. James nie wyglądał, jakby spał. Wyglądał, jakby nie żył. Jego wielkie ciało spoczywało w pościeli obleczone w bawełnianą koszulę nocną. Ze zrogowaciałą stopą o grubych paznokciach wystającą na zewnątrz wyglądał jak upiornie podstarzałe *putto*. Wiedziałam, ale i tak wykonałam kilka czynności, które zapamiętałam z filmów – znalazłam swoją torebkę, wyjęłam z kosmetyczki puder w kompakcie i ostrożnie przytknęłam do jego twarzy otwarte lustro. Nic. Nie mogłam się zmusić do otwarcia mu oczu, więc tylko ostrożnie podniosłam jego wielkie ramię i poszukałam pulsu.

– James? – syknęłam niecierpliwie, usiłując powstrzymać się od wzbierającego w gardle krzyku. – James!

Nic.

Obeszłam łóżko, żeby sięgnąć po telefon i zadzwonić do recepcji, gdy nagle się zatrzymałam. W głowie mi się kręciło, zbierało mi się na wymioty, ale nie mogłam stracić kontroli. Wczoraj pił – zwykle tego nie robił, może nie mógł pić alkoholu. Cała drząc, głęboko wciągnęłam powietrze. Widziałam to wszystko: sprawny, dyskretny personel, karetka, posterunek policji. Jeśli przeprowadzą sekcję zwłok, znajdą durną mieszanek środków uspokajających, którą podała mu Mercedes, i będzie rzeźnia. Już widziałam gazety, nasze nazwiska, twarz mojej matki. Niewyobrażalne, niemożliwe więzienie. Nagle usłyszałam, że odkurzacz się zbliża. Pokójówka zaraz będzie chciała sprzątnąć pokój. Doskoczyłam do drzwi, gorączkowo przetrząsnęłam wieszak z kartami śniadaniowymi i wejściowymi, zrzuciłam je, w końcu znalazłam tabliczkę *Nie przeszkadzać*. W takim hotelu jak ten zapewni nam to całe godziny spokoju. Powoli usiadłam na

jednej z białych łanap. „Oddychaj, Judith. I myśl”.

W końcu nie oddałam naszych paszportów do recepcji. Po prostu zapomniałam. Przy śniadaniu podpisałam się LJ – hipotetycznymi inicjałami. Mówiliśmy do siebie imionami klubowymi, większość czasu nosiliśmy ciemne okulary. Personel widział, jak wchodzimy i wychodzimy, ale to było Lazurowe Wybrzeże – pewnie uznają, że jesteśmy zwykłymi kurwami wynajętymi na weekendowy trójkącik. Jeśli stąd uciekniemy, nie będą mieli jak nas szukać, tylko po naszym rysopisie, a był to przecież dobry hotel, z personelem specjalnie szkolonym, żeby nie być zbyt uważnym. Odciski palców? Nie miałam pojęcia, jak to działa, szczerze mówiąc, ale ja na pewno nie miałam żadnej kartoteki i Leanne chyba również nie. Czy policja nie trzymała aby tych odcisków w jakimś budynku? W jakiejś wypasionej międzynarodowej bazie DNA?

Miałam problem z jasnym myśleniem. Często zaglądałam do książek medycznych moich współlokatek, ale nie byłam pewna, czy można gołym okiem rozpoznać, że ktoś miał zawał serca. James był otyły, tutaj zaś panował nieziemski upał, do tego uprawialiśmy seks – wnioski chyba były oczywiste? Dziękowałam Bogu, że grzeczne dziewczynki zawsze połykają – na pościeli nie ma po mnie dużo śladów. Zanim cokolwiek dojdzie do wniosku, że można by tu się jeszcze czegoś dogrzebać, my już wrócimy do siebie. A jeśli ktoś...

Portier widział w nocy, jak wracamy. Mogłyśmy powiedzieć, że poszłyśmy się zabawić, że tak naprawdę nie miałyśmy z tym nic wspólnego. Dwie głupie dziewczyny, które wzięły starszego pana na wycieczkę. Mogłyśmy też powiedzieć, że James się złościł, że wbrew obietnicy nie chciałyśmy uprawiać seksu, oznajmił nam, że musimy dziś jechać do domu, poszłyśmy więc bawić się bez niego. Nie pożegnałyśmy się, sądząc, że zasnął wściekły. To prawdopodobne. Wyjęłam telefon z kieszeni szlafroka i napisałam do Leanne, żeby natychmiast przyszła na górę. Mój palec ślizgał się wilgotny po ekranie. On miał żonę, Veronicę. Znajdą ją, przecież mają jego paszport, może ona będzie chciała wyciszyć sprawę, żeby uniknąć skandalu. Na pewno i tak się spodziewała ataku serca w niezbyt dalekiej przyszłości.

Zabrzączał mój telefon. Leanne stała pod drzwiami. Otworzyłam je i wciągnęłam ją do środka.

– Siadaj. Nic nie mów i, na miłość boską, nie krzycz. James nie żyje. Nie żartuję, nie pomyliłam się. Nie wiem, co mu dałaś, wiem, że było tego za dużo. Leży w pokoju.

Jeszcze nigdy nie widziałam, jak ktoś blednie – trochę mnie zaintrygowało, czy krew rzeczywiście wyciekła jej z twarzy i dlatego zrobiła się zielona pomimo opalenizny. Poszłam do łazienki, wzięłam jeden z płóciennych ręczników wiszących przy bidetzie, osłoniłam nim rękę i przyniosłam Leanne buteleczkę koniaku z minibaru. Bez kieliszka.

– Wypij to – poleciłam.

Posłusznie opróżniła buteleczkę za jednym zamachem i zaczęła płakać, chowając twarz w rękawach szlafroka. Wzięłam butelkę i przesłam do pokoju Jamesa. Nie patrzyłam na to coś na łóżku, tylko odstawiłam pustą butelkę na szafkę nocną. On już i tak miał alkohol we krwi, ten ślad nie zaszkodzi.

Staralam się mówić jaknajładniej.

– Leanne, jest źle, bardzo źle. Nie możemy nikomu powiedzieć, rozumiesz? Popelniłyśmy przestępstwo, mimo że nie chciałyśmy go skrzywdzić. Pójdziemy do więzienia. Rozumiesz, co mówię?

Kiwnęła głową. Wydawała mi się w tej chwili niewiarygodnie młoda.

– Mogę to ogarnąć. Chcesz, żebyśmy to ogarnęła?

Znowu kiwnęła głową, desperacko, z wdzięcznością. Sama nie mogłam w zasadzie w to uwierzyć, ale musiałyśmy zdać się na mój instynkt, nic innego nam nie zostało. Musiałam po prostu działać równie szybko, jak myślałam. Leanne zaczęła dyszeć, czkając. Ewidentnie zdążyła ku hysterii. Mocno chwyciłam ją za ramiona.

– Popatrz na mnie! Leanne, popatrz na mnie! Przestań. Oddychaj! Już! Weź głęboki oddech. I jeszcze jeden. No już! Lepiej?

Znowu kiwnęła głową.

– Dobra. A teraz musisz tylko robić to, co ci każę. Nie wiedzą, kim jesteśmy. Wszystko będzie dobrze. Słuchaj mnie! Będzie dobrze. Ubierz się w coś ładnego i eleganckiego. Wsadź wszystko do torby. Sprawdź dokładnie łazienkę, nie możesz zostawić żadnych kosmetyków do makijażu, żadnych buteleczek, nic. – Prawdę mówiąc, nie miało to pewnie znaczenia, ale będzie miała się przynajmniej na czym skupić, wówczas zachowa spokój. Powłócząc nogami, ruszyła do naszej sypialni niczym pacjent szpitala.

Wróciłam do Jamesa. Dopóki na niego nie patrzyłam, wszystko było w porządku, ale nie opuszczał mnie mdłący strach, że jedna z tych martwych tłustych rąk nagle po mnie sięgnie. Rozejrzałam się po pokoju, zauważyłam granatową płócienną marynarkę na oparciu krzesła. Znowu używając ręczniczka, sięgnęłam do kieszeni po jego telefon. Okazało się, że jest wyłączony. Tym lepiej. W kieszeni znalazłam portfel z kartami kredytowymi, prawem jazdy, kilkoma banknotami po pięćdziesiąt euro i srebrny klips na banknoty od Tiffany'ego. Pewnie prezent od Veroniki. Wyjęłam gotówkę. Większość stanowiły różowe banknoty o nominale pięciuset euro, poza tym znalazłam kilka złotych dwusetek. Przeliczyłam je z niedowierzaniem. I jeszcze raz. Aż sobie przypomniałam. To był Eden Roc. Słynął z tego, że przyjmuje płatności wyłącznie gotówką – pamiętam, jak czytałam, że jakiś ordynarny recenzent restauracji się tym chełpił. Bóg raczy wiedzieć, ile kosztował tutaj apartament, ale James najwyraźniej wypłacił wcześniej pieniądze potrzebne do uregulowania rachunku, do tego wybrał to, co mi obiecał.

Łącznie w jego portfelu znajdowało się ponad dziesięć tysięcy euro. Wzięłam dwie pięćdziesiątki z portfela, dodałam dwieście euro i spięte klipsem odłożyłam je do kieszeni marynarki. Przeszła mi przez głowę szaleńcza myśl, żeby zdjęć Jamesowi złotego roleksa, ale to byłoby głupie. Resztę pieniędzy zwinęłam ciasno i wetknęłam do kieszeni swojego szlafroka.

Leanne siedziała posłusznie na łóżku w dżinsach i szarej koszulce, wpatrując się we własne stopy obute w platformy. Rzuciłam jej swój beżowy żakiet projektu Azzedine'a Alaïa. To było z mojej strony poświęcenie, ale pewnie teraz będę mogła sobie kupić nowy.

– Włóż to. I okulary. Zaraz będę gotowa. – Bardzo się starała, ale zaczęła się trząść i nie mogła wsadzić rąk w wąskie rękawy.

– Jeśli zaczniesz histeryzować, uderzę cię. Przestań! Ciesz się, kurwa, że miałam tyle rozumu, że nie zadzwoniłam na policję.

Zebrałam rzeczy do torby, w tym tandetną bieliznę, którą miałam na sobie wczoraj. Szpilki, kosmetyki do makijażu, ładowarkę, książkę, szczotkę do włosów, laptop. Wyjęłam torebki Chanel z opakowań i wepchnęłam do środka inne nasze torby, na wierzchu kładąc oznaczone znakiem marki płócienne woreczki. W ten sposób wyglądało na to, że nie wyjeżdżamy, tylko wychodzimy na sobotnie zakupy. Zastanawiałam się, o której należy się wymeldować. Jeśli nazajutrz w południe albo nawet o jedenastej, to dzięki wywieszce *Nie przeszkadzać* mamy mnóstwo czasu. Wpadłam z powrotem do salonu. Na hotelowym bloczku napisałam wcześniej bez troski *Idziemy popływać! Zobaczmy się na dole, kochanie*. Teraz wyrwałam tę kartkę, na wypadek zaś, gdyby długopis się odcisnął, jeszcze tę pod spodem. Zmiałam je i wcisnęłam do kieszeni.

– Dobra, idziemy. Trzymaj telefon w ręku. Jak zejdziemy do holu, pisz esemesa, nie podnoś głowy. Nie spiesz się.

W korytarzu ciągle krzątała się pokojówka. Pomyślałam, że zwymiotuję, jeśli się do mnie odezwie.

– Mam posprzątać pokój, *madame*?

Zdołałam się delikatnie uśmiechnąć. Była niewiele starsza ode mnie, ale twarz miała ziemistą i dziobatą. Pewnie nie oglądała słońca Riwiery.

– Na razie nie, dziękuję.

Minęłyśmy ją, windą zjechałyśmy do holu i wyszłyśmy na podjazd.

– Sprowadzić paniom samochód?

To był ten sam goniec, któremu wczoraj dawałam napiwek.

– Nie, dziękujemy, idziemy na zakupy. – Miałam nadzieję, że pomyśli: „Skacowane angielskie dziwki idą się przewietrzyć”.

Na stromym podjeździe Leanne groźnie wykręcała sobie kostki. Z hotelu było dość daleko do Cannes – przez pewien czas słyśmy pustą szosą, z obu stron obwarowaną białymi murami

posiadłości. Minęłyśmy kilka bram i zielone śmietniki na kółkach, do jednego wsadziłam zmiętą kartkę. Właśnie panował największy upał i kółeczka od sznurkowych uchwytów toreb wrzynały mi się w palce. Bolała mnie głowa, czułam, jak na plecach tworzy mi się mokra plama od potu. Leanne wlokła się milcząca u mojego boku.

– Jest dobrze – powiedziałam do niej. – I będzie dobrze. Tylko idź dalej.

W końcu szosa skręciła w kierunku morza. W górze po lewej widziałyśmy okna hotelu majaczące błogo między liśćmi palm jak rzeszy tancerek rewiowych. W zatoce roilo się od skuterów wodnych i jachtów, w oddali przepływał prom na wyspę Sainte Marguerite. Zatrzymałyśmy się w pierwszym małym barze, gdzie zamówiłam dwie oranginy i zapytałam kelnera grzecznie, ale niezbyt poprawnie, czy mógłby nam pomóc w zamówieniu taksówki na lotnisko w Nicei. Coś tam marudził po francusku, ale gdy płaciłam za napoje, przed wejście zajechał biały mercedes.

Leanne patrzyła tępo przez okna taksówki. Przypomniałam sobie jej wulgarną przekorę w National Gallery przed laty i poczułam odrobinę wrednej satysfakcji. I kto teraz potrzebował dobrej starej Rashers? Coś w tym uległym zwieszeniu głowy sprawiło, że nagle przypomniałam sobie tamten piątek, gdy przyszedł komornik.

Moja mama nie była pijana. Akurat w tym miesiącu nawet chodziła do pracy, cokolwiek to było. Wstawała nawet co rano. Czasem jednak robiło się dla niej za ciężko i wtedy piła. Nie dla rozrywki, tylko ciągiem, żeby osiągnąć błogą nieświadomość. Co właściwie mogło być jedynym rozsądnym wyjściem z sytuacji. Przypomniałam sobie, że właśnie położyłam ją do łóżka, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Opatuliłam ją różową szenilową kapą, na szafce nocnej zostawiłam kubek herbaty i plastikową miskę, na wypadek gdyby świat zaczął się kręcić, kiedy zamknie oczy. Musiała dochodzić jedenasta.

– Mamo, kto to?

Nie była w stanie mówić, ale ostatecznie wydusiła, że to sprzedaż ratalna do telewizora. Od miesiący nie płaciła rachunków i teraz najwyraźniej firma sprzedała dług.

– Mam się tym zająć, mamo? Mogę się zająć.

– Dzięki, skarbie – wydusiła.

Otworzyłam drzwi, nadal w szkolnym mundurku. Chciałam powiedzieć, że nikogo nie ma poza mną, nie mogę więc ich wpuścić. To nie byli źli ludzie, choć wyglądali jak zakapiory. Zarabiali tylko na życie, tak samo jak wszyscy inni. Nawet powiedzieli, że im przykro, gdy wynosili telewizor z kuchni. Nie korzystałyśmy z salonu na dole, było to zimne pomieszczenie, którego utrzymanie kosztowało. Teraz zostały nam lodówka, kuchenka, stół i kanapa. Wówczas sądziłam, że kuchenka w zabudowie to szczyt elegancji – myśmy takiej nie miały. Wrócili po lodówkę, ale wyjęli z niej najpierw zawartość. Byli nawet dość delikatni – chleb, dżem i wódkę odłożyli na

kanapę. Jeden wrócił z paczką kukurydzy, którą znalazł w zamrażalniku. Nie umiem opisać, jak pusto i samotnie się zrobiło w mieszkaniu po ich wyjściu. Sąsiedzi przyszli popatrzeć. Jutro wszyscy mieli o tym mówić. Patrzyłam na nich, dygocząc w szkolnej poliestrowej koszuli, i starałam się wyglądać dumnie. Cieszyłam się, że mama jest nieprzytomna i tego nie widzi, mogłaby przecież zrobić scenę, w której jeszcze więcej by gadali. Wtedy pomyślałam, że nic takiego już się więcej nie zdarzy. Nigdy, przenigdy.

Ale to nie był dobry moment na wspominki.

– Mów, Leanne! – rozkazałam. – Opowiedz mi o ostatniej nocy.

Zdołałam doprowadzić do tego, że gadała, śmiejąc się przekomicznie od czasu do czasu, jakbyśmy omawiały jakieś swoje przygody. Jeśli kierowca nas zapamięta, niech myśli, że byliśmy wesołe, normalne. Gdy dotarliśmy do lotniska, nawet nie próbował udawać, że nas nie oszukuje, płacąc mu więc żądaną sumę, potraktowałam go trochę łodowato.

– Dobra – powiedziałam, gdy już znalazłyśmy się w chłodnej hali odlotów. Wetknęłam Leanne do ręki zwinięty banknot o nominale pięciuset euro. – Weź to, podejź do stanowiska British Airways i kup bilet do Londynu. Jest sobota, na pewno mają wolne miejsca. Po powrocie nie esemesuj ani nie dzwoń. Ja do ciebie napiszę, dam ci znać, czy wszystko OK. Nie wróć do klubu. Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, powiedz, że kogoś poznałam i wyjechałam na wakacje na Ibiza. Twoim zdaniem jestem na Ibizie. Rozumiesz wszystko?

– Judith, ja nic z tego nie rozumiem.

– Nie musisz. – Uściskałam ją, jakbyśmy były dwiema żegnającymi się przyjaciółkami. – Nic ci nie będzie.

– A co z tobą?

– Nie martw się o mnie. – Jakby miała taki zamiar. Jej chciwe oczy już przeglądały stanowiska, szukając British Airways. – Gdy już będziesz w domu, zachowuj się normalnie, absolutnie normalnie. Zapomnij, że w ogóle się to wszystko wydarzyło, jasne? – Z tymi słowami odeszłam szybko, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Wzięłam drugą taksówkę i pojechałam do Cannes, do portu, następnie znalazłam informację turystyczną i drogę do stacji. Kartonowa torebka od Chanel pękła, musiałam więc ją dźwigać jak krnąbrnego dziecka. Za czterdzieści minut odjeżdżał pociąg do Ventimiglii. Przyszła mi do głowy szaleńcza myśl o straży granicznej – żeby znaleźć konsulat brytyjski i zdać się na zmiłowanie jakiegoś miłego młodzieńca z korpusu dyplomatycznego – ale niechętnie przypominałam sobie jednak ciało Jamesa nieruchome w zamkniętym pokoju, w tym pogrzebowym zapachu lilii. Miałam czas. Kupiłam sobie „Galę”, butelkę evian i paczkę marlboro lights, usiadłam, rozłożyłam magazyn na kolanach, paląc jednego papierosa za drugim, schowana za okularami przeciwsłonecznymi. Nie miałam żadnego planu, ale miałam dziewięć tysięcy euro

i jechałam do Włoch.

Rozdział 10

Do poki pociąg nie minął granicy, nie pozwoliłam sobie na żadne myśli. Powoli popijałam wodę i starałam się sprawiać wrażenie zainteresowanej gwiazdami francuskiej telewizji, których nie rozpoznawałam. Później wpatrywałam się w biografię Chagalla, od czasu do czasu przypominając sobie, że powinnam przewracać kartki. Za oknem migały niegdyśiejsze czarujące górskie wioski, teraz przyduszone autostradą i nowymi willami pośród wielkich niskich szklarni. W Ventimiglii przesiadłam się na pociąg do Genui i nagle poczułam, że jestem we Włoszech. Po raz pierwszy od miesięcznego wyjazdu do Rzymu przed studiami. Pamiętałam tamto uczucie – inne światło, zanurzenie w paplaninę języka. W wagonie oprócz mnie podróżowało mnóstwo młodych mężczyzn z wielkimi zegarkami i jeszcze większymi okularami przeciwsłonecznymi (które wyglądałyby bardzo obciachowo, gdyby nie ta niewymowna włoska wiara w siebie), kilka schludnych, zadbanych kobiet w dobrych skórzanych butach, ale przesadnie obwieszonych złotą biżuterią, para Amerykanów z plecakami i przewodnikami, w okropnych sandałach. W Genui znowu się przesiadłam. Zawsze chciałam pojechać do Portofino, ale pociąg tam nie docierał, jak powiedział mi na dworcu po włosku zawiadowca, dojeżdżał jedynie do miejscowości o nazwie Santa Margherita. Dalej musiałam jechać autobusem albo taksówką. Nikt jeszcze nie sprawdzał mojego paszportu, ale wiedziałam, że będę musiała go pokazać, jeśli będę chciała wynająć pokój w hotelu. Prześledziłam w głowie swój szlak Judith Rashleigh lądując na lotnisku w Nicei – nie przyjechałyśmy z Jamesem – kilka dni później pojawia się w Portofino. Co ją mogło połączyć z martwym mężczyzną, który zapewne wciąż spoczywał w wonnych ciemnościach Eden Roc? Nic, siłą rzeczy. Będę musiała zaryzykować, chyba że chcę spać na plaży.

Santa Margherita wyglądała idyllicznie – w takich miejscach na pewno spędzała wakacje Audrey Hepburn. Wysokie stare domy, żółte i w barwie ochry, otaczały zatokę odciętą cyplem i mariną, w której obok drewnianych kutrów rybackich kołysały się na wodzie wypasione jachty. Powietrze pachniało gardeniami i ozonem. Nawet dzieci bawiące się na plaży wyglądały elegancko w schludnych płóciennych koszulkach i szortach. Nigdzie w zasięgu wzroku nie widziałam T-shirtów z cekinami. Zanim się stoczyłam po szarych łupkowych schodach ze stacji nad wodę, miałam naprawdę dość rozwalonej torby Chanel. Portofino mogło poczelekać. Potrzebowałam prysznic i świeżych ubrań. Przy pierwszym łuku zatoki stało kilka hoteli – przy publicznej plaży i zamkniętym kąpielisku prywatnym, z parasolami plażowymi i czerwono-białe pasy i leżakami ustawionymi w równe włoskie rzędy. Bez namysłu weszłam do pierwszego z brzegu przybytku i poprosiłam o pokój. Mówiłam po angielsku, zakładając, że w ten sposób

mniej się będę rzucała w oczy. Gdy kobieta w recepcji poprosiła o moją kartę kredytową, powiedziałam coś szybkiego i skomplikowanego, czego nie powinna była zrozumieć, i radośnie pomachałam jej banknotami o nominale dwustu euro. Zgodziła się, żebym zapłaciła z góry za dwie noce, i poprosiła o paszport. Gdy wpisywała pieczęlowicie moje dane do komputera, miałam to samo uczucie co przy bankomacie pod koniec miesiąca, ale starałam się zachować miły uśmiech na twarzy. Sięgnęła po telefon. Jezu, dzwoniła po *carabinieri*?! Bez paniki, bez paniki. Mogłam rzucić tutaj torby i ze zwitkiem banknotów w kieszeni uciec w ciągu kilku sekund. Na zewnątrz był postój taksówek – stało tam audi z włączonym silnikiem, kierowca palił papierosa, wychylając się przez okno. Musiałam walczyć, żeby oddychać równo i nie spinać mięśni w gotowości do ucieczki.

Pokojówka. Kobieta dzwoniła do pokojówki, żeby się upewnić, czy pokój jest gotowy. Podala mi staromodny klucz z wielkim mosiężnym breloczkiem i życzyła miłego pobytu. Pokazałam gestem, że sama wezmę swój bagaż. W pokoju rzuciłam wszystko na łóżko, otworzyłam okno i zignorowałam tabliczkę *Prosimy nie palić*. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że słońce wisi nisko, rzucając purpurowe paski na fale. Podróżowałam cały dzień. Nie. Uciekałam cały dzień.

Do pokoju wpłynęło morskie powietrze, wydymając blad różowe zasłony. Podskoczyłam z cichym okrzykiem. Na sekundę tkanina ułożyła się w dwie napuchnięte ręce sięgające po mnie. Zamarłam, serce łomotało mi tak głośno, że słyszałam je nawet przez regularny huk fal dobiegający z zewnątrz. A potem zachichotałam. Może i James wyglądał jak zły duch, ale już go nie ma. Moje saldo prezentowało się następująco: osiem tysięcy czterysta siedemdziesiąt euro gotówką, zero pracy, jeden trup w innym kraju. Przez chwilę się zastanawiałam, czy napisać esemesa do Leanne, ale zrezygnowałam. Jutro kupię nowy telefon, przeniosę numery, stary wyrzucę w porcie. Zaciągnęłam się papierosem i czekałam, aż wróci strach. Nie wrócił. Byłam we Włoszech, w szczycie sezonu, i po raz pierwszy w życiu byłam wolna. Przez pewien czas nie musiałam się martwić o pieniądze. Może powinnam, ale uznałam, że lepiej się uspokoić. Mimowolnie uśmiechnęłam się głupkowato. Choć raz poczułam się nietykalna bez bzykania.

Wzięłam prysznic, przebrałam się i poszłam na długi spacer do portu, wypiłam przed barem niewielki kieliszek białego wina, zapaliłam, poczytałam książkę i się rozejrzałam. Już zdążyłam zapomnieć, jakie wrażenie robią na Anglikach Włochy: każdy mieszkaniec wydaje się taki atrakcyjny, kelnerzy są tacy uroczy, jedzenie takie przepyszne. Tutaj życie naprawdę wydawało się przepiękne. Zjadłam liguryjski makaron *trofie* z prawdziwym jasnozielonym pesto, cząstkami ziemniaków i zieloną fasolką, po czym wróciłam do hotelu. W telefonie nie miałam żadnych wiadomości. Rozebrałam się, wsunęłam do krochmalonej różowej pościeli i zasnęłam jak kamień.

Następnego ranka znalazłam drogę na rynek – plac o nieregularnym kształcie skupiony wokół

barokowego kościoła o białej fasadzie. Stało tam kilka straganów z pęczkami bazylii i dorodnymi pomidorami. Starsze kobiety w nylonowych fartuchach, najwyraźniej mieszkanki Santa Margherita, przebierały w nich, dzierżąc siatki, podczas gdy ewidentni letnicy, dyskretnie zamożni, uprawiali życie towarzyskie w dwóch kawiarniach. Kupiłam w kiosku „Nice Matin” i „La Repubblica”. Wczorajszymi angielskimi gazetami nie miałam co sobie głowy zawracać. Zamówiłam *cappuccino* z brioszką *con marmellata* i uważnie przejrzałam gazety, zwłaszcza dalsze strony, szukając jakiegokolwiek wzmianki o Eden Roc albo o ciele Anglika. Nic. Dżem między warstwami brioszki był morelowy i jeszcze ciepły, barista zaś zostawił na piance *cappuccino* czekoladowe serce: *Per la bellissima signorina*.

Całe przedpołudnie przechadzałam się powoli po sklepikach Santa Margherita. Ewidentnie była to miejscowość dla bogatych, potwierdzały to zakłopotane miny pasażerów wycieczkowców zawijających tutaj na kilka godzin. Choć urokliwe i staromodne, cenami przypominało Mediolan zdecydowanie z dwudziestego pierwszego wieku. Niemniej w tak rozkoszny dzień oszczędzanie byłoby obrazą dla świata. Kupiłam więc bikini, słomkowy kapelusz o ogromnym rondzie z szeroką czarną jedwabną wstążką, do której buzia sama mi się uśmiechała, eleganckie karmelowe baletki u szewca, który przyniósł parę mojego rozmiaru ze stosu pudeł na ciemnym, pachnącym skórą zapleczku sklepiku. Zaszalałam przy obezwładniająco słodkiej letniej sukience Miu Miu – w pomarańczowe kwiaty na białym tle bez ramiączek – i z rozkłoszowaną spódniczką w stylu lat pięćdziesiątych. Moja talia wyglądała w niej na jeszcze węższą. Włoska Judith była chyba skromniejsza niż jej angielska kuzynka. Nie chciałam się za dużo zastanawiać, co powinnam zrobić. Po przespaniu całej nocy straszna podróż z Francji wydawała mi się snem. Wcześniej głowę zaprzętała mi wyłącznie ucieczka, teraz musiałam już przygotować sobie jakiś plan. Miasteczko było jednak takie śliczne, pastelowe, jaśminowe i słoneczne, że rozsądek stracił na atrakcyjności.

Może na pewien czas bezpiecznym wyborem byłyby jednak Włochy? Mogłam spędzić tutaj kilka tygodni, jeśli przeniosę się w jakieś tańsze miejsce, a i tak po powrocie wystarczy mi pieniędzy na kilka miesięcy skromnego życia. Część pięćdziesiątek biednego starego Jamesa ciągle procentowała na moim koncie oszczędnościowym. Wahałam się przez chwilę, po czym w *tabaccheria* kupiłam kartę przedpłaconą i zostawiłam wiadomość głosową jednej z moich współlokatorek. Nie zadałam sobie trudu, aby je powiadomić, że się dołądź wybieram, i ani przez chwilę nie miałam złudzeń, czy je to w ogóle coś obchodzi, ale po pewnym czasie pewnie zauważyłyby moją nieobecność. Czynną płaciłam raz na kwartał, nie miałam się więc czym martwić. Powiedziałam, że pojechałam z wizytą do przyjaciół za granicą i być może zostanę tam kilka tygodni, pamiętałam również, aby wyrazić nadzieję, że dobrze poszły im egzaminy w sesji letniej. W bocznej uliczce z dala od portu, gdzie nie królowały już drogie restauracje, tylko

agencji nieruchomości i sklepy z artykułami elektronicznymi, znalazłam sklepik z telefonami i kupiłam nową komórkę. W hotelu otrzymałam hasło do sieci bezprzewodowej i za pomocą nowego telefonu szybko sprawdziłam doniesienia angielskiej prasy. Nadal nic. Po południu poszłam na plażę miejską, pełną przede wszystkim nastolatków, którzy gapili się na mnie, ale mnie nie zaczepiali. Później splukałam sól z włosów, włożyłam nową sukienkę i nałożyłam delikatny makijaż – tusz do rzęs, błyszcząca usta i odrobina różu. Ładnie, ale nie krzykliwe.

Gdy taksówkarz powiedział mi, że pięciokilometrowy kurs do Portofino będzie mnie kosztował pięćdziesiąt euro, chciałam go zapytać, czy żartuje, ale on spojrzął znudzony i rzekł „To jak?”. Pewnie mieli monopol – goście, którzy się zatrzymywali w Splendido, w życiu by się nie pokazali w autobusie komunikacji zbiorowej. Szosa wiała się w ciasnych prześwitach między morzem a stromym urwiskiem. Była tak wąska, że mieścił się na niej tylko jeden pojazd. Utknęliśmy w liguryjskich godzinach szczytu wśród SUV-ów Porsche i BMW prowadzonych przez wściekle *mammy* w jednakowych wielkich okularach, z tłumem rudoblonde dzieci i pulchnych smętnych Filipinek na tylnych kanapach. Kierowca kłął i walił rękoma o kierownicę, ale ja się nie przejmowałam. Przez okno czułam zapach drzew figowych, które wisiały nad ciemnoszmaragdową wodą niewielkich skalistych zatoczek, pomiędzy drzew wyglądały zaś śmiesznie pałacowe dziewiętnastowieczne wille. Poczytałam już sobie o Portofino – z przyjemnością się dowiedziałam, że osoby, które takie kwestie uważają za istotne, twierdzą, że najlepsze koktajle bellini przyrządza się właśnie tam, nie zaś w Harry's Bar w Wenecji. Tragiczne, naprawdę, jak niewiele wiedziałam o prestiżu.

Plac tej maleńkiej wioski rybackiej często się pojawiał w plotkarskich magazynach w Gstaad Club – a to Beyoncé balansowała na trapie jachtu, a to Leonardo DiCaprio krzywił się pod daszkiem bejsbolówki – ale ze zdjęć paparazich nie sposób było się zorientować, jak niewielka jest ta miejscowość. Raptem jedna uliczka prowadziła na plac niewiele większy niż kort tenisowy, ale otoczony sklepami z kreacjami Diora i kaszmirami. Weszłam do kawiarni po lewej stronie i zamówiłam bellini u siwowłosego kelnera, który wyglądał jak statysta z filmu. Oczywiście był to oklepny frazes, całe Portofino wyglądało jednak jak oklepny frazes, powszechna fantazja na temat *bel paese*. Wrócił z pucharkiem wypełnionym śnieżnoróżowym sokiem brzoskwiniowym z lodem, z czcią otworzył małą butelkę veuve clicquot i ostrożnie wmieszał szampana do owoców. Dokoła stały talerzyki z tłustą wędzoną szynką, kaparami, *crostini* i maleńkimi kawałeczkami parmezanu. Upiłam łyk drinka. Był boski – można by go pić o upadłego – ale ja rozkoszowałam się nim powoli, patrząc, jak ostatni prom z turystami wychodzi z portu w towarzystwie trzasku migawek japońskich telefonów. Słońce wciąż grzało mocno, choć już łagodniej, miękko rozświetlając niebo za cyplem na zachód od miasteczka, zwieńczonym kościołem przypominającym tort weselny. Zlizałam słono-brzoskwiniowy sok z moich warg, zmysłowy

Instagram. Wiedziałam, że powinnam czuć smutek na myśl o losie Jamesa, ale nie mogłam, choćby dlatego, że to wydarzenie przewrotnie doprowadziło mnie tutaj.

W porcie zacumowała elegancka drewniana łódź, jedna z tradycyjnych genueńskich łodzi rybackich zwanych *gozzi*, z szykownymi granatowymi poduszkami i eleganckim białym baldachimem. Wysiadała z niej właśnie grupka turystów mniej więcej w moim wieku, wykrzykując podziękowania do sternika, ubranego jedynie w spodenki z obciętych dżinsów i czapkę marynarską, spod której wystawały niemożliwie jasne blond włosy. Przypomniałam sobie, że dawno temu do tych wybrzeży dopływali wikingowie i że tacy blondwłosi niebieskoocy Włosi nie należą do rzadkości ani tutaj, ani na Sycylii. Moją uwagę przyciągnęła grupka pasażerów – czterech mężczyzn i dwie kobiety. Poruszali się w tej przestrzeni z leniwą właścicielską swobodą, jakby w pobycie w Portofino nie było nic niecodziennego, jakby nie zdawali sobie sprawy, że to obiekt niespełnionych marzeń pospółstwa. Zajęli stolik niedaleko mnie, zapalili papierosy, zamówili drinki, zaczęli dzwonić i rozmawiać o tym, w czym domu spotkają się później na kolację z innymi przyjaciółmi. Patrzyłam. Dziewczęta nie należały do oczywistych piękności, ale wyglądały rasowo, miały to coś, co wywodzi się z wielopokoleniowych majątków: długie nogi, szczupłe kostki, lśniąca włosy, doskonałe zęby, żadnego makijażu. Jedna nosiła męską koszulę, zapewne swojego partnera (spomiędzy zagiętych tkaniny dyskretnie migał monogram), pod nią zaś bikini, inna – wyszywaną białą tunikę, do tego tylko zielone zamszowe sandały od Manola Blahnika, na płaskiej podeszwie i dość zdarte. Wiedziałam, że musiały kosztować co najmniej pięćset euro. Zawstydziałam się, że w ogóle to zauważyłam, ponieważ taka dziewczyna jak ona na pewno nie zwróciłaby na to uwagi. Mężczyźni niczym się od siebie nie różnili – mieli gęste ciemne włosy opadające na łark, szerokie ramiona i byli szczupli, jakby nic tylko jeździli na nartach i grali w tenisa. I pewnie tak było. Byli... swobodni. Naturalną swobodą. W porównaniu z Leanne i ze mną w naszej wytworności wymuszonej na potrzeby Riwiery, ci ludzie roztaczali wokół siebie aurę przynależności do właściwej klasy – aurę, której nie zapewni żaden kilometr żłazenia po drogich sklepach. Tak właśnie wyglądali prawdziwi bogacze – jakby nigdy, przenigdy nie musieli się starać.

Sączyłam swojego drinka, przyglądając się im, aż sobie poszli. Dziewczyna w męskiej koszuli weszła do budynku po drugiej stronie placu, kilka minut później pojawiła się na tarasie nad butikiem Diora, rozmawiając z pokojówką w bladuróżowym stroju. Może kolacja zostanie podana właśnie w jej domu, choć nie musiała z tej okazji robić zakupów, nie musiała także gotować ani później sprzątać po gościach. Nie podobały mi się te moje myśli, były zgorzkniałe. Za bardzo nawykłam do życia poza tym światem, pod jego drzwiami, do zaglądania. Do baru przybywali kolejni goście: kilka wystrojonych amerykańskich par, może gości Splendido na szczycie wzgórza, którzy zeszli tutaj na *aperitivo*. Rozważyłam, czy zamówić jeszcze jednego drinka, ale na

rachunku podanym na małym spodeczku już widniała suma czterdziestu euro. Może wróć do Santa Margherita wyłożoną drewnem ścieżką dla pieszych? Położyłam na stoliku dwa banknoty oraz kilka monet i wstałam do wyjścia.

Po prawej stronie portu cumowały trzy wielkie jachty, niedorzeczne jak wieloryby w domowym akwarium. Dwie załogi, w białych szortach do kolan z lśniącymi skórzanymi paskami, ustawiały trap na jeden z nich, ten największy. Tępe linie kadłuba i lśniąca politura, od której jednostka wyglądała jak powleczone gumowanym węglem, nadawały jej styl niemal wojskowy, jakby miała zniknąć pod powierzchnią wody, żeby przenieść czarny charakter z Jamesa Bonda do jego podwodnej kryjówki. Była brzydka, ale na pewno robiła wrażenie. Po chwili pojawiły się dwie pary ciężkich nitek, po nich nogi w lewisach i jaskrawe koszulki polo z wielkim logo. Obaj panowie szli z telefonami przytkniętymi do uszu, obojętni na otoczenie. Zastanawiałam się, czy w ogóle wiedzą, gdzie się znajdują. Następnie znowu spojrzałam i stwierdziłam, że to Steve. Steve, na którego łodzi bawiłam ledwie przedwczoraj w Antibes.

I nagle coś się zmieniło. Senne, leniwe powietrze wokół mnie zrobiło się gęste od mojej adrenaliny, tak że cała *piazza* musiała to poczuć. Łagodne kolory placu rozbłysły tropikalną jaskrawością, gdy patrzyłam, jak dwaj mężczyźni zdążają w moim kierunku. Mój umysł obudził się gwałtownie, nagle bowiem zrozumiałam, co mogę zrobić. Wzięłam głęboki oddech i wstałam powoli. Tak właśnie robią bogacze, prawda? Wpadają na siebie nieustannie, w St Moritz, w Mégève, na Elbie czy Pantellerii. Musiałam się zachowywać jak jedna z nich, swobodnie, lekko. Wrzuciłam ciemne okulary do torebki. Mężczyźni zdążyli do restauracji z zielonymi markizami stojącej przy nabrzeżu. Wymierzyłam kroki tak, że zbliżyłam się do nich z boku, a moja rozkłoszowana spódniczka zakolysała się, niemal muskając Steve'a po nogach. Nadal wysłał esemesa. Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

– Steve!

Podniósł wzrok. Widziałam, że usiłuje mnie skojarzyć. Pewna siebie, przysunęłam się i ucałowałam go w oba policzki.

– Lauren. Bawiliśmy się razem w Antibes.

– Ach tak, Lauren. Co u ciebie?

Przynajmniej chyba rzeczywiście mnie rozpoznał. Przywitałam się z tym drugim, lubym Leanne z jacuzzi, który jak się okazało, nosił imię Tristan, moim zdaniem – zupełnie nietrafione.

Staliśmy przez chwilę niezręcznie. Pogawędki towarzyskie najwyraźniej nie były mocną stroną Steve'a, ale nie zamierałam odpuszczać. On jeszcze o tym nie wiedział, miał jednak odegrać rolę Sir Lancelota.

– Cudowny wieczór, co?

– Tak, cudowny.

O Boże!

– Moja przyjaciółka, właściwie raczej znajoma, wróciła do domu. A ja odwiedziłam paczkę przyjaciół, o, tam. – Ruchem ręki wskazałam mniej więcej zarzucone willami zbrocza. – Ale oni już pojechali na Korsykę. Ja wracam jutro.

– A myśmy właśnie przyплыли. Zamierzamy popływać wzdłuż wybrzeża... Sardynii – odrzekł Steve.

Zachowywałam się tak, jakby mi już tego nie powiedział nad gorącą czekoladą.

– Macie plany na wieczór? – Starałam się flirtować, ale subtelnie, nie rozpaczliwie, choć prawdę mówiąc, dałabym im obu na oczach tej całej szykownej załogi, żeby mnie tylko wzięli na pokład. Jachty pokonywały granice dla innych środków transportu nieprzebyte.

– Spotykamy się z kilkoma osobami. Może zjesz z nami kolację?

„Nie naciskaj go, Judith”.

– Mam rzeczy w Santa Margherita...

– Możesz je odebrać później.

Liczy się cel.

– Pewnie, dzięki. Z przyjemnością.

Steve zamówił więc Dom Pérignon Magnum rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty, co może zrobiłoby na mnie wrażenie w innym życiu, niebawem dołączyło zaś do nas dwóch starszych panów o spieczonym dekolcie, z nadąsanymi mi estońskimi kochankami. Zamówiliśmy na zakąski ośmiorniczkę, których nie tknął nikt prócz mnie, po czym Steve zamówił dwie butelki vermentino o limonkowej barwie. Następnie pojawiła się grupka mediolańskich bankierów, jak się okazało, z Forte dei Marmi, i jeden z nich wyraźnie nadsłakiwał Steve'owi, ale przerwał, żeby śmignąć ze mną do Santa Margherita swoją stylową alfą romeo po moje bagaże. Potem musieliśmy się udać do pływającego baru w Paraggi, gdzie Estonki wykonały apatyczny taniec na murze, a wszyscy zamówili sushi, którego nikt nie jadł, i w końcu nadszedł czas powrotu na jacht, żeby pić cohiby i wciągać kokę w jacuzzi. Tu Steve popisywał się swoim podwodnym systemem nagłaśniającym, dzięki któremu można było słuchać Rihanny, nawet jeśli się pływało w basenie na pokładzie, jeśli to robi na kims wrażenie. Przyjmowałam każdy podany kieliszek, ale nie wypilałam ani kropli – dzięki, Olly! – i trzymałam się blisko Steve'a, gdy jeden ze starych morsów wyciągnął ku mnie z bąbelków pożądaną rękę, w końcu położyłam się potulnie na wielkim łożu Steve'a, gotowa zapracować na swoje utrzymanie. On jednak tylko trzymał mnie za rękę i odwrócił się na drugi bok i dał mi spać łagodnie ukołysanej przez fale.

Rano go nie było. Usiadłam, zadowolona z trzeźwej głowy, i wyjrzałam przez bulaj. Morze i niebo. „Kurwa! Udało mi się”. Na łóżku stała taca z sokiem pomarańczowym, srebrną kawiarką, jajecznicą i tostem pod srebrną pokrywą, do tego owoce, jogurt i croissanty. I małeńki

kryształowy wazonik z białą różą. Dzisiejsze „Financial Times”, „Times”, „Daily Mail” – ponieważ wszyscy to czytali. Zapewne miliarderzy mieli specjalne połączenie prasowe, nie mogli przecież dostawać wczorajszych wiadomości. Przejrzałam szybko tytuły – nic. Moje torby rozpakowano, buty ustawiono w rzędki i wypchano bibułką. Nieliczne sukienki wyglądały żałośnie na miękkich wieszakach obszytych grafitowym jedwabiem, każdy z pasiastą płócienną torebką z płatkami róży. Wzięłam prysznic w łazience, w której podwójny natrysk i osobista sauna robiły takie wrażenie, że Eden Roc wydawał się przy tym przybytku lekko prymitywny. Związałam włosy w węzeł i włożyłam zwykły szary T-shirt do najskąpszego bikini spośród kupionych w Santa Margherita. Steve’a znalazłam w salonie – w szortach i z nagą klatką piersiową popijał kawę z wielkiego kubka Starbucksa, wpatrując się w kilka migoczących ekranów. Kursy walut. Przez szklane drzwi prowadzące na pokład widziałam, jak Tristan ćwiczy z hantlami.

– Cześć, mała! – „Mała” mi się spodobała. Jeszcze nie byłam pewna, jak to rozegrać. Nie chciałam zostać zdegradowana do kategorii estońskiej dziwki, ale najwyraźniej należałam do dziewczyn, które bez wahania wskazują na pokład prawie nieznanemu facetowi. Dziewczyn, które meldują się w hotelu w Santa Margherita na dwie noce, po czym znikają, bez względu na paszporty, bilety czy granice. Położyłam mu na chwilę dłonie na ramionach, chłonąc zapach czystej skóry i wody kolońskiej, pocałowałam w nieśmiało jeszcze rysującą się łysinę.

– Cześć!

– Wieczorem zawijamy do Porto Venere.

Pierwsza osoba liczby mnogiej także mi się spodobała.

– Cudownie – odparłam swobodnie, jakbym każde lato spędzała, przenosząc się z jednej ekskluzywnej miejscowości turystycznej do drugiej. W głębi duszy wykonywałam taniec zwycięstwa. Jaką pozę do selfie należy przyjąć, jeśli właśnie wywinęłaś się od zabójstwa? Szybko się jednak uczę, bardzo szybko, wiedziałam więc, że jeśli mam sobie poradzić, nie mogę nigdy ani na chwilę pokazać, że nie mam jebanego pojęcia, co robić. Dlatego wyszłam się poopalać, zauważając, że nawet nie spojrzała na odchodne na mój tyłek w wiązany po boku bikini.

Po lunchu – ryba z grilla, *salsa verde*, owoce podane na kolejnych starych kryształach i grubej nowoczesnej porcelanie, jasnopomarańczowej, oznaczonej nazwą jachtu „Mandarynka” – Steve oprowadził mnie z entuzjazmem po jednostce. Zwiedziłam lądowisko dla śmigłowców, nasłuchiwałam się o osłonie kadłuba klasy militarnej, obejrzałam składane balkony na pokładzie słonecznym, przesuwane szklane ściany w salonie i wysuwany pomost, odwiedziłam raz jeszcze Picassy. Załoga sunęła wokół Steve’a jak retman przed swoim rekinem, z jakąś taką wyćwiczoną telepatią, która wyczarowywała pewną pomocną dłoń w wyjściu na pokład albo oszronioną szklankę wody mineralnej Armani, zanim potrzeba została wyartykułowana. Steve przedstawił swojego kapitana, Jana, poważnego z wyglądu Norwega, który z zawodowym uśmiechem znosił

próby zakumplowania się Steve'a.

– Pokaż jej światła, Jan!

Gdy Jan wychylił się do przełącznika, jego opalone ramię musnęło moje. Poczułam iskrę, rozbłysk erotycznego alfabetu Morse'a, ale to mogło poczekać. Posłusznie wyjrzałam za burtę. Choć mieliśmy środek dnia, zobaczyłam różowy blask, który rozplynął się przy kadłubie tuż pod linią wody. Jan znowu pstryknął włącznikiem i światło zaczęło się zmieniać – przez pomarańcz, kobalt i fiolet aż po pulsującą biel. Nocą musiało to wyglądać jak burdel w Las Vegas.

– Wspaniale, prawda? Dopiero co je kupiłem.

Było coś ujmująco chłopięcego w jego entuzjazmie, choć nastawienie Jana do urozmaiceń kolorystycznych było widać gołym okiem, i to najpewniej już z Genui. Zwiedziliśmy kabiny – oprócz tej, którą obecnie najwyraźniej dzieliłam ze Steve'em, wszystkie były zaskakująco ciasne. Na koniec pokazał mi swoją nową zabawkę – osobiste planetarium zainstalowane w sterówce.

– Ma lasery, możesz więc śledzić konstelacje na tle prawdziwego nieba. – Tutaj nawet gwiazdy można było sobie poustawiać według upodobań.

– Jaka szkoda, że nie zobaczę tego w działaniu – powiedziałam niepewnie. – Pewnie mnie wieczorem wysadzisz?

– Jesteś gdzieś umówiona?

Zerknęłam na niego spod rzęs.

– Nie za bardzo.

– To może zostaniesz? Możemy się zabawić.

W jego oczach nie widziałam śladu flirtu. Dostosowałam się więc.

– Pewnie. Z przyjemnością. Dzięki. Mogę trzymać rzeczy w twoim pokoju?

– Pewnie.

I super.

CZĘŚĆ DRUGA
WEWNĄTRZ

Rozdział 11

Gdzieś kiedyś czytałam, że ludzie mniej by się przejmowali tym, co inni o nich myślą, gdyby wiedzieli, jak rzadko inni to robią. Minął dzień, minęły trzy dni, upłynął tydzień, później przeleciały dwa tygodnie, ja zaś nie udzielałam nikomu żadnych informacji. Steve był w gruncie rzeczy zupełnie niezainteresowany niczym oprócz swoich spraw i swojego majątku, choć najwyraźniej wyprawił się w daleką podróż z jakiejś głupiej nory, z której wypełził, próbując zyskać fasadę osoby obytej towarzysko. Jak się domyślałam ze zdawkowych uwag, Tristan był jego pomocnikiem, przyjacielem z wypożyczalni, oficjalnie zatrudnionym w jednej z fundacji Steve'a, właściwie zaś miał się użerać z załogą, dzwonić do klubów, organizować koleżki i modelkopodobne dziewczęta, ponieważ to było fajne, prawda? Tak się należało bawić, jeśli miałeś tyle kasy, aby Abramowicz zzieleniał ze złości.

Czasami jednak, gdy patrzyłam z drugiej strony parkietu w knajpie albo przez stół przy kolacji, kiedy nadchodził moment, żeby Steve wyjął swoją kosmiczną American Express, i nagle wszyscy odwracali wzrok, widziałam, jak w niemym osłupieniu patrzy na boki, zdezorientowany jak tańczący niedźwiedź. Seksualnie nie mogłam go rozpracować. Pierwszej nocy sądziłam, że jest zmęczony, ale choć mówił do mnie „mała” czy „kochanie”, nie próbował mnie nawet pocałować, jeśli nie liczyć zdawkowych cmoknięć na powitanie. Spałam z nim jakby z rozpędu – leżeliśmy obok siebie spokojnie jak brat i siostra. Nigdy niczego nie próbował, ja zaś nie byłam aż tak głupia, żeby coś inicjować, chociaż co wieczór pilnowałam, żeby wyszykować się tak, jakbym o niczym innym nie marzyła. Oczywiście się zastanawiałam, czy jest gejem – Tristan zaś czymś więcej niż majordomusem – ale wyglądało na to, że nie. Tristan bez ograniczeń folgował sobie ze wszystkimi dziewczętami, które się napatoczyły. Po pewnym czasie doszłam do wniosku, że Steve jest po prostu aseksualny, że jego żądza ogranicza się do tego, że lubi mieć w pobliżu ładną dziewczynę, że wymyślił sobie, że podrywanie kobiet jest czynnością, którą powinien wykonywać, tak jak posiadanie wielkiego jachtu, samolotu, czterech domów i Bóg raczy wiedzieć ilu samochodów – ponieważ mógł. Na tym polegała rywalizacja, prawda? Uświadomiłam sobie, że w odniesieniu do osób w rodzaju Steve'a inni błędnie sobie wyobrażają, że tamci interesują się pieniędzmi, podczas gdy takiego majątku nie można było zdobyć jedynie przy zainteresowaniu pieniędzmi. Żeby zarabiać na funduszach hedgingowych, poważni gracze (Steve nie traktował poważnie konkurentów, których fundusze obracały jedynie pięcioma czy sześcioma miliardami w finansowym labiryncie) musieli zachować obojętność wobec pieniędzy. Jego interesowała wyłącznie gra. I ja to rozumiałam.

Im dłużej przebywałam na jachcie, tym bardziej się oddalałam od tamtego lodowatego ciała i pełnej wyrzutu bladej twarzy. Staralam się nie myśleć za dużo o Leanne. Nasza krótka komitywa należała już do innego świata, pod wieloma względami czułam się jednak tak, jakbym wróciła do Gstaad Club. Dziewczęta były wszechobecne, absolutnie wszech!, od Saint-Tropez po Sycylię, jak różowe wino i bugenwilla. Ponieważ w życiu nie widziałam dziewczyny, która nie szłyby się na polowanie w chwili, gdy znalazła się w jednym pomieszczeniu z autentycznym miliarderem, zdałam sobie sprawę, że w pewnym sensie moja obecność chroni Steve'a. Pilnowałam, żeby w jego towarzystwie zachowywać się odrobinę zaborczo, żeby mówić do niego „skarbie” i czasami zarzucić mu rękę na ramiona. W ten sposób stałam się obiektem irytacji i fascynacji dziewczyn, ale trzymałam je na dystans. Siedząc obok Steve'a na kolacji, podsłuchiwałam je, jak wesoło rozmawiają niczym gospodynie domowe o straszliwych cenach różnych rzeczy, aż czasami się zastanawiałam, dlaczego im nie wypisze czeku na milion funtów, żeby sobie po prostu zapewnić chwilę spokoju.

Nieustannym esemesowaniem Tristan organizował z wyprzedzeniem coś na kształt towarzystwa – wyskakivaliśmy z tendera na drinki do restauracji, później oczywiście trafialiśmy do jakiegoś klubu czy na imprezę w posiadłości na wzgórzach nad miasteczkiem – chociaż nigdy nie spotkaliśmy nikogo, kto przypominałby *figli d'oro*, których zauważyłam w Portofino. Mężczyźni zajmowali się funduszami, bankami albo nieruchomościami. Kiedyś podjechaliśmy dalej w głąb niziny Maremmy, żeby zjeść lunch w domu wyroczni brytyjskiej telewizji z potwornymi falistymi włosami, gwiazdy medialnej lat dziewięćdziesiątych, i jego bandą niewiarygodnie zadowolonych z siebie pomniejszych celebrytów, którzy nieustannie okraszali wzajemne anegdoty deszczem znanych nazwisk. Każdy facet, choćby nie wiadomo jak brzuchaty, łysy czy obrzydliwie cuchnący cygarami, miał dziewczynę. Czegoś takiego jak żona nie zabierało się na Riwierę, od dziewczyn zaś nie wymagało się błyskotliwych konwersacji. Ani na chwilę ich nie odstępowały, siadały obok nich, kroili im jedzenie na talerzach i karmiły ich widelcem, jakby byli dziećmi, nie odzywały się niepytane, ale śmiechem kwitowały wszystko, co słyנהło z ust ich mężczyzny, na wypadek gdyby to coś było zabawne. Tworzyły pole siłowe wokół każdej pary, tak żeby żadna inna kobieta się przez nie nie przedarła. Na lunchu wyroczni jedyny wyjątek stanowił popularny komik telewizyjny – wielka i niezgrabna kobieta, która zdobyła kilka prestiżowych nagród i zaczęła dominować w rozmowie, idąc w zawody z mężczyznami i odpowiadając dowcipem na dowcip. Stopniowo jednak coraz bardziej czuła się zdezorientowana, coraz częściej zapadała we wściekłe milczenie, ponieważ w miarę ubywania alkoholu jej koledzy przestali nawet udawać, że jej słuchają. Żal mi jej było, gdy twarze czerwieniały, hałas wokół stołu przybierał na sile, a jej niegdyśiejsi koledzy z BBC przeradzali się w ryczących neandertalczyków, obmacując swój harem i – z tego co widziałam – czerpiąc

okrutną przyjemność z pokonywania jej w konkurencji, w której nie miała szansy wziąć udziału.

My, dziewczyny, miałyśmy nosić delikatne sandały K-Jacques zapięte na ślicznie opalonych kostkach, zarzucać pięknymi włosami, popijać delikatnie wino i bawić się naszymi ślicznymi roleksami na naszych szczupłych opalonych nadgarstkach. Byłyśmy trofeami, złotem uczynionym z rozkosznego opalonego ciała, Galateami, które ożyły pod dotykiem pieniędzy. Nic dziwnego, że się wściekała. Została odarta z wartości szybciej, niż neapolitański kieszonkowiec obrobiliby jej nudną torbę Mulberry. Powinnam była coś powiedzieć, zrobić coś, żeby te zadowolone z siebie pizdy się zamknęły, ale uśmiechałam się tylko, zarzucałam włosy na kark i karmiłam Steve'a maleńkimi kawałkami mrożonego kokosowego sufletu. „Patrz i się ucz, mała”.

Bogactwo przenika pod twój naskórek niczym trucizna. Atakuje twoją postawę, gesty, zachowania. Od chwili gdy weszłam na pokład „Mandarynki”, chyba ani razu nie otworzyłam drzwi. Na pewno nie nosiłam żadnej ciężkiej torby, nie brałam do ręki brudnego talerza. Jeśli ceną jest przymilanie się jakiemś staremu gburowi, który wgapia się w ciebie w jacuzzi jak hipopotam w rui, odpłatą jest otoczenie młodych mężczyzn w uniformach z szerokimi ramionami i czystymi paznokciami, którzy odsuwają i przysuwają ci krzesło, podają ci serwetkę i okulary przeciwsłoneczne, poprawiają poduszki na leżaku, zbierają twoje brudne majtki i dziękują ci, że pozwoliłaś im to zrobić. Nie patrzą ci w oczy – nie dla psa kiełbasa. Uprzątaj popielniczki i czyszczą lustra, dyskretnie uzupełniają zapas aspiryny przy łóżku, a xanaku i viagry w szafce łazienkowej, na setki uroczych sposobów naprawiają krzywdy wyrządzone wszystkimi obraźliwymi uwagami, jakie w życiu słyszałaś, tak że kroczysz dumnie między nimi jak bogini, i znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie koncentruj się jednak na akcesoriach. Jeśli nie dostaniesz szybko pierścionka, masz przerąbane. Prawdziwa różnica między ciachami Riwiery a pospółstwem w Gstaad Club polegała na tym, że te dziewczyny wspięły się poziom wyżej i teraz ziejąca przed nimi przepaść wydawała się jeszcze bardziej przerażająca.

W Porto-Vecchio dołączyli do nas Hermann, chudy milczący Niemiec, kolega Steve'a, i jego narzeczona Carlotta – brylant na jej palcu był równie spektakularnie za duży co jej sztuczne ccyki. Carlotta w obecności Hermanna odgrywała rolę gruchającej królowny, bawiła się jego uszami i co pięć sekund nazywała go skarbem. Na osobności nie miała skrupułów.

– Jebana świnia – wyznała bez zahamowań, gdy leżałyśmy topless na wielkim pomarańczowym materacu na pokładzie.

– Kto?

– Hermann. Wiesz, na przykład w poprzednim sezonie byłam w St Moritz i miałam dojechać do niego do Verbier, a on przyśłał samochód. Rozumiesz? Przyśłał po mnie, kurwa, samochód!

Jej akcent zlokalizowałam jako europejski, ale nie potrafiłam ustalić niczego bardziej konkretnego. Zastanawiałam się, czy ona sama jest jeszcze w stanie go zidentyfikować.

– O Boże, to straszne!

– Tak! Przez tydzień sama ścieliłam łóżko w *chalet*, a on nie zadał sobie trudu, żeby wysłać po mnie, kurwa, helikopter. Wiesz, można latać wyłącznie swoimi samolotami – dodała z powagą. – Wiesz, oni nie mogą mieć przewagi.

– Wyjdiesz za niego?

– Pewnie. Zaręczyliśmy się, kiedy w zeszłym roku zaszłam w ciążę, ale on ma już szóstkę wcześniejszych dzieci, więc kazał mi się wyskrobać.

Ze współczuciem dotknęłam ciepłej skóry jej ramienia.

– To straszne! Bardzo ci współczuję.

Teatralnie wydeła wargę.

– Dzięki. Ale za uporządkowanie sprawy dostałam mieszkanie na Eaton Place, nie było więc tak źle.

Gdy odzyskałam dech, Carlotta przeglądała coś w telefonie.

– Słyszałaś o tej młodej Szwedce w Nikki Beach?

Oczywiście, że słyszałam o młodej Szwedce w Nikki Beach. Wszyscy od Antibes po Panareę słyszeli o młodej Szwedce w Nikki Beach.

– Leżała w basenie chyba cały dzień – pięć godzin albo dwa dni, zależy od wersji – zanim ktoś zauważył, że nie żyje.

– Straszne.

– Tak, straszne. Wiesz, ona już... – Carlotta szukała słowa – już się rozkładała.

Carlottę cechowała wrażliwość ludzi nienależących do klasy. Rozumiałam to. Nie byłam jednak jak ona – nie chciałam wyrwać bogatego męża i przez resztę życia unosić się na powierzchni wśród szczytków europieniędzy. Zadbać o wygląd stosowny do sytuacji – to co innego. Steve może nie epatował męskością w sytuacjach sam na sam, co bardzo mi odpowiadało, ale jakieś pojęcie o kobietach miał, do tego pojęcia zaliczała się zaś informacja, że kobiety muszą robić zakupy. Nabywanie ciuchów było najwyraźniej powołaniem mojej płci, ponieważ nigdy nie prosiłam go nawet o lody, mogłam uznać, że nieźle sobie radzę.

Sunęliśmy powoli na południe w połyskliwych porywach wiatru, skończył się lipiec, zaczął się sierpień, a ilekroć gdzieś cumowaliśmy, Steve pytał, czy nie muszę sobie czegoś kupić, po czym podawał mi niepojęty zwitek banknotów. Z początku zachowywałam ostrożność, nie wydawałam wszystkiego, tak żebym chociaż mogła zaproponować, że zapłacę za swoje drinki, ale po kilku dniach uznałam, że to niepotrzebne. Kupowałam więc drogie rzeczy, na które na pewno już nigdy nie będę mogła sobie pozwolić, kaszmiry we wszystkich kolorach, chyba na całe życie, prochowiec od Vuittona, doskonałą torebkę do ręki Prady – z krokodylej skóry w kolorze kasztanowym. Przeglądałam się w szybach witryn albo w szklistej gładkości wody w porcie, gdy

opalona w prostej białej koszuli i krótkich spodenkach, z włosami związanymi niedbale szalem Dolce & Gabbana, wywijalam eleganckimi torebkami z kokardą i się zastanawiałam, czy powinnam być zdumiona swoją metamorfozą. Nie byłam, naprawdę. Patrzyłam w wodę i tam widziałam wreszcie siebie.

Pieprzenie może być tak nieskomplikowaną przyjemnością, równie pradawną i elementarną jak słodko-ziemisty smak oliwek albo szklanka zimnej wody po długim marszu w pyłe. Dlaczego więc odmawiać? Monogamia musi być znacznie łatwiejsza dla zwyczajnych ludzi.

Po kilku tygodniach w roli pseudodziewczyny Steve'a chodziłam po ścianach. Wiadomo, że w razie potrzeby cała sztuczka polega na tym, żeby namierzyć kogoś, kto czuje to samo. Kiedy Jan pierwszego dnia lekko wzgardliwie oprowadzał mnie po „Mandarynce”, pilnowałam, żeby nie odrywać uwagi od Steve'a, ale kilka dni później, gdy minęłam go na pokładzie, zauważyłam, że śledzi mnie wzrokiem tak, jak nie robił tego Steve.

Musiałam zacząć na właściwy moment. Nie byłam taka tępa, żeby wszystko spierdolić dla bzykanka, dziwne jednak, że Tristan nie zauważył spojrzeń Jana, który był bezlitośnie pociągający. Szeroki w barach i wąski w talii, z oczami niebieskimi i głębokimi jak fiord, okolonymi gęstymi szarymi rzęsami jak osiołek z kreskówki. *Caevat emptor* – nie narzekałam. Pewnego popołudnia, gdy płynęliśmy przez Arcipelago della Maddalena, zapytałam Steve'a, czy chce wyskoczyć na piknik

– Możemy wziąć tender i popływać z rurką – zachwycałam się.

– Wybacz, skarbie, mam robotę. Weź Trisa.

– Oczywiście. Nie chciałam ci przeszkadzać.

Bez pukania wpadłam do kabiny Tristana. Oglądał na laptopie porno typu gonzo, w samej bieliźnie, skacowany i szary mimo opalenizny. Zdążyłam dojrzeć Jadę Stevens wypinającą swój słynny kulisty tyłek do kamery, zanim zatrzasnął kłapę z irytacją.

– Steve mówi, że możesz mnie zabrać na snorkeling? – mówiłam tonem rozpuszczonej i kapryśnej dziewczuchy, żeby go zirytować jeszcze bardziej.

– Przepraszam, Lauren, nie czuję się na siłach. – Czyli „spierdalaj”. Intrygująca mała próba siły.

– Ale ja naprawdę chcę – wydełam usta.

– Zabierz jednego z chłopaków do tendera.

– Superpomysł! Dzięki! – zaświergotałam radośnie. – Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.

– Pewnie. Do zobaczenia.

Jana zastałam przy szorowaniu pokładu. Zawsze brał udział w pracach porządkowych, był w tym szalenie skandy nawski. Niemniej chyba chętnie przyjął pretekst, żeby rzucić mopa.

– Tris mówi, że zabierzesz mnie na snorkeling. Możesz?

Wstał powoli. Całe metr osiemdziesiąt boskiego ciała.

– Na snorkeling?

– Tak, możesz? Mówi, żeby wziąć tender.

– Dobra. Chłopaki sobie poradzą. Pogadam z nimi i wezmę rzeczy. Będziesz gotowa za dziesięć minut?

– Pewnie. Dzięki.

Gdy odbiliśmy od burty „Mandarynki”, mgiełka morskiej wody prysnęła mi w twarz. Ruszyliśmy wokół cypla jednej z maleńkich nagich wysepek. Jan sterował, ja zaś ułożyłam się na poduszkach i zanurzyłam dłonie w spienionej wodzie. Miałam na sobie dżinsowe spodnie, białą górę od bikini Fernanda i miękko opadający słomkowy kapelusz z rondem obwiązany jedwabnym szalem Pucci w stylu retro. Jan przebrał się ze stroju służbowego w zniszczone bermudy khaki i spraną granatową koszulę płócienną, która podkreślała kolor jego oczu. Wzięłam jeszcze z kuchni butelkę vermentino, korkociąg i garść zmysłowych fig.

– Lubisz jeżowce? – zapytał Jan, przekrzykując silnik.

– Nie wiem.

Zwolnił, tak że silnik teraz pyrkął, i zaczął przeszukiwać wodę za burtą. Mijaliśmy zagłębienia białego piasku, przejrzystość wody zakłamywała głębokość, aż dotarliśmy do grupy skał ledwie wystających ponad powierzchnię, opalizujących od porostów przemiany przez fale niczym benzyna.

– Tu rzucimy kotwicę. – Podobał mi się jego głos, oszczędny, precyzyjny, z lekkim norweskim akcentem. Podobało mi się też, że jest taki oszczędny w słowach.

– Otwórz luk kotwicy.

Niezgrabnie przeczołgałam się na fordek i dźwignęłam kłapę, pod którą znajdowała się kotwica. Jan obrócił łódź.

– Rzuć ją na mój znak Czekał, czekał... Rzucaj!

Patrzyłam, jak kotwica znika w wodzie, pociągając za sobą rozwijający się łańcuch, Jan zaś oddala łódź, aż łańcuch się napiął.

– Świetnie. A teraz możesz spróbować jeżowców.

U jego stóp stał zniszczony płócienny plecak, z którego Jan wyjął maskę, nóż składany i rękawicę z metalowej siatki, zupełnie jak ze średniowiecznej zbroi.

– Włóż maskę. Możesz patrzeć. Umiesz odróżnić samce od samic?

Dziwnym trafem nie umiałam.

– Jadalne są tylko samice. Zbierają małe muszelli i lamyki, żeby się przyozdobić. Stoją się, jak to kobiety. – Patrzył mi w oczy sekundę za długo, po czym zrzucił koszulę i skoczył do wody.

Zdjęłam szorty i dołączyłam do niego. Przez chwilę woda wydawała mi się zimna – w końcu

powietrze było potwornie gorące. Odplynęłam, unosząc się na powierzchni jak rozgwiazda, i patrzyłam, jak Jan nurkuje, wykonując długie ruchy ramionami. Chwytał skałę u podstawy i nożem trzymany przez rękawicę ciął coś wielkiego i czarnego. Następnie się wynurzył, położył to coś na burcie, odetchnął i znowu się zanurzył. Uniosłam głowę, żeby się rozejrzeć. Jeżowiec przypominał złowieszczonego podwodnego jeża, jego kolce drgały w powietrzu. Jan wyciągnął na powierzchnię jeszcze dwa i wyszliśmy z wody po krótkiej drabince przy silniku.

Otworzyłam wino, Jan za pomocą noża zeszkrobał kolce z muszli.

– Zapomniałam kieliszków.

– Nie szkodzi. – Wziął ode mnie butelkę i podniósł do ust. Patrzyłam, jak przełyka. – Trzymaj.

Oczyszczona muszla była piękna, porysowana delikatnymi różowo-zielonymi kreskami. Jan wsunął czubek noża pod spód, rozłupał jeżowca na pół jak mango i ujrzałam ciemnopomarańczowe ciało obramowane czernią.

– Jest bardzo luźny. Weź go w dwa palce.

– Pokaż mi, jak to zrobić.

Wydlubał ciało jeżowca i podał mi. Otworzyłam usta, zamykając oczy.

– Dobry?

– Mm...

Był lepki, słonawy, zmysłowy. Wzięłam duży łyk wina i poczułam, jak smaki łączą się na moim języku. Położyłam się, wystawiając twarz do słońca, ze smakiem surowego mięsa na wargach.

– Jeszcze.

Nakarmił mnie resztą, ja zaś nakarmiłam jego. Później nastąpił delikatny moment, gdy jego twarz znalazła się tak blisko mnie, że widziałam kryształki soli połyskujące na tych absurdalnych rzęsach. Zrobiłam się wilgotna, jeszcze zanim mnie pocałował. Nie spieszył się, jego język znalazł mój, zawinął się wokół niego, natarł, zawinął. Jan opadł na siedzisko za rumplem i spojrzał na mnie.

– Chcesz się teraz różnić? – spytał.

– Tak, chcę się teraz różnić, Janie.

Tyle zwrotów doprowadziło mnie do tego szczególnego momentu. Wiedziałam, że mogę się nigdy nie uwolnić, że ramiona Jamesa nadal się po mnie wyciągają, śmiercionośne jak syrena, żeby zaciągnąć mnie w głębiny. Przez kilka minut czułam się jednak wyzwolona. Czułam, że mogę zatrzymać czas.

Nie odrywając od niego oczu, położyłam się z powrotem na poduszki. Wytrzymując jego spojrzenie, rozwiązałam i zrzuciłam stanik. Opuścił głowę na znak poddaństwa. Rozwiązałam wstążeczki po bokach majtek, zdjęłam je i zrzuciłam na stanik.

– Pokaż mi się.

Powoli, doskonale powoli, rozsunęłam uda. Moja cipka znajdowała się na wysokości jego oczu. Środkowy palec prawej dłoni wsunęłam do ust, po czym przesunęłam nim między piersiami, po brzuchu i między nogami. Gdy wyciągnęłam rękę w stronę Jana, palec był śliski od moich soków. Jan wstał, swobodny na rozkołysanym pokładzie. Miał pięknego penisa, grubego u podstawy, naprężona główka lśniła jak wilgotny jedwab.

– Odwróć się. Chcę zobaczyć twój tyłek

Zanim się odwróciłam na czworakach, na chwilę przypomniała mi się Jada Stevens. Oparł mi rękę między łopatkami i pchnął mnie w dół, tak że przygięłam plecy, jeszcze mocniej się ku niemu wypinając. Wsunął we mnie palce.

– Poruszaj się. Chcę widzieć twoje biodra.

Natarłam na jego dłoń, wykonując ciałem ósemki. Było mi tak dobrze, że mogłabym dojść już teraz. Odwróciłam się i wzięłam do ust koniec jego penisa – wsunęłam go głęboko do gardła i się zatrzymałam. Pulsował. Wciągałam go raz za razem, paznokciami muskając napięte jądra, następnie wypuściłam i spojrzałam Janowi w oczy. Patrzył na swój naprężony członek w moich ustach.

– Zerznij mnie. Chcę, żebyś mnie zerznął.

Ukląkł za mną, jeszcze raz wsadził mi dłoń do cipki, rozchyłając na koniec palce.

– Ruszaj się. Ruszaj pupą. Tak Pokaż mi. To na mnie działa. Tak właśnie się ruszaj.

– Wsadź mi teraz.

Wargami sromowymi chwyciłam czubek penisa, wpuściłam do środka główkę i zastygłam, zaciskając mięśnie.

– Nie ruszaj się – rozkazałam. Odrobinę przesunęłam się do przodu, uwalniając go, po czym ponownie wsunęłam główkę do środka i wilałam się, za każdym razem biorąc go głębiej, aż poczułam jego jądra na wilgotnych wargach.

– A teraz szybciej.

Chwycił mnie za biodra, przyciągnął mocno i zaczął posuwać, dysząc ciężko.

– Rznij mnie. To jest super. Nie przerywaj.

– Podoba ci się. Lubisz mocne rżnięcie?

– Tak lubię mocno. Tylko... nie... przerywaj...

Łódka kołysała się jak szalona, rozbryzgi wody spryskiwały nas oboje. Czułam na plecach ciężar swoich mokrych włosów. Jan je chwycił, odchylając mi głowę, tak że mocniej przygięłam plecy, a jego członek trafił w mój punkt G i zaczęłam dochodzić, błagając, by rznął mnie mocniej, mocniej i mocniej.

– Teraz, ze mną. Dojdź ze mną. Chcę, żebyś trysnął mi do środka.

Gdy szczytował, klepnął mnie w pośladek. To uwolniło mój orgazm, to i krótkie szarpnięcia jego grubego członka, gdy w trzech skurczach wyrzucił we mnie nasienie. Krzyżąc, natarłam na niego cipką, po czym oboje padliśmy na pokład, Jan zaś całym ciężarem spoczął na moich plecach. Rozłożysana łódka nieruchomiała powoli. Później zjedliśmy łąpczywie figi i wypiliśmy jeszcze wina, aż on spytał, czy chcę się znowu bzykać. Chciałam. Tym razem ja byłam na górze, on chwycił mnie za mięśnie po bokach talii, opuszczając mnie na siebie raz za razem. Pieściłam się do orgazmu i położyłam się na nim – jego penis poruszał się we mnie, aż ułamek sekundy dzielił go od wytrysku, wtedy mnie zdjął, ukląkł między moim rozrzuconymi udami i trysnął mi na twarz. Zlizywałam jego spermę z ust. Słonawa, lepka, mineralna. Zasnęliśmy na słońcu, ręką w rękę. Potem musieliśmy wracać już na jacht.

Po tak wspaniałej popołudniówce oboje wiedzieliśmy, bez słów, że nie będzie wieczornego przedstawienia. Byłam pewna, że Jan zachowa dyskrecję. Do końca mojego pobytu na „Mandarynce” ledwie zamieniliśmy pół słowa – i to było piękne.

Rozdział 12

Letnimi wędrówkami ludów przez Morze Śródziemne rządzą zasady równie niepojęte jak tajemnica klucza dzikich gęsi. Wystarczy plotka, że gdzieś się pojawił jakiś celebryta, Kate czy Kanye, a już ciężkie łajby bogaczy kierują się do konkretnego baru czy na konkretną plażę – takich samych jak wszystkie inne. Na tablicy przed wejściem właściciel potraja ceny i przez kilka dni czy przez tydzień klienci pływają się w nietrwałym magicznym pyłe wyimaginowanej sławy, sądząc, że wyłącznie to miejsce jest tym najważniejszym, że właśnie tu powinni przebywać. Następnie plotka znowu przeskoczy po falach i łajby niezdarnie wyruszą w kolejny daremny pościg, zostawiając miejscowym ucztę z resztek.

Tego roku taką chwilową mekką stała się restauracja Giacomo koło Gaety, barokowego nadmorskiego miasta na południe od Rzymu. W dziewiętnastym wieku papież Pius IX po medytacji w złotej grocie kościoła św. Anuncjaty ogłosił dogmat Niepokalanego Poczęcia, Tristan zaś przekazał wieść o naszej rezerwacji na wieczór z nabożną czcią dorównującą tamtemu wydarzeniu. Gdy wspinaliśmy się wyboistymi brukowanymi uliczkami od portu do restauracji, wyczuwaliśmy w powietrzu zdecydowaną tajemniczość. Zanim noc dobiegnie końca, ktoś na pewno zatańczy na stole. Z Giacomo rozciągał się niesamowity widok na zatokę – budynek postawiono tak, że wznosił się wysoko na cyplu ponad miastem, nad urwiskiem ozdobionym kremowymi kwiatami i jaśminu tworzącymi zwiewny dywan upojnego zapachu.

Gdy rozkoszowaliśmy się tatarskim tuńczykiem i grillowanym strzępieciem z fenkulem (jeśli w najbliższym czasie zobaczą jakiegoś strzępieła, niechybnie wbiją sobie widelec w oko), Steve odprowadził mnie na bok, żeby popatrzeć na port i potężną fortecę dawnych królów Aragonii.

– Podoba ci się? – spytał z grzeczności.

– Oczywiście, kochanie. Pięknie tu jest. A tobie się podoba?

– Jasne – odrzekł nieprzekonująco.

Steve nie musiał się przejmować innymi ludźmi, ale ja nie mogłam sobie na to pozwolić. Musiałam wykorzystywać te nieliczne atuty, którymi dysponowałam, co oznaczało wyczuwanie na najdrobniejsze kalibracje tego obcego nowego świata, pozwalające mi zawsze się orientować, gdzie znajdę w nim miejsce dla siebie. Rozglądałam się więc, szukając czegoś, co by ożywiło Steve'a.

– O, jacht Baleńskiego.

Nie trafiłabym lepiej, nawet gdybym oznajmiła, że jest dobra passa na ruble.

– On tu jest?!

– Chyba tak. W każdym razie jest jego jacht. Miałam okazję zobaczyć go w Cannes.

Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby Steve się denerwował, teraz jednak nagle zrobił się ewidentnie niespokojny, kompulsywnie bawił się nieodłącznym telefonem, który służył mu za uspokajacz.

– Chcę się z nim spotkać.

– Dlaczego?

– Nie tutaj. Później, jak wrócimy na jacht.

Byłam zaintrygowana – to było coś nowego w relacjach ze Steve’em, ale milczałam do chwili, kiedy znaleźliśmy się w zaciszu jego sypialni. Gdy w samych majtkach pochyliłam się, żeby rozwiązać platformy od Lanvin, uświadomiłam sobie, że przestałam się przejmować i sprawdzać, czy Steve patrzy na mnie czy też nie. Moglibyśmy być małżeństwem. Wrzuciłam na siebie wyszywaną kurtę Antik Batik i poklepałam kółko obok siebie.

– Dobrze, o co więc chodzi?

– Potrzebuję informacji.

– I ja mam je zdobyć?

Oczywiście miałam je zdobyć. I oczywiście wiązało się to z nielegalnymi działaniami. I nagle, w jakimś olśnieniu, takim samym, którego doświadczyłam w porcie w Portofino, zrozumiałam, że coś mi się wymknęło spod kontroli, gdy dałam się tak nieść bezwolnie kolejnym jałowym dniom. Może psychoterapeuta powiedziałyby, że w ten sposób odwlekałam szok, ale ja wolałam widzieć w tym wcielanie się w rolę. Steve do tej pory o nic mnie nie prosił. Teraz jednak miałby u mnie dług, znalazłby jakiś jego słaby punkt. To był moment przełomowy, szansa na zmianę układu sił. Do tej pory ja w tej podróży byłam pasażerem, ale teraz może poczuje się jak rozgrywający.

– Steve, do cholery! Prosisz, żebym zrobiła coś całkowicie niezgodnego z prawem.

– Co ty powiesz?

Usiadłam wyprostowana.

– Nie, nie zbywaj mnie. Przecież może będę przesłuchiwana, muszę wiedzieć, co mówić. Po co ci ta informacja?

Na jego twarzy odmalowało się znużenie.

– Widzisz... On jest tutaj, we Włoszech, i chciałem... Chciałem coś sprawdzić. Pewną plotkę.

– Jaką?

– Powiem ci, jak już ją sprawdzę.

– Dobra – odparłam ostrożnie. – Na początek on musi się dowiedzieć, że ty tu jesteś. Wrzuc to na Twittera, jeśli trzeba.

– Ale ja nie mam Twittera.

– Świetnie. Niech więc Tris zadzwoni do jego asystentki.

– Ale co ma powiedzieć?

O Boże! Sięgnęłam po swój telefon, otworzyłam Google i wyszukałam Baleńskiego.

– On jest kolekcjonerem sztuki – oznajmiłam, odwracając telefon ekranem do Steve’a. – Tak jak ty – dodałam zachęcająco. – Niech Tris mu powie, że chcesz się z nim skonsultować. To mu pochlebi.

– Genialne!

Nie gadaj, Sherlocku! Wzięłam głęboki oddech i zaproponowałam ulepszenia do planu Steve’a. Żeby wykorzystać naszą transakcję, potrzebovałam wiedzy, nie wspominając o przyńcieniu. Steve był wyraźnie pod wrażeniem rozwiązania, które mu przedstawiłam.

Zastosowaliśmy prosty fortel, ale miałam nadzieję, że okaże się skuteczny. Następnego popołudnia Steve dołączył do mnie w basenie.

– Lauren, masz suknię wieczorową? Taką... Wiesz... długą? – Mieszkałam na jego jachcie od miesiąca i suknia wieczorowa była chyba jedyną rzeczą, jakiej do tej pory nie kupiłam.

– Nie, przy sobie nie mam, kochanie, a co?

– Zostaliśmy zaproszeni na kolację. – Jak zawsze Steve jednym okiem patrzył na notowania Bloomberga na ekranie zainstalowanym nad linią wody. – Obowiązuje strój wieczorowy – dodał pośpiesnie.

– Gdzie ta kolacja?

– Na jachcie Baleńskiego. – Zrobił minę, która w jego pojęciu była niewątpliwie szelmowskim uniesieniem brwi.

Liczy się wynik

– Spotykamy się z nim jutro pod Ponzą.

– Super!

Czułam, jak na pokładzie słonecznym nad nami Carlotta nadstawia uszy – albo pręży cycki, moim zdaniem bowiem jej sutki miały wbudowany czujnik wykrywający z daleka każdego oligarchę. Odwróciłam się i przepłynęłam kawałek na boku, żeby być bliżej Steve’a.

– Mogę coś znaleźć.

– Właśnie, znajdź coś eleganckiego. Niech Tris to załatwi.

Nad relingiem pojawiła się twarz Carlotty.

– Nienawidzę cię – powiedziała bezgłośnie z nadąsaną miną, skazana na romantyczną kolację z ukochanym.

– Szykuj się, kopcuszu! – zawołałam. – To twój szczęśliwy dzień. Idziemy na zakupy.

Jak we wszystkich czarujących rybackich wiosłach mijanych podczas rejsu wzdłuż włoskiego wybrzeża, port w Ponzie, maleńkim skrawku wyspy, na którą Rzymianie przyjeżdżali się zabawić,

niewiele miał już wspólnego z rybakami. Większość starych żółtawych domów staczających się ku morzu zamieniła się w *pied-à-terre* za miliony euro, choć gdzieś tam w oknach wisiało pranie lub w drzwiach stały spoglądające ciekawie staruszki. Może były to aktorki finansowane przez władze, żeby dodać miejscowości kolorytu? I nawet w najbardziej sennej wiosce przy placu stał jakiś butik, czasem były nawet dwa, gdzie kobiety z wędrownego plemienia eurobogaczy mogły wpaść i złożyć ofiarę. Wciągnęłam Carlottę do najbliższego sklepu, na którego wystawie leżały bikini La Perli po tysiąc euro.

– Musisz mieć sukienkę. Dziś wieczorem będziesz dziewczyną Steve’a.

– Masz na myśli trójkącik? – Nie odniosłam wrażenia, że taka koncepcja byłaby dla niej nowością.

Naprawdę wiele mnie kosztowało, żeby nie wznieść oczu do nieba.

– Nie. Tylko na przyjęciu. Nie musisz nic robić poza okazywaniem oddania. Co ty na to?

– A co z Hermannem? Jemu się to nie spodoba.

– Tris to załatwi. Także się zabawi, nic się nie martw.

Carlotta wybrała białą prostą luźną sukienkę do ziemi od Marca Jacobsa, z cieniutkimi ramiączkami. Jej biust przy tych ramiączkach jeszcze bardziej niż zwykle przeczył prawom grawitacji. Z rozpuszczonymi włosami i prostą biżuterią będzie wyglądać jak bogini od Felliniego. Ja dla siebie wybrałam złotą suknię z lureksu, staromodną, z długimi rękawami, bardziej zabudowaną z przodu, za to na plecach wyciętą aż po kość ogonową. Obie znalazłyśmy dla siebie beżowe sandały Gianbattista Valli we wzór węzowy – uznałam, że z okazji stroju wieczorowego będzie nam odpuszczone to kretyńskie ściąganie butów – i dwie torebeczki Fendi, również w węzowy deseń, szmaragdowo-srebrną dla Carlotty i różowo-złotą dla mnie. Carlotta patrzyła z uznaniem, jak odliczam ponad siedem tysięcy euro pięćsetkami.

– Ten Steve to cię naprawdę lubi.

– Może.

– No, mniejsza o to.

Przed powrotem na „Mandarynkę” zaszłyśmy do jakiejś knajpki, gdzie pochłonęłyśmy dwie *pizzette* i *gelato affogato*, lody pływające w baileysie i espresso. Carlotta chwyciła fałd skóry nad łokciem.

– Wiecznie chodzę głodna. Hermann nienawidzi, jak jem, ale dwie krewetki i kawałek arbuza to przecież nie jest lunch, prawda? Na starość się, kurwa, roztyję, że aż pęknę.

Gdy wieczorem wsiadaliśmy do tendera, Carlotta wczuła się w rolę. Trzymała Steve’a pod ramię i poprawiała mu kołnierzyk. On w smokingu wyglądał naprawdę przystojnie, choć w ostatniej chwili przekornie zrezygnował z muchy. Syknęłam do Carlotty, żeby zdjęła pierścionek zaręczynowy. Posłusznie wrzuciła go do torebeczki. Pomyślałam, że pewnie chętnie cisnęłaby go

do morza, gdyby jej dzisiejsza rola miała jakiegokolwiek szanse na urzeczywistnienie. Tristan dyskretnie zabrał Hermanna na wyprawę nurkową – nocne nurkowanie w jakichś słynnych niedostępnych grotach, w czym Carlotta, niestety, nie mogła wziąć udziału, ponieważ nie miała certyfikatu nurkowego. Może sama coś takiego zrobić?

– A słyszałaś, co się stało w zeszłym roku w grotach na Capri? Z tym ojcem i synem? Utknęli i ojciec musiał zdecydować, czy zostawić syna i ratować siebie, czy też umrzeć razem z nim, więc...

– Boże drogi, Carlotto! – przerwałam jej. – Mam wrażenie, że jestem na wakacjach z Edgarem Allanem Poe!

Patrzyła nierozumiejącym wzrokiem.

– Nieważne – dodałam. – Cudownie wyglądasz. Będziemy się świetnie bawić.

Podróż tenderem trochę nam zajęła, ponieważ jacht Baleńskiego stał kawałek dalej, na głębszych wodach. Nad naszymi głowami majaczyło w mroku pięć pokładów. Jednostka była wielka jak centrum handlowe – tak ogromna, że wpłynęliśmy do środka i zaprowadzono nas do wyłożonej miedzianymi blachami windy, która zawiozła nas na pokład. Odkład wprowadziłam się na „Mandarynkę”, wiele razy zdarzyły mi się takie chwile, gdy chciałam zrobić stop-klatkę, spojrzeć na siebie i przypomnieć sobie z niedowierzaniem, jak włożyłam się z ciężką torbą po peronie stacji Piccadilly. To była właśnie jedna z tych chwil.

Największy pokład był ozdobiony girlandami różowych orchidei owiniętymi wokół relingów i poręczy schodów. Kule silnie woniejących sorbetem różowych róż tworzyły przejście, wzdłuż którego stali kelnerzy z różowym krugiem w butelkach magnum. Nie poczęstowałyśmy się z Carlottą grillowanymi tartinkami z kawioem truflowym i pomidorowym confitem ani maleńkimi porcjami makaronu z sosem z homara. Baleński czekał na końcu tego korytarza, w granatowym jedwabnym smokingu o ramionach podbudowanych poduszkami, co miało zatuszować fakt, że gospodarz jest niemal karłem. Ziemista skóra zwisała z wygładzonego botoksem czoła ozdobionego kilkoma pasmami starannie wkomponowanych, dziwnie kolorowych włosów. „Może to jedyne, czego nie można kupić za pieniądze – pomyślałam. – Choćbyś nie wiadomo ile zainwestował, przeszczepione włosy wyglądają jak katastrofa nuklearna”. Baleński zbliżał się chyba do osiemdziesiątki, ale twarz miał bezwielkowo nikczemną. Pewnie ukrył gdzieś żonę i dzieci, chociaż co śmielsze portale plotkarskie twierdziły, że w swojej odrestaurowanej willi rzymskiej pod Tangerangem wydaje przyjęcia wyłącznie dla chłopców. Uścisnął dłoń Steve’owi z zapalem polityka, po czym pochylił się nad nadgarstkiem Carlotty, którą Steve mu przedstawił. Ja trzymałam się z tyłu – dodatkowa przyjaciółka – dopilnowałam jednak, żeby się trochę obrócić, tak aby przy powitaniu gospodarz zauważył moje nagie plecy.

– Dziękuję państwu za przyjęcie. Miło mi bardzo.

– To ja dziękuję za zaproszenie. Cudowne kwiaty.

Wzrokiem już podążył gdzie indziej. Odsunęłam się, żeby mógł przywitać następnych gości. Za plecami Baleńskiego w cieniu schodów stało dwóch potężnych mężczyzn, klasycznych amerykańskich pakerów, w źle leżących czarnych garniturach (dlaczego miliarderzy tak się szczypią z wydatkami na garnitury ochroniarzy – przecież porządny krawiec umie je tak skrócić, żeby można było ukryć broń), ze skrzyżowanymi dłońmi i słuchawkami w uszach. Na ich widok poczułam, jak rozkosznie lodowata pieszczota adrenaliny wpływa do moich żył niczym pierwszy łyk doskonałego martini.

Wycofałam się w tłum, udając, że macham do jakiegoś znajomego, aż zniknęłam z zasięgu ich wzroku, po czym dyskretnie spytałam jednego z kelnerów o toaletę. Odprowadził mnie powoli do schodów i dalej korytarzem ozdobionym repliką muralu Jeana Cocteau z Villefranche-sur-Mer, przedstawiającego świętego Piotra i rybaków. W końcu otworzył mi drzwi do łazienki. Zamknęłam się w środku i czekałam, aż usłyszę oddalające się kroki. Kelner jednak nie odszedł. Wszędzie łapusie. Policzyłam do sześćdziesięciu, spuściłam wodę i odkręciłam kran, po czym dałam się odprowadzić na pokład, licząc mijane po drodze drzwi.

Dość łatwo było uzyskać plan pomieszczeń na jachcie Baleńskiego. Na mail, który wysłano z biura Steve'a do konstruktora jednostki, sugerujący, że Steve chciałby coś lepszego, ale zależy mu na podobnym rozkładzie, w ciągu kilku godzin otrzymaliśmy w odpowiedzi rysunki techniczne od rozplywających się z zachwytu projektantów. Ponieważ jacht Baleńskiego zaprojektowano zgodnie z jego konkretnymi wymaganiami, mogliśmy mieć pewność, że rysunki odpowiadają rzeczywiście. Salon znajdował się troje drzwi od łazienki dla gości po prawej, w pierwszym korytarzu od schodów.

Na pokładzie zastałam Carlottę wtuloną w ramię Steve'a, który rozmawiał z przysadzistym mężczyzną z diamentowymi ćwiekami w krochmalonej koszuli, koniuszkami palców trzymającym pogardliwą blond nastolatkę jak pudła miniaturkę. Ja nawiązałam rozmowę z jakąś dziewczyną, południowoafrykańską modelką od kostiumów kąpielowych, z którą się poznałyśmy w Marina di Massa. Jak zwykle wymieniliśmy się informacjami, gdzie się teraz udajemy i na jakich imprezach byliśmy. Mnie się podobały jej kolczyki, jej – moje buty.

Nie poddawałyśmy się z Panną Bikini, aż nas zaprowadzono pokład wyżej na kolację. Dzisiejsze przyjęcie należało do skromnych. Choć dekoracje zamówiono na miarę balu debutantek w Crillon, przy stole siedzieliśmy raptem w dwudziestkę. Baleński osobiście rozsadał gości. Ja trafiłam dwa krzesła od niego, Steve z Carlottą zajęli miejsca naprzeciwko mnie. Mężczyzna z diamentowymi ćwiekami siedział po mojej lewej, obok niego, na honorowym miejscu przy gospodarzu, siedziała włoska aktorka i modelka w cekinowej sukni wyciętej do pępka. Widziałam jej twarz na zdjęciach w „Gente”. Miała własną linię bielizny i kiedyś się

spotykała z George'em Clooneyem. Uznałam, że jest płatnym gościem, ponieważ oboje z Baleńskim całkowicie się ignorowali. Po prawej miałam inną dziewczynę.

Panowie toczyli zrywami jakąś rozmowę, gdy podano nam gotowane ostrzygi faszerowane kawiozem, glazurowane przepiórki z paszтетem strasburskim i cielęciny w sosie z tuńczyka z kremem truflowym. Każdy półmisek był udekorowany różowymi bratkami i płatkami złota. Gdy kelnerzy niezgrabnie wymieniali półmiski, zapadały długie chwile ciszy przerywane erupcją wypowiedzi mężczyzn w reakcji na jakąś uwagę Baleńskiego. Przynajmniej siedzieliśmy na krzesłach, nie to, co ci nieszczęśni francuscy arystokraci w Wersalu, którym nie wolno było siadać w obecności króla. Na deser podano *parfait* z płatków róży w wiśniowej galaretkie, ukształtowanej w tak doskonale realistyczny kwiat, że na chwilę się zaniepokoiłam, czy przypadkiem nie jemy dekoracji. Cieszyłam się, że niewiele ode mnie oczekiwano na froncie błyskotliwych konwersacji. Ciche skrobanie łyżką po talerzu odmierzało chwile, gdy będę musiała uderzyć. Tym, co miałam zrobić, rozkoszowałam się znacznie bardziej niż *parfait*.

Gdy kelnerzy serwowali kawę i piramidki z różowych makaroników Ladurée, panowie zaś zapalali cygara, przeprosiłam, że muszę iść do toalety. Dotarłszy do schodów, wzięłam szpilki w rękę, a suknię zawiązałam w węzeł, żeby mieć swobodę ruchów.

Schodziłam, oglądając się, czy nie śledzą mnie ochroniarze, których zostawiłam za krzesłem Baleńskiego. Nie śledzili. Zatrzymałam się, nasłuchując. Kilka razy wspinałam się na palce, niczym tyczkarz szykujący się do rozbiegu, nabierający rozpędu coraz dłuższymi, wilczymi krokami. Pokonałam jeszcze jedne schody w dół i dalej poszłam korytarzem. Wzrokiem odliczałam drzwi: pierwsze, drugie, trzecie, pędziłam niczym pocisk, rozkoszując się gibkością swoich kończyn, euforią drapieżnika. Z tętniącym sercem przystanąłam pod właściwymi drzwiami. Za mną korytarz nadal był pusty. Delikatnie nacisnęłam klamkę i znalazłam się w środku.

Kabina była wyłożona białą wykładziną, na łóżku leżały stopy białych lisów. Na pewno staruszek ich potrzebował – panował tutaj nieziemski ziąb. Z podkręconą do maksimum klimatyzacją pomieszczenie przy pominało luksusową kostnicę. Jedne drzwi obok łóżka prowadziły do łazienki, drugie do garderoby ze starannie ustawionym rzędem butów Rumpelsztyka wyposażonych w modelowaną wkładkę do zamaskowania mikrogo wzrostu. W głębi garderoby znajdowały się następne drzwi, które widziałam na planach. Prowadziły albo do biura, albo do skarbcza. Znowu delikatnie nacisnęłam klamkę, trochę się spodziewając, że z judasza wychynie szpilak do lodu. W niewielkim gabinecie zastałam tylko małe biurko i rząd ekranów, takich jak na „Mandarynce”. Chwycałam przy gotowanej nokię z przedpłaconą kartą, choć ręce tak bardzo mi się pocily mimo panującego tu chłodu, że się bałam, że ją upuszczę. Poruszyłam myszką i ekrany się rozświetliły.

Piłka nożna. Cholerna piłka nożna. Steve będzie zawiedziony. I tak jednak sfotografowałam ekrany, po czym zrobiłam zdjęcia przedmiotów leżących na blacie biurka – stos rachunków, pudełko na cygara, pod nim jakieś notatki, egzemplarz „Spectatora” ze stroną zagiętą na kolumnie o winach. Powinnam zajrzeć do szuflad? Może są chronione alarmem, Baleński zaś trzyma gdzieś tutaj pewnie osobistego rekina ludojada specjalnie dla wścibskich gości. Stałam na czymś bosą stopą – kartka A4 z taniego notatnika. Szybko ją zwinęłam i wsadziłam za gumkę majtek Fifi Chachnil. Gdy próbowałam obciągnąć z powrotem sukienkę, usłyszałam głos. Męski. Mówiący po rosyjsku. „Cholera! Co ja wyrabiam? Czy niczego się nie nauczyłam przy sprawie Stubbsa?”

Przez głowę przetoczyły mi się jakieś szalone obrazy. Baleński jako bohater starych filmów, ze złożonym karabinem maszynowym, ze swoim złośliwym, wrednym spojrzeniem, gdy odbiera nagrodę za dobroczynność, stos ciał przy drodze, ofiar wojen, o których części ledwie czytałam. Baleński nie był postacią z komiksów, był człowiekiem z krwi i kości. To wszystko się działo naprawdę. Nie zdążyć mrugnąć okiem, a jego zbiry chwycą mnie za kark i rzucą za burłę. Jeśli choć cząstka plotek o ich szefie była prawdą, mieli wprawę w takich rozwiązaniach. Mało to słyszałam o utonięciach nawalonych dziewcząt? Zamarłam. Usiłowałam nie oddychać, ale dygotałam, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w brzuch. Objęłam się ramionami i na chwilę zamknęłam oczy, próbując opanować strach.

„Myśl, Judith! Myśl” Nie miałam gdzie się schować, chyba że w szafce pod biurkiem. Rozglądałam się jakszalona, sprawdzając, czy nie ma tutaj kamer. Wykładzina w sypialni tłumila kroki, ale usłyszałam, że otwierają się drzwi łazienki. „Kurwa, kurwa, kurwa”. Lepiej, żebym była w garderobie niż w gabinecie. Zaryzykowałam, wpadłam do niewielkiej garderoby, gdy ochroniarze zagłędali do otworu odpływowego. Zaraz tu będą. Zerwałam z siebie majtki i wepchnęłam je do torebki, kartkę wpychając do pustawej paczki z papierosami.

Gdy pierwszy ochroniarz otworzył drzwi, zastał mnie nagą, wyłącznie w sandałkach Valli.

– Kochanie! – krzyknęłam, wpadając w czarny przestwór jego klatki piersiowej. – Och, sądziłam... Och! O mój Boże! Przepraszam bardzo!

Patrzyliśmy długo na siebie. Nie odwróciłam wzroku, choć przyszło mi to z trudem. Jeśli się uśmieje, przeżyję. Jeśli nie, byłam gotowa błagać za wszelką cenę. Powiedział coś i dołączył do niego ten drugi, obaj mieli ten sam trupio znudzony groźny wyraz twarzy.

– Co pani robi w sypialni pana Baleńskiego?

– Czełam na pana Baleńskiego – odpowiedziałam wyniośle, na ile się dało, co nie jest łatwe, gdy człowiek ma na sobie wyłącznie osiemnastocentymetrowe szpilki.

– On kazał pani tu przyjść?

– Niezupełnie. Chciałam... chciałam mu zrobić niespodziankę.

Ten drugi przetłumaczył moje słowa pierwszemu. Obaj się roześmiali. Po raz pierwszy od

wielu lat zaczęłam oddychać.

– Pani nie wolno być w sypialni pana Baleńskiego.

Chwała Bogu, byli grzeczni. Pewnie takie rzeczy nieustannie się wydarzały.

– Ma pani telefon?

Otworzyłam torebkę i podałam mu iPhone'a, niewinnego jak dziecko.

– Oczywiście.

Znowu powiedzieli coś po rosyjsku, po czym znowu odezwał się ten drugi.

– Sprawdź aparat. Pani tu z nim zostaje. Jak telefon OK, nic nie mówimy panu Baleńskiemu.

Dobra, pani? Pani otworzy telefon.

Wpisałam kod, a on zamknął drzwi. W garderobie było ciasno, ale do tego, co miałam zrobić, nie potrzebowaliśmy dużo miejsca.

Gdy otarłam usta krochmalonym mankietem koszuli marki Turnbull & Asser pana Baleńskiego, włożyłam sukienkę i usiedliśmy obok siebie na łóżku. Po kilku minutach nasłuchiwania klimaty zacji Rosjanin zagaik:

– Podoba się przyjęcie?

– Tak, dziękuję. Bardzo fajne przyjęcie.

Numer dwa wrócił i rzucił mi telefon oraz torebkę. Znowu powiedział coś po rosyjsku, rozpoznałam słowo „szlucha”, czyli dziwka.

– Telefon OK?

– Dobra, OK. – Dlaczego rozmawialiśmy jak na planie *Rodziny Soprano*?

– Pani wraca na przyjęcie. Niegrzeczna dziewczyna! – Pogroził mi palcem.

Po dwóch minutach byłam z powrotem na pokładzie, z uporządkowanymi włosami i tętnem w normie. Poprosiłam kelnera o brandy Alexander, żeby pozbyć się smaku z ust. Podeszłam z kieliszkiem do relingu i przez chwilę wpatrywałam się w fale. Wiele można powiedzieć o prześladowaniu w dzieciństwie. Ostatecznie, co potwierdza triumfalnie każdy smętny pamiętnik, wybór padł na ciebie dlatego, że jesteś wyjątkowy. Żyjesz w izolacji, ale stajesz się niezniszczalny. Tego akurat nauczyłam się na własnej skórze – lekceważenia dla szepcanych drwin, nawet czerpania z tego jakiejś przyjemności, ponieważ mówiłam sobie, że dzięki temu jestem inna, aż wreszcie sama w to uwierzyłam. Może terapeuta wyciągnęły to ze mnie, wiedza o bólu stała się bowiem z czasem źródłem buntu, źródłem – choć z zakłopotaniem wypowiadałam to słowo nawet w myślach – siły. Umiałam znieść rzeczy, które innych przerastały, a to oznaczało, że sama jestem w stanie je robić. Zrobiłam to i czułam niesamowitą ulgę.

Mogło być zresztą gorzej. Co by było, gdyby bandzior chciał mnie zerznąć? Nawet jeśli miał fiuta tak małego, jak miał zapewne jego szef, nie wiem, czyby się zmieścił z drugą komórką, którą tam wcześniej schowałam.

Rozdział 13

Podobnie jak emocje, poczucie humoru nie należało do najmocniejszych atutów Steve'a, ale nawet on dostrzegł zabawne aspekty całej sytuacji. Nie mogłam mu tego oczywiście opowiedzieć, dopóki Carlotta nie wróciła opornie do bólu Hermanna, wtedy położyliśmy się na łóżku Steve'a i śmialiśmy się tak, że mało się nie posikałam.

– Zapamiętaj sobie! – dyszałam. – Nie można mi zarzucić, że nie jestem zdolna do poświęceń.

– Umyłaś ją?

– Faj! Oczywiście! Ależ masz u mnie dług!

– Dobra jesteś, naprawdę. Że pomyślałaś o dwóch telefonach. On niczego nie zauważył.

– Gdyby znaleźli ten telefon, w ogóle sobie nie wyobrażam, co Baleński by zrobił z nami wszystkimi. Oni się nie certolą.

– Uwierz mi, jestem ci bardzo wdzięczny. – Nie był wdzięczny, był niecierpliwy.

Poszłam pod prysznic, podczas gdy Steve podłączał telefon. Kiedy wróciłam, oglądał na monitorze zdjęcia notatek spod pudełka z cygarami, obracał je i powiększał.

– Masz coś?

– Nic. – Usłyszałam w jego głosie irytację, co mnie zaniepokoiło.

– Sfotografowałam wszystko, na pewno. Na monitorach miał tylko letnie transfery Premier League.

– To same śmieci.

– Nie ty nadstawiałaś łarku przed Waligórą.

– Przed kim?

– Mniejsza o to.

– Nieważne, Lauren. Kurwa! – Sięgnął po telefon. – Muszę teraz podzwonić.

W jego głosie pojawił się twardy ton, pierwszy raz taki słyszałam. W ogóle nigdy do tej pory nie widziałam u Steve'a tyle ekspresji. Może pieniądze oznaczały dla niego tylko grę, ale była to gra, którą on chciał wygrać.

– Zaczęłam, mam jeszcze taką jedną kartkę. Zaraz ci ją dam.

Wysypałam na narzutę zawartość torebki Fendi. Fajki, zapalniczka, błyszczący grzebień, miętówki, czarne jedwabne majtki i zmięta kartka, którą w pośpiechu wepchnęłam do paczki papierosów.

– O, masz.

Steve przejrzał ją powoli, wówczas napięcie zniknęło z jego twarzy.

– Lauren, jesteś, kurwa, geniuszem. Skąd to masz?

– Leżała na podłodze przy biurku. Uznałam, że nie zauważy jej braku, przecież sprzątaczką mogła ją podnieść. Co to jest?

Oczywiście już tę kartkę przeczytałam. Nazwisko, data za dwa dni i pytajnik nakreślony długopisem.

– Rivoli. Grupa hoteli. Staje do przetargu. Teraz już naprawdę muszę wykonać kilka telefonów. Dzięki, laleczko. – Steve wyszedł, wołając Tristana.

Cały ten absurd rodem z tandetnej powieści kryminalnej z powodu wykorzystania poufnych informacji. Gdybym nie orientowała się w karach za takie rzeczy, nie byłabym w stanie zrozumieć, czym Steve się tak ekscytuje. Jeśli jednak nie pójdzie do więzienia, zarobi pokaźne pieniądze. O ile zamierzałam go poprosić o jakiś procent, w tej chwili mógł dla mnie zrobić coś jeszcze. I dobrze było wiedzieć, że nawet finansowe tuzy tego świata są tak prymitywne, jeśli chodzi o brudne małe sekrety.

Gdy „Mandarynka” stała u brzegów Ponzy, znalazłam coś jeszcze – nekrolog Jamesa. Opublikowano go w wydaniu internetowym „Timesa”, bez zdjęć, pewnie przez wzgląd na uczucia rodziny, ale podano w nim nazwisko żony: Veronica Rhodes. Jak Cecil. Nigdy nie poznałam nazwiska Jamesa. Miał inicjały JR, jak ja. Może to znak? W nekrologu padały nazwy rozmaitych organizacji charytatywnych, na którełożył, banku, dla którego pracował. Napisano również, że kiedyś grał w Harrow na Lord’s Cricket Ground, czego zupełnie sobie nie wyobrażałam. Dodano, że zostawił córkę Florę i że za miesiąc zostanie odprawione nabożeństwo żałobne. Miał sześćdziesiąt trzy lata, czyli osiągnął całkiem dobry wynik. Poinformowano ponadto, że zmarł na atak serca podczas podróży służbowej, ale coś mi dawało spokój. Zamknęłam się w łazience i wyjęłam reklamówkę Loro Piana, w której trzymałam rzeczy osobiste. Pieniądze wsadziłam do papierowej torebki śniadaniowej. Z tego co zostawił James, miałam jeszcze jakieś osiem tysięcy euro, plus to, co zaoszczędziłam na wyprawach na zakupy, dobrych kilka tysięcy. Co pewien czas dokonywałam drobnych wypłat ze swojego konta, na niewielkie sumy, żeby podtrzymać wrażenie, że jestem na wakacjach, ale przecież nie mogłam zostać na tym jachcie na zawsze. Steve najwyraźniej miał już trochę dość zajęć rekreacyjnych i ciągnęło go do wielkich pieniędzy. Mogłam jeszcze przez kilka miesięcy unikać banku, aż znajdę jakąś pracę, ale gotówka nie wystarczy mi na długo, nie w Londynie. Musiałam także wziąć pod uwagę to, że w świecie sztuki nie znajdę łatwo pracy, skoro jednego z największych londyńskich specjalistów nazwałam pizdą.

Musiałam jak najszybciej wpłacić te pieniądze na konto. Angielski bank odpadał w wypadku takiej sumy – to by wyglądało podejrzanie. Oczywiście mogłam je trzymać przy sobie, ale to również mi się nie podobało. Może to głupie, chciałam jednak, żeby te pieniądze coś znaczyły.

Zawsze sądziłam, że ludziom, którzy wierzą w horoskopy, należałoby odbierać prawa wyborcze, jednocześnie zaś uważałam, że jeśli wszechświat próbuje ci coś powiedzieć, to tylko tępak by go nie słuchał. I nie mogłam znieść myśli, że wróć do mieszkania, do podręczników i okrucich po tostach, i do rajstop suszących się na kabluku od zasłonki prysznicowej.

Gdybym udała się z powrotem do Londynu z zapasem kieszonkowego, które się rozjeździe na czynsz i rachunki, miałabym poczucie kłęski. Już tylko krok dzieliłby mnie od kablówki i pubu w piątkowy wieczór, wiatru na przystanku autobusowym na College Road, tytku kamyczkowego i Tesco, wymiotów w wejściu do Social, butelek składanych w mikrofalówce i zignorowanych dzwonek do drzwi, zapachu zimnego tłuszczu i rothmansów, i upiornego curry, które składały się na mój osobisty bukiet rozpaczy. Wiedziałam, że tymi wszystkimi rzeczami nie należy pogardzać, ponieważ są esencją życia większości osób, a jednak nimi gardziłam i dzięki temu byłam w stanie przetrzymać wszystko.

Musiałam pomyśleć, niespiesznie więc poszłam na pokład. Staliśmy na kotwicy kilka kilometrów na południe od głównego portu – jedyną jednostką w zasięgu wzroku był bajeczny tekowy jacht regatowy z lat trzydziestych, którego właściciele pewnie o takich jachtach jak „Mandarynka” mówili wzgardliwie „plastiki”. Panowała niemal całkowita cisza – słyszałam tylko usypiające skrzywienie kadłuba na falach i dobiegające od brzegu cykanie świerszczy z niższych wzgórz. Carlotta, zde gustowana, miała sjęstę z Hermannem. Steve jak zawsze śleczął nad swoimi ekranami, skupiony niczym alchemik. Woda mieniła się złotem, turkusem, zielenią i była tak przejrzysta, że widziałam ławice maleńkich srebrnych rybek przemykających pod powierzchnią. Skóra mi pulsowała od popołudniowego upału. Zdjęłam kaftan od Heidi Klein i białe bikini Eres, po czym przesłam przez reling na dziobie. Teraz mi się wydawało, że do tafli wody mam bardzo daleko. Łatwo byłoby skoczyć, zanurzyć się w rozkłosnym błękitcie, ale chociaż nikt nie patrzył, nie mogłam sobie pozwolić na niedbałość. Rozpostarłam ramiona, aż poczułam, jak wypełnia mi się klatka piersiowa. Spięłam mięśnie brzucha, wyciągnęłam głowę i wykonałam doskonały skok. Otworzyłam oczy już pod powierzchnią, sól opływała moje gałki oczne, opuszkami palców czułam kryształki, gdy łukiem płynęłam ku powierzchni. Odgarnęłam włosy i brnęłam przez wodę. Morze tuliło moje ciało, przez kryształki soli widziałam jedynie gładką niebiesko-złoto-białą tafle. Nade mną „Mandarynka” rzuciła schludny geometryczny cień na łagodne fale – pokrzepiająca wyspa pieniędzy. Tu było moje miejsce. Musiałam tylko wymyślić, jak tutaj zostać.

Tamtej nocy wybraliśmy się do klubu Billionaire. Nieważne, że kupili go Chińczycy – szliśmy na imprezę do klubu Claudia Briatore. Gdy podeszliśmy do stołu dla VIP-ów, czułam, jak obserwują nas dziewczyny w dziwkarskich butach i sukieneczkach na wążutkich ramionach, udając, że tańczą. Od kiedy nocne kluby wyglądają jak klub ze striptizem? Dziewczyn wszędzie było

mnóstwo: na ławach, na stołach, właściwie zwiślały nawet z żyrandoli. Podrygiwanie tyłoma pośladkami powinno wywołać wstrząs sejsmiczny. Charlotte spojrzała groźnie, gdy od zderzenia z takim awanturycznym tyłkiem Hermannowi mało nie spadły z nosa okulary Oliver Peoples. Steve się nudził – zajmował się swoim blackberry i nawet nie podniósł wzroku, gdy kelner przyniósł szampana. Tristan był wyraźnie spięty – w każdej chwili mógł nastąpić koniec laby. Dotknął ramienia Steve’a, wskazał dwie wijące się w pobliżu olśniewające czarnoskóre dziewczyny z niemożliwie wąskimi taliami i tyłkami, które zaczynały się zaraz pod łopatkami. Steve z irytacją pokręcił głową. Nie można było rozmawiać przy tej muzyce, wychyliłam się więc i wydarłam się Steve’owi do ucha:

– Kochanie, bardzo cię przepraszam, ale strasznie mnie boli głowa. Odstawisz mnie na jacht?

Steve nie miał natury dżentelmena, ale widziałam wyraźnie, że nie jest zainteresowany imprezą, gdy więc wstał, dostrzegłam wyraz wdzięczności w oczach Tristana. Wziął mnie za rękę i trzymał w swojej gładkiej suchej dłoni całą drogę aż do samochodu, ja zaś mimowolnie poczułam falę triumfu, gdy odjeżdżałam z moim łupem.

Przyrządziłam tanqueray z tonikiem, plasterkiem cytryny starannie natarłam brzeg kieliszka i zniosłam drinka Steve’owi, który leniwie przeskakiwał po kanałach z wiadomościami na wielkiej plazmie.

– Jaktwoja głowa?

– Świetnie, naprawdę. Tam po prostu chyba panował za duży zamęt.

– Tak, wiem, o czym mówisz.

Przez chwilę oglądaliśmy CNN. Nie było sposobu, żeby jakosć subtelnie rozpocząć tę rozmowę, choć przecież subtelność nie była mocną stroną Steve’a.

– Steve?

– Tak?

– Tak sobie myślałam... Byłeś dla mnie taki niesamowity. Ta podróż, zakupy – wszystko. Chcę ci podziękować. – I naprawdę chciałam, nie żartowałam.

Wyraźnie się zaniepokoił. Położyłam mu rękę na ramieniu.

– Nie w taki sposób. Myślę... Jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda?

– Pewnie.

– Mam więc taki pomysł...

Dzięki niewyobrażalnym machlojkom kapitałowym w Londynie nauczyłam się tyle, że byłam w stanie palnąć przekonującą mowę. Wyjaśniłam, że chciałabym otworzyć własną galerię, ale problemem były pieniądze, taka niezręczność. Czy Steve mógłby mi pomóc na początek? Jeśli osiągnę zyski, mogę kupować dla niego. Rozmawialiśmy tyle o jego kolekcji, że wiem, jaki ma gust, mam dobre oko i orientuję się, jak te sprawy załatwiać korzystnie dla jego podatków. Nic tak

bogaczy nie rajcuje, jak perspektywa zaoszczędzenia na podatku całkowicie dla nich nieistotnej sumy.

– Gdzie chcesz je wpłacić?

Zawahałam się.

– Wiesz, to naprawdę drobiazg. Może jakieś dziesięć tysięcy... I myślałam o Genewie.

Tak się składało, że minimalny depozyt wymagany w niewielkim i nieszczerze dochodowym banku prywatnym o nazwie Osprey wynosił właśnie dziesięć tysięcy. Sprawdziłam to na swoim laptopie w portowej knajpce.

– Mam mieszkanie w Genewie.

– Super. Możemy tam pojechać?

– OK.

– Tak po prostu, OK?

– Pewnie. Tris to rano załatwi. I tak już mam, kurwa, dość tego wszystkiego.

Usiadłam mu okrakiem na kolanach i się przytuliłam.

– Steve, kocham cię. Będzie cudownie, obiecuję!

Trzymał mnie na długość ramienia, patrząc mi w oczy.

– Pewnie, Lauren.

Oczywiście słyszał to już wcześniej. Nigdy nie będzie miał pewności, czy kobieta wypowiada te słowa zgodnie z prawdą. Wytrzymałam jego wzrok. Może przez tę jedną chwilę każde z nas czuło się człowiekiem.

– Och, przepraszam was!

Carlotta.

– Nie szkodzi – wyczułam, że Steve nie ma żalu za to nieporozumienie. Zostawiłam go, żeby oglądał drugą połowę *Matrixa*, i poszłam sobie poszukać dobrej dziwki mniej więcej jakości tych zdziw w Billionaire.

Lot z Sardynii do Szwajcarii był moim pierwszym zetknięciem z klasą biznes. Był to również mój pierwszy raz w samolocie – europejskie podróże odbywałam zwykle pociągiem. Steve wybierał się do Stanów, Tristan zaś zabrał jacht do portu w Genui. Jeśli się złościł na mnie za skrócenie darmowego rejsu, to miał tyle rozumu, żeby tego nie okazać. Poza tym przez kilka dni mógł poudawać, że jest właścicielem „Mandarynki”. Zostawiłam mu odręczny liścik z podziękowaniem i trzysta euro dla załogi, wcisnęłam wszystkie lupy do toreb, pożegnałam się z Carlottą i Hermannem, którzy grzecznościowo wyrazili nadzieję, że zobaczą mnie na swoim ślubie. Poprosiłam, żeby bilet powrotny zabukować mi do Rzymu. Głupio byłoby go nie zobaczyć, skoro nadarzała się okazja.

W samolocie nie rozmawialiśmy dużo. Jeśli Steve nie omawiał swojego majątku, konwersacja

sprawiała mu trudność. Pewnie dlatego ciągle coś kupował. Podobały mi się przestrzeń i skórzane fotele, a także wyjątkowo promienne uśmiechy stewardes Al Italia z włosami ułożonymi w lśniące koki. Na Stevie nie robiło to wrażenia, ale on następnego dnia wsiadał do własnego samolotu. Jeśli czeokolwiek mu nie zazdrościłam, to mieszkania. Kiedy do niego weszliśmy, byłam w stanie myśleć wyłącznie o tym, że Bóg niestrudzenie okazuje wzdargę dla pieniędzy.

– Kupiłem to w zeszłym roku. Wcześniej miałem dom nad jeziorem, ale uznałem, że apartament bardziej do mnie pasuje. Wystrój robił Alberto Pinto.

Zastanawiałam się, czy w Carrarze w ogóle został jakiś marmur w chwili, gdy Alberto skończył prace. Rozejrzałam się trochę, podziwiając. Wszystkie powierzchnie niepokryte czarnym, białym czy złotym marmurem były wykończone lakierowanym szagrynem. Łazienka wyglądała jak papierosnica Oscara Wilde’a.

– Robi niesamowite wrażenie – powiedziałam, robiąc poważną minę, a jednocześnie zastanawiając się, dlaczego nowobogaccy zawsze mają taki odrażający gust. Może to tylko kwestia epoki – co w tym stuleciu jest małabryczną ostentacją, w następnym będzie bezcennym barokiem.

– Większość dzieł sztuki znajduje się w gabinecie – powiedział Steve, naciskając przy cisku, który otworzył drzwi udające panel z macicy perłowej. Kryjący się za nimi pokój był większy niż moje całe dawne mieszkanie w Londynie. Z jednej całkowicie przeszklonej ściany roztaczał się widok na raczej smętną Genewę. O tym, że jest to gabinet, można się było przekonać po książkach, przynajmniej trzech – francuskich powieściach z lat sześćdziesiątych wyłożonych na dziewiętnastowiecznej podstawce pod umywalkę, jedynym ładnym meblu w tym mieszkaniu. Ile Alberto policzył za to, żeby jeden z jego asystentów rozgiął okładki? Spojrzałam na obrazy. Tracey Emin – jest, Damien Hirst – jest, i jeszcze jeden wielki Jackson Pollock – jest, Julian Schnabel – jest. Żadnych niespodzianek.

– Co o tym myślisz?

Patrzyłam na betonowy nagrobek niczym stela z epoki brązu, w którym wycięto barczystego młodego mężczyznę w krzykliwym garniturze, z wyraźnie wyeksponowanym roleksem – w prawej ręce trzymał uzi równie niedbale, jak sto lat temu jego rówieśnik trzymałby szpicrutę.

– To jest niezłe. Kwintesencja wizerunku zawiadłki. Czy je to?

– To prawdziwe. Prawdziwy nagrobek. Rodzina tego gościa sprzedała go artyście. Nazywał się Leni Krawczenko?

Czyli tylko smutne, szydercze i tanie.

– Masz kilka ładnych rzeczy. W coś takiego właśnie – wskazałam pomnik młodego gangstera – mógłbyś się zaangażować. Myślę o bloku wschodnim, może o Chinach. Jako inwestycja nie są może takie pewne, ale za to bardziej interesujące. Błysłotliwe, ambitne. – Takie jak ty, Steve.

On już kierował wzrokiem ekranom w salonie. Sztuka sztuką, ale trzeba się zabrać do pracy.

– Pewnie, fajnie by było, jak już uruchomisz swój biznes – odpowiedział nieprzytomnie.

Zasugerowałam, że na pewno ma dużo pracy, może więc wróciłabym po niego po lunchu? Chciałabym obejrzeć miasto. On już cały szczęśliwy zapadł w swój fotel za biurkiem i odkręcał kurki światowych zasobów finansowych, ale nie zapomniał i mnie odstąpić ich kawałka ze srebrnego klipsa wyjętego z tylnej kieszeni spodni. Ładnie się więc zmyłam i znalazłam taksówkę, żeby zabrała mnie do celu, gdzie mogłam zadać kilka pytań, po czym na małe zakupy i *croque monsieur* w knajpce nad jeziorem, w otoczeniu kobiet w nikabach, ich brzuchatych potomków i mężczyźni stukających w telefony bez chwili przerwy, w zielonym cieniu wyniosłych Alp.

Uświadomiłam sobie, że nie wiem w gruncie rzeczy za dużo o sztuce współczesnej, ale nie uważałam, że z tego powodu powinnam się ograniczać. Po pierwsze dlatego, że niewiele było tej wiedzy, po drugie dlatego, że nikt, kto tę sztukę kupował, również za dużo o niej nie wiedział. Cały sekret polegał na tym, żeby śledzić trendy, rozpracować, co będzie przebojem, kiedy twój klient zechce sprzedawać. Instytucja mecenasa kupującego dzieła sztuki ze względów estetycznych sięgała Grand Tour, mnie zaś dopisało niewiarygodne szczęście, że przekonałam Steve'a, że wiem, jak kupować. Chociaż jego gust należał do mało wyrafinowanych. Po całej mojej poważnej pracy dla Ruperta w ciągu trzech lat spędzonych w British Pictures wydawało się to degradacją, ale bywało gorzej. Wystarczy przytoczyć przykład mojego dotychczasowego życia. A jeśli się okaże, że umiem to robić, że naprawdę umiem to robić, to mam szansę zostać kimś – zostać osobą, z którą zawsze się identyfikowałam w marzeniach.

Po powrocie do mieszkania przebrałam się w jeden z moich nowych nabytków – beżową sukienkę koszulową od Stelli McCartney z futerem Hermès we wzorek z różowo-pomarańczowych zegarków. Kupiłam zwykłą skórzaną kopertówkę do noszenia gotówki, nie chciałam wyciągać jej z torby papierowej. Steve miał na sobie zwyczajne dżinsy, polo i buty Nike. Trzymał mnie za rękę w taksówce jadącej do banku, chociaż drugą nie przerywał pracy na blackberry.

Kiedyś wysłano mnie do Hoare's – prywatnego banku na Fleet Street – żebym spieniężyła czek dla Ruperta, spodziewałam się więc i tutaj przybytku tej właśnie miary: okazałych filarów, starych obrazów olejnych, portiera w białych rękawiczkach. Osprey wyglądał jak każde zwyczajne biuro, nie jakiś nobliwy hotel. Tylko hol, winda i dyskretna tabliczka przy dzwonku, kanapa, chłodzona woda i przedpotopowy faks. Steve zaskakująco dobrą francuszczyzną wyjaśnił krótko, że musi otworzyć konto osobiste dla nowego pracownika. Gdy tylko podał swoje nazwisko, widziałam, że bankowiec zaczął się ślinić. Zaprowadzono nas do jeszcze mniejszego pomieszczenia, dosłownie boksu ze stołem i z trzema krzesłami pospiesznie tu doniesionymi, ja pokazałam paszport, oni przynieśli dokumenty.

– Proszę tu tylko podpisać, panno Rashleigh, i tu, i tu. – Przesunęłam kopertówkę, a bankowiec przejął ją z bolesnym uśmiechem, jakbym mu podawała brudną pieluchę. Rzeczywiście, z gotówką pewnie nikt się w Genewie nie obnosił, chociaż gród ten powstał właśnie na niepewnych pieniądzech. Bankowiec wcisnął guzik pod białym i po dokumenty przyszła smułka dziewczyna w czarnym garniturze. Posługiwała się dłonią, jakby były to srebrne kleszcze. Widziałam, jak patrzy na Steve'a, i na chwilę położyłam mu rękę w pasie. Minęło kilka minut, w trakcie których pan bankowiec ośmielił się zapytać, jak mi się podoba Genewa, potem dziewczyna wróciła z wiotką już kopertówką i książeczką bankową z moim nazwiskiem wydrukowanym na okładce zapewne jakąś czarodziejską metodą.

– A jaki adres do korespondencji pani sobie życzy?

„Kurwa. O tym nie pomyślałam”. Raczej sobie nie wyobrażałam, że wyciągi z konta szwajcarskiego banku pojawiają się na stole Koreanek

– Och... w tej chwili właśnie szukam mieszkania – wydusiłam słabo.

– Oczywiście, proszę pani. Ale będzie pani bywać w Genewie? – pomagał mi ze wzrokiem utkwionym w potencjał Steve'a.

– Tak naturalnie. Targi Art Basel i tak dalej...

– Możemy się więc umówić tu, w Osprey. Numerowana skrytka, klucz ma tylko pani. Wyłącznie do korespondencji, rozumie pani. Nasi klienci cenią sobie to rozwiązanie, jeśli dużo czasu spędzają w podróży.

Podobało mi się to. „W podróży” – jak Holly Golightly.

– To rzeczywiście bardzo wygodne rozwiązanie, bardzo panu dziękuję.

– A więc jeszcze tylko jeden formularz, proszę pani. – Wrócił czarny garnitur, podpisałam. Steve prawie nic nie zauważył, ciągle pisał.

Z klasy biznes ponownie skorzystałam po południu tego samego dnia, lecąc do Rzymu. Odmówiłam kieliszka szampana ze znużoną miną doświadczonego konsumenta luksusów, co ewidentnie mi się bardzo podobało. Moje pożegnanie ze Steve'em było niezręczne, choć raczej tego tak nie odczuł. Mimo że nie do końca miał pojęcie, co właściwie dla mnie zrobił, był nadzwyczajnie miły. Gdyby więc chodziło o jakiegokolwiek innego mężczyznę, pożegnałabym go płomiennie na jednym z wybranych przez Alberta prześcieradeł Pratesi, ale wiedziałam, że lepiej tego nawet nie sugerować. Niemniej „dziękuję” wydawało się niewystarczające, ale nic innego zaoferować mu nie mogłam, przynajmniej nic, co bym umiała wyjaśnić, a co on by pojął. Gdy ktoś cię dostrzeże, rozumie, wówczas czujesz, że dostajesz dar, niemal miłość, jeśli jednak nawet jakaś część Steve'a pamiętała, jak to jest być przestraszonym dziwakiem, to dawno temu została tak zagrzebana, że nie sposób się było do niej dokopać. Gdybym mu powiedziała, że rozumiem, kim on nie jest, a i tak go lubię, pewnie by się tylko zdziwił. Ograniczyłam się więc do

uścisków i obietnic, które on przyjął równie lekko, jak zapewne wszystkie inne uściski i obietnice, i zostawiłam go niestałym powabom rynków kapitałowych.

Jakiś czas fantazjowałam, co bym mogła zrobić z tymi pieniędzmi, ale to nie trwało długo – dziesięć tysięcy wystarczyłoby na kolację dla sześciu osób w Billionaire, reszty niewiele by jednak zostało. Dzięki zgromadzonym oszczędnościom z kieszonekowego od Steve’a mogłam spędzić kilka miłych dni w Rzymie, pooglądać trochę obrazów, zjeść coś dobrego. Po powrocie do Londynu wyślę kilka setek mojej matce i nie umrę z głodu, dopóki nie znajdę jakiejś pracy w galerii sztuki współczesnej, ostrożnie kupię kilka prac i potem zobaczę. Może za jakiś czas stać mnie będzie na własną kawalerkę, gdy już spłacę kredyt. Może to nieśmiałe początki, ale przynajmniej przyzwoite. Nie musiałam podejmować desperackich kroków, i to mi jakoś pomagało zmierzyć się z myślą, że dostałam od Ruperta wilczy bilet. Będzie dobrze. Miało być nawet znacznie lepiej niż dobrze.

Gdy staliśmy na płycie lotniska Fiumicino, czekając na wolną bramkę, wszyscy Włosi na pokładzie wyciągnęli telefony. Ja zrobiłam to samo i wysłałam esemesa do Dave’a. Wcześniej nie ośmieliłam się z nim skontaktować, na wypadek gdyby coś się działo w sprawie Jamesa, ale teraz uznałam, że to właściwy moment.

Cześć, tu Judith. Za kilka dni wracam. Dasz się zaprosić na drinka? Bardzo mi przykro z powodu tamtej niemiłej sytuacji. Mam nadzieję, że wszystko OK x

Odpisał:

Straciłem przez Ciebie pracę.

Nagle znalazłam się na powrót w Gstaad Club i rozrzęsałam zawilóści niewymownych esemesów jakiegoś chłopaka. Co znaczył jeden całus? A co dwa? Wiedziałam, co znaczy brak całusa. Wściekłość. Dlaczego Rupert miałby zwalniać Dave’a? Przecież to ja go namówiłam, chyba więc nie zasłużył sobie na wyłanie z roboty? Natychmiast wybrałam *zadzwoń do nadawcy*.

– Judith? Czego chcesz? – W tle grał telewizor, ale wyraźnie rozpoznałam w jego głosie ton znużenia i urazy.

– Dave, bardzo mi przykro, nie miałam pojęcia. Zadzwoń do Ruperta i wyjaśnię, że to wszystko moja wina. W życiu bym cię nie prosiła, naprawdę, gdybym sądziła, że może cię to narazić na jakieś nieprzyjemności. Wiem, ile ta praca dla ciebie znaczyła. Rupert nie miał prawa cię zwalniać – dodałam nieprzekonująco.

– Ale mnie zwolnił.

– Bardzo mi przykro.

– Niepotrzebnie. Damy sobie radę. – Przypomniałam sobie żonę Dave’a i, o ile to możliwe, poczułam się jeszcze gorzej.

– Dave, wynagrodzę ci to, obiecuję. A twój kumpel Mike nie może ci pomóc? Może ja...

– Daj spokój, Judith. Zajmij się swoim życiem.

Rozłączył się. Zrobiło mi się niedobrze, jeszcze bardziej niż wtedy, gdy znalazłam ciało Jamesa. Wiedziałam, ile zarabiają ochroniarze, i domyślałam się, że renta wojskowa Dave'a jest pewnie żalosna. Schowałam twarz w dłoniach. Wszystko przeze mnie, przez moją głupotę, zarozumiałość i wścibstwo. Gdy tylko wrócę do Londynu, oddam mu połowę pieniędzy. Później jednak pomyślałam o banku i o czynszu, i o tym, jak się czułam w wodzie na Sardynii, i przypomniała mi się sperma Jamesa w moich ustach, i to, co właśnie mi się udało w Genewie, i wiedziałam, że nie mogę. Po prostu nie mogę.

CZĘŚĆ TRZECIA NA ZEWNĄTRZ

Rozdział 14

Drugi raz był mniej przypadkowy. Chciałam wynająć pokój w hotelu Hassler u szczytu Schodów Hiszpańskich, z widokiem na Rzym, ale – co się dziwić – mimo próby przekupienia recepcjonisty za pomocą stu euro i ujmującego uśmiechu okazało się, że wszystkie pokoje z widokiem były zajęte. Nie było sensu wydawać pieniędzy, żeby oglądać rzymskie mury dostępne z okien pozostałych pokoi, gdy jednak recepcjonista sprawdzał księgę gości, dostrzegłam znajome nazwisko: Cameron Fitzpatrick. Ostatnio widziałam go, jak rozmawiał z Rupertem na tym okropnym przyjęciu Tentisa. Fitzpatrick był marszandem, z którym czasami się kontaktowałam w sprawach naszego działu. Prowadził obskurną galerię w starym stylu w zapomnianym przez Boga, ogrodzonym budynku niedaleko kompleksu Adelphi. Ponieważ wydawał się nieco podejrzany, do tego na policzkach hodował pijacki rumieniec, sprawiał wrażenie, jakby tylko urok osobisty dzielił go od komornika, ale to były tylko pozory. Miał dobre oko do osobliwych, drugorzędnych dzieł sztuki. Myśląc o tym, przypomniałam sobie zeszłoroczny artykuł z gazety o imponującej cenie za autoportret matki Oscara Wilde'a. Zegar za plecami recepcjonisty wskazywał pięć po dwunastej, czyli idealną porę na *aperitivo*. Może warto było się tutaj pokręcić, a nuż na niego wpadnę? Bardzo chciałam się dowiedzieć, czy fiasko Ruperta wywołało jakieś plotki, choć co prawda sama zdecydowanie nie byłam tak ważna w British Pictures, żeby to było prawdopodobne, niemniej teraz, gdy miałam szansę zaistnieć w tym biznesie, Cameron stanowiłby potencjalny kontakt. Może nawet miał jakieś wolne etaty? Poprosiłam recepcjonistę, żeby dał mi znać, jak się pojawi *signor* Fitzpatrick, i wyszłam na taras na tyłach hotelu wypić kieliszek prosecco i pooglądać ludzi. Pół godziny później doszłam do wniosku, że Cameron się chyba nie pojawi, i już szłam do wyjścia, gdy usłyszałam, jak ktoś mnie woła.

– Judith Rashleigh? – W akcencie brzmiała kojąca nuta irlandzkiej dobroduszości. Cameron był wielkim, ciężkim mężczyzną o gęstej czuprynie włosów w kolorze ławy, atrakcyjnym jak na heteroseksualnego faceta w świecie sztuki.

– Cameron! Jaka miła niespodzianka! – Uznałam, że nie muszę wspominać, że czaję się tutaj w nadziei, że go spotkam.

Podeszłam do niego, nadstawiając policzek do obowiązkowego obecnie wielkomiejskiego całusa, i niezręcznie skinęliśmy sobie głowami, jak przy stało jednak na londyńczyków.

– Właśnie się melduję. A ty tu mieszkasz?

– Niestety, nie. Ale Rzym w sierpniu? Na pewno przyjechałeś w interesach. Jak tam twoja

galeria?

Gawędziliśmy kilka chwil, podczas gdy on zajmował się podawaniem paszportu i karty kredytowej. Do Rzymu sprowadziło go spotkanie z klientem. Szybko poradziłam sobie z informacją, że odeszłam z British Pictures – nie wyobrażałam sobie, że Rupert i jego kompania poświęcają mi tyle uwagi, żeby komukolwiek mówić o mnie coś nie milego, ale lepiej było nie sprawić wrażenia, że coś ukrywam.

– Zatrzymałaś się tutaj?

– Nie, u przyjaciół. U de Grecich.

Powiedziałam to takim tonem, jakby powinien ich znać. Chodziłam do college'u z Franceskiem de Grecim. Raz się dymaliśmy. Jedna z florenckich ulic nosiła nazwę na cześć jego rodziny.

– Cudownie. – Chyba to lyknał. Udałam, że zbieram się do wyjścia. – Przyszłam tu coś odebrać. Miło więc, że się spotkaliśmy.

Wahałam się, wiedząc, że zaprosi mnie na lunch, gdy zaś mnie zaprosił, udawałam zaskoczenie, spojrzałam na zegarek i zapewniłam, że byłoby cudownie. Gdy on poszedł na górę, ja wrzuciłam swój bagaż do taksówki i poprosiłam kierowcę, żeby zawiózł go do hoteliku na Trastevere, który zapamiętałam z poprzedniego pobytu. Postanowiłam także, że de Greci mają uroczą starą willę za ogrodami Borghese.

– Dobrze znasz Rzym? – Wciąż miał na sobie granatowy garnitur, ale koszulę z krawatem zamienił na swobodniejszą białą lnianą. Wystawał mu niewielki brzuszek, ogólnie był to jednak atrakcyjny mężczyzna, jeśli ktoś lubi stworzenia tej wielkości.

– Prawie wcale. – Zawsze lepiej grać nowicjusza.

Rozmawialiśmy więc o innych miejscach znanych nam we Włoszech, gdy on prowadził mnie przez tłumy turystów. Po gęstym złotym kocu pylistego upału, jaki spowijał otwarte przestrzenie, ciasne i mroczne ulice wydawały się groźne i tajemnicze. Wyszliśmy na niewielki plac, tak obskurny, że w ciemno można było obstawiać, że działa tam jakaś dobra knajpa. Mężczyźni posilający się pod markizą mówili z rzymskim akcentem – nieliczni udęczeni adwokaci polityków, więzieni tutaj, podczas gdy reszta mieszkańców miasta smażyła się na plażach półwyspu. Samotny turysta w bejsbolówce i przepoconej koszuli czytał przewodnik po francusku. Zostawiłam Cameronowi kwestię złożenia zamówienia, nie mówiąc ani słowa oprócz pełnego zachwytu *grazie*. Chciałam go oczarować, chciałam, żeby dobrze się przy mnie czuł. Pił negroni sbagliato, jedliśmy okładniczkę i delikatny makaron z królikiem i kandyzowaną skórką pomarańczową. Po pierwszej butelce liguryjskiego vermentino Cameron zamówił następną, choć ja piłam ciągle swój pierwszy kieliszek, do którego dolałam wody. Umiał rozmawiać z kobietami, to musiałam mu przyznać: tryskał gładkimi komplementami i plotkami, chciało mu się pytać o zdanie rozmówczynie i sprawiać wrażenie zainteresowanego tym zdaniem. Gdy już uznałam, że

wy starczając mi ufa, zapytałam go, kim jest jego tajemniczy klient.

– Cóż – powiedział, nachylając się ku mnie jak spiskowiec. – Dasz wiarę, że mam Stubbsa na sprzedaż?

– Stubbsa?

Mało się nie zakrzyliłam popłuczynami szprycera. Dlaczego Stubbs mi to robił? Ja mu zawsze kibicowałam, swojemu ziomalowi z północy ignorowanemu przez londyńskich snobów. Czy był on moją osobistą chimera? Albatrosem o końskim łbie?

Cameron wyciągnął z kieszeni na piersi marynarki składany katalog i zjedzone przeze mnie okładniczki omal nie wróciły. Rozpoznałam go bez patrzenia, tak samo jak nie musiałam na niego patrzeć, żeby się domyślić w jednej chwili, o co chodziło Rupertowi i dlaczego zwolnił biednego Dave'a i mnie za węszenie. Jedyne, co mnie zaskoczyło, to że byłam tak nadzwyczajnie tępa, że tak się starałam, odgrywałam idealnego pracownika, gdy każdy marszand z prawdziwym doświadczeniem zajrzyłby od razu, że Rupert szykuje szwindel.

Cameron nie zadał sobie trudu, żeby zapytać, kiedy dokładnie odeszłam z British Pictures, ja zaś nie zadałam sobie trudu, aby mu tę informację przekazać, mogłam więc zareagować bezbrzeżnym zdumieniem. Przeglądałam strony, pomrukiwałam z uznaniem, zauważywszy, że Rupert pofatygował się przynajmniej i dodał do proveniencji moje odkrycia dotyczące galerii Ursforda i Sweeta. Cameron, jak sam mówił, dostał cynk, ale nie był do końca pewien, aż obraz został wyczyszczony, wówczas wystawił go na sprzedaż. Nie mogłam uwierzyć w swoją tępotę. Siedzieli w tym razem – pewnie o tym właśnie szepotali na przyjęciu Tentisa. Razem się zrzucili, żeby kupić obraz od Tigerów, umieścili go w rejestrze British Pictures, chcąc rozwiać wszelkie wątpliwości na temat autentyczności, po czym wycofać go z aukcji i sprzedać tak, aby nikt nie miał szansy zgłosić protestu.

Miałam rację. To nie był Stubbs – i Rupert ani przez chwilę nie miał co do tego złudzeń. Zadzwonił do Tigerów i ze smutkiem potwierdził, że ich obraz jest dziełem jedynie naśladowcy, falsyfikatem pędzla pomniejszego artysty epoki. Stąd nasze nieporozumienie w rozmowie telefonicznej. Następnie Cameron, udając niezależnego marszanda, kupił obraz. Kiedy już się znalazł legalnie w posiadaniu Camerona, został oczyszczony przez kogoś z Florencji lub z Amsterdamu w jakimś warsztacie na East Endzie i – patrzcie i podziwiajcie! – okazał się jednak autentycznym. Po zamieszanu z planowaną sprzedażą obraz zyskał nieskalaną proveniencję w formie pieczętki jednego z najważniejszych domów aukcyjnych. Każdy miałby poczucie, że oto trafia mu się okazja. Ci dwaj nigdy nie zamierzali doczekać do aukcji. To wyjaśniało niską cenę – jeśli sprzedający wycofa dzieło sztuki w ostatniej chwili przed aukcją, cena rezerwowa stanowi honorarium dla domu aukcyjnego. Cameron mógł zapłacić osiemset tysięcy, zakładając, że dostaną z Rupertem znacznie więcej od swojego nabywcy. Ile zapłacili Tigerom? Pani Tiger

w rozmowie ze mną wydawała się całkiem zadowolona. Powiedzmy dwieście tysięcy, co w sumie dawało milion. Poważna suma, zastanawiałam się więc, ile wobec tego wyciągną od ewentualnego nabywcy.

Byłoby to genialne i absolutnie zgodne z prawem, gdyby obraz był autentykiem. Państwo Tiger mogli się zorientować, że obraz jest oferowany jako Stubbs, i podnieść larum, ale skoro został on wycofany przed aukcją, już nie mogli. W razie jakichś pytań Rupert mógł powiedzieć, że kupił go, sądząc, że szczęście im dopisuje, a po dokładniejszych badaniach zorientowali się w pomyłce. Pewnie winę zrzuciliby na stażystkę. A nawet jeśli nie był autentykiem, tego byłam zaś pewna, klient mógł go przetrzymać przez rok w sejfie, po czym zaproponować jakiemuś jeszcze większemu naiwniakowi, nowobogackiemu z Chin albo z Zatoki Perskiej, posiłkując się katalogiem, który trzymałam w ręku, i tym samym wyjść na swoje.

Jeśli czeokolwiek się nauczyłam na temat życia kobiety, to żeby w razie wątpliwości grać idiotkę.

– To wspaniale, Cameron! – krzyknęłam cicho. – Mów, ile?

– Judith!

– Weź! Umieć dochować tajemnicy. Komu bym miała powiedzieć?

Z radosnym uśmiechem podniósł pięć palców. Pięć milionów. I tak mało. Stubbs bez trudu mógł uzyskać dziesięć. Kilka lat temu w Nowym Jorku Pierce Davies kupił obraz *Gimcrack w Newmarket Heath* z tysiąc siedemset sześćdziesiątego piątego roku za dwadzieścia milionów. Pięć milionów to jednak dobra kasa, nie ma co. Dostatecznie wysoka, żeby obraz był autentykiem, jednocześnie odpowiednio niska, aby klient czuł się szczęściarzem. Sprytne.

I nagle, na jedną chwilę, przeniosłam się w czasie. Zobaczyłam ponownie siebie dziesięć lat temu, gdy po raz pierwszy zwiedzałam galerię Uffizi i stałam przed obrazem Artemisii *Judyta odcinająca głowę Holofernesowi*. To oklepany motyw – żydowska bohaterka mordująca wodza wrogich wojsk – ale Artemisia ujęła go inaczej, niemal niemalarsko. Gdy się patrzy na delikatnie połyskujący miecz w szyi Holofernesa, widać, że nie wbito go uroczyście, sugestywnie, lecz że utknął w nieeleganckim położeniu, bardzo niedobrym położeniu jak na elegancką kompozycję. To cios z ręki kobiety, która w kuchni odcinała łby drobiowi, wykręcała głowy zajęcom przed gotowaniem. Judyta zarzyna Holofernesa sumiennie, z ponurą miną przecinając kolejne ścięgna, jej umięśnione ramię napina się z wysiłku. Widać tu coś swojskiego: brzydota pościeli, niezgrabny rozprysk krwi, dziwne wrażenie spokoju. „To robota dla kobiet – mówi Artemisia, beznamięta. – Tym się właśnie zajmujemy”. Swoje nadgarstki, spoczywające lekko na skraju stołu obok filiżanki espresso ze skórką cytryny, widziałam jakby z daleka, ale w nagłym bursztynowym bezruchu tej chwili zdziwiłam się, że od skoku mojego tętna nie grzechocze porcelana. Tyle obietnic złożyłam tej dziewczynie w muzeum. Tyle byłam jej winna.

Wiedziałam więc, że ukradnę ten obraz.

– Pewnie nie byłbyś tak dobry, żeby mi go pokazać? Bardzo bym chciała...

– Pewnie. Może teraz?

Zawahałam się. Teraz czekali na mnie przyjaciele. Może wieczorem? Może się umówimy na drinka? A potem na kolację i dużo innych rzeczy, sugerowałam, jeśli obraz okaże się wart grzechu. Patrzyłam w te uśmiechnięte irlandzkie oczy i przypominałam sobie, że to przez nie straciliśmy z Dave'em pracę. Racja była po mojej stronie. Rupert był nieuczciwy, Fitzpatrick także.

Powiedziałam Cameronowi, że muszę lecieć, ale zaczęłam, aż wbije mój numer w swój odłotowy smartfon odblokowywany na odcisk palca. Pochyliłam się, żeby pocałować go na pożegnanie – moje usta zawisły na zbyt długą chwilę nad kącikiem jego ust, tak że moje włosy zsunęły się na jego twarz w cętkowanej zasłonie rzymskiego cienia.

Odchodząc, wszystko już układałam sobie w głowie. Byłam w stanie to zrobić. Naprawdę. Musiałam jednak teraz zachować spokój, myśleć tylko o najbliższym zadaniu i o niczym więcej. Musiałam się upewnić co do powiązania między Cameronem a Rupertem. Cameron powiedział, że obraz ktoś mu podsunął, ale to nie znaczyło, że osobą tą był Rupert. Musiałam potwierdzić tożsamość tajemniczego kupca, którego nazwiska pani Tiger nie mogła sobie przypomnieć. Pojechałam taksówką do nijakiego nowoczesnego hotelu po drugiej stronie Tybru, a gdy już znalazłam swój pokój, zapytałam o salę konferencyjną. Kiedy czekałam na powolne włoskie połączenie, na serwetce robiłam listę zakupów. Najpierw wyszukałam w Internecie Camerona, później kilka poprzednich jego zakupów, potem zdjęcie Stubbsa, fałszy fikat treningu w Goodwood. Gdybym się wybierała na rozmowę kwalifikacyjną, byłoby wskazane, żebym przygotowała jakieś materiały. Sprzedaż Goodwooda już rzeczywiście nie miała się odbyć. Zerknęłam na zegarek – we Włoszech właśnie minęła szesnasta, Frankie więc pewnie jeszcze będzie w pracy. Nadal miałam numer jej komórki.

Odebrała, wymieniliśmy kilka dość niezręcznych uwag o tym, jak nam mija lato, po czym przesłam do tematu.

– Słuchaj... potrzebuję przysługi. Pamiętasz tego Stubbsa, który został wycofany? Możesz mi znaleźć nazwisko sprzedającego? Tego, który kupił obraz od właścicieli?

– Nie wiem, Judith... Wiesz, twoje odejście było takie dziwne. Rupert powiedział...

– Nie chcę cię stawiać w kłopotliwej sytuacji, Frankie. Rozumiem. Mogę tego sama poszukać, jeśli to trudne.

Chwila milczenia na linii.

– Dobra – odrzeka z wahaniem. Słyszałam, jak gdzieś buszuje, w końcu odczytała informację z katalogu. – „Własność prywatna”.

– Nie, to wiem. Musisz sprawdzić w księgowości. Na pewno mają tam nazwisko, musieli bowiem sporządzić dokumentację z ustaleniem ceny rezerwowanej, później zaś opłaty za wycofanie. To chwilę potrwa.

– Naprawdę nie powinnam tego robić, Judith...

Poczułam straszne wyrzuty sumienia. Już Dave stracił przeze mnie pracę. Wiedziałam jednak, że muszę to zrobić jak należy. Oglądanie się na konsekwencje może być formą tchórzostwa. Stchórzyłam, gdy Rupert mnie nakrył, ale po wszystkim, co się wydarzyło, wiedziałam, że więcej tego nie zrobię. Kiedy Frankie się wahała, przeanalizowałam trajektorię, po której dotarłam do tego punktu. Potrzebowałam jeszcze tylko kilku przełomów i będę gotowa rozwinąć w słońcu swoje nowe opalizujące skrzydła. O, jaka mi wyszła metafora.

– Wiem, naprawdę wiem, że to nie byle co. Będę ci bardzo, bardzo wdzięczna. – Staralam się, żeby słyszała w moim głosie i ton błagalny, i zakłopotanie.

– Pomogę ci, ale naprawdę... nie chcę zrobić nic niewłaściwego.

Stara dobra Frankie. Nie była nieuczciwa. Jednocześnie jednak było ją stać na uczciwość.

– Mam szansę na pracę i muszę dobrze wypaść. Wiesz, Frankie... u mnie jest naprawdę cienko.

Wzmianka o bieżącej nędzy na kimś takim jak Frankie wywierała podobne wrażenie jak słowo „okres” na nauczycielu wychowania fizycznego w szkole.

– Dobrze, spróbuję. Wyślę ci esemesa. Ale nie możesz absolutnie nikomu o tym powiedzieć.

– Klnę się na honor!

Przeanalizowałam uważnie mapę Włoch i na stronie Trenitalia kupiłam otwarty bilet na przejazd do Como. Co mi szkodziło? To mnie do niczego nie zobowiązywało. Mój telefon zgłosił nadejście esemesa.

Cameron Fitzpatrick x

Stokrotnie dzięki! xxxx – odpisałam. A może tych całusów było pięć?

Rozdział 15

Później długo się zastanawiałam, kiedy nieodwołalnie podjęłam decyzję. Czy dojrzewała ona we mnie od zawsze, czekając, jak rak? Czy kłamka zapadła, gdy Rupert odprawił mnie jak posługaczkę bez referencji, czy też wówczas, kiedy usłyszałam bezgraniczną rezygnację w głosie Dave'a? A może wtedy, gdy zgodziłam się pracować w Gstaad Club albo gdy przystałam na głupi plan Leanne, żebyśmy sobie wyszły razem poimprezować, lub gdy zamknęłam drzwi za ciałem Jamesa i wsiałam w pociąg do Ventimiglii? Gdybym była romantyczna, mogłabym sobie mówić, że decyzja zapadła dawno temu, że podjęła ją Artemisia – inna młoda kobieta, która rozumiała nienawiść, która zostawiła swojego beznadziejnego męża i na włoskich ulicach zarabiała malowaniem na utrzymanie swoje i rodziny. Żadna z tych teorii nie byłaby jednak prawdziwa. Decyzja zapadła, gdy poszłam na górę do swojego pokoju i w milczeniu zmieniałam kolebiące się platformy na korkach na płaskie sandały. Ręce mi się trzęsły, gdy zapinałam sprzączki. Wstałam powoli i ruszyłam prosto na Corso Italia.

W Zarze znalazłam zwykłą płócienną sukienkę, krótką, w linii A, z głębokimi kieszeniami. Z bliska było widać, że jest kiepsko wykonana, ale była dostatecznie prosta, że z dobrymi dodatkami wyglądała na drogą. Kupiłam dwie – granatową i czarną. W sklepie sportowym kupiłam szorty dwa rozmiary za duże i zwyczajne białe adidasy. Dodałam do tego T-shirt I ♥ Rome ze sklepiku z pamiątkami na rogu. Później odwiedziłam jeszcze dwa sklepy turystyczne, a na via Veneto znalazłam lekką płaszcz przeciwdeszczowy Kenzo w fuksjowo-białe wzorki. Prezentował się ekstrawagancko. W szykownej *tabaccaio*, takiej, w której sprzedają srebrne ramki do zdjęć i kasetki na cygara, kupiłam ciężką obcinaczkę do cygar i grube skórzane etui na cygara – chłopcy na jachcie używali podobnych do noszenia swoich cohiba. Zaopatrzyłam się także w czarny nylonowy plecak dość pojemny, żebym mogła do środka wsadzić swoją skórzaną torebkę, do apteki wpadłam zaś po paczkę podpasek XL i mokre chusteczki. Zanim skończyłam, minęła osiemnasta. Przez chwilę pożałowałam, że nie zobaczyłam fresków Pinturicchia w Watykanie. Jeszcze bym zdążyła, ale chciałam się wykąpać i ułożyć włosy przed randką z Cameronem.

Przyszłam po niego do hotelu Hassler około dwudziestej. Czekał na mnie w holu i zaproponował, żebyśmy się czegoś napili, ale ja odparłam, że z rozkoszą uczynię to później. Jadąc windą na trzecie piętro, rzuciłam kilka niesubtelnych sugestii, jak to chętnie będę pracować dla prywatnej galerii po powrocie do Londynu. Tak się dogodnie składało, że de Greci jedli dziś wieczorem kolację z rodziną. Gdy tylko weszłam do jego pokoju, zdjęłam nowy płaszcz Kenzo

i rzuciłam na oparcie krzesła. Czułam, jak wzrok Camerona wędruje powoli po moich nogach, i uśmiechem spod spuszczonej powieki zanalizowałam, że dostrzegłam jego zainteresowanie. W pokoju panowała atmosfera nadmiernej intymności, jak zawsze w pokojach hotelowych. Za wymyślnymi trójwarstwowymi zasłonami okno wychodziło na paskudny szyb wentylacyjny. Na stojaku na bagaż leżała otwarta niewielka walizka, narożnik biurka zajmowały ułożone w stos dokumenty i klucze. Na łóżku zobaczyłam tanią czarną plastikową teczkę, taką, jakich używają studenci szkół artystycznych, ale gdy Cameron schylił się i ją otworzył, stwierdziłam, że jest dodatkowo wyściełana. Z nabożną czcią wyjął obraz w zwykłej metalowej ramie.

– Nie wsadziłeś go do skrzyni?

– Za dużo zamętu. Wiesz, ta włoska biurokracja. – A więc oprócz Ruperta i nabywcy nikt nie wiedział, że Cameron go przywiózł.

I proszę – księżę i księżna na swoim wiekiustym pikniku oraz trójka koni pędząca w galopie. W niebieskawym zmierzchu Rzymu obraz wydawał się bardziej jarmarczny – może Chińczycy uznali, że trzeba mu dodać ładnego, lśniącego werniksu. Cameron stał tuż za mną, ale to nie był pułkownik Morris. Zaczekał na swój deser.

– Częścią oficjalną bardzo mi zaimponowałeś. A teraz... Jak sądzisz, jak się poczujesz w roli Marcella Mastroianniego?

– *La Dolce Vita* na pani życzenie, *signorina*.

Powiedziałam mu, że znalazłam w przewodniku restaurację, chociaż znałam ją od czasów studiów. Bardzo stylowa, znajdowała się przy piazza Cavour naprzeciwko Sant'Angelo, na piano nobile, z zadaszoną loggią, gdzie można było jeść na zewnątrz. Zanim skończyliśmy faszerowane kwiaty cukinii i rybę z grilla, Cameron zamówił już trzecią butelkę. Ja mogłam tylko zuć słomkę, ponieważ gula w gardle utrudniała mi przełykanie. Camerona trudno było rozgryźć. Oczywiście jeśli go poprosić, dałby ci gwiazdkę z irlandzkiego nieba, żebyś sobie ją wpiął w kłapę, ale ja usiłowałam odgadnąć jego ukryte pragnienia. Szukałam małego przełącznika, którego uruchomienie podałoby mi go na tacy. W taki przełącznik jest wyposażony każdy mężczyzna, cała sztuka polega jednak na tym, żeby go znaleźć, po czym skorzystać z odkrycia, wcielić się w tę rolę, której on tak pragnie, a jednocześnie tak wstydzi się do tego pragnienia przyznać. Gdy gasnące światło zamieniło resztki wina w butelce z nefrytu na szmaragd, Cameron ujął mnie za rękę. Odwróciłam ją dłonią do góry, on podniósł do ust mój nadgarstek

– Niesamowite. Mam poczucie, Judith, że jesteśmy z jednej gliny.

– Jak to?

– Jesteśmy... samotnikami. Stoimy poza całym światem, na zewnątrz.

Och, litości! Tylko nie dziecinstwo. Jaki skrywany ból czyni nas oboje wyjątkowymi? Uch. Zwierzeń nie było w planach. Zabrałam rękę i w zamyśleniu przesunęłam palcem po linii szczęki.

– Cameron... jesteśmy podobni, rzeczywiście – urwałam na jeden oddech. – Myślę, że powinieś mnie zerznąć.

– Poproszę o rachunek

Gdy tylko opuściliśmy progi restauracji, przycisnął mnie do muru i zaczął całować, sunąc językiem po całym moim ciele. Dobrze się czułam, gdy tak mnie całą spowijał, przytłaczał, zamykał beziarem swojej klatki piersiowej. Słyszałam w uchu, jak krew dudni mu w żyłach. Chwycałam go za rękę i schyliłam się, żeby rozpiąć pasek przy sandałach, po czym pociągnęłam go za sobą, tak że przez kilka minut biegł z bosonogą dziewczyną sierpniowymi ulicami Rzymu. Przeszliśmy przez most św. Anioła, zbiegliśmy schodami nad wodę i znowu się całowaliśmy na dole, potem szliśmy nabrzeżem, trzymając się za ręce. Jeden most, drugi. Tyber nie przypomina Sekwany, wygładzonej i lśniącej specjalnie dla turystów. Spomiędzy kamieni wyrastały chwasty, na brzegach piętrzyły się stopy śmieci. Pod drugim mostem minęliśmy zebranie pijaczków i poczułam, jak Cameron sztywnieje i napina ramiona, ale oni nawet na nas nie spojrzeli.

– Zimno mi.

– Weź moją marynarkę, kochanie.

Otulił mi nią ramiona, ja zaś roześmiałam się i ponownie ruszyłam biegiem, czując ciepło kamieni pod stopami. Z trudem za mną nadązał. Chciałam, żeby się zdyszał. Pod trzecim mostem przyciągnęłam go do siebie, zrzucając marynarkę z ramion, i pocałowałam go niecierpliwie, zsuwając dłonie po jego udach, do miejsca, gdzie prężył się już jego członek.

– Ależ mam na ciebie ochotę, Boże drogi – szeptałam. – Zerznij mnie, tu i teraz.

Stał plecami do wody. Padłam na kolana i chwyciłam zębami jego pasek. Zaczęłam go rozpinąć, przesuwając przez sprzączkę kolejne odcinki, językiem odchylając szpilę. To oklepana sztuczka, ale nietrudna i ma tę zaletę, że przyciąga uwagę. Cameron wsunął dłonie w moje włosy.

– Och, Judith... Jezu!

Szybkimi ruchami uwolniłam z majtek główkę penisa i wzięłam go do ust. Mało nie zachichotałam, przypomniało mi się bowiem, jak śpiewałam w łazience Eden Rock, gdy James wyczekująco leżał rozwalony na łóżku. „Zobacz, Judith – szeptał cicho złośliwy głos. – Znowu to samo”. Skup się. Zamknęłam oczy. Jeszcze tylko chwila.

Cameron nic nie powiedział, gdy otworzyłam wyjęty z kieszeni nóż i cięłam nim przez mięśnie w kostce, tuż nad ścięgnem Achillesa. Krzyknął zduszonym głosem i padł na bok jak rzucona marionetka. Krzyknął. Nóż miałam w prawej kieszeni. Z lewej wyjęłam podpaszkę, zwiniętą po oderwaniu paska zabezpieczającego klej, i teraz wsadziłam mu ją między zęby, wpychając język do gardła i przytrzymując mu usta dłonią, żeby nie wypuł knebla. Na to także jest sztuczka – korzystasz z niej w czasie obciągania. Musisz powoli otworzyć gardło, schować migdałki.

Cameron szybko się uczył.

Skłapienie nerwów w ścięgnie Achillesa powoduje, że zadana tam rana chwilowo jakby wyłącza ciało. Cameron nie będzie w stanie zareagować przez kilka cennych sekund. Wstałam i szybko zebrałam moją torebkę i rozrzucone buty. Cameron, skulony, łapczywie wciągał powietrze, walcząc z bólem. Nie istniało dla niego nic oprócz bólu. Siadłam na nim okrakiem, chwyciłam w garść jego gęste włosy i obróciłam głowę, brutalnie kierując jego twarz na bok. Gdy wymacałam ucho, otworzył szeroko oczy. Uświadomiłam sobie, że on ciągle sądzi, że próbuję mu pomóc.

Pewnie oczy wychodziły mu z orbit, pewnie były pełne szaleństwa, ale nie przyglądałam się uważnie. Wbiłam nóż tuż pod małżowiną, aż po rękojęść. Nie wszedł może jak w arbuz, bardziej jak w twardą dynię. Przypomniał mi się królik, którego jadłam na obiad. Cameron nadal nie wydał ani jednego dźwięku, ale już po sekundzie ujrzałam ciemną plamę na płóciennej koszuli i poczułam ciepłą wilgoć na udzie. Szarpał swoim wielkim ciałem i się rzucał, aż nagle lewym ramieniem sięgnął za siebie i walnął mnie w szczękę. Trafił w tchawicę – spadłam i nie mogłam złapać tchu. Już dawno nikt mnie tak nie uderzył. „Będę miała siniaka?” Nie miałam teraz czasu się o to martwić. Musiałam działać. Zadziwiająco zwawy, obrócił się i ruszył na mnie, z pochyloną głową. Potężne ręce sięgały po moje nogi, żeby mnie chwycić. Ciągle byłam zamroczona po ciosie. Próbowałam się odsunąć, schować w cieniu mostu, ale byłam zbyt powolna. Całym ciężarem padł na moje kolana, przygniatając mnie. Wyciągnął rękę ku mojej twarzy. Usiłowałam go zrzucić, ale był za ciężki – wdierał się na moje ciało centymetr po centymetrze, z jego gardła dochodził głośny bulgot. Rękoma sięgnął do mojej szyi i zaczął zaciskać palce. Zapomniałam już, jak silni są mężczyźni. Złapałam go za palce, ale to było beznadziejne rozwiązanie. Zaczęłam się dusić, nie mogłam ruszyć dolną połową ciała. Przyśpił mi. Próbowałam się spod niego wysunąć, ale był ciężki, tak ciężki, że przed oczami zaczęły mi tańczyć dziwne światła, jego dłonie się zaciskały coraz bardziej i bardziej. Aż nagle zwolnił uścisk. Znieruchomiał. Powstrzymałam odruch, żeby go zepchnąć, zaczerpnęłam powietrza, raz, drugi, trzeci, aż znowu zaczęłam oddychać. On leżał na mnie bezwładnie, z rękoma wyciągniętymi na mojej piersi. Jeszcze raz zrobiłam głęboki wdech, sprężyłam mięśnie, po czym zwolniłam je i poruszyłam biodrami, żeby przesunąć jego ciało.

To nie była najbardziej dostojna pozycja. Podniosłam wzrok i szybko rozejrzałam się na obie strony. Gdyby ktoś się pojawił, musiałabym udawać, że uprawiamy seks, ale nabrzeże było puste. Uwolniłam się od niego, sukienka się gnioła, szorstkie kamienie szorowały po nagiej skórze mojego brzucha, aż odsunęłam się jak najdalej. Łączyły nas tylko moje palce na nożu i moje ramię, jak jakaś straszliwa pępowina. Pociągnęłam. Nie patrzyłam na skutek. Odwróciłam się i wyjęłam plecak z torebki, spokojnie wykładając rzeczy, których będę potrzebować, i odliczając

pod nosem sekundy. Jeszcze kilka minut. Zwinęłam się i ukryłam twarz w kolanach podziurkowanych od kamyków. Sapnięcia dobywające się z jego nosa stawały się płytsze i szybsze. Hipowolemia. Gdy bym go teraz dotknęła, stwierdziłabym, że stygnie.

Czytałam kiedyś o żołnierzach walczących na pierwszej wojnie światowej, którzy wychodzili z okopu, po czym kładli się na ziemi niczyjej i szybko zasypiali. Całe ciepło mojego ciała zebrało się w klatce piersiowej, własny oddech dotykający mojej skóry uciszył mnie. Ocknęłam się dopiero, gdy usłyszałam dźwięk silnika. „Cholera jasna! Biel jego koszuli...” Gorączkowo analizowałam ewentualne wyjaśnienia. Zostaliśmy napadnięci, ja wyciągnęłam nóż. Kołysałam się w przód i w tył, udając osobę w szoku, ale gdy zerknęłam przez palce, zobaczyłam małą łódkę z szerokim dziobem sunącą w górę rzeki jak niezgrabny rekin i pochyloną postać na rufie. Rybak. W Tybrze wciąż żyły węgorze. Dopiero gdy przepłynął i woda ponownie się wygładziła, zauważyłam, że Cameron już nie oddycha.

Teraz kciuk. Żeby odblokować telefon, używał lewej dłoni. Przycisnęłam jego otwartą dłoń do kamieni i rozpostarłam palce, przyłożyłam nóż do kciuka i nacisnęłam kolanem. Gdy już zrobiłam głębokie nacięcie, obcinaczka do cygar poradziła sobie z kością. Cisnęłam obcinaczkę przez ramię i usłyszałam, jak z pluskiem wpada do wody. Wsunęłam kciuk do etui na cygara. Już wcześniej się martwiłam, jak trudno będzie dociągnąć ciało Camerona do rzeki, wtedy jednak nawet nie miałam pojęcia, ile to cielsko waży. Musiałam postawić bosą stopę w otaczającej go kałuży, by chwycić go za ramiona, ale że adrenalina dała mi siłę, jednym dźwignięciem przepchnęłam tors przez kraniec nabrzeża. Lewe ramię znowu podskoczyło w geście zombie. Wygiął się do tyłu, gibki jak gimnastyk. Potylicą trzasnęła o kamienny mur. To nie bolało. Przycisnęłam kolanem klatkę piersiową, żeby wyciągnąć knebel, po czym zaparłam się o jego udo i pchnęłam, aż ciało obróciło się i wpadło do wody. Jeden z jego mokasynów spadł. Podniosłam go i sprawdziłam markę. Gucci. Elegant. Cisnęłam but do rzeki.

W ciszy, która zapadła po plusku, usłyszałam ostry pisk i kątem oka dostrzegłam połysk czarnej sierści. Krzyknęłam wysokim głosem i zatoczyłam się, omal nie spadając do rzeki w ślad za Cameronem. Szczur. To tylko szczur. Ale ja dyszałam ciężko, trzęsły mi się ręce. Po części oczekiwałam, że z ciemności wyłoni się jakaś postać, tak silne miałam poczucie, że ktoś mnie obserwuje. A to był tylko szczur. Pewnie przyciągnął go zapach świeżej krwi. Obrzydlistwo.

Żeby uspokoić oddech, wciągałam powietrze przez zęby. Doprowadziłam się do ładu – oczyściłam się kilkoma mokrymi chusteczkami i wodą Evian z butelki wyjętej z torebki. Chusteczki wepchnęłam do butelki i schowałam w pobliskich chaszczach, w cuchnącej moczem stercie odpadów z drugiej strony mostu. Licha granatowa sukienka, którą na sobie miałam, została zawinięta w kolejną wielką podpaszkę i zawiązana w plastikową torbę – wyrzucę ją później. Żaden śmieciarz nie zechce do tej paczki zajrzeć. Z torby wyjęłam czarną sukienkę i zawiązałam wokół

talii, by dodać sobie tuszy, po czym włożyłam brzydkie szorty i T-shirt. Zanim wciągnęłam przez głowę koszulę, minęły całe wieki. Włosy związane, buty w torebce, torebka w nylonowym plecaku wraz z etui na cygara i telefonem Camerona. Przetrzęsłam kieszenie marynarki, zanim wrzuciłam ją do wody. Klucz do pokoju hotelowego wsunęłam do stanika. Brak paszportu i portfela opóźnił identyfikację. Ciemności, choć frustrujące, mnie sprzyjały – żadne przyjazne latarnie nie przyciągały tutaj zbłąkanych kochanków. Zaczęłam, aż snop światła nad Zamkiem Świętego Anioła oddali się ode mnie, po czym patrzyłam na błysk noża, gdy powoli sunęłam językiem po każdej stronie ostrza, wsysając przez zęby żelazowy sok. Wiem, to zabobon, ale czułam się, jakbym zlizywała swoje odbicie. Następnie cisnęłam nóż do rzeki i patrzyłam, jak leci łukiem i wpada z cichym, oleistym pluskiem.

Kiedy Borgiowie chcieli dać komuś przykład, ich zabójcy wsadzali ofiarę z podciętym gardłem do worka i opróżniali ten worek do Tybru, prąd zaś znosił ciało do Zamku Świętego Anioła. Czasami ustawiano specjalne trzcinowe ekrany, by mieć pewność, że ciała zostaną odnalezione. Jak szybki był prąd Tybru? Sądziłam, że mam co najmniej godzinę, przy odrobinie szczęścia mam czas do rana, zanim ktoś zauważy ciało Camerona. Wsunęłam słuchawkę do uszu, telefon przypięłam do kołnierza i tupiąc nogami, ruszyłam z powrotem wzdłuż brzegu, do dźwięków AC/DC.

W ciągu piętnastu minut dotarłam do hotelu Hassler, biegiem pokonawszy Schody Hiszpańskie. Gdy dyszałam w holu, sądziłam niemal, że jestem tym, na kogo wyglądam – na amerykańską turystkę, która usiłuje pozbyć się z bioder nadprogramowych *gelato*. Podeszłam do windy, nikt na mnie nie spojrział. W pokoju Camerona panował mrok, zasłony były zaciągnięte, klimatyzacja szumiała cicho, na poduszce czekała czekoladka, po obu stronach łóżka leżały bawełniane dywaniki. W łazience spryskałam twarz wodą i obejrzałam uważnie miejsce uderzenia, czy nie widać żadnego siniaka. Przebrałam się w czarną sukienkę i buty na obcasie, włożyłam również wyrazisty płaszcz, który wciąż czekał na mnie na oparciu krzesła. Jeśli ktoś widział mnie, jak tu wchodzę, zobaczy wychodzącą zupełnie inną kobietę. Szybko sprawdziłam teczkę na łóżku, czy przypadkiem pokojówka jej nie dotykała, ale obraz wydawał się nietknięty.

A teraz telefon. Wzięłam z łazienki ręcznik, rozłożyłam go na wykładzinie, po czym otworzyłam etui na cygaro. Kciuk wypadł, częściowo zakrwawiony, częściowo białoszary – jak spasiony czerw. Przesunęłam palcem po ekranie i przyłożyłam kciuk do właściwego miejsca. Ekran zadygotał i pojawił się napis Spróbuj ponownie. Kurwa! A jeśli był tutaj także czujnik ciepła? Odkręciłam ciepłą wodę, umyłam odcięty palec i spróbowałam raz jeszcze. Zadziało. Kciuk stoczył mi się z kolan. O Boże! Odłożyłam go ostrożnie w rogu ręcznika. Chciałam przeczytać maile Camerona, ale nie było czasu. Przejrzałam szybko aplikacje, aż znalazłam kalendarz. Miałam nadzieję, że Cameron wpisał tutaj spotkanie z klientem, ale znalazłam tylko

szczegóły lotu powrotnego – za trzy dni z Fiumicino. Dobra. Wiedziałam, że spotkanie musiało być umówione na jutro. Co jeszcze? Książeczka bankowa. Potrzebowałam kodów do tego konta, na którym zamierzał umieścić pieniądze. British Airways, Heathrow Express, Boots – same banalne rzeczy. HSBC wyglądało obiecująco, ale konto było na nazwisko Camerona, poza tym dostęp do niego wymagał hasła i numeru PIN. Naprawdę zamierzał umieścić tu pięć milionów? „Myśl, Judith! Myśl”. Kciuk patrzył na mnie wyzywająco. Czy Cameron miał wyjście awaryjne? Rzym słynął z kieszonkowców, telefon był zaś prawie nowy. Naprawdę trzymałby w nim coś ważnego?

Gdy wstawałam, pociągnęłam ręczniki kciuk znowu się stoczył.

– Spierdalał! – warknęłam do niego. Spojrzałam jednak w tamtym kierunku. Poharatany koniec stawu wskazywał bagaż. Może tam była jeszcze jedna książeczka, papierowa? Musiałam mieć te kody, bez nich wszystkie moje wysiłki okazałyby się bezużyteczne. Obmaciałam kilka złożonych koszul, skarpetki, bieliznę, książkę w miękkiej okładce. Przewertowałam ją – może ukrył coś między kartkami. Nic, ale przyszło mi do głowy, że skoro ktoś czyta Jeffreya Archera dla przyjemności, to może zasługiwał na śmierć i nie muszę mieć aż takich wyrzutów sumienia. Musiał gdzieś coś zapisać. Nawet nie chciałam myśleć, co by to znaczyło, gdyby się okazało, że się mylę. Musiała gdzieś być książeczka bankowa, po prostu musiała. Zajrzałam do kieszeni, sprawdziłam, czy za wewnętrzną kłapą chowają się jakiegokolwiek kartki, pomyślałam w końcu o kosmetyczce, którą widziałam w łazience.

Oczywiście – w kieszonce kosmetyczki krył się czerwony notesik marki Moleskine. Na ręczniku widniał niewielki ślad krwi Camerona, odłożyłam go więc na umywalkę i na dokładkę wycisnęłam odrobinę pianki do golenia. Kciuk zawiąnęłam w papier toaletowy i spuściłam w sedesie. Złożyłam plecak, wsadziłam wszystko do torebki, wzięłam teczkę z obrazem i otworzyłam drzwi. Spojrzałam w prawo i w lewo, po czym powiesiłam na kłamce wywieszkę *Proszę nie przeszkadzać* – w małym holdzie dla Jamesa.

Zawsze ceniłam starą mądrość, że jeśli chcesz coś ukryć, zostaw to na widoku. Zjechałam windą na dół, mając nadzieję, że z twarzy zeszyły mi już ślady rumieńca po biegu, przecięłam hol i podeszłam do recepcji. Spytałam, czy pan Fitzpatrick zostawił mi wiadomość.

– Nie, signora.

Podziękowałam i powoli wyszłam tylnym wyjściem. W wejściu ściągnęłam z siebie płaszcz i wcisnęłam go do torebki. Spokojnie przeszłam na piazza Navona, zakrwawioną sukienkę wrzucając po drodze do jednego śmietnika, do drugiego etui na cygaro. Przykłękałam, żeby poprawić zapięcie sandała, i przy okazji wrzuciłam paszport do studzienki kanalizacyjnej. Z portfela wyjęłam gotówkę i karty kredytowe, banknoty przełożyłam do siebie, karty wcisnęłam do kolejnego śmietnika. Znalazłam przy okazji kilka zdjęć i złożoną kartkę wyglądającą na list,

wyświechtaną na zgięciach. Wiedziałam, że nie mogę do niej zajrzeć. Holofernes też pewnie miał jakąś rodzinę. Portfel i telefon mogłam cisnąć do rzeki w drodze do swojego hotelu. Weszłam do kawiarni znajdującej się najbliżej fontanny Berniniego i zamówiłam koniak oraz *caffè shakerato, amaro*. Otworzyłam notes. Powoli przewracałam kartki. Lista zakupów, przypomnienie o zakupie kartki, nazwa restauracji ze znakiem zapytania. „Dalej, dalej!” Znalazłam je na ostatniej zapisanej stronie. Nazwisko i adres, obok godzina jedenasta przed południem – podkreślone. A na odwrocie cyfry. Hurra! Wypiłam kawę mrożoną i popijałam koniak, paląc kolejno trzy papierosy. Patrzyłam, jak turyści wrzucają monety i robią sobie zdjęcia. Pod wpływem brandy poczułam ciepło. Dotknęłam ręką policzka i stwierdziłam, że skórę na twarzy mam chłodną, mimo gorącego wieczoru. Zostawiłam wysoki napiwek, grzecznie pożegnałam się z kelnerem, w nadziei że mnie zapamięta, jeśli kiedykolwiek będzie o mnie pytał, po czym wróciłam na Zatybrze.

W pokoju się rozebrałam, ułożyłam swoje rzeczy w schludny stos, otworzyłam kłapę sedesu i wymiotowałam, aż wykasłałam pasma żółci. Wzięłam długi prysznic, gorący do granic możliwości, zawięłam się w ręcznik i usiadłam po turecku na łóżku, żeby przeglądać notes. Wpisałam numer konta na moim laptopie, uważnie wstukując kolejne cyfry. Bardzo był sprytny ten mój kanciarSKI duecik. Konto należało do banku z Wysp Cooka, otwarto je niedawno i znajdowało się na nim dziesięć tysięcy jako minimum wymagane w wypadku obcokrajowców, tak samo jak na moim szwajcarskim koncie. Miałam tutaj podany numer IBAN, kod SWIFT, nazwisko beneficjenta. Tutaj Rupert i Cameron już nie popisali się sprytem: Goodwood Holdings Sp. z o.o., podczas gdy hasłem – Horse1905 – całkiem się już skompromitowali. Zamknęłam notes. Pewnie Rupert także miał dostęp do konta, zapewne jutro będzie czekał w napięciu, aż liczby się zmienią. Jutro. Spotkanie. Nazwisko osoby, z którą Cameron miał się spotkać, brzmiało Moncada. Oczywiście niewykluczone, że chodziło o randkę z odjazdową rzymską fryzjerką, ale jakoś nie sądziłam.

Byłam całkowicie wyczerpana. Nie miałam nawet siły spojrzeć na zegarek. Niemniej nie po raz pierwszy w życiu zarywała noc. Zrobiłam sobie jakąś ohydą kawę rozpuszczalną, korzystając z miniaturowego hotelowego czajniczka, posiedziałam spokojnie przy oknie i wróciłam do laptopa. Wpisanie do wyszukiwarki nazwiska Moncada nie przyniosło żadnych sensownych wyników. Próbowalam pójść tropem galerii, drobniejszych handlarzy, raportów ze sprzedaży, gości przyjęć w świecie sztuki, kuratorów, dziennikarzy – nic. Następnie wpisałam znaleziony w notesie rzymski adres, szukając najpierw znajdujących się w pobliżu instytucji powiązanych ze sztuką, następnie obejrzałam w Google Earth zdjęcia czegoś, co wyglądało na dość zapuszczoną podmiejską okolicę. Dlaczego Cameron miałby w takim miejscu dobić bardzo lukratywnej transakcji? Albo Moncada był prywatnym kolekcjonerem stroniącym od

świata, albo była to szemrana sprawa i moje pieniądze były zagrożone.

W Google Books sprawdziłam indeks książki *Pranie brudnych pieniędzy w świecie sztuki z perspektywy sądownictwa karnego*. Szukałam tam tajemniczego klienta, ale nazwiska Moncada nie znalazłam. Sięgnęłam po jakieś przypadkowe frazy, dopiero jednak wpisanie ciągu *sztuka oszustwa Włochy* przyniosło jakieś wyniki. Mafia maczała palce w świecie sztuki, ale to niewiele znaczyło – mafia we Włoszech stanowiła element rzeczywistości, tak samo jak półnogie hostessy w teleturniejach. Włosi poważnie traktowali kulturę, między innymi za to ich kochałam. Można by sądzić, że sztuka jest na przykład zbyt ważna dla mafii zajętej korumpowaniem rządu i zalewaniem południa asfaltem, ale gangsterzy byli prawdziwymi zawodowcami. Jedna z grup z sukcesem wymieniła na fałszyfikaty dwadzieścia renesansowych płócien w jednym z pomniejszych muzeów watykańskich w Rzymie i sprzedała je na czarnym rynku, aby sfinansować zakup broni do wojny mafijnej w Kalabrii. Kradzież odkryto dopiero po latach, ale zdołano odzyskać część obrazów. Z nowszych dzieł – jakiś czas temu aresztowano osoby odpowiedzialne za pranie brudnych pieniędzy z wykorzystaniem starogreckich artefaktów, prawdopodobnie odnalezionych na terenie wykopalisk u wybrzeży Sycylii, na Penisola Magnisi, słynnej ze swoich kwiatów polnych i z tego, że nimfa Kalipso trzymała tam Odyseusza w siedmioletniej niewoli. Aresztanci poczuli się źle potraktowani przez policję i zemścili się, podkładając bombę w nadmorskiej kawiarni, gdzie akurat kilku funkcjonariuszy popijało kawę. Jeśli klient Camerona miał takie powiązania, nie wyglądało to zachęcająco. Co chwilę pojawiały się w wyszukiwarce szczegółowe doniesienia o losach tych, którzy weszli w drogę gangsterom. Obfitość betonu i materiałów wybuchowych wydawałaby się może zabawna, gdyby nie była prawdziwa. Dave byłby zachwycony taką lekturą.

Kręciło mi się już w głowie od tych poszukiwań, dałam więc spokój. Jeśli tajemniczy Moncada należał do tych, którzy noszą w walizce garotę, może lepiej, bym nie dowiedziała się za dużo. Pod akrylową markizą hotelu jaśniał świt, ale nawet po intensywnym dniu trzeba pamiętać o skórze, dlatego wypijałam dwie butelki wody mineralnej z minibaru i padłam na łóżko na kilka godzin błogosławionej nieprzytomności.

Rozdział 16

Następnego ranka o dziewiątej trzydzieści weszłam do holu hotelu Hassler. Usiadłam w saloniku, zamówiłam cappuccino i przeglądałam „La Repubblica”. W porannym wydaniu nic nie znalazłam. Przez dziesięć minut udawałam, że dzwonię, a następnie odczekałam kolejne dziesięć i zrobiłam to samo. Zamówiłam szklankę wody. Wróciłam do recepcji i powtórzyłam nocny występ.

– Nie, *signor* Fitzpatrick nie zostawił wiadomości, nie było go także w pokoju.

Zaczekałam jeszcze chwilę. Teraz już starałam się sprawiać wrażenie zniecierpliwionej, bawiłam się włosami, wyglądałam skromną bezową spódniczkę na kolanach. Po czterdziestu minutach zapytałam w końcu, czy mogę zostawić wiadomość. Na hotelowym papierze listowym napisałam:

Cameron, czekałam rano, jak się umówiliśmy, ale pewnie jesteście zajęty. Może się skontaktujemy po powrocie do Londynu? Życzę Ci miłego pobytu w Rzymie. I wielkie dzięki za kolację. Pozdrawiam. JR

Mogłam się podpisać tak albo GP, albo SH. Kolejny element gry na zwłokę.

O jedenastej wysiadłam z tramwaju w pobliżu miejsca, którego adres znalazłam w notesie. Znajdowałam się daleko od centrum, w obszarnej dzielnicy mieszkaniowej z osmiopiętrowymi blokami stojącymi na wysepkach zielonej trawy i psich kup. Posługując się mapą, bez trudu znalazłam właściwy przybytek – między pizzerią a pracownią szewca. Okazało się, że jest to zakład ramiarski. W witrynie stało kilka wielkich złożonych ram, był również zbiór współczesnych fotografii, głównie przedstawiających chińskie panny młode w wypożyczonych białych nylonowych sukniach, oprawionych na barokowo. Za kontuarem Chinka w dresie oglądała telewizję. W głębi dojrzałam drzwi, zapewne prowadzące do warsztatu. Czulałam zapach żywicy i kleju.

– Dzień dobry! Czy zastałam może signora Moncadę?

– Znajdzie go pani naprzeciwko.

Wróciła do oglądanego programu. Sądząc z krzyków – politycznego. Po drugiej stronie ulicy zobaczyłam niewielki bar z aluminiowymi stolikami pod zieloną pasiastą markizą. Tylko jeden stolik był zajęty – siedział przy nim mężczyzna w jasnoszarym garniturze i z siwymi włosami do karku. Gdy podnosił filiżankę espresso, dostrzegłam błyskroleksa.

– *Grazie.*

Poczułam pieczenie potu pod pachami i między łopatkami. Dłoń na teczce zaciskałam aż do

bólu. „Nie muszę tego robić – pomyślałam. – Mogę wsiąść do tramwaju, następnie do pociągu, później do następnego i jeszcze dziś wrócić do Londynu”. Tworząc ten plan, koncentrowałam się wyłącznie na tym momencie. Nie przyjmowałam do wiadomości, jak potworny czyn popełniłam. Miałam dziesięć metrów, żeby znaleźć powód, czy to kontynuować, i nie zdołałam wymyślić ani jednego, oprócz swojego przekonania, że to się uda. Udowodniłam sobie, że mogę to zrobić, teraz więc czułam się zmuszona doprowadzić to do końca.

– *Signor* Moncada?

– *Si?* – Nosił okulary przeciwsłoneczne Bulgari i pięknie zawiązany jedwabny krawat w kolorze błękitnym. Dlaczego wszyscy mężczyźni nie noszą ubrań tak jak Włosi? Podałam mu jedną z wizytówek wyjętych z marynarki Camerona i swój paszport.

– Jestem asystentką pana Fitzpatricka.

Przeszedł na język angielski.

– Asystentką? A gdzie *signor* Fitzpatrick?

Zrobiłam zakłopotaną minę.

– Nie mogłam go rano znaleźć. W nocy przysłał mi esemesa. – Pokazałam mu telefon. Zanim wrzuciłam kciuk do sedesu, o dwudziestej drugiej trzydzieści wysłałam do siebie wiadomość – instrukcję, że mam się udać na spotkanie sama. Porobiłam trochę literówek, by zasugerować, że esemesa pisano po pijaku. Nikt inny tego już nie przeczyta – telefon bez karty SIM rozpoczął żywot wykopalisła w tybrzańskim mule. Bezradnie wzruszyłam ramionami.

– Mam obraz, oczywiście. I wszystko inne, co jest potrzebne.

– Muszę go zobaczyć.

– Pewnie przygotował pan jakieś miejsce na oględziny, *signor* Moncada.

Wskazał zakład ramiarski i wstał, kładąc na stoliku kilka monet za kawę. Minęliśmy Chinę, nie zwracając na nią uwagi, i weszliśmy do warsztatu. Niski sufit wskazywał, że nowoczesny front dobudowano do znacznie starszego budynku. Moncada musiał się schylać, ja zaś czułam lekki wilgotny zapach zimnych starych kamieni. Stół warsztatowy był pusty, jakby czekał. Otworzyłam teczkę, delikatnie wyjęłam obraz księcia i księżnej, obok położyłam katalog i proveniencje, po czym się wycofałam. Nie spieszył się z oględzinami, żeby mi pokazać, że wie, co robi.

– Muszę rozmawiać z *signorem* Fitzpatrickiem.

– Proszę do niego zadzwonić.

Wyszedł na zewnątrz, aby to zrobić, ja zaś czekałam z zamkniętymi oczami, całym ciężarem opierając się na opuszkach palców spoczywających na szklanym blacie stołu.

– Nie mogę się połączyć.

– Przykro mi. Ale jeśli jest pan zadowolony, pan Fitzpatrick upoważnił mnie do dopięcia

transakcji.

Kolejny telefon, kolejne oczekiwanie z zamkniętymi oczami.

– No dobrze, biorę go.

– Oczywiście. Nie mogę go jednak przekazać, dopóki nie zrobi pan przelewu, *signor* Moncada. Wiem, że panu Fitzpatrickowi by się to nie podobało. – Nie dodałam: „Ponieważ pan Fitzpatrick wie, że jest pan złodziejem, i pan wie, że on wie”. Czy raczej: wiedział.

– Co mam zrobić?

Wyprostowałam się i przeszłam na włoski.

– Ma pan laptop. Świetnie. W takim razie znajdziemy miejsce z dostępem do sieci bezprzewodowej, pan zrobi przelew, ja sprawdzę, czy doszedł, i zostawię panu obraz. Bardzo proste, prawda? – Zanim zdążył coś powiedzieć, wróciłam do sklepu i zapytałam kobietę, czy pobliska restauracja ma szerokopasmowy Internet.

Poszliśmy więc do pizzerii, zamówiliśmy dwie cole dietetyczne i dwie margherity, po czym zalogowaliśmy się do sieci. Zapisałam na serwetce numer konta z notesu i podałam ją mojemu towarzyszkowi. Miałam wrażenie, że na głowie zaciska mi się elastyczny pas. Na własnym laptopie zalogowałam się na konto Camerona. Na ekranie pojawiła się mała piłka plażowa; gdy się obracała, nalałam sobie coli z puszki, żeby powstrzymać drżenie rąk. Wreszcie strona się załadowała. Wpisałam hasło. Od wczoraj nic się nie zmieniło. Teraz mogłam patrzeć, jak wpływają pieniądze. Moncada pisał na własnym sprzęcie, powoli uderzając kolejne klawisze. Przed każdym ruchem zawieszał ręce w powietrzu. Na ten widok poczułam się niebywale młoda, co było miłą odmianą.

– Załatwione.

Oboje milczeliśmy, gdy odświeżałam stronę.

Wpłynęły! Sześć milionów czterysta tysięcy euro.

– Chciałabym zadzwonić do *signora* Fitzpatricka. Pozwoli pan?

– Proszę bardzo, *signorina*.

Jego kurtuazja dodała mi śmiałości. Gdybym była mężczyzną, pewnie musiałabym udowodnić, że nie zrobiłam tego, co rzeczywiście zamierzałam zrobić. Na szczęście Włosi nie mają dobrego zdania o umysłach młodych kobiet. Dotyczy to zresztą w ogóle wszystkich mężczyzn.

Zapalił papierosa przed wejściem. Przyłożyłam telefon do ucha, czekałam, potem udawałam, że zostawiam wiadomość, cały czas przebiegając palcami po klawiszach laptopa. Otworzyłam konto, które założył dla mnie Steve, zminimalizowałam okno, wybrałam opcję przelewu na koncie spółki Goodwood. Wysłałam. Wpisałam numer własnego konta. SWIFT, IBAN, hasło. Szczęśliwe dni w Osprey. Przyszedł. Zostawiłam teczkę na stole, obok nietkniętej pizzy z mikrofali. To

naprawdę tragedia, co się porobiło z włoskim jedzeniem.

– Poczta głosowa. Zostawiłam wiadomość i oczywiście *signor* Fitzpatrick zadzwoni do pana. Bardzo mi przykro, że nie mógł przyjść, panie Moncada, ale mam nadzieję, że pan i pański klient będziecie usatysfakcjonowani. To naprawdę przepiękny obraz.

Taksówką wróciłam do hotelu i zapytałam, czy może pan Fitzpatrick zostawił mi wiadomość. Gdy się wymeldowywałam, podałam recepcjonistce swój numer i poprosiłam uprzejmie, żeby przekazała go *signorowi*, jeśli zadzwoni. Dodałam lekkim tonem, że wyruszam w podróż – na północ, nad jeziora. Tyle szczegółów na pewno zapamięta. W pewnej knajpce nieopodal Campo di Fiori podawali białą pizzę rzymską, coś wyjątkowego – doprawianą rozmarynem. Uznałam, że mogę się tam wybrać, zanim odbiorę swoje rzeczy i pójdę na pociąg do Como. Nigdy nie widziałam tego jeziora. Pomyślałam, że mogę się poopalać i popłynąć promem do Bellagio, oczekując na policję.

Rozdział 17

Nie przypadkiem ojczyzną baroku są Włochy. Tutaj jest po prostu za dużo piękna, za dużo doskonałych widoków, za dużo delikatnie rozmytych barw w zbyt olśniewającym śródziemnomorskim świetle. Ta obfitość wydawała się przesadna, niemal krępująca. Gdy pociąg opuścił niepokojąco eleganckie jaskinie Stazione Centrale w Mediolanie i przedarł się przez posępne blokowiska przedmieść o wakacyjnie wyludnionych ulicach, ruszył przez serię tuneli w przedgórzu Alp, co chwilę wyłaniając się, żeby zaprezentować migawki zielonych zboczy i niebieskich wód, żywych i oszalamiających niczym nagle otwarta szkatułka z klejnotami. I w sposób, w jaki rytm kół pociągów zawsze oddaje twój nastrój, wagony nuciły do mnie: „Jesteś bogata, jesteś bogata”.

Niemniej dotarwszy do Como, zameldowałam się w najskromniejszym pensjonacie, jaki zdołałam znaleźć. Cud, że tak przedpotopowy przybytek w ogóle jeszcze funkcjonował – z zielonym linoleum na podłogach, wspólną łazienką, z której korzystałam wraz z najrozmaitszymi pełnymi wigoru Holendrami i Niemcami, co rano wyruszającymi na wycieczki piesze lub rowerowe, z wetkniętymi w kombinezony z lycry kanapkami, ukradkiem skubniętymi ze skromnego bufetu śniadaniowego. Przejrzałam swoje ubrania, odkładając na bok droższe, i kupiłam w supermarkecie tanią plastikową torbę podróżną w kratę, żeby je do niej spakować. Torbę schowałam pod musztardowym kocem na dnie rozkładanej szafy.

Pierwszego wieczoru zajęłam miejsce w barze przekąskowym, zamówiłam colę, której nie piłam, i wodę mineralną, którą piłam. W kratkowanym szkolnym zeszytcie zrobiłam sobie listę nazwisk

Cameron. Załatwione. Na pewno już nigdy z nikim nie porozmawia.

Jak szybko jednak wiadomość o jego śmierci dotrze do prasy? To zaprowadziło mnie do Ruperta. On będzie jakszalony próbował się skontaktować z Cameronem, spanikowany, że coś nie tak poszło z transakcją.

Z niekłamaną satysfakcją wyobraziłam sobie nieudane polowanie na pardwy na szlcockim wrzosowisku. Musiałam przyjąć, że Rupert ma dostęp do konta z Wysp Cooka, że zobaczy, że pieniądze wpłynęły, następnie zniknęły, co więcej – zobaczy, do kąd wypłynęły. Gdy usłyszy o śmierci Camerona, a na pewno usłyszy, pomyśli, że Cameron wpłatał się w coś za bardzo szemranego, że komuś się naraził i przeszarżował. Pewnie nie pójdzie na policję, żeby podjąć próbę odzyskania „Stubbsa”. A jeśli w gazetach pojawi się moje nazwisko? To absolutnie zrozumiałe, że Judith Rashleigh była w Rzymie, absolutnie zrozumiałe, że starała się załatwić

sobie pracę przez Camerona. Rupert wiedział, że weszliśmy z Dave'em na temat Stubbsa, może nawet uznać, że byłam dostatecznie inteligentna, żeby to rozpracować, Cameron zaś tak głupi, że mi wszystko wygadał, ale co z tego? Obraz po prostu zniknął. Rupert był bezsilny. W zasadzie.

Zostawały więc dwie osoby: Leanne i Moncada. Leanne raczej nie należała do tych, którzy śledzą na bieżąco doniesienia prasowe, ale nie była także całkiem głupia. Jeśli przeczyta gdzieś moje nazwisko, powiąże mnie z dwoma trupami. Z drugiej strony – doskonale wiedziałam, że jedyną osobą, którą Leanne się interesuje, jest sama Leanne, po cóż więc miałaby się angażować w sprawę, która nie przyniesie jej nic oprócz kłopotów?

A więc Moncada. Nie odniosłam wrażenia, że jest to człowiek, który ceniliby sobie zażyłość z policją. Handel dziełami sztuki nie był nielegalny, ale Moncada był za dobrze ubrany, nawet jak na Włocha, żeby nie mieć nic na sumieniu. Nie okradłam go – jego klienci będą zadowoleni i zapłacą. W roli asystentki Camerona wypadłam tak przekonująco, że Moncada przekazał mi pieniądze. Musiało mu się nawet wydawać, że zachowuję się właściwie, nie wiedziałam przecież, że mój szef leży na dnie Tybru w chwili, gdy zawieraliśmy transakcję. Jeśli już ktoś ma się bać, to chyba on – że mała miła Judith pójdzie na policję. Na kilka chwil zrobiło mi się zimno. Przyjdzie po mnie? Zapamiętał moje nazwisko z paszportu? Musiałam mu pokazać dokument, żeby wypaść przekonująco. Jeśli Moncada miał jakiegokolwiek powiązania z przestępczością zorganizowaną – wydawało mi się, że ma – to na terenie Włoch znajdzie mnie bez trudu. Może właśnie w tej chwili pomyślał przez te same skaliste tunele jak rozjuszony szczur, namierzając mnie po obrzydliwym odorze mojego strachu. Serce mi łomotało, ręce zaczęły się trząść. „Przestań, przestań! Oddychaj”. Moncada wiedział, że on osobiście nie ma nic wspólnego ze śmiercią Camerona. Nawet nikt nie podejrzewał, że jest inaczej. Sądził, że zapłacił Cameronowi, nie mnie. Jak jednak wyglądał najgorszy z możliwych scenariuszy? Moncada dostrzeże nieoczekiwane zalety obywatelskiej postawy i pójdzie na policję. Nie było dowodów, które by mnie obciążały, tylko okoliczności. Na miłość boską, zaczynałam myśleć jak tępe dzidy, które sądzą, że rozumieją prawo, ponieważ oglądają CSI. „Myśl!” W tej chwili Judith Rashleigh jest splekaną byłą pracownicą domu aukcyjnego, która została niefortunnie powiązana ze strasznym wypadkiem (z dwoma wypadkami, jeśli prześledzą moje podróże lotnicze i jakoś powiążą mnie z Jamesem). Wypląty z bankomatów z brytyjskiego konta bankowego dowiodą, że z własnych środków finansowałam swoje skromne podróże, zanim wróciłam do Londynu szukać pracy.

Jedynym słabym punktem było więc ewentualne powiązanie Ruperta, Camerona i Moncady. Jeśli Rupert zdoła dotrzeć do tego ostatniego, dowie się, że się spotkaliśmy i że przekazałam obraz, będzie więc mógł na mnie donieść. Anonimowy telefon do włoskiej policji. Jedyny dowód wypłynąłby wtedy, gdyby władze wystąpiły z nakazem udostępnienia danych o moich kontaktach bankowych. Żeby mnie jednak zawlec do sądu pod zarzutem morderstwa, Rupert musiałby

skompromitować samego siebie, a i tak nie odzyskałby pieniędzy. W głowie mi się kręciło, poczułam drętwienie w prawym nadgarstku. Nie byłam w stanie utrzymać długopisu. Jak długo tak siedziałam?

Wdech nosem, wydech ustami. Spokojnie. Nie byłam w stanie kontrolować wszystkich ewentualności, ale Rupert także nie miał tego luksusu. Zaczeka co najmniej do chwili, gdy się dowie o morderstwie. Musiałam więc przelać pieniądze ze Szwajcarii – tak bliskiej, leżącej zaledwie po drugiej stronie gór. Później mogłam pojechać dokądkolwiek, być kimkolwiek. Musiałam tylko zacząć na policję i podać im swoją wersję wydarzeń. Zmiałam kartkę, na której pisałam, podeszłam do brzegu jeziora i zanurzyłam ją w wodzie w zaciśniętej pięści i trzymałam tak do czasu, aż odpłynęła w formie rozmołnionych strzępków. Uświadomiłam sobie, że to czekanie właśnie będzie najtrudniejsze.

Najbliższe trzy dni miały w sobie coś bliskiego niemal nieznośnemu pożądaniu. Białe szum nieobecności ukochanej osoby, która szepcze nieustannie w ucho, w żyłach. Czekałam jak zakochana kobieta, jak potajemna kochanka, którą z sennej udręki samotności wyzwoli dopiero krok kochanka w korytarzu taniego hoteliku. Co rano biegałam, pokonując przyprawiające o zawrót głowy szlaki, aż uda zaczynały mi drżeć, a łydki płonęły. Zamawiałam lunch i obiad, ale ledwie mogłam coś przełknąć. Paliłam tyle, że zbierało mi się na wymioty. Kupiłam butelkę taniej brandy oraz jakieś tabletki nasenne bez recepty i co noc próbowałam się tym pozbawić przytomności. Budziłam się jednak przed świtem z ostrym i przenikliwym bólem w czaszce, po czym na cienkim szaroniebieskim prześcieradle śledziłam uderzenia swego serca. Czułam, że coraz bardziej zapadają mi się policzki, że płaszczyzna moich bioder jest coraz twardsza. Próbowałam czytać, siedząc na ławkach, z których rozciągał się isticie pocztówkowy widok, albo na parapecie, albo na małej kamienistej plaży, ale byłam w stanie tylko się wpatrywać w przestrzeń i w kółko, w kółko sprawdzać telefon. Grałam w ulubione gierki nastolatka ze złamanym sercem. Jeśli mężczyzna w granatowej bejsbolówce kupi czekoladowe lody, zadzwonią do mnie, jeśli prom zatrąbi dwukrotnie, zadzwonią. Za każdym razem gdy telefon burczał, chwytalam go niczym wodę na pustyni, palce mi się płały na klawiaturze, ale oprócz jednego esemesa od Steve'a – *Cześć, co u Ciebie?* – dostawałam tylko spam od Telecom Italia. Nie kupowałam gazet, bałam się bowiem, że inaczej nie zareaguję wiarygodnie, choć wiedziałam, że to pewnie głupia obawa. Zdarzało mi się w życiu pragnąć, pragnąć i pożądać, ale chyba nigdy nie byłam tak stęskniona, jak w chwili gdy w moje ucho niczym balsam wlał się głos inspektora da Silvy – po tych wszystkich dniach, które śkapywały powoli niczym żywica sącząca się z sosny.

Mówił niepewnie po angielsku.

– Mogę rozmawiać z panią Judith Rashleigh?

– Przy telefonie.

– Nazywam się da Silva. Romero da Silva.

Nie wiedzieć czemu, zebrało mi się na śmiech. Wreszcie.

– *Signora*, jestem funkcjonariuszem włoskiej policji. Pracuję w komisariacie w Rzymie.

Przećwiczyłam to.

– O co chodzi? Coś się stało? Coś z moją rodziną? Proszę mi powiedzieć!

Nie musiałam udawać napięcia, o mało bowiem nie zemdlalam.

– Nie, nic podobnego. Ale rzeczywiście mam bardzo przykre wiadomości. Pani kolega został zamordowany.

Zanim się znowu odezwałam, odczekałam chwilę.

– Nie rozumiem...

– Pani kolega, Cameron Fitzpatrick

Głośno wciągnęłam powietrze.

– O mój Boże.

– *Si, signora*.

Wcześniej uznałam, że będą czekali na moją reakcję, może nawet będą nagrywać rozmowę. Nie mogłam przesadzić. Dałam mu – im? – posłuchać swojego oddechu, zanim się odezwałam.

– Niedawno spotkałam się z nim w Rzymie. Nie rozumiem...

– Właśnie. Zostawiła pani w hotelu swój numer telefonu.

– Ale co się stało? Przecież...

– Przykro mi, że właśnie ja muszę pani przekazywać takie straszne wiadomości. Proszę mi powiedzieć, czy nadal przebywa pani na terenie Włoch?

– Tak, jestem we Włoszech, w Como.

– W takim razie, jeśli się pani zgodzi, chciałbym zadać pani kilka pytań. To możliwe?

– Tak, oczywiście. Tak! Mam przyjechać do Rzymu? Co się stało?

– To nie będzie konieczne. Jeśli poda mi pani adres, pod którym przebywa...

– Powinam zadzwonić do konsulatu? Jego rodzina... Nie wiem, czy oni...

– Zadbaliśmy o wszystkie formalności. Zabierzemy pani niewiele czasu. I proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

Przyjechali pięć godzin później. Uprzedzili mnie telefonicznie. Czekałam w ciasnym holu mojego pensjonatu. Wcześniej zmyłam makijaż, czarną sukienkę kupioną w Rzymie przewiązałam zaś rzemykiem. Po głowie tłukły mi się szalone pomysły z DNA – może gdzieś na niej są jakieś ślady krwi z kciuka? Jeśli będę miała dowód na sobie, trudno będzie im go zdobyć. Kobieta w recepcji z ciekawości oderwała wzrok od dudniącego teleturnieju, by obejrzeć radiowóz Guardia di Finanza z rzymskimi numerami. Czulałam jej wzrok na sobie, gdy wychodziłam do nich na rozpalony podjazd. Sądziłam, że da Silva to starszy z dwóch przybyłych

policjantów, tymczasem on miał koło trzydziestki, krępe ciało z siłowni i krótkie ciemne włosy. Czyste paznokcie, obrączka. „Nieźle” – miałam przyznać. Jego kolega, Mosoni, wyglądał na pięćdziesiątkę, był przygarbiony i cały obwisły. Obaj byli po cywilnemu, w uprasowanych dżinsach i sportowych polo. Nie wiedziałam, czy to dobrze czy źle – czy przyjechaliby w mundurach, gdyby zamierzali mnie aresztować? Przywitałam się z nimi uściskiem dłoni i czekałam.

– Możemy gdzieś usiąść, *signora*?

Odpowiedziałam po włosku, oni zaś od razu się rozpromienili, najwyraźniej z ulgi, że nie muszą się już męczyć z językiem angielskim. Zaproponowałam, żebyśmy porozmawiali w moim pokoju – była to przestrzeń bardziej intymna, tym zaproszeniem sugerowałam ponadto, że nie mam nic do ukrycia. Odniosłam wrażenie, że recepcjonistka bardzo chciałaby o coś spytać, gdy całą trójką szliśmy do schodów, ale nie spojrzałam na nią ani nie zareagowałam na nieśmiałość „*Signora*?”, tylko poprowadziłam policjantów na drugie piętro. Sama zajęłam jedyne krzesło, im zaś wskazałam zapadnięte łóżko, robiąc przy tym przepraszającą minę. Wyglądałam na kolanach sukienkę i spokojnie spytałam, w czym mogę im pomóc. Pierwszy odezwał się da Silva.

– Jak już wyjaśniłem, pani kolega...

– Chyba powinnam sprecyzować, że pan Fitzpatrick nie był moim kolegą. Kiedyś pracowałam w domu aukcyjnym *British Pictures* – zauważyłam, że ta nazwa nie jest im obca – trochę go więc znałam na gruncie zawodowym. Wpadłam na niego w Rzymie i rozmawialiśmy o tym, czy mogłabym dla niego pracować, w jego galerii w Londynie. Miałam nadzieję, że do mnie zadzwoni, ale najwyraźniej... – nie dokończyłam zdania. Starałam się sprawiać wrażenie wstrząśniętej, ale łzy byłyby przesadą.

– Muszę zapytać, czy łączyło panią coś intymnego z panem Fitzpatrickiem?

– Rozumiem. Nie, nic takiego nas nie łączyło. Jak powiedziałam, właściwie wcale go dobrze nie znam. – Miałam nadzieję, że zauważą rozmyślną pomyłkę w użyciu czasu, ale mogli to przy pisać niedoskonałości mojego włoskiego.

Wypyтали o mój pobyt we Włoszech i moje spotkanie z Cameronem w hotelu Hassler. Powiedziałam, że zjedliśmy razem lunch i kolację, po której Cameron się pożegnał, twierdząc, że ma spotkanie, a miałam się z nim zobaczyć nazajutrz rano w hotelowym holu. Czekałam jakąś godzinę, aż wreszcie zostawiłam wiadomość. Zamierzałam kontynuować wakacje, jak zapewne widzą. Wyznałam, zerkając skromnie spod rzęs, że kiedy tak się zastanawiam, to myślę, że może Cameron wcale nie zamierzał proponować mi posady, że może tylko chciał mieć towarzystwo, gdy czekał w Rzymie na klienta. Dodałam, że pojechałam do Rzymu sama, że miałam w planach zwiedzanie muzeów. Podałam nazwę hotelu, w którym się zatrzymałam. Domyśliłam się, że to dzięki moim staraniom o przekazanie wiadomości od Camerona zdobyli moje nazwisko i numer,

zgodnie z moim zamierzeniem. Gdybym nie bała się tak strasznie, gdybym nie panowała z takim trudem nad łomoczącym sercem, czułabym się teraz z siebie dumna.

– Klientem? – Da Silva przeszedł do sedna.

– Tak, mówił, że przyjechał do Rzymu na spotkanie z klientem. I odniosłam wrażenie, że to spotkanie wiele dla niego znaczy. Ale nic więcej mi nie powiedział.

– To normalne zachowanie?

– Tak, marszandzi zawsze są dyskretni. – Staralam się mówić z profesjonalną pewnością.

– A czy pan Fitzpatrick sprawiał wrażenie zaniepokojonego czyms?

– Nie, takbym nie powiedziała.

– Wie pani, z kim się spotykał?

– Nie, nie wiem. Nie mam pojęcia.

– Czy to mogłaby być kobieta?

Kobieta w hotelu Hassler, w jaskrawym płaszczu Kenzo, który w spokoju spoczywał w śmietniku na pysznym surową wspaniałością faszystowskiej architektury dworca mediolańskim.

– Naprawdę nie mam pojęcia.

– Pracownik hotelu Hassler mówił, że w noc zabójstwa o pana Fitzpatricka pytała jakaś kobieta.

„Czy zaraz wyjmą moje niewyraźne zdjęcie z monitoringu? Czy teraz mnie rzucą na ziemię i skują?” Nagle, w zdecydowanie niewłaściwym momencie, przypomniała mi się scena z udziałem Helene i Stanleya na imprezie na Chester Square. Mosoni przyglądał mi się z natężeniem. „Bez litości, Judith”.

– Nie, to nie byłam ja. Pożegnaliśmy się w restauracji. Niestety, nie pamiętam jej nazwy. Miała balkon... Poszłam na piazza Navona i chyba napiłam się lawy. Czy ja muszę mieć alibi? – Zaśmiałam się nerwowo, po czym spojrzałam ze skruchą, że rzuciłam taki niestosowny żart.

– A pan Fitzpatrick wspominał o jakieś kobiecie? – wtrącił da Silva.

– Nie, zupełnie nie.

– Nie, proszę pani – odpowiedział na moje pytanie Mosoni. – Nie potrzebuje pani alibi. Zamierza pani pozostać dłużej we Włoszech? Może będziemy musieli się z panią skontaktować.

– Zostanę kilka dni. Chciałam kontynuować podróż. Oczywiście pomogę w czym tylko się da. Biedny Cameron. Jeszcze to do mnie nie dotarło.

– Oczywiście, to straszne przeżyłcie – odrzekł z powagą da Silva.

– Właśnie, straszny szok

Przez kilka chwil wszyscy milczeliśmy, straszliwie wstrząśnięci. W końcu panowie wstali i wymieniliśmy standardowe pożegnania. Otworzyłam drzwi i słyszałam jak schodzą po schodach, jak grzecznie się żegnają z wybałuszającą oczy recepcjonistką. Potem stanęłam kilka

kroków od okna, nasłuchując silnika radiowozu. Gdy odjechał, ani drgnęłam, trwałam w absolutnym bezruchu. Czy podłożyli mi w pokoju kamerkę? Na przykład Mosoni, gdy da Silva odciągał moją uwagę? Czy to nie byłoby niezgodne z prawem? Nie mogłam niczego szukać, jeśli mnie bowiem nagrywali, wzbudziłabym ich podejrzenia. Jezu! Przynajmniej nie spytali o nóż. Ostrożnie usiadłam z powrotem na krześle, zapaliłam, wstałam, zaczęłam się pakować. W kosmetyczce nadal miałam sporo pieniędzy od Steve'a. Zostanę we Włoszech najwyżej kilka dni, potem pojadę do Genewy. Będę płacić za wszystko gotówką, dopóki nie znajdę tego, co trzeba.

Oparłam się o okno i wsunęłam dłoń między uda. Dobrze się czułam na myśl o tym, co mogę osiągnąć. Lepiej niż dobrze. Czułam, jak wargi mojej cipki nabrzmiewają pod opiętą dzianiną majtek. Dałam radę, wyszłam z tego bez szwanku. No, prawie. Tymczasem znajdę lepszy hotel i zrobię to, na co miałam największą ochotę od tygodni. Zaliczę kogoś.

Rozdział 18

Nie interesuje mnie rola osoby, za którą ktoś się ugania. Nie interesuje mnie ani flirtowanie, ani chodzenie na randki, ani bycie okłamywanym – wszystko to zwykle do tego właśnie się sprowadza. Lubię wybierać. Dlatego lubię chodzić na przyjęcia, tam bowiem te wszystkie nudne etapy są pomijane. Każdy wie, w jakim celu przyszedł. Nikt nie szuka bratniej duszy, żeby się przejrzeć w jej oczach. Zagrywki solowe w codziennym świecie są bardziej skomplikowane. Gdy wykłuczyłam ojców rodzin – nie to, żeby się nie nadawali, ale praca, problemy, niedogodności... – i miejscowych nastolatków – mało prawdopodobne, żeby byli utalentowani... – został mi do dyspozycji w zasadzie tylko personel dość miłego hotelu, w którym się zatrzymałam w Bellagio. I nie w tym rzecz, że pieprzenie się z personelem przynosi ujmę – tu miłe wspomnienia związane z Janem – lecz w tym, że było to jednak bardzo przygnębiające towarzystwo. Nie chciałam kontaktów z policją. Musiałam rozładować napięcie.

Matteo wydawał się doskonały. Dałam mu się poderwać w obskurnym barze nad brzegiem jeziora – wybrałam ten lokal ze względu na rząd skuterów przed wejściem, chociaż zdążyłam już zauważyć, że motocykliści podróżujący wokół jeziora Como zwykle mają dogodnie maleńką dziewczynę przycupniętą na sakwach. Matteo był sam. Gdy zaczęliśmy rozmawiać, wyznał, że jest z Mediolanu i mieszka w domu babci. Właśnie skończył studia, a że był Włochem, oznaczało to, że jest kilka lat starszy ode mnie. Z twarzy może nie powalał, ale był wysoki, a ramiona w spranym czarnym T-shirtcie były szerokie i umięśnione. Postawił mi paskudne prosecco, potem ja sobie zamówiłam następne i zaproponowałam mu piwo. Wskoczyłam na jego vespe i terkocząc, ruszyliśmy do domu babci (wcześniej się upewniłam, że *nonna* wyjechała nad morze). Tym razem znowu używałam imienia Lauren i przedstawiłam mu tę samą historię – że podróżuję po Włoszech między jedną a drugą pracą. Przez chwilę, gdy vespa, sapiąc, oddalała się stromą drogą od miasteczka, jezioro w dole mieniło się zaś różowo w promieniach zachodzącego słońca, wtuliłam twarz w jego kurtkę i delikatnie chwyciłam go za biodra, poczułam się odrobinę samotna. Pomyślałam, że tak to właśnie będzie. Jeśli przez to wszystko przejdę, nigdy już nie zdołam być na powrót sobą.

Myśl o siedlisku starszej pani była może trochę przygnębiająca, ale dom Mattea okazał się dość miły – lata siedemdziesiąte, ale po włosku, czyli bez wersji odrażającej, z mnóstwem białych ścian i ciemnego drewna, z wielkim tarasem, z którego roztaczał się niesamowity widok na wodę. Robiło się coraz chłodniej, Matteo pożyczył mi więc kaszmirowy sweter, żebym zarzuciła go na dzinsy, i siedzieliśmy nad butelką dziwnie musującego czerwonego wina, patrząc

na światła ostatniego promu odpływającego do Como. On zapalił skręta, ja udawałam, że się zaciągam, i wyznał, że choć studiował architekturę, myśli o napisaniu powieści. Potem zapytał, czy chciałabym posłuchać, jak gra na gitarze, a ja już wiedziałam, czym to się może skończyć, szepnęłam więc „Może później” i wsunęłam mu język do ust. Wydawał się zaskoczony, ale zaraz sobie chyba przypomniał, jak przystało na Włocha, że przecież wszystkie Angielki to dziwki, i pojął, co robić. Pocałunek nabrał mocy, kręciłam się na jego kolanach, żeby poczuł moje piersi, językiem penetrowałam coraz głębiej słodkawy smak ziola w jego ustach, aż poczułam, jak jego członek w dżinsach twardnieje.

– Chodźmy do twojej sypialni.

Gdy Matteo prowadził mnie na górę, zobaczyłam obraz w przedpokój i dopiero wtedy zrozumiałam, co zrobiłam w Rzymie. Nienawidzę, kiedy świat serwuje taką tanią sztukę z motywem przewodnim. Była to reprodukcja obrazu Turnera *Campo Vaccino*, jego ostatniego obrazu Wiecznego Miasta. Niektórzy widzą w tym płótnie żal, mięką wędrówkę światła po Forum, dotkliwe pożegnanie wielkiego człowieka. Napomnienie dla turysty, takie, jakie wiszą na ogrodzeniach nad brzegiem Tybru. Tam, gdzie byłam jeszcze niedawno.

Matteo przystanął, żeby przycisnąć mnie do ściany kolejnym pocałunkiem, teraz już bardziej niecierpliwym. Zrzuciłam buty i dżinsy, majtki schowałam w garści i położyłam się, gdy on zdejmował sweter i T-shirt, po czym przyciągnęłam go do siebie i przewróciłam na plecy. Przebiegłam językiem po młodzieńczej klatce piersiowej, potarłam brodawki sutkowe. Już od samego zapachu mężczyzny po tak długiej przerwie robiłam się wilgotna – wetknęłam nos w jego pachę i wciągnęłam piżmową woń potu niczym koliber szukający nektaru. Językiem przemknęłam po wąskiej ścieżynce na płaskim brzuchu, przystanąłam przy pierwszym guziku dżinsów, odpięłam rozporek, żeby wziąć jego członek do ust. Wydał mi się trochę posępny – długi, ale zbyt wąski, z irtującą dziecięcą ilością napletka, za to boleśnie twardy. Z ciężkiego oddechu Mattea wywnioskowałam, że niezbyt często zaznaje on takich uroznaiceń spokojnych nocy nad Como, ja zaś chciałam, żeby mnie zerznął, zanim dojdzie.

– Masz gumkę?

Wstał, zapalił światło i ruszył na poszukiwania, eksponując bezbronne chude pośladki. Poglaskałam się po cipce, wsunęłam palec do środka, zwilżyłam go swoim sokiem, następnie podniosłam do ust. Byłam tak podniecona, że mogłabym teraz dojść – minęły chyba całe wieki, zanim znalazł to cholerstwo i zajął pozycję między moimi rozłożonymi udami. Wprowadziłam go do środka. Wtuliłam jego głowę w swój obojczyk, ściskając ją mocno, żeby go spowolnić.

– *Aspetta*. Zaczekaj. Nie spiesz się. – Teraz poruszał się wolniej, pchając głębiej, w dobrym, miarowym rytmie. Wsunęłam między nas prawą rękę, żeby sięgnąć do lechtaczki.

– Mocniej. *Vai*. Mocniej!

I nagle, w chwili gdy wszedł we mnie, w tym pierwszym wybornym momencie wtargnięcia – czy przyjęcia – odpłynęłam myślami. Matteo pieścił oddechem moje ucho, jak miłosnym wierszem demona. W sypialni panował mrok, mój wzrok wyszukał kilka przedmiotów na biurku przy łóżku – książka, popielniczka, wzruszający srebrny puchar za osiągnięcia sportowe. „Mogłabyś go chwycić – pomyślałam – i walnąć go w potylicę. Krew zalałaby mu ucho, potem twarz. Nie wiedziałby, co się stało. Padłby miękko na twoje piersi jak lalka, szarpnięciami penisa wyrzucając z siebie życie”. Zamknęłam oczy. Spływałam swoim sokiem, ale przed oczami widziałam film, błagalne oczy, mosiężny róg walizki, szkarłatny tampon podpaski, nadymająca się poszarzała twarz. Bałam się, że pieprzę się z kolejnym trupem, i odkryłam, że te myśli mi się podobają. Dyszałam ciężko, niemal jęczałam, słyszałam zduszone krzyki doganiającego mnie Mattea, aż na kilka cudownych sekund się zatraciłam. Leżeliśmy później razem jak prawdziwi kochankowie, dysząc pośród szczątków wyrzuconego przez fale wraku. Nie mogłam mówić. Nie mogłam na niego patrzeć. Milczeliśmy, leżąc nieruchomo, aż on zaczął muskać mnie nosem, całować moją szyję, moje włosy.

Istnieje coś takiego jak anamorfoza. Maluje się jakiś przedmiot w zniekształceniu, tak że jego prawdziwą formę widać dopiero wtedy, gdy spojrzysz na obraz z konkretnej perspektywy. Najslyniejszy chyba przykład anamorfozy można znaleźć na obrazie *Ambasadorowie* Holbeina – biała smuga na pierwszym planie portretu okazuje się ludzką czaszką. Na podłodze National Gallery, na prawo od obrazu, widać wydeptany punkt, w którym trzeba stanąć, żeby rozszyfrować koncept. Sądzę, że wszyscy wielcy malarze tworzą coś w rodzaju anamorfozy. Trzeba stanąć we właściwym miejscu i nagle odnosi się wrażenie, że wpada się do wnętrza obrazu. Przez chwilę istnieje się w dwóch stanach, wewnątrz i na zewnątrz, tu i tam – taka sztuczka kwantowa. Żaden z tych stanów nie może zaistnieć bez drugiego. Tak więc istniałam w dwóch osobach: w Rzymie i jednocześnie w łóżku Mattea.

– *Ciao cara. Ciao bellissima.*

– *Ciao* – wyszeptalam wtulona w jego szyję.

Staralam się tchnąć w swój głos jakiegoś ciepło, leniwym ruchem głaskałam go po włosach. Matteo niczym nie zawinił, był naprawdę słodki. Przyniósł szklankę wody, ale pokręciłam głową, wtuliłam się w kołdrę i udawałam, że zasypiam. Wciąż miałam na sobie jego sweter. Poczulałam się bardziej naga, gdy przytulił się na łóżeczku do moich nagich ud. Zaczekałam, aż oddech mu się uspokoi, a wtedy moje oczy otworzyły się gwałtownie jak w scenie rodem z horroru o wampirach. Policzyłam powoli do tysiąca po włosku, po francusku i wreszcie po angielsku, delikatnie zdjęłam z siebie jego ramię i powoli, bardzo powoli wysunęłam się z łóżka. Zostawiłam sweter, włożyłam dzinsy i buty. Wcześniej zamierzałam przytknąć mu do twarzy moje majtki, gdy będzie szczytował, żeby wdychał mój zapach, tryskając w mojej cipce, ale za bardzo się

zajęłam rozmyślaniami, jak seksownie byłoby go zamordować, i zapomniałam. Pólnaga zesłałam na dół, piętami dotykając skraju stopni, w holu ubrałam się do końca, pod mglistym blaskiem Turnera. Patrząc na widoczne w dole światła Bellagio, ruszyłam biegiem. Klucz do mojego pokoju wisiał za kontuarem recepcji hotelu. Matteo nie spytał, gdzie nocuję. Nawet gdyby chciał mnie odszukać, zanim się obudzi, ja już zniknę. „Nie tak miało być – powiedziałam sobie – ale tak się stało”. Byłam spięta, to tylko mój umysł płatał figle, senny pokaz stresu w technicolorze. Nic poza tym, nie ma się czym przejmować. Noc była bezksiężycowa, nie było późno, wiedziałam, że nie zasnę. Spakuję się, zapłacę za pokój, zamówię taksówkę na piątą rano, a ona zawiezie mnie na dworzec. Teraz musiałam być jeszcze silniejsza niż zawsze. Jeszcze przez kilka dni, nie więcej. „Matteo był pomyłką” – pomyślałam zirytowana. Co ze mną? Byłam jakąś ćpunką? Jeszcze będę miała na to czas, dużo czasu. A więc następne zadanie. I następne, i następne, i tak aż do Genewy.

Rozdział 19

Mniej więcej w tysiąc sześćset dwunastym roku Artemisia Gentileschi namalowała niewielki obraz przedstawiający Danae – księżniczkę Argos, z którą Zeus kochał się pod postacią złotego deszczu. Był to niezwykły wybór jak na uczennicę, która za próg ojcowskiego domu wychodziła wyłącznie z przyzwoitką. Danae Artemisii nie była według ówczesnych standardów wybitną pięknoscią, miała bowiem zbyt bladą skórę i zbyt wydatny brzuch. Choć leżała odchylona, śmiało eksponując swoją nagość, było u niej widać fałdy podwójnego podbródka. Uwielbiałam ten obraz, ponieważ spośród pozostałych ujęć tematu – a był to wybór popularny w siedemnastowiecznym soft porno – wyróżniał się dowcipem. Danae ma oczy przymknięte w rozkoszy, ale nie do końca, widać bowiem, że spod ciężkich powiek ocenia, zerka ukradkiem na liczbę złotych bryłek spadających na jej uległe ciało. Prawa ręka jest założona na marmoladowozłote włosy, lewa spoczywa na solidnym udzie, ale mięśnie przedramienia są napięte – zaciśnięta dłoń ściska garść łupu. Danae robi głupka z boga, który sądzi, że ją oczarował – śmieje się spod tych spuszczonej rzęs do widza, do mężczyzny, który chce się wpatrywać w jej nagość, ale bojąc się do tego przyznać, korzysta z pretekstu w formie klasycznego tematu. „Takie właśnie jesteśmy – mówi Danae. – Choć zgrywamy nimfy, musisz wypełnić nasze cipki złotem”. Za tym żartem nastoletniej malarki nie kryje się jednak żadna bezwzględność. Chichocze z nami, żebyśmy zobaczyli, jakimi kalekami erotycznymi jesteśmy. Gdyby Danae wyposażać w komiksowy dymek wydostający się z jej smakowitych ust, mówiłaby: „Dobra, chojraku. Ile?”.

Z radością rozmyślałam o tym obrazie, siedząc w barze Hotel des Bergues w Genewie. W przeciwieństwie do innych europejskich miast Genewa w sierpniu nie zamieniała się w nekropolię. W środku lokalu cicho szemrała klimatyzacja, ale na zewnątrz pod posępnym szwajcarskim niebem miasto wciąż pulsowało ukrytym blaskiem pieniędzy. W pamiętnikach słynnej call girl wyczytałam kiedyś, że jeśli ktoś chce znaleźć prostytutkę w eleganckim hotelu, powinien szukać kobiety w zachowawczym garniturze. Przypomniam sobie moją żalną tweedową garsonkę w innym życiu, gdy siedziałam z Leanne w Ritzu. „Najwyraźniej – pomyślałam cierpko – przeznaczenie czekało tylko na właściwy moment”. Tę nową małą czarną zawdzięczałam Steve’owi, była to inwestycja z przedjesiennej kolekcji z ostatniej wizyty: Valentino, cieniuteńka granatowa wełenka, perfekcyjnie skrojona, do tego gładkie czarne sandały Jimmy Choo na wysokim obcasie. Włosy upięte, żadnej biżuterii, paznokcie u rąk i nóg w perłowym beżu. Tak bardzo wyglądałam na bankiera, że musiałam być kurwą.

Zamówiłam kieliszek chenin blanc i rozglądałam się po pomieszczeniu. Przy sąsiednich stolikach siedziało kilku Arabów – robili do mnie słodkie oczy – poza tym starszy gość w typie zdezonizowanego dyktatora z nieprzekonującą blondynką, grupka Niemców z laptopami łypiących okiem na blondynkę, dwóch młodszych gości w dżinsach i z zegarkami IWC popijających wódkę z tonikiem. W dżinsach chodzą płotki. Mnie był potrzebny ktoś ubrany tak jak ja. Potrzebowałam bankiera. Wzięłam więc „The Economist” i poszłam na obiad do Quirinale. Zamówiłam świeże *foie gras*, tak po prostu, i przeglądałam artykuł o Korei Północnej, czekając, aż w sąsiednim barze zacznie grać muzyka, agresywny house, którego potrzebują euromiernoty, żeby wiedzieć, że się dobrze bawią. Zamówiłam *mousse au chocolat* z syropem jaśminowym, tak po prostu, później przeszłam do baru i przestałam udawać, że czytam. Napływali kolejni goście. Dwie kobiety w czarnych garniturach zajmowały stolki obok – standardowe połączenie blondynki i brunetki. Sądząc po wielkich dłoniach brunetki i nieco napiętej linii jej szczęki, klient, który się z nią oddali, może mieć dodatkową niespodziankę. W ciągu kilku minut dołączyli do nich dwaj mężczyźni w garniturach i wkrótce dotarli do połowy butelki szampana. Dziewczyny śmiały się i zarzucały włosami, wykazując ogólnie niebywały zachwyt, że znajdują się w zatłoczonym barze z kiepskim didżejem i tandetnymi świeczkami pływającymi w lodowym korytku, z fascynująco błyskotliwymi mężczyznami, podczas gdy ich bardziej fartowne koleżanki wciągają paskudną ruską kokę na Riwerze. Odczekałam dziesięć minut i poprosiłam portiera, żeby zamówił mi taksówkę do Leopard Lounge.

Na miejscu zamówiłam burbona. Nikt tutaj nie udawał, że to coś innego niż targ mięsny. Stadko ostatnich nastoletnich modelek kategorii katalogu z bielizną, z gejowskim dilerem w białych dżinsach Dolce & Gabbana, i kilku podstarzałych gości, których przeszczepione włosy wyglądały jak obraz nędzy i rozpaczy. Kolejne blondynki z implantami piersi różnych rozmiarów, kolejne dziesięciocentymetrowe krochmalone kołnierzyki, kolejne roleksy, wybielane laserem zęby i martwe oczy. Płotki, które widziałam w Hotel des Bergues, także tutaj dotarły – mężczyźni ci pokrzykiwali nad wódką, każdemu zaś zwiślała z ramienia dziewczyna w quasi-skórzanych spodniach. Dziewczyny były wszędzie, czytane „Grazia” i gotowe na wszystko. Dziewczyny ożywione nadzieją, że dziś ich życie się zmieni, dziś znajdą odskocznię, dziś nastąpi ten moment, który nada sens wszystkim potwornym porankom i wszystkim fatalnym obciążaniom. Dziewczyny jak ja – jakniegdysiejsza ja.

Genewa nie jest dużym miastem, pełno tutaj jednak młodych mężczyzn przy forsie, dwa i pół procent tutejszych mieszkańców zajmuje się zaś prostytucją różnego typu. Nie za bardzo byłam zainteresowana rywalizacją, ale o dwudziestej trzeciej trzydziści czułam już lekką desperację. Nie mogłam ryzykować kolejnego burbona. Lista, którą sobie zrobiłam w Como, wirowała mi w głowie: Rupert, Cameron, Leanne, Moncada. Ile czasu miałam? Jeśli nic nie zdziałam, muszę

wziąć z banku to, co jest, i uciekać. Ile gotówki mogłam legalnie wywieźć? Może miałam do dyspozycji jedynie kilka dni; w takim układzie miałabym szczęście, gdybym wyciągnęła jakiegokolwiek konkretny pieniądź z Osprey i wy dostała się z Europy, zanim któryś kolega da Silvy zacznie mnie szukać.

Czasami jednak w wyjątkowych sytuacjach, gdy zamkniesz oczy i bardzo, bardzo tego pragniesz, życie zamienia się w film. I dlatego wreszcie wszedł on. Po pięćdziesiątce, siwiejący, niezbyt przystojny, ale pachnący pieniędzmi, z obrączką, w garniturze z Savile Row, ze spinkami do mankietów Bulgari (świetnie, żadna arystokracja, ale odrobina ryzyka), o nieskalanych butach i z doskonałym zegarkiem! Zwłaszcza buty robiły wrażenie. Jeśli miałabym wymienić jedną rzecz, której chciałabym już nigdy nie ujrzeć na oczy, to kolejny pieprzony mokasyn z chwościkiem. Mężczyzna był sam, co oznaczało, że coś mu się nie udało i przyszedł się napić, albo że coś mu się udało i przyszedł się napić. Tak czy inaczej napije się ze mną.

Rozdział 20

Dopiero gdy wróciliśmy do mojego pokoju w hotelu i nalałam Jeanowi-Christophe'owi drinka, zamiast poprosić o wyłożenie należności, zaświtało mu w głowie, że nie jestem prostytutką. I nawet gdy już spędził piętnaście minut z twarzą w mojej cipce, później zaś jakieś trzy minuty posuwając mnie od tyłu przy akompaniamencie moich zachwyków, i gdy podygotałam trochę w jego zaskakująco włochatych ramionach, wciąż nie był w stanie w to uwierzyć.

– Nie do końca tego oczekiwałam – oznajmił po francusku.

– Czy w tym momencie mam ci powiedzieć, że zwykle nie jestem taka śmiała, tylko tobie akurat po prostu nie mogłam się oprzeć? – Wysłałam z łóżka po szklanek wody, a także po to, żeby dać mu sposobność na zobaczenie mnie w całej okazałości. – Wiesz, bardzo mi się podobasz – mówiłam dalej – ale jestem dorosła i takie gierki mnie nudzą.

– Rozumiem.

– Nie należę również do przylep. Możesz zostać, jeśli chcesz. – Wróciłam do łóżka i owinięłam się kołdrą. – Możesz także nie zostawać.

Ponownie objął mnie od tyłu, dłońmi nakrył piersi, skubnął zębami kark. Niewykluczone, że to nie będzie jakiś smutny obowiązek

– Rano muszę być w biurze.

– Jak masz rozmiar kołnierzyka?

– A co?

– Zadzwoń do konsjerża i poproszę, żeby znalazł ci koszulę na zmianę. Spodoba mu się takie wyzwanie.

Jean-Christophe został – i na tamtą noc, i na następną. Później zapytał, czy spędzę z nim weekend w Courchevel. Pora roku mi sprzyjała. Nie tylko żony oddaliły się na wyjazd wakacyjny (zastanawiałam się, czy żona Jeana-Christophe'a zażywa rozrywki z trenerem tenisa w Cap d'Antibes, czy też gorliwie głoduje w Biarritz), lecz także – mimo wielu przymiotów – akurat na nartach jeździć nie umiałam, a Lauren, miłej angielskiej marszandce, zimą trudno byłoby to ukryć. Lauren była dziewczyną, która miała się cieszyć jak dziecko, ale nie miała padać na kolana, gdy jaguar Jean-Christophe'a wjechał na część genewskiego lotniska zajmującą się obsługą lotów General Aviation. Nigdy wcześniej nie leciałam prywatnym samolotem, teraz jednak zrozumiałam, co miała na myśli Carlotta. Dwadzieścia minut lotu śmigłowcem Sikorsky, głośnych zachwyków nad widokami Alp połyskujących w dole, i oto lądowaliśmy w ośrodku

Courchevel 1850. Takie rzeczy naprawdę mogą nieodwracalnie zepsuć człowieka.

Mieliśmy się zatrzymać w domku użyczonym przez szkolnego kolegę Jeana-Christophe'a. On sam mieszkał w Verbier – pewnie mieli taki wieloletni układ, który im obu odpowiadał. Pomyszkowałam trochę po domku, gdy Jean-Christophe załatwiał przedweekendowe telefony do biura. Nie był to jeden z pałaców o szklanych ścianach za pierdyliard euro stawianych przez Rosjan w każdym miejscu, które zimą zamienia się w trasę narciarską, ale raczej porządny dom rodzinny: trzy sypialnie, wszystko w drewnie, urządzone z odrobiną niedbałego alpejskiego szyku, z kilkoma elementami posledniej, ale ładnej sztuki Orientu. Na łóżkach leżały baskijskie kapy w kolorowe pasy. Jedyнным efekownym akcentem było cedrowe jacuzzi wbudowane w drewniany taras, z którego rozciągał się widok na dolinę. Znalazłam sfatygowane książki i zdjęcia rodzinne przedstawiające przyjaciela Jeana-Christophe'a, żonę z bależem i trójkę zdrowych blond dzieci na stołach albo na jakichś egzotycznych plażach. Córka wyglądała na dziesięć lat młodszą ode mnie. Zastanawiałam się, jakie ma życie – jakby to było wychowywać się w takim bezpiecznym świecie. Niewątpliwie całymi dniami jara szlugi i gładzi z koleżankami na Facebooku o tym, jakie gówniane ma życie.

Jean-Christophe przeprosił, że nie może mnie zabrać do La Mangeoire, restauracji, która o dwudziestą drugą zamieniała się w najdroższy nocny klub w Courchevel, ale zapewniłam go ładnie, że wolę coś prostszego. Przebraliśmy się w dzinsy i kaszmirowe swetry i przeszliśmy, trzymając się za ręce, przez całą miejscowość, aż do niewielkiego bistro, którego właściciel najwyraźniej rozpoznał mojego *monsieur*. Jean-Christophe spytał grzecznie, czy moim zdaniem, *raclette* nie jest za ciężkie, ja zaś odpowiedziałam grzecznie, że tu, w górze, jest tak zimno, że *raclette* można uznać za doskonały wybór. Tak więc nakładaliśmy ciągnący się ser z czegoś, co wyglądało jak średniowieczne narzędzie tortur, na cienkie skrawki dojrzewającej szynki i dziczyzny, popijając to burgundem. Całkiem polubiłam Jeana-Christophe'a, choć oczywiście nie tak żarliwie, jak udawałam. W przeciwieństwie do Jamesa miał doskonałe maniery i z lekkością prowadził nieskończone rozmowy, głównie dotyczące podróży. Nie zadawał wielu pytań, ale zdołałam mu zdradzić, że mam zamiar otworzyć własną galerię. Pod koniec posiłku sięgnął po moją dłoń i pocałował ją:

– *Mais, que tu es belle.*

„Ale jesteś piękna” – zebrało mi się na śmiech. W innym życiu byłby to może szczyt moich marzeń. Dystyngowany starszy pan, ekskluzywny ośrodek Jezui! Nie mogłam się doczekać, aż wylądujemy w jacuzzi. Szedłmy więc spacerem do domu – pozachwycałam się trochę pięknem gwiazd, które naprawdę były nadzwyczajne, lśniące i w zasięgu ręki, i wbiegłam przed nim do środka, żeby chwycić butelkę szampana oraz dwa kieliszki i pomajstrować przy przyściskach, tak że gdy wyszedł na taras, siedziałam już naga pod rozkosznie parującą wodą, z włosami

przyklejony mi do pleców. Jean-Christophe dołączył do mnie, zapalił cygare i odchylił głowę. Milczeliśmy przez kilka minut, popijając szampana i wpatrując się w noc. Wysunął rękę, leniwie wyciągając palce do mojej piersi, ale ja się odrobinę wyprostowałam.

– Kochanie... chcę cię o coś prosić.

Wyraźnie się spiął. Jeśli posunę się za daleko, będzie niewątpliwie absolutnie grzeczny, ale wściekły i rozczarowany, może nawet trochę zasmucony. Pozwoliłam mu się chwilę pozamartwiać.

– Widzisz, potrzebuję pomocy...

– *Oui?*

Ton jego głosu był bezbarwny i zniechęcający. Widziałam, jak się zastanawia podejrzliwie, co to ma być takiego – nieustępliwy gospodarz, niebotyczne czesne? Chora matka? Tylko nie chora matka...

– Oczywiście zapłacę. Może sto tysięcy euro?

– Ty zapłacisz?

– Oczywiście. Widzisz... Pamiętasz, jak mówiłam ci o galerii?

– Tak

– Przyjechałam do Genewy, ponieważ mam inwestora. To poważny kupiec i jest gotów mi pomagać. Ja się zajmowałam stroną praktyczną. W tej chwili fundusze znajdują się w banku Osprey.

Zainteresował się i zaczął myśleć jak biznesmen, nie jak lojony klient.

– Osprey? Tak, znam tam kogoś.

– Chcę jednak te fundusze przenieść. Mój klient jest... bardzo wymagający. Chce zebrać ważną kolekcję, a ja mam świadomość, że ryzykuje, stawiając na mnie. Ale musi również zachować dyskrecję, rozumiesz? Nie chce, żeby cały świat wiedział o jego zakupach. Moim zdaniem Szwajcaria nie jest najpewniejsza pod tym względem. Słyszałeś przecież o tych wszystkich zeszłorocznych przejściach z firmą finansową UBS?

– *Alors?*

– Chcę więc te fundusze przenieść. Ale muszę to zrobić szybko, ponieważ mój klient nie lubi czekać i jeśli wkrótce nie znajdę mu jakiegoś obrazu, straci cierpliwość. Na początku września odbywają się Targi Sztuki Współczesnej w Szanghaju, muszę być wówczas gotowa. Wiosną na Art Basel Hong Kong pojawi się kilku ważnych artystów, mnie po prostu nie stać na biurokrację. Dlatego pomyślałam, że może ty byś mi pomógł? – dokończyłam, patrząc mu w oczy tak wyraziście, jak tylko pozwalały świeczki i unosząca się para.

– Co wymyśliłaś?

– Jeanie-Christophe, nie znam cię jakoś dobrze, ale czuję, że mogę ci zaufać. To spora suma,

jakieś sześć milionów euro. Chcę, żebyś je przeniósł na konto firmowe w Panamie, i to jak najszybciej. I załatwił, żebym mogła korzystać z tego kapitału i wypłacać sobie pensję jako pracownik firmy. Zapłacę ci sto tysięcy euro, w każdej formie, której sobie zażydziesz. I tyle.

– Sześć milionów?

– Tyle kosztuje najtańszy Rothko. Niewiele, prawda?

– Jesteś bardzo nietypową młodą kobietą.

– To prawda – odparłam, zsuwając się pod wodę. – Zupełnie nietypową. – Cieszyłam się, że mam swój patent ratownika. Instruktor miał rację: te umiejętności zawsze się przydają.

Miałam więc bardzo forsowny weekend, który dla Jeana-Christophe’a był bardzo odprężający, w poniedziałek rano wróciliśmy zaś śmigłowcem do Genewy, gdzie taksówką ruszyliśmy prosto do siedziby Osprey. Powiedziałam Jeanowi-Christophe’owi, że nie chcę z nim wchodzić, ale on odrzekł, że muszę mu towarzyszyć, inaczej bowiem bank nie zgodzi się zamknąć konta. Wyglądało jednak na to, że błogosławieństwo miliardów Steve’a wciąż czuwa nade mną niczym dobra wróżka. Personel zachowywał się jeszcze bardziej uprzejmie i usłużnie. Przekazałam kody i ostatecznie postanowiłam zostawić na koncie pierwotne dziesięć tysięcy euro, ponieważ nigdy nie wiadomo. Zamierzałam wysłać Steve’owi coś w tym przedziale cenowym, gdy tylko się urządzę – wówczas będziemy kwita. Jeśli kontakt Jeana-Christophe’a w Osprey był zaskoczony, nie okazał tego, ale na tym właśnie polegał urok Szwajcarii. Jeśli masz pieniądze, możesz ukryć wszystko i wszędzie. Kiedy więc opuściliśmy progi banku, mój przyjaciel był o sto tysięcy bogatszy, a ja byłam dumnym i wyłącznym pracownikiem firmy Gentileschi Sp. z o.o. zarejestrowanej z Kleinem Fenyvesem w Panamie, z pensją stu tysięcy euro rocznie i z nieograniczonym dostępem do konta firmy. Wszystko podlegające opodatkowaniu, jawne, bezpieczne – i wszystko na moje nazwisko. Koniec powiązań z przelewem od Moncady albo z tym śmiesznym kontem na Wyspach Cooka. Za wcześniej było na toast, uścisnęliśmy więc sobie tylko niezręcznie dłonie na stopniach banku, ja coś tam rzuciłam o podtrzymaniu kontaktu, gdy znowu przyjadę do Genewy, chociaż oboje wiedzieliśmy, że się nie skontaktujemy. Zjawił się samochód i Jean-Christophe odjechał. Trochę się wzruszyłam, że chce mu się patrzeć przez tylną szybę aż do zakrętu, dopiero bowiem tam wyciągnął telefon. Zastanawiałam się, czy czuje się wykorzystany, uznałam, że pewnie tak, ale przecież nie każdemu wykorzystanemu trafia się takie wynagrodzenie, nie tylko finansowe.

W paskudnej mżawce wróciłam do Bergues. Sądząc po stosie mojego bagażu, zdążyłam kupić zastanawiającą liczbę rzeczy. Teraz mogłam sobie kupić lepszy zestaw walizek. Komplet walizek to coś idealnie z wyższych sfer. O dziwo, wcale mi to nie poprawiło nastroju w spodziewanym stopniu. Ze znużeniem przeszłam do holu i zamówiłam kawę, następnie zalogowałam się na stronę „Corriere della Sera”. I proszę: Brutalne morderstwo brytyjskiego

biznesmena. Przeczytałam artykuł powoli, trzykrotnie. Nigdzie nie padło moje nazwisko.

Policja przesłuchała osobę znaną zmarłemu. Potwierdziła ona, że ofiara spotkała się z klientem.

Skoro we Włoszech opublikowano to dziś, jutro przedrukuje to prasa angielska, zwłaszcza że sierpień to sezon ogórkowy. Tu jednak wszystko było jasne, prawda? Rupert dostanie szalu, gdy się dowie, że pieniądze, wpływawszy na szwajcarskie konto, stamtąd również zniknęły. Osprey nie poda szczegółów, doład je przelano, choćby nie wiadomo za jakie sznurki pociągał ten zjebany tłusciuch. Dopracowywałam swoją wersję. Nawet jeśli się dowie, że się spotkałam z Moncadą, nawet jeśli mnie znajdzie, powiem, że rozgryzłam przekręt ze Stubbsem i namówiłam Camerona, żeby mi odpalił dziesięć tysięcy. Ktoś taki jak Judith Rashleigh mógł się połączyć na tak żalną sumę. Później Cameron się nie stawił na spotkanie, poszłam więc sama, zobaczyłam, że pieniądze są przelewane na konto wskazane przez Camerona, i nic więcej nie wiedziałam. Rupert mógł mieć pretensje do Moncady, do Camerona, do kogo chciał, ale na mnie nic nie miał. Dlaczego nic nie powiedziałam włoskiej policji o Rupercie? Resztki lojalności, niefrasobliwość, głupota. I psia wierność wobec wartości tych ludzi, psia wierność, którą kiedyś miałam nadzieję zrobić na nich wrażenie.

Zamknęłam oczy. Kiedy ostatnio byłam w stanie normalnie oddychać? Powinnam się ruszyć, zebrać ten cholerny bagaż, wziąć taksówkę na dworzec, zrobić następny krok i kolejny. Nic jednak nie zrobiłam. Siedziałam tylko i patrzyłam na deszcz.

CZĘŚĆ CZWARTA NA ZEWNĄTRZ

Rozdział 21

Stubbs pojawił się na aukcji zimą. Marszand z Pekinu przebił osobę prywatną, podnosząc stawkę do dziesięciu milionów funtów. Nieznany klient Moncady zyskał pięć milionów na czysto, Rupert mógł się zaś cmoknąć. Państwo Tiger najwyraźniej nie śledzili doniesień o transakcji, a jeśli śledzili, to i tak zadowolili się siedzeniem cicho. Ja monitorowałam sprawę na wszelki wypadek, żeby wiedzieć, czy powinnam kogoś jeszcze unikać, ale obraz zniknął. Może zamknięto go w sejfie z Chagallami po nazistach, żeby wypłynął za kilkadziesiąt lat?

Oto co się z tobą dzieje, jeśli kogoś zamordujesz. Podskakujesz na dźwięk radia. Nigdy nie wchodzisz do pustego pokoju. Biały szum twojej świadomości nigdy nie cichnie, w twoich snach czasami pojawiają się potwory. Wraz ze zniknięciem Stubbsa ostatnie powiązanie z moim życiem cichutko jednak pękło. Do wydarzeń w Rzymie tylko reagowałam, decydowały za mnie okoliczności – sądziłam, że mam plan, ale ten plan zakładał wyłącznie ucieczkę gdzie pieprz rośnie, jak tylko będzie to możliwe. To się zmieniło. Oczywiście żałowałam tego, co się stało z Cameronem, a da Silva nie dawał mi spokoju, lecz w miarę upływu czasu coraz częściej stwierdzałam, że prawie nie myślę o żadnym z nich. Nawet setka podejrzeń to jeszcze nie dowód. Teraz miałam nowe życie.

Zanim obraz został sprzedany, wszystko miałam ustawione. Gdy wyjeżdżałam z Genewy, nie miałam w zasadzie wątpliwości, dokąd się udać. Ponieważ nie uważałam *Seksu w wielkim mieście* za film dokumentalny, nigdy mnie nie ciągnęło do Nowego Jorku, Ameryka zresztą oznaczała dokumenty i zawracanie głowy z zieloną kartą. Rozważałam klasyczną Amerykę Południową, ale mój hiszpański pozostawiał wiele do życzenia, Azja wydawała się zbyt odległa. Nie widywałam swojej matki zbyt często, ale i tak nie chciałam za bardzo się od niej oddalać. Przed wyjazdem z Como wysłałam jej pocztówkę z informacją, że zamierzam podróżować. Trochę było mi smutno na myśl, że ona pewnie nie oczekuje wiele więcej. Ponieważ nie miałam problemów z prawem, Europa wydawała się najbardziej sensownym rozwiązaniem, mieszkając zaś chciałam tylko w jednym mieście – w Paryżu. Spędziłam tam rok przed studiami, choć pobyt ten trochę się rozniął z moimi wyobrażeniami. Kolejne zsrane roboty, żeby zapłacić czynsz w paskudnej kawalerce z dala od centrum, przyswajanie gramatyki francuskiej po zmianie do drugiej nad ranem, niedzielne wyprawy do Luwru, gdy w zasadzie wolałabym spać. Biedna mała Judith. Miasto zrobiło jednak na mnie takie wrażenie, jak żadne inne na świecie, gdy więc po raz pierwszy w życiu mogłam spełnić swoje zachcianki, tam właśnie pojechałam.

Na etapie organizacyjnym spędziłam tydzień w Holiday Inn na bulwarze Haussmanna,

w części miasta, którą lubiłam najmniej. Te szerokie ulice, które zawsze sprawiały wrażenie zapyłonych, martwych i wietrznych, ci rozzarowani turyści. Otworzyłam dwa konta bankowe, osobiste i firmowe, i złożyłam wniosek o wydanie *carte de séjour* – pozwolenia na pobyt – wszystko bez problemu. Nie potrzebowałam planu miasta, żeby wiedzieć, gdzie chcę mieszkać. W piątej dzielnicy, niedaleko Panteonu, w okolicach Ogrodu Luksemburskiego. Kiedyś tam chodziłam, po wszystkich obowiązkowych wyprawach do galerii, popatrzeć, jak bogacze grają w tenisa w ogrodzie Marii Medycejskiej, albo posiedzieć przy fontannie, przy której poznali się Sartre i de Beauvoir. Wówczas zakochałam się w tej dzielnicy – i wciąż na mnie działała, pełna znajomych zapachów pieczonych kasztanów i platanów. Znalazłam mieszkanie w osiemnastowiecznym budynku przy rue de l'Abbeé de l'Épée, u zbiegu z rue Saint-Jacques, na drugim piętrze, z oknami wychodzącymi na brukowany dziedziniec, z prawdziwą konsjerżką, tęgą, człapiącą w kapturach, ubraną w klasyczną marszczoną bluzkę z wiązaniem pod szyją, ze sztywną żółtą trwałą i z cierpiętniczą miną. Myślę, że wybrałam je przede wszystkim ze względu na konsjerżkę, ale podobały mi się także jasne drewniane parkiety, stare, z klepkami ułożonymi w motyw wersalski, wielka łazienka, białe ściany i malowane belki nad łóżkiem, zgrzebne szkarłatno-turkusowe gałęzianki. Jak się dowiedziałam z przewodnika, na tej ulicy mieszkał Rilke.

Na początek kupiłam szkaradny obraz współczesnego twórcy z Paradise Galleries w Nowym Jorku, smętne zielone płótno z kałową smugą w jednym rogu. Wyekspediowałam je do biura Steve'a na Guersney, do niego samego wysłałam zaś esemesa:

Dzięki, że umożliwiłeś mi start.

Wcześniej śledziłam w „Financial Timesie” rezultaty mojej małej szpiegowskiej eskapady na jacht Baleńskiego – Steve nieźle na tym wyszedł. Nagłośnił, że jest zainteresowany inwestycją w hotelarstwo wraz z grupą Rivoli, później zaś patrzył, jak kurs jego akcji szybuje, gdy nabywał je Człowiek ze Stanu. Czysta robota, całkowicie legalna. Steve nie odpowiedział jednak na moją wiadomość. Wyjechał – do Nowego Jorku albo do Dubaju, albo może do Sidney, a ja, o dziwo, trochę się tym przejęłam. Chciałam wysłać jakieś pieniądze Dave'owi, mojemu jednemu nieautystycznemu przyjacielowi płci męskiej, ale nie znalazłam sposobu, żeby zrobić to bez wzbudzania podejrzeń. Poza tym był na mnie wściekły.

Nie mogłam tego dłużej odkładać. Napisałam do niego z obawą, pytając, jak sobie radzi. Odpisał jednym słowem: „Bonhams”, z wykrzyknikiem i uśmiechniętą buźką. Bonhams może nie dorównywał British Pictures, ale była to porządna firma – i Dave znowu pracował. Gdy odpisałam, pytając dyskretnie, czy mogę mu w jakiś sposób pomóc, odpisał:

Pobory najemnika mile widziane, x

Zawsze żartował, że skończyłby jako najemnik w jakiejś Somalii, tak jak wielu jego kolegów z wojska, i że tylko brak nogi oszczędził mu tego losu. Ucieszyłam się, że mi wybaczył,

niezupelnie mnie to zresztą zdziwiło. Dave był dostatecznie bystry, żeby się zorientować, że urazy to marnowanie czasu.

Poszłam więc na zakupy. Najpierw do Hôtel Drout po osiemnastowieczny sekretarzyk, prawdziwy *bonheur du jour* z ukrytym schowkiem na tylnej ścianie i ze skórzaną okładziną w truskawkową kratkę, następnie do La Maison du Kilim w Marais po kwadratowy anatolijski dywan brązowo-szmaragdowo-turkusowy, do Artemide po lampy i do Thoneta po sofę, później na *marché aux puces* po dziewiętnastowieczny kredens z drewna różanego i stół do jadalni w stylu art déco. Firma Gentileschi wybuliła za Lucia Fontanę pół miliona, ale stać mnie było na to. W swoim czasie go sprzedam, mieszkanie będzie zaś moją galerią. Znalazłam naśladowcę Orazia Gentileschiego *Zuzanny i starców*, nic nadzwyczajnego, zwykła robota uczniacka, ale mnie się podobała – zneruchomiała przerażona dziewczyna i złowieszcza masa dwóch obrzydliwych staruchów szepczących jej nad ramieniem. Powiesiłam go na białej ścianie, wraz z Fontaną i szkicem Cocteau przedstawiającym profil mężczyzny z rybą zamiast oka. Nawet je ubezpieczyłam.

Myślałam, że na rok przycichnę, że będę po prostu żyć tak, jak zawsze chciałam. Później, gdy poczuję się bezpiecznie, zacznę kupować na poważnie. Oczywiście z Paryża do Londynu nie było daleko, ale ładne dziewczyny z bogatymi pobłażliwymi chłopakami cały czas bawią się we właścicielki galerii. Taką przygotowałam opowieść, gdyby do British Pictures dotarła informacja, że Judith Rashleigh działa w branży. Rzeczywiście zamierzałam działać w branży. Chciałam zebrać kilka mniej kosztownych dzieł, aby je pokazać wraz z Fontaną, pojechać po europejskich targach sztuki i nawiązać kontakty, a potem ruszyć pełną parą. Znałam się na tej robocie, jeśli więc tylko powstrzymam się od nierozważnego szastania pieniędzmi, w swoim czasie pomyślę o wynajęciu prawdziwego lokalu na galerię, o podróżach, o samodzielnym wyszukiwaniu artystów. Musiałam jednak poczekać, dać sobie czas na naukę, nabrać pewności, że starcy pozostaną uwięzieni w ramie na ścianie.

Zupełnie mi się nie nudziło. Po pierwsze, nieustannie zachwycało mnie moje mieszkanie. Czasami spędzałam kilka naprawdę odjechanych minut na... głośkaniu go – muskałam dłońmi drewniane krawędzie, patrzyłam, jak światło słoneczne wpada przez moje świeżutkie płócienne zasłony na krawędzie kilimu. Uwielbiałam zapach tych pomieszczeń, wosku, świec Trudona i tytoniu. Uwielbiałam otworzyć butelkę wina i nalać go do jednego z ciężkich nefrytowych kielichów w stylu *art nouveau*, znalezionych na straganie ze starzyzną niedaleko targu kwiatowego. Uwielbiałam dźwięk, z którym zamykały się ciężkie drzwi, uwielbiałam panującą tu ciszę. Czasami czułam się taka szczęśliwa, że tańczyłam naga piruety po szerokim przedpokoju z łazienki do sypialni. Nie żebym się w Paryżu nie zabawiała. Rozrywkom służyła *la nuit*, jak mówią miejscowi.

Prawdziwy Paryż to niewielkie miasto skupione w swoim pasie ochronnym *autoroute*. Przedmieścia, w których tłoczą się zmęczeni urzędnicy i zbuntowani, porywcy młodzi Arabowie, się nie liczą. Jak każde miasto, i to ma swoje plemiona, ale są one sumiennie ułożone niczym laleczki matryoski, jedno w drugim, sam środek zajmuje zaś, jak mówią frajerzy, *les happy few*, czyli garstka wybrańców. Mnie nie interesowały imprezy świata mody ani bogate dzieciaki wschodniego Paryża, ja szukałam czegoś bardziej wyjątkowego. Zignorowałam także szykowne obwieszczenia w „Pariscope”. Poprzednim razem próbowałam kilka razy z nich skorzystać i trafiałam do pustawych piwnicznych barów z onanistami w średnim wieku i turystami szukającymi przygód. Nie miałam nic przeciwko posuwaniu brzydkich ludzi – pod tym względem jestem demokratką – ale teraz było mnie stać na podwyższenie standardów. Ruszyłam więc najpierw do oczywistych miejsc – Le Baron, La Maison Blanche, a nawet trafiałam do biednej starej Queen na Champs Élysées i le Cab na place du Palais Royal. Chodziłam tam tak pilnie i często, aż bramkarze zaczęli mówić na mój widok „*Salut, chérie*” i od razu odpinali sznur. Przesiadywałam tam, rozmawiałam, piłam i kupowałam kokę, żeby ją rozdać, i butelki paskudnej wódki po sto euro, żeby nią częstować lesbijskie didżejki i włoskich playboyów, skupiając się na kobietach, zawsze na kobietach, aż skrzynka przychodzących wiadomości w moim nowym telefonie była pełna tyłu durnych esemesów i całusów, że ktoś inny na moim miejscu pomyślałby, że zdobył rzesze przyjaciół.

Yvette poznałam na prywatnym przyjęciu w Castel, gdzie roiło się od chudych chłopców w aksamitnych marynarkach i modelek o ostentacyjnie niepomalowanych twarzach. Miała na sobie białego stetsona, tańczyła na ławie – jeśli bowiem jesteś fajny i szalony, nie możesz tańczyć na podłodze – żłopała z butelki whisky Jack Daniel’s, pogardliwie wywijając lassem nad tłumem śliniących się młodzieńskich jednakowych pedałków, wymachując płyty nowymi dredami do muzyki Daft Punk. Spodobał mi się jej styl – zawsze podobały mi się osoby, które miały pomysł na siebie. Zaproponowałam jej kreskę, a o czwartej rano byłyśmy już przyjaciółkami. Przedstawiła mnie swojej paczce: Stéphane’owi, dilerowi, który wyglądał jak student filozofii, dwóm modelkom ze Środkowego Zachodu (obie o wroście metr osiemdziesiąt, które na bank nie były już w Kansas) i jakiemuś wicehrabi w skórach harleyowca – ten twierdził, że jest producentem filmowym. Wszyscy ślnili, wszyscy byli śliczni.

Później Yvette zabrała mnie na *after party* w apartamencie w siódmej dzielnicy. Na ścianach malarstwo iluzjonistyczne przedstawiające miedzianą blachę falistą, szczelne zasłony zaciągnięte przed światłem dnia, masa ciał stłoczonych wokół stołu zarzuconego albumami o sztuce. Zachwycali się retrospektywą Marca Quinna w smętnej atmosferze gęstej od nikotyny i głupot. Jedna z dziewczyn dźwignęła się i zaczęła impresyjny striptiz, trzymając się wyimaginowanego słupa i szarpiąc zniszczony skrawek brzoskwiniowego szyfonu od Chanel. Killoro rąk, równie

apatycznych, zacisnęło się na jej płaskich piersiach, ciągnąc za brodawki niczym za gałki starego stereo.

– Wy chodzę – szepnęłam do Yvette.

– Co jest, skarbie? Nie twoja bajka?

– Bajka mi się podoba. Ale to już nie. – Ruchem głowy wskazałam pogubioną dziewczynę, która ustami nękała krocze sąsiada, nieporadna jak wampirzátka. – Pojmujesz?

Yvette ze zrozumieniem kiwnęła głową.

– Pewnie, skarbie. Żadnej amatorszczyzny?

– Właśnie, żadnej amatorszczyzny.

– Zadzwoń do mnie jutro, zabiorę cię na coś lepszego.

Coś lepszego okazało się imprezą u Juliana. Poznałam go później w jego klubie La Lumière. Spotkałam się z Yvette w barze Lutetia. Była trzeźwa, choć trochę niespokojna. Okazało się, że dredy tylko dopięła, własne włosy miała pofarbowane na biały blond i krótko obcięte, co wyglądało dramatycznie w zestawieniu z szaroniebieską skórą i modną pomarańczową sukieneczką Lanvin, do której dobrała louboutiny w węzowy wzór. Żadnej biżuterii. Przyjrzałam się uważniej.

– Ładna sukienka.

– Mango. Nic nie mów.

– Nie powiem. Nic ci nie jest?

– Za chwilę mi nie będzie. Chcesz? Odrobina beta-blokerów. Spowalnia cię, wygładza.

– Pewnie. – Popiłam małą beżową pigułkę swoim *kir framboise*.

Bez entuzjazmu zapytałam, jak jej minął dzień. Powiedziała, że jest stylistką. Zrewanżowałam się informacją, że pracuję przy obrazach. Żadna z nas teraz, gdy koka przestała działać, właściwie nie była zainteresowana tą drugą, ale wydawało się nam, że powinnyśmy tak rozmawiać.

– To dokąd idziemy?

– Mówiłam ci o Julienie? Ma klub w centrum, ale organizuje także przyjęcia, coś wyjątkowo specjalnego.

– Brzmi kusząco.

O dwudziestej drugiej wsiadłyśmy do taksówki i ruszyłyśmy w stronę Montmartre. Widziałam, że Yvette nie spuszcza wzroku z taksometru.

– Jeśli chodzi o Juliana – wyszeptała niespokojnie – to imprezy u niego nie są tanie, rozumiesz...

– Nie martw się. Ja stawiam. – Jej twarz się wyraźnie odprężyła. Pieczeniara.

Julien powitał nas przy drzwiach posępnej dziewiętnastowiecznej rezydencji. Drobny

mężczyzna, który braki w powierzchowności kompensował wąskim włoskim garniturem i wypolerowanymi na wysoki połysk pantoflami Aubercy, tak eleganckimi, że aż w złym guście. Yvette nas przedstawiła, ja sięgnęłam do torebki, ale on leniwie machnął ręką i poprowadził nas przez dziedziniec, mówiąc:

– Później, kochanie. Później.

Lampiony z barwnego szkła i dyskretne piecyki elektryczne tworzyły przytulną atmosferę mimo kwietniowego chłodu. Zaczepiłam o coś obcasem. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że idę po perskim dywanie. Ciężkie mahoniowe szelongi i fotele, mosiężne stojaki na kwiaty i stoliki ze złoczonego brązu miały stworzyć salon pod gołym niebem. Beznamiętna młoda kobieta w długiej czarnej sukni grała na harfie. Wyglądało to jak scenografia do burżuazyjnej powieści wiktoriańskiej, tyle że kelnerki trzymające okrągłe tace z chłodzonym sauternes i ociełającymi łąskami pasztetu strasburskiego były prawie nagie – miały na sobie wyłącznie czarne buty zapinane na guziczki, długie czarne satynowe rękawiczki i kanotery z grubą czarną kołardą. W ciepłym blasku wymyślnych lampionów Fortuny rozmawiało i paliło około trzydziestu osób – kobiety w prostych eleganckich sukienkach koktajlowych, mężczyźni w ciemnych garniturach.

– Och... – powiedziałam zachwyciona do Yvette, i to szczerze. Uśmiechnęła się.

– Podoba ci się?

– Bardzo. Dzięki, że mnie tu przyprowadziłaś.

– A więc... niedługo będzie kolacja, a potem...

– A potem...? – Uśmiechnęłam się.

Yvette przywitała się z kilkoma znajomymi osobami i przedstawiła mnie. Kobiety mówiły do nas per „pani”, mężczyźni usłużnie się kłaniali, żeby ucałować nasze dłonie. Nie dostrzegłam tu ani cienia niepokojącej konfrontacji statusów z jachtu Baleńskiego – może Yvette nie była żadną stylistką (podejrzywałam, że nie jest), ale nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko piękno, gdzie zaś nie było cienia, nie było też piękna. Moglibyśmy uchodzić za weselne przyjęcie kogoś z socjety starej daty, gdy tak żonglowaliśmy tartinkami i grzecznymi gadkami, gdyby nie ukradkowe, wyważone spojrzenia wymieniane przez gości, cicho pracujący czujnik seksu. Jedna z kelnerek uderzyła w niewielki gong obiadowy i posłusznie weszliśmy do środka, kierując się ku schodom. Pojawił się znowu Julien:

– Panie na górę, proszę, panowie na prawo, o tu. *Voilà, comme ça*. Za piętnaście minut zostanie podana kolacja.

Podążyłam w ślad za Yvette na górę, do wielkiego pomieszczenia z toaletkami i jasnym światłem. Nadzorowała tu ruch kobieta w czerni, niewysoła i poważna, z ustami pełnymi i szpilek.

– Ona pracuje u Chanel – wyszeptała Yvette.

Była to jedna z *les mains*, rzemieślniczek, które ręcznie naszywają koraliki i pióra do kreacji

haute couture. Kobiety wokół nas się rozbiegły, składały swoje ubrania, prezentując drogą bieliznę z kawowej koronki albo fuksjowego jedwabiu, i wkładały ciężkie, delikatnie wyszywane kimona. W powietrzu zrobiło się gęsto od naszych zmieszanych perfum. Gdy któraś z kobiet wiązała swój strój, uwiązała się wokół niej pomocnica z koszykiem. Sylwetki kobiet wydawały się teraz wydłużone i pozaziemskie – w wysokich butach i z wysokimi kanciastymi ramionami wyglądały jak przedstawicielki innego gatunku. Tak pewnie zresztą miałyśmy się czuć. Pomrukując pod nosem jakieś uwagi, pomocnica dodawała coś do każdej kreacji – przypinała kwiat do koła albo do stójki, zapinała na nadgarstku łańcuszek z klejnotem lub piórami. Mnie przyjrzała się długo, po czym poszperała w koszyku i wyjęła wyjątkową białą jedwabną gardenię, tak doskonałą, że chciałam ją powąchać.

– Proszę się pochylić.

Skloniłam głowę i poczułam, jak jej palce uwalniają moje włosy, po czym je z powrotem upinają.

– Dla pani nic wymyślnego, *mademoiselle*. Bardzo prosto. Tak właśnie tak

Cofnęła się, na próbę wetknęła jeszcze jedną wsuwkę, ale ją wyjęła.

– Doskonale.

Ruszyła dalej, ja zaś usiadłam przy jednej z toaletek. Włosy miałam podwinięte do góry i upięte, zwieńczone kwiatem. Dobrano mi ciemnobrązowe kimono wyszywane białą i kobaltową nicią, jedwab podkreślał błądy blask płatków. Toaletka wyglądała jak lada w Sephorze – stały tu wszelkiej maści kremy i kosmetyki. Wzięłam waciki i zmyłam makijaż, zbyt nowoczesny na takie dekoracje. Pomalowałam jedynie usta, na bardzo ciemny kolor. W lustrze wydałam się sobie dziwna, jakby narysował mnie Ingres, a gdy się rozejrzałam, stwierdziłam, że pozostałe kobiety również się przeobraziły. Yvette miała na sobie suknię szkarłatną, z szerokimi rękawami do łokci, na obu rękach zawiązano jej filigran ze złotego łańcuszka przeplecionego skórą i pawimi piórami, niczym sokolnicze pęta. Malutka kobietka klasnęła w dłonie, chociaż w pomieszczeniu panowały osobliwa cisza i skupienie, nikt się nie śmiał, nie wykrzykiwał, co zwykle robią kobiety, gdy razem przebywają w przebieralni.

– *Allez, mesdames*. – Mówiła głosem tak rzeczowym, jakbyśmy były grupą uczennic przeganianych po muzealnych salach.

Suknie sunęły z szelestem, zabójcze obcasy stukotały po parkiecie. Przeszliśmy przez hol do dwuskrzydłowych drzwi – dobiegający zza nich cichy szmer zdradzał, że panowie są już w środku. W sali płonęły świece, między kanapami a niskimi krzesłami ustawiono stoliki. Czekający mężczyźni byli ubrani w czarne piżamy z grubej satyny, do tego kurtki z sutaszami. Połyskująca na zagięciach tkanina kontrastowała z krochmalonymi koszulami. Gdzieś w wielkiej spince od mankietu albo w zegarku odbił się złotem błysk płomienia świecy,

wyszywany monogram zmarszczył się pod ekstrawagancką jedwabną chusteczką. Wyglądałoby to głupio i sztucznie, gdyby detale nie były tak perfekcyjne, a mnie wręcz zahipnotyzowały – serce biło mi powoli, miarowo. Do Yvette podszedł partner z pawim piórem wpiętym w mankiet. Podniosłam wzrok i ujrzałam, że do mnie zbliża się inny mężczyzna. W kłapie marynarki miał gardenię, taką samą jak moja.

– Czyli tak to się odbywa?

– Do końca posiłku właśnie tak. Później można wybierać. *Bonsoir*.

– *Bonsoir*.

Był wysoki i szczupły, jego twarz – pomarszczona, o ostrych rysach – wydawała się starsza niż ciało. Siwe włosy miał zaczesane do tyłu nad wysokim czołem, ogromne oczy lekko przymknięte, niczym bizantyjski święty. Zaprowadził mnie do sofy, zaczął, aż usiądę, i podał mi kryształowy kieliszek z białym winem, czysty i twardy jak krzemień. Cała ta ceremonia sprawiała wrażenie sztucznej, ale ja lubię choreografię. Julien wyraźnie cenił sobie przewidywalność. Niemal nagie kelnerki wróciły z niewielkimi talerzami małych pasztecików z homara, następnie podały kawałeczki pierśi kaczki w miodzie i paście imbirowej oraz *tuile* z malinami i truskawkami. Symboliczne jedzenie – nic, czym moglibyśmy się nasycić.

– Od czerwonych owoców cipka nabiera wybornego smaku – zauważył mój towarzysz.

– Wiem.

Toczono ciche rozmowy, ale głównie wszyscy patrzyli i pili, taksowali wzrokiem siebie nawzajem i przemykające kelnerki o ciałach tancerek, smukłe, ale silnie umięśnione, o pełnych łydkach w wysokich, opinających kostki butach. Czyżby dorabiały sobie tutaj tancerki z baletu? Po drugiej stronie sali mignęła mi Yvette, karmiona za pomocą srebrnego widelczyka o ostrych zębach figami z migdałem. Jej ciało ułożyło się niczym wąż, ciemne udo wylaniało się spomiędzy czerwonego jedwabiu. Kelnerki uroczyście okrążyły salę z gasidłami do świec, wzbijając chmurę o zapachu wosku pszczelego, a wówczas na moim udzie zagościła męska dłoń. Krążyła, sunęła i głaskała, całkowicie niespiesznie, aż poczułam napięcie między udami. Dziewczeta podały lakowe tace z prezerwatywami, niewielkie kryształowe karafki z olejkami monoi, lubrykanty przelane do małych naczynek. Niektóre pary się całowały, zadowolone z doboru partnerów, inni goście podnosili się niespiesznie i ruszali na obchód, aby znaleźć swoją zdobycz. Suknia Yvette kotłowała się wokół jej rozsuniętych nóg, głowa mężczyzny pochylała się nad nią. Uchwyciłam jej spojrzenie – uśmiechnęła się lubieżnie, zanim jej głowa w narkotycznej ekstazie opadła do tyłu między poduszki.

Dłonie Świętego sięgnęły do mojej cipki. Zatrzymał się, rozwiązał moje kimono i sunął palcami po moich piersiach, delikatnie obracając brodawki. Pomyślałam o tej biedacze z poprzedniego wieczoru, nawalonej i łkającej.

– Podoba ci się?

– O, tak

Rzeczywiście mi się podobało. Podobało mi się, jak głaskał moje ciało, lekko i gładko. Podobało mi się, jak pieścił mnie językiem od szyi, przez brzuch, aż po cipkę, zmieniając drżące dotknięcia na silne, zdecydowane ruchy, wilgotne, penetrujące. Rozchyliłam trochę uda.

– Głębiej.

Przemieścił się tak, że ułożył na podłodze. Jedną ręką wciąż mnie pieścił, moją zaknioną cipkę miał na wysokości wzroku. Wetknął do środka jeden palec, następnie dwa palce, potem trzy, aż całkiem mnie otworzył, ani na chwilę nie odrywając języka od lechtaczki. Zamknęłam oczy, ale to mi nie wystarczało, chciałam więcej.

– Masz kolekę?

– Oczywiście. Chodź ze mną.

Wstaliśmy, wziął mnie za rękę i się rozejrzał. Sala zamieniła się w kłębowski świat widać było w uścisku, zewsząd dobiegały okrzyki rozkoszy i błagania o więcej. Kiwnął na mężczyznę, na którym siedziała okrakiem brunetka o waniliowej skórze. Ten zdjął ją z siebie, a ona ustami sięgnęła do kobiety tuż obok blondynki. Ich włosy zmieszały się podczas pocałunku, dłonie po omacku znalazły nowego partnera, który zrzucił kurtę i zsunął się między nie.

Nawet w tym przyćmionym, korzystnym świetle widziałam, że przyjaciel Świętego jest zmęczony, młody, ale blade, a koszula z inicjałami napina się lekko na zaczątkach brzuszka.

– *Mademoiselle* życzy sobie asysty.

Gdybym nie była taka podniecona, wybuchnęłabym śmiechem. Może już daliby sobie spokój z tym udawaniem findesieclowych manier?

Sięgnął po moją rękę, ja zaś stąpałam ostrożnie, aby nie wbić obcasów w suknię, gdy oni prowadzili mnie do niewielkiego mrocznego buduaru, całego wypełnionego niską otomaną, oświetlonego jedynie kandelabrem. Kominek zapachowy rozprowadzał gęstą woń cynamonu i piżma, zwisające z sufitu skórzane pasy wyglądały jak wąsy winorośli. Sięgnęłam po jeden, chwyciłam go oburącz, poczułam, jak nogi wyciągają mi się na całą długość, jak piersi naprężają się pod chłodnym jedwabiem. Wiedziałam, że jestem piękna, wiedziałam, że mam moc. Ruchem głowy przywołałam Świętego. Ustawił się za mną, chwilę zakładał prezerwatywę, i wreszcie wszedł we mnie, stanowczo i pewnie, rękoma trzymając mnie za pośladki, i pchnął mocno.

– Podoba ci się?

Kiwnęłam głową, sięgnęłam do lechtaczki, zamknęłam oczy i zatraciłam się w jego pchnięciach. Dłonie drugiego mężczyzny głaszały mnie po plecach, po wewnętrznej stronie ud. Zaciśnęłam mięśnie pochwy, przycisnęłam kciukiem lechtaczkę, w moim wnętrzu rozeszły się

ciemnoczerwono-czarne fale, coraz głębiej, coraz mocniej. Szczytowałam, wpychając biodra na jego penis, i poczułam falę jego orgazmu, nim panowie zamienili się miejscami.

– Zerznąć cię jeszcze trochę?

– Jasne.

– Jak masz na imię?

– Nie mam imienia.

– Chcę ci wsadzić w tyłek Moge?

Święty się położył, wsparty na łokciu. Podał nam niewielkie porcelanowe naczynie z lubrykantem i podniósł się nieco, patrząc chciwie.

– Śmiało.

Wzięłam głęboki oddech i zagryzłam wargę, szykując się na pierwszy krótki ból. On, wyraźnie dumny ze swojego niespodziewanego skarbu, umiejętnie wprowadził członek, nie cofając się, dopóki cały nie znalazł się w środku, palcami pracował głęboko w mojej cipce, aż dotarł do ściany oddzielającej go od członka. Jęknęłam cicho, pchnęłam ku niemu biodra i zaczęłam go rozgniatać. Czułam się przesycona, objedzona, napchana. Chciałam, żeby wyszedł ze mnie, zanim dojdzie. To było niesamowite. Uwielbiałam, gdy przewiercał mnie twardy członek. Jeszcze bardziej mi się podobało bez gumki w tyłku, rozkoszowałam się balsamicznością spermy po tym pierwszym bólu wejścia. Mocno uderzył mnie dłonią w pośladek.

– Jeszcze.

Czułam, jak krew pędzi mi w żyłach, jak moje nerwy napinają się do granic możliwości.

Wiedział, czego chcę, zrobił to znowu, tym razem się przyłożył, tak że zatoczyłam się i zakręciłam na pasku.

– Podoba ci się?

– Tak. To właśnie...

Nie wiedzieć skąd pojawiły się kajdanki, cios pięścią spadł na moją szczękę. Zatrzepotałam powiekami.

– A to?

– Dziękuję.

– Rozłóż się szerzej. Grzeczna dziewczynka, o, tak.

Włosy mi się rozsypały. Zawinął je wokół pięści, odciągnął mi głowę do tyłu, szarpiąc je do rytmu pchnięć bioder, tak że czułam, jak jego członek przedziera się aż do mojego gardła. Był obłądny. Wsadziłam do pochwy dwa palce, czułam przez cienką ściankę tę nabrzmiałą żołądz. Młócił mnie tak, aż doszłam, raz, drugi, trzeci. Ociełając potem, zwiślałam z paska niczym połamana marionetka. Pchnął mnie do przodu, przeprowadził pasek pod moimi pachami, zaprzęgając mnie, i cały czas mnie rznął. Oplótł sobie moje uda wokół pasa, jednym ramieniem

mocno trzymając mnie za żebra, tak że teraz byłam zawieszona na nim, a pod tym kątem mógł wejść we mnie jeszcze głębiej. Nie mogłam oderwać palców od lechtaczki, przestałam już odliczać. Dyszałam, z mojego gardła dobywał się warkot, chciałam, żeby już doszedł, żeby mnie zalał swoją spermą, gdy nagle poczułam, jak uwalnia moje nadgarstki z pasów, opuszcza mnie z rozłożonymi rękami i nogami na otomanę, gdzie Święty już czekał na plecach, znowu w gotowości. Tamten wysunął się ze mnie. Byłam cała przemoczona, tak mokra, że przy pierwszym pchnięciu Święty wszedł we mnie z prędkością i na głębokość, od której aż jęknęłam, a potem zaczęłam go ujeżdżać, z twarzą pochyloną pod zasloną włosów, głos przyjaciela szeptał mi zaś rytmicznie do ucha: „Tak, tak, tak, skarbie. Weź go, bierz go”, aż szczytowałam, aż poczułam w środku jego szarpnięcie, i zeszałam z niego, pod suknią cała śliska od potu. Kolega sięgnął nad nami po kieliszek, napełnił usta winem, przyciągnął mnie do siebie, żebym mogła je wysssać z jego ust. Chłód napoju dotarł aż do moich płuc. Wyjęłam trzy papierosy z pudełka, które tymczasem pojawiło się na stoliku, i zapaliłam dla każdego z nas. Kolega wziął mnie za rękę, obrócił ją, żeby pocałować mnie w nadgarstek, po czym wyszedł do bawialni. Położyłam się na piersi Świętego i paliliśmy, on delikatnie pieścił dłonią mój łark. Czułam się cudownie, jakby moje wnętrze wypełniło płynne złoto. Święty wziął niedopałki, podniósł się, żeby je zgasić. Pocałowałam go lekko w kącik ust, pachniał świeżym tytoniem, poprawiłam sobie włosy i wpięłam w nie kwiat.

– Jakbyło?

Odchyliłam się i przyłożyłam usta do jego ucha.

– Dzięki. Różnieś jak młody bóg. Ale teraz jestem zajęta.

– Śmiało, moja droga. Baw się dobrze.

Nie omieszkałam tego uczynić. Aż poczułam się... jak to ująć? Zaspokojona. Gdy kilka godzin później wyszłyśmy z Yvette na ulicę, trzymając się za ręce, biedniejsze o tysiąc euro, poczułam do niej niemal tkiwość, wdzięczność, że dała mi dokładnie to, czego pragnęłam. W torebce spoczywała wizytówka Juliana wraz ze zmiętym jedwabnym kwiatem.

– Możemy zejść do bulwaru i złapać taksówkę – powiedziałam.

– Ja chyba pójdę na metro. Jeszcze kursuje.

Byłyśmy trzeźwe i dziwnie grzeczne, jakby wszystko, czego byłyśmy świadkami, należało do jakiegoś snu, dalekiego świata. Chciałam coś dla niej zrobić.

– Pożyczę ci na taksówkę. Przepraszam, że nie mam drobniej. Resztę możesz mi przynieść następnym razem. – Wsadziłam jej w dłoń zmięte pięćset euro. Dzwony Sacré-Cœur obwieściły trzecią. Mijałyśmy pielarnię, z której wylewało się żółte światło i wypływał gęsty słodki zapach masła i mąki.

– Zdejmij buty – poleciłam.

– Co?

Szybko zerknęłam za drzwi, chwyciłam kilka gorących *pains au chocolat* i wrzuciłam je do torby, wszystko obsypując okruchami ciasta.

– Śniadanie. Biegiem!

Truchtem pognałyśmy boso ku Rochechouart, napędzane pochyłością zbrocza, aż już nie mogłyśmy się zatrzymać. Yvette zaczęła się śmiać, ja również, sukienki łopotały nam wokół kolan. Bieg i śmiech nagle zlały się w jedno, gdzieś nad nami męski głos zapytał głośno, co się dzieje, od czego zaczęłyśmy się śmiać jeszcze bardziej i biec jeszcze szybciej. W końcu padłyśmy sobie w objęcia, żeby się zatrzymać na skraju ulicy, dysząc i ocierając oczy. Rynsztokiem płynęła wzburzona woda. Usiadłyśmy na krawężniku, zanurzając obolałe stopy w błogim brudnym potoku, i garściami wpychałyśmy do ust ciastka z czekoladą, prychnając i zlizując masło z palców.

Rozdział 22

Zauważyłam go kilka miesięcy później w kawiarni na rogu place du Panthéon. Od pierwszej chwili wyczułam coś dziwnego. W zasadzie bez powodu. Ot, jeden z licznych klientów w jednej z licznych miłych paryskich knajpek. W trakcie lepkiego miejskiego lata wypracowałam sobie rutynę, że w tym miejscu zaczynałam swój dzień, po kilkakrotnym okrążeniu Ogrodu Luksemburskiego i po przysnucu. Z rue de l'Abbeé de l'Épée miałam tutaj kilka kroków – i fantastyczny widok od poważnego pomnika po prawej aż po ogrody po lewej. Zawsze się tu kręciło mnóstwo studentów uniwersytetu, w ścisłości palących marlboro lights w wyznaczonych miejscach na tarasach. Byli to nie jacyś hipsterzy, tylko przedstawiciele burżuazyjnej bohemy z szóstej czy siódmej dzielnicy – bogactwo delikatnie przebijało w ich karnacji i w kołnierzykach, dziewczęta miały lśniące włosy przewiązane klasyczną apaszką od Hermès. Niezmiennie czułam zachwyt, że tak doskonale się w nich wpasowałam, choć nigdy do nich nie otworzyłam ust. Kilka razy któryś z młodzieńców skinał mi głową, wymieniałam nawet „cześć!” z paroma dziewczynami, ale nic poza tym. Nie mogłam nawiązywać takich przyjaźni, choćbym bardzo chciała.

Gdy jesteś nikim znikąd, powinieneś znać swoje ograniczenia. Bogate dzieciaki bawią się w cyganerię, ale bogactwo ma długie macki – wnikają one w bezpieczną sieć, która dla nieprzygotowanych może być również pułapką. Bogate dzieciaki mają rodziny, otoczenie i powiązania. Zadają pytania, ponieważ ich świat kręci się dzięki temu, że umieją klasyfikować ludzi. Nie mogłam się na to narazić. Niemniej zamawiałam swój *grand crème* i wyciskany sok z pomarańczy, po pewnym więc czasie kelner zaczął podawać mi je bez pytania, z tą znajomą paryską wydajnością, która niezmiennie napelniała mnie radością, że należę do tego świata. Zwykle przynosiłam kilka katalogów aukcyjnych i „Pariscope”, aby nadążyć za wystawami i prywatnymi pokazami, a także „Le Monde” w celu podtrzymania konwersacji. Na wypadek gdybym kiedykolwiek potrzebowała konwersacji. Oczywiście codziennie dla bezpieczeństwa przeglądałam prasę *online*.

Nie od razu wyłuskałam go spośród porannego tłumu. Minęło chyba kilka dni, zanim uświadomiłam sobie jego obecność. Gdy już jednak to zrobiłam, moje ciało zarejestrowało napięcie, które musiało być obecne od pewnego czasu. Nie był to wymuskany prawnik ani bankier, tylko jeden z tych niedbale ubranych francuskich biznesmenów, których marynarki są zawsze zbyt kanciaste, krawaty zaś zbyt jaskrawe jak na przedstawicieli narodu słynącego z elegancji. Urzędnik albo menedżer średniej klasy. Na niebieskiej koszuli dostrzegłam monogram

nad niezdrową wypukłością brzucha, zaokrągleniem wyglądającym na nowy nabytek – tłuszczczyk męzczyzny aktywnego fizycznie, który jest zbyt zajęty albo niekochany, żeby nadal o siebie dbać. Same koszule były tanie, z mankietami na guziki, z kolei inicjały sprawiały wrażenie pretensjonalnych. Zaczęłam go obserwować. Żadnej obrączki, fatalne buty, zwykłe „Le Figaro”. Zamawiał podwójne espresso, podawane mu z wodą, której nigdy nie wypijał. Wyglądał, jakby miał suchy albo nieświeży oddech. Ile czasu minęło, zanim zdałam sobie sprawę, że on mnie obserwuje?

Początkowo przyjąłam po prostu, że wpadłam mu w oko. Nie dałam tego po sobie poznać ani wzrokiem, ani skiniem głowy – raczej nie był w moim typie. Później pomyślałam, że może się trochę zakochał – był tam za każdym razem, gdy przychodziłam, i siedział przy stoliku, aż spaliłam swojego rozkosznego pośnianiowego papierosa, zebrałam swoje rzeczy i położyłam na spodeczku sześć i pół euro. Zaczęłam się oglądać przez ramię, gdy szłam do drzwi i skręcałam w prawo do placu. Nie odrywał ode mnie wzroku, gdy majacząc na horyzoncie, składał gazetę. Wtedy zaczęłam się bać. Zrobiłam mu zdjęcie telefonem, udając, że dzwonię, i przestudiowałam je. Wciąż sobie powtarzałam, że to przezorność. Nic. Zupełnie nijaka twarz, na pewno go nie znałam. Sentymentalny świr w średnim wieku, ze skrytą namiętnością do dziewczyny z rozkołysany mi włosami i dobrym gustem do gazet.

Zrozumiałam, że mnie śledzi, gdy pewnego wieczoru wyszłam do arabskiego sklepiku na rogu mojej ulicy po papierosy i zobaczyłam go na przystanku autobusowym kawalek dalej, przy bulwarze Saint-Michel. Nadal czytał tę cholerną gazetę. Próbowałam sobie wmawiać, że to zbieg okoliczności – w końcu to był Paryż, miasto, w którym ludzie rozpoznawali mieszkańców swoich dzielnic. Przecież mógł mieszkać gdzieś w pobliżu, w dwudziestotrzynastometrowej kawalerce, gdzie miał wielki telewizor, a na półce z IKEA zdjęcia rzadko od rozwodu widywanych dzieci. Ale wiedziałam. W jednym króciutkim, jednoznacznym momencie wylęgły się potwory, chichocząc i bełkocząc, odciętymi kciukami trącały moje zmrożone ciało. Zobaczył mnie i w tym wzroku widziałam, jak mury, które starannie wzniosłam wokół swojego życia, nagle się rozpadają – choć takie solidne, rozplywają się w powietrzu.

Poczułam wściekłość, poczułam się ścigana. Miałam ochotę pognać ulicą i wepchnąć go pod koła jakiegoś pojazdu. Oczywiście nie zrobiłam tego. Weszłam do sklepu i trochę tam siedziałam, kupiłam kilka rzeczy, których nie potrzebowałam, płyny do czyszczenia, gumę, paczkę myjek, długo szukałam drobnych, mile porozmawiałam z odzianym w skórzaną kurtkę synem właścicieli sklepu. Gdy po wyjściu spojrzałam w stronę bulwaru, autobus właśnie odjeżdżał, ale męzczyzna wciąż stał. Może się z kimś umówił? I czekał? Nie. Czekał tylko na mnie. Staralam się oddychać miarowo, ale mimowolnie zerkałam przez ramię, wbijając kod do domofonu. Przywitałam się z ksjerzką, choć dopiero co to zrobiłam, wychodząc – chciałam dać mu znać, że nie jestem tu

sama, na wypadek gdyby się na mnie zaczął w mroku. Weszłam do mieszkania, rzuciłam na podłogę cienką plastikową torbę i oparłam się o ścianę. Nie włączyłam światła. Ktokolwiek to był – czy miałam się czym przejmować? W każdej chwili mogłam zamówić taksówkę na lotnisko.

Codziennie, gdy już przejrzałam wiadomości ze świata na laptopie, sprawdzałam torbę – zwykłą, skórzaną, dużą, podróżną – kupioną na tunezyjskim straganie. Pięć tysięcy euro gotówką, tyle samo w dolarach, pieczęłowicie rozmienione w pełnym turystów punkcie w Dzielnicy Łacińskiej, wciśnięte w zwitkach w sportowe skarpety frotté. Kilka zmian odzieży, przybory toaletowe, kilka książek, stalowy rolex jeszcze w pudełku i jakieś krzykliwe złote kolczyki, na wypadek gdybym trafiła gdzieś, gdzie pieniądze nie wystarczą, kserokopie moich dokumentów i dokumenty obrazów. Może nie był to zawodowy zestaw człowieka ściganego, ale sądziłam, że wystarczy.

Miałam jednak mdlące uczucie, że gdybym tylko wsiała do samolotu i obróciła się zaraz po wyłączeniu napisu *Prosimy zapiąć pasy*, to moim oczom ukazałby się on. Dość! To chore, głupie. Jeśli mnie śledził, to dlatego, że czegoś chciał. Jak zawsze – pragnienie i tęsknota. „Znajdź coś pomiędzy, Judith”. Wyjęłam telefon, przewinęłam do jego zdjęcia, jednocześnie przeglądając zasoby własnej pamięci, która zawsze doskonale przechowywała wizerunki twarzy. Wciąż nic. Nalałam sobie koniału dla kurażu, wzięłam papierosa. Mój telefon świecił głupio, szalejąc. „Do kogo chcesz dzwonić, samotna? Nie masz do kogo, ot co!”

Dzwonek domofonu zabrzmiał tak głośno, że jego przewód mógł być podłączony bezpośrednio do moich ścięgien. Zgasilałam papierosa, kieliszek ostrożnie odstawiłam na podłogę i podkrađłam się do okna. Jedną z rzeczy, które w tym mieszkaniu kochałam najbardziej, były siedziska okienne w grubych osiemnastowiecznych murach – teraz nachyliłam się nad poduszką, zerkając na dziedziniec, tak żeby z dołu mnie nie zauważono. Dzwonek zadzwonił raz jeszcze. Zdążyłam policzyć do dziesięciu, zanim raczej wyczułam, niż usłyszałam, cichy elektryczny brzęczyk dzwonka w stróżówce. Drzwi kliknęły, odsunęły się ciężko. Wszedł. Zobaczyłam jego sylwetkę w wejściu do stróżówki, podświetloną blaskiem z telewizora konsjerżki. Jego słów nie miałam jak usłyszeć. Następnie ujrzałam, jak konsjerżka z trudem wstaje z wygodnego krzesła, okazując maksimum swojego galijskiego niezadowolenia, mija drzwi i przecina dziedziniec w drodze do klatki schodowej. Wstrzymałam oddech. Ciężko wspinała się po stopniach. Słyszałam, jak burczy pod nosem po portugalsku. Zadzwoniła do moich drzwi. Czeakałam spięta jak kot przed skokiem. Jeszcze jeden dzwonek, po czym jej ciężar w rozdeptanych kłapkach Scholla się oddalił. Skrzyknięcie poręczy i pojawiła się ponownie, wróciła do niego. Widziałam, jak macha ręką lekceważąco, kręci głową. On cofnął się na dziedziniec, zauważyłam, że robi to ostrożnie, stając bezpośrednio pod lampą, tak że jego twarz pozostawała niewidoczna. Czulałam jednak, że patrzy.

– *Merci, madame!* – zawołał do konsjerżki, nacisnął podświetlony przy cisk otwierający drzwi

na ulicę, osłonięty plastikiem, i wyszedł.

Wyprostowałam się dopiero po pewnym czasie. Poczulałam się jak bezbronna staruszka. Zamknęłam drzwi łazienki, zanim włączyłam światło, wzięłam długi prysznic, jak najgorętszy, mechanicznymi ruchami użyłam mydła, peelingu, olejku, żelu do twarzy, szamponu, odżywkę. Ogoliłam nogi i pachy, nałożyłam maseczkę nawilżającą, przez kilka minut wcierałam balsam do ciała, olejek monoi w stosowne miejsca, sięgnęłam po dezodorant i perfumy. Pomalowałam się – korektor, podkład, bronzer, róż, żel do brwi, eyeliner, tusz do rzęs, schyliłam głowę i wysuszyłam włosy. Przez cały ten czas ręce nie przestały mi drżeć, ale uspokoiłam się na tyle, żeby zacząć myśleć. Wybrałam krótką, lekko rozkłoszowaną szarą sukienkę z APC, czarne pończochy, buty do kostki, apaszkę, diamentowe kolczyki, prochowiec od Vuittona. Zadzwoiłam do Taxis Bleus i wypiliśmy szklanek wody, gdy czekałam na połączenie, zamówiłam taksówkę spod domu, zamknęłam drzwi na klucz, wrzuciłam klucze do torebki, wróciłam i sprawdziłam, czy zamknęłam.

Konsjerzka wciąż wytrwale śledziła losy bohaterów brazylijskiej telenoweli. Kobieta z nieprawdopodobnie wyrzeźbionymi piersiami i pośladkami wepchniętymi w żalony garnitur skrzęcała po portugalsku do wąsatego mężczyzny z miną winowajcy. Przy każdym jej krzyku telewizor drżał.

– Przepraszam panią... Nie chciałabym przeszkadzać, ale czy były dla mnie jakieś wiadomości?

Dzwonił jeden pan, nie podał nazwiska, po co ludziom te komórki, chciałyby wiedzieć konsjerzka, przeszkadzają ludziom dniem i nocą, nie, wiadomości to nie, ale jeden pan pytał o mnie osobiście, o *mademoiselle* Rashleigh, ale czy ona, konsjerzka, nie ma nic lepszego do roboty poza chodzeniem po schodach cały wieczór, na pewno nie zostawił wiadomości, nie powiedział, czy jeszcze przyjdzie, a jeśli przyjdzie, to czy mógłby dzwonić bezpośrednio do *mademoiselle*, przecież ludzie to naprawdę są tacy niewychowani. I tak dalej, i tak dalej, aż przeprosiłam i przyznałam jej rację odpowiednią liczbę razy, by poczuła się udobruchana. Uzgodniłyśmy, że ludzie bardzo się nie liczą z innymi, zwłaszcza jeśli chodzi o sztywne biodro konsjerzki, aż taksówka zatrąbiła niecierpliwie na ulicy, pożegnałam się więc pospiesznie, grzecznie i wyrazami współczucia.

Jeszcze było wcześniej, raptem minęła północ, gdy dotarłam na rue Thérèse. Od imprezy w tamtym domu odwiedziłam klub kilkakrotnie – i podobało mi się w nim. Polityka selekcyjna Juliana była demokratyczna, choć nieprzewidywalna, równoważył bowiem dwie siły liczące się w nocnym świecie – pieniądze i urodę. Im ładniejsza byłaś, tym mniej płaciłaś, chociaż dyskretny rachunek podawany gościom przy wyjściu i tak zbijał z nóg. Kosztowność zapewniała dyskrecję, La Lumière słyhała zaś z tego, że bywali tutaj naprawdę prominentni goście, a mimo

tej sławy, czy może właśnie dlatego, żaden pismak nie wystawał pod czarnymi drzwiami. W środku – to już co innego. Gdy podeszłam niespiesznie do baru i zamówiłam okropny koniak (koniak w takich przybytkach zawsze był okropny), zauważyłam, że ławy obito skórą zebry, i zastanowiłam się, jak zawsze, co było pierwsze – wystrój czy instynkt. Czy Europejczycy na stałe łączyli zwierzęce wzory, czerwoną farbę i czarną skórę z seksem, czy była to kwestia nawyku? Choć trudno chyba sobie wyobrazić klub dla swingersów urządzony w gustownych szarościach.

Nigdzie w barze nie zauważyłam Julienu, zeszłam więc ze stolka i przez parkiet przeszłam do mrocznej sali. Na otomanach zebrało się już kilka grupek. Szczupła brunetka odbywała złożony łańcuszek z trzema panami: jednego miała w ustach, jednego od tyłu, jednego pod spodem, a jej rytmiczne jęki rozkłoszy odbijały się od błyszczących ścian. Pomruki i westchnienia były jednak w dobrym guście, nie na pokaz – tutejsza klientela szukała raczej akcji niż przedstawienia. Młody mężczyzna, bardzo młody, spojrzał na mnie wyczekująco – kawowe włosy spadały mu na twarz, przesłaniając napięte mięśnie szczęki. Południowoafrykańczyk? Nie miałabym nic przeciwko, ale dzisiaj się spieszyłam. Niechętnie pokręciłam głową i przeszłam korytarzem, mijając kabiny do przebierania – za niskimi, lakierowanymi na czarno drzwiami kryły się prysznic, lustro i wymyślne przybory toaletowe Acqua di Parma. Julienu znalazłam w barze. Skinął mi głową, gdy do niego podchodziłam.

– Nie zostaję – wyjaśniłam. – Masz może chwilę? Powinnam z tobą porozmawiać.

Julien sprawiał wrażenie zmieszanego, ale także nieco urażonego. Zauważyłam jednak, że nie jest zaskoczony. Poszłam za nim do niewielkiego przedpokoju przesłoniętego aksamitną kōtarą. Wychyliłam się nad blatem tak, żeby pokazać mu banknoty o nominale pięciuset euro, które trzymałam w dłoni w czarnej rękawiczce.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę – najwyraźniej miałam wieczór przeprosin – ale muszę spytać, czy ktoś mnie tu szukał. Jakiś mężczyzna? To ważne.

Julien się nie spieszył, rozkłoszował się moją uwagą.

– Tak, *mademoiselle* Lauren. Szukał tu pani pewien mężczyzna. Miał zdjęcie.

– Zdjęcie?

– Tak, pani z inną młodą damą.

– Jak ona wyglądała?

– Nie pamiętam, *mademoiselle*.

Podaliśmy mu banknot.

– Chyba miała niezwykłe włosy. Rude?

Leanne. Kurwa. To musiała być Leanne.

– A mężczyzna? Powiedziałeś mu, że mnie znasz?

Wzrok Juliena spoczął na drugim banknocie. Delikatnie zamknęłam dłoń.

– Oczywiście powiedziałem mu, że nigdy w życiu pani nie widziałem.

– Mówił coś jeszcze? Cokolwiek?

– Nie. Nic. Zachowywał się bardzo grzecznie.

Podaliśmy mu pieniądze, on zaś schował je do kieszeni, cały czas patrząc mi w oczy.

– Zostawi mi pani swój numer? Mógłbym zadzwonić, gdyby on się znowu pojawił.

Zastanawiałam się, czy Julien sobie żartuje i z kogo. I ile tamten mu dał. Z piwnicy dobiegły cicha muzyka i szuranie obcasów po podłodze. Tam, na dole, tak łatwo było położyć ludziom, kim naprawdę jesteś, dlatego było to tak ciekawie delikatne. Oboje to wiedzieliśmy, Julien i ja. On handlował różnicami między tymi dwoma światami. Nie mogłam mu mieć za złe chciwości.

– Nie, dziękuję. Może wpadnę za pewien czas.

– Zawsze czekamy z przyjemnością, *mademoiselle*.

Powolnym krokiem ruszyłam nad rzekę, później przeszłam przez Luwr do nabrzeża. Paryż zawsze mnie zachwycał absurdalnym pięknem. Nic nie jadłam, ale nie byłam głodna. Zadzwoniłam do Yvette, ale ona nie odebrała, ponieważ w dzisiejszych czasach nikt już nie odbierał telefonów, oddzwoniła jednak po kilku minutach.

– Cześć, *chérie*!

Nie rozmawiałyśmy od wieków, od czasu tamtego przyjęcia, ale w tym świecie nocy każdy dla każdego był kochaniem. W tle słyszałam muzykę i głośną rozmowę. Pewnie stała na zewnątrz, paląc papierosa w tłumie pod lampkami, obok burzącego grzejnika.

– Potrzebuję przysługi. Możesz mi przesłać esemesem numer Stéphane'a?

– Stéphane'a? Masz imprezę?

– Tak. Coś w tym rodzaju. Ale zamkniętą.

– Jasne. Baw się dobrze. I zadzwoń czasem, *chérie*!

Zaczekałam, aż dojdzie esemes, po czym sama wysłałam wiadomość:

Jestem koleżanką Yvette. Potrzebuję niewielkiej przysługi. Proszę do mnie zadzwonić pod ten numer, dzięki.

Nie byłam jeszcze w stanie wrócić do mieszkania, skręciłam więc w lewo i ruszyłam do Le Fumoir. Stéphane odpowiedział dopiero po godzinie – przez ten czas wypijałam trzy pasikoniki i teraz miałam wrażenie, że dam radę światu.

– Jesteś koleżanką Yvette?

– Tak – Pewnie mnie nie pamiętał z tamtego klubu, ale lepiej być kimś innym, zachować większy dystans. – Mam na imię Carlotta. Dziękuję, że oddzwoniłeś.

– No to słucham. Czego ci trzeba?

– To dla koleżanki. Raczej czegoś wyjątkowego. Może coś... brązowego? – Mój francuski

w tym temacie zawodził. Czulał się śmiesznie.

Zawahał się.

– Rozumiem. Dobrze, mogę pomóc. Ale nie dziś.

– Wystarczy na jutro wieczór.

Uzgodniliśmy, że on się spotka z „koleżanką Carlotty” o dwudziestej w kawiarni w Panthéonie. Nie martwiłam się, że będzie tam mój kolega od „Le Figaro”. Pewnie już się spał i wszedł w pierwszy Eurostar do Londynu, żeby czym prędzej złożyć raport temu komuś, kto go zatrudnił. Widział mnie, potwierdził moją tożsamość, ustalił adres. To zdjęcie przedstawiające mnie i Leanne musiało pochodzić z Londynu. Ktoś z Londynu próbował mnie znaleźć. Teraz pożałowałam pasikoników. Była mi potrzebna trzeźwa głowa.

Z trudem obudziłam się o szóstej, roztrzęsiona i niewyspana. Obok łóżka czekał na mnie strój do biegania – nie ma zmiłuj. Gdy wracałam do domu, zaczynało padać, ale teraz jesienne słońce pysniło się na niebie żonkilkową żółcią i miasto wyglądało na wyszorowane, błyszczące. Przy drugim okrążeniu Ogrodu Luksemburskiego poczułam się lepiej, wykonałam kilka sprintów i skłonów z pozycji leżącej na wilgotnej trawie, porozciągałam się. Powoli pobiegłam z powrotem na rue de l'Abbeé de l'Épée, przekroczywszy codzienny program. Następnie pojechałam do dzielnicy dziesiątej, do sklepów specjalizujących się we włosach afrykańskich, i do Belleville do apteki. Następnie przystanek na kawę, jeszcze jakieś zakupy, butelka od mojego miejscowego Nicolas i wizyta u lekarza. To mi zajęło większość dnia. Dałam sobie godzinę na kąpiel i przebranie się przed spotkaniem ze Stéphane'em.

Handel narkotykami bardzo się rozwinął, odkąd po raz ostatni je kupowałam w liverpoolskim Toxteth. Stéphane przede wszystkim był biały. Zostałam na zewnątrz mimo wysokiej wilgotności po doskonałym jesiennym dniu zapowiadającej deszcz, ale gdy Stéphane podjechał swoją szybką stylową lambrettą, nie rozpoznałam go od razu pośród jajogłowego tłumu. Chudy i poważny z wyglądu, w nijakiej fryzurze z lat osiemdziesiątych i mocnych okularach w czarnych oprawkach, bardzo się starał nie wyglądać na diler. Patrzyłam, jak powoli rozgląda się po tłumie pod markizą, i uniosłam się trochę, żeby światło odbiło się od moich włosów. Moja peruka była straszna, ale uczesałam ją w swobodny kok, żeby wyglądała bardziej naturalnie, na szyi zawiązałam wielką apaszkę Sprouse, starając się zakryć kark. Ubrałam się swobodnie, ale rozmyślnie przesadnie się pomalowałam, i rozmawialiśmy po angielsku. Zastanawiałam się, jak przekonująco po tylu latach brzmi mój dawny głos, ale pewnie Stéphane nie zwracał sobie głowy takimi subtelnościami. Usiadł i czekał, aż podadzą mu zamówione espresso, po czym położył na stoliku paczkę cameli light obok moich marlboro gold. Uśmiechnął się zachęcająco. Naprawdę sądził, że ładnie wyglądam?

– A więc jesteś znajomą Yvette? – zapytał.

Odprężyłam się – nie poznał mnie.

– Tak jakby. Kumpluję się z Carlotta.

Przez kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu.

– Dobra, to miłej zabawy. Chcesz mój numer?

– Jasne.

Wpisałam numer do telefonu.

– Nie przyjechałam na długo, ale nigdy nie wiadomo.

– No to heja!

– Heja!

Odpalił skuter, sprawdzając jednocześnie telefon, niewątpliwie szukając następnego adresu dostawy. Pewnie miał do tego odpowiednią aplikację. Zaczekałam, aż odjedzie, po czym przeszłam do toalety i zdjęłam perukę. Wepchnięta do mojej torby wyglądała upiornie, jak jakiś przedmiot voodoo, ale nie mogłam ryzykować, że zobaczy mnie w nich Leanne, jeśli ją spotkam w drodze do domu.

Gdyby ktoś mnie zapytał, skąd wiedziałam, że Leanne się pojawi, nie umiałabym odpowiedzieć. Jakoś tak po prostu wiedziałam, że to się zdarzy. Gdyby da Silva zamierzał mnie aresztować, zrobiliby to, nie dając mi czasu na ucieczkę. Zakładając, że mój nowy znajomy miał powiązania z Londynem, i biorąc pod uwagę, że Julien wspomniał o włosach, Londyn oznaczał Leanne. Minęła dwudziesta druga, ale ona się nie pojawiła, i wtedy już zwątpiłam. Zrobiło mi się niedobrze. Może niesłusznie zlekceważyłam da Silvę. Wzięłam prysznic i włożyłam białą męską piżamę od Charvet. Konserżkę urobiłam za pomocą bukietu brzydkich chryzantem owiniętych w celofan – miały jej wynagrodzić niedogodności pojawienia się ewentualnych późnych gości w moim mieszkaniu. Zapaliłam świeczki, nalałam sobie refleksyjnego czerwonego wina, włączyłam dwudziesty pierwszy Koncert fortepianowy C-dur Mozarta, na poręczu kanapy ułożyłam najnowszą powieść Philippe'a Claudela. Uroczy, spokojny wieczór w domowych pieleszach. Brzęczyk, kliknięcie, brzęczyk. Głosy, rozdeptane klapki Scholla, klik, szur, stukot obcasów na kamieniach. *Allez-vous par là*, stuk, stuk, stuk na schodach, brzęczyk

– O Boże, Leanne! Jaka niespodzianka! Wejdz, wejdz, proszę. Nie widziałam cię... O Jezu, chyba z rok całe wieki! Świetnie wyglądasz! Wejdz.

Prawdę mówiąc, z radością stwierdziłam, że wcale nie wygląda świetnie. Była chuda, ale twarz miała bladą i obrzękłą, ślady pryszczu na policzkach brutalnie zamalowała kredowym korektorem. Włosy wciąż były wściekle rude, ale złote pasemka zniknęły, przez co cera wydawała się jeszcze bardziej matowa. Miała przy sobie torebkę Chanel, tę z Cannes, teraz jednak zniszczoną, beżowy płaszcz na pewno kupiła w sieciówce, buty prezentowały zniszczone czubki.

– Proszę, proszę, ale masz wypasioną chatę.

– To nie moja, tylko wynajmuję.

Spojrzałam na pokój jej oczyma. Nie wiedziała ani tego, że sofa jest od Thoneta, ani tego, że rysunek Cocteau to autentyk. W ogóle w życiu nie słyszała o żadnym Cocteau, patrząc jednak tak, stwierdziłam, że pokój jest urządzonej gustownie, i że to musiało kosztować.

– No ale chyba dobrze sobie radzisz.

Spuściłam wzrok.

– Pamiętasz tego kołesa z jachtem? Steve'a? No więc my się od czasu do czasu spotykamy. On mi trochę pomógł. I mam nową pracę, teraz jestem prawdziwą marszandką. No i... no i jest dobrze.

Wyciągnęła ramiona i zamknęła mnie w uścisku pachnącym wodą Candy Prady.

– To super, Jude. Super. – I rzeczywiście odniosłam wrażenie, że cieszy się z mojego sukcesu.

– Napijmy się – zaproponowałam. – Mam roederera, jakbym wiedziała, że przyjdiesz – uśmiechnęłam się. Podniosłam swój pełny kieliszek i poszłam do kredensu po szkło dla niej. Upiła duży haust i wyciągnęła z torebki papierosy. Dołączyłam do niej na kanapie, zapaliłyśmy.

– A co u ciebie? Nadal pracujesz w klubie?

– Tak. Ale już mam dość. – Mówiła głosem bez wyrazu, z innym niż wcześniej akcentem, jakby Estuary English. Dodawało jej to lat, zniknęła jej werwa.

– Kiedy przyjechałaś? I co w ogóle robisz w Paryżu?

– Koleś z klubu mnie zaprosił na weekend, rozumiesz.

– Super! – odpowiedziałam promiennie. – A gdzie się zatrzymałaś? W jakimś fajnym miejscu?

– O tak, bardzo fajnym. Coś tam de la Reine... Na tamtym placu? – Doskonale. Sądziła, że byłam to, co mówi. – I wiesz, słyszałam, że tu jesteś, pomyślałam więc, że wpadnę.

– Słyszałaś, że tu jestem. Fajnie.

Zamilkłam i się nie odzywałam, aż spojrzała na mnie błagalnie, bezradnie.

– Super się tak spotkać – szepnęła. – Fajnie się bawiłyśmy w Cannes, co nie? Dużo było śmiechu.

– Tak, śmiechu.

Dwudziesty pierwszy koncert fortepianowy Mozarta koneserom wydaje się trochę oczywisty, ale było coś w jego napięciu, w przestrzeni wiszącej między nutami, co mnie zabolowało. Na bosaka podeszłam do swojego telefonu, który się ładował, odpięłam go i wyłączyłam, tak żeby Leanne to widziała. W milczeniu wyjęła swoją komórkę i także ją wyłączyła. Wyciągnęłam rękę, ona podała mi aparat, jakby zahipnotyzowana. Położyłam obie komórki obok siebie na stole. Usiadłam na drugim końcu sofy, popijałam wino, z nogami podwiniętymi pod siebie. Wychyliłam się do

przodu.

– Leanne. Proszę, powiedz mi, co tu robisz. Na pewno nie trafiłaś tu przypadkiem. Skąd się dowiedziałas, że jestem w Paryżu? Nie wspominając o moim adresie? Masz kłopoty? Mogę ci pomóc?

Widziałam, jak się zastanawia, ile mi powiedzieć, ile wiem. W tej chwili zresztą wiedziałam niewiele.

– Co się dzieje? – pytałam. – Nie będę w stanie ci pomóc, jeśli mi nie powiesz.

Nie pytałam o nic więcej. Siedziałyśmy na sofie jak terapeuta i pacjent, aż muzyka dotarła do swojego dostojnego, długiego końca.

– Do klubu przyszedł wypytywać taki gościu. Miał zdjęcie. Zdjęcie z przepustki tam, gdzie pracowałaś.

– I co mu powiedziałaś? – zapytałam teraz nieco ostrzej.

– Nic, przysięgam. Srałam po gaciach. Olly cię rozpoznał, powiedział, że nie wyglądasz na Judith. Ale ja tylko powiedziałam, że wyjechałaś. Nic więcej, przysięgam.

– Dlaczego musisz przysięgać? W czym problem?

– Nie wiedziałam. Myślałam, że chodzi... No wiesz... o Jamesa. Siedziałam więc cicho. Ale tam była taka inna dziewczyna, pracowała w klubie kilka tygodni, zaczęła po twoim odejściu. Ashley. Blondynka, bardzo wysoka. Mówiła mu, że cię zna.

Ashley. Dziwka z przyjęcia na Chester Square. „A to, kurwa, niespodzianka!” Spojrzałam na Leanne, która piła drugi kieliszek i paliła jak smok. Było mi jej żal. Wierzyłam jej. Wtedy zachowała milczenie. Mnie zaś zakapowała jebana Swietłana, którą ostatnio widziałam z gębą pełną przygodnego fiuta.

– I co się potem stało?

– Wyszli i pogadali. I ten gość poszedł. Próbowałam się dowiedzieć, o czym gadali, ale to jest kawał zarozumiałej kurwy. Rosjanka, kumasz? Kilka dni później i tak odeszła. Wywalili ją. Przyłapali ją z klientem.

– Jasne. A jak się ten gość nazywał?

– Cleret. Renaud Cleret. Francuz.

Wiadomość o Ashley przyprawiła mnie o szok, ale teraz czułam się jak królik walnięty w splot słoneczny. Roześmiałam się jak wariatka.

– Co cię tak bawi?

– Nic, Leanne, nic. Przepraszam. Po prostu takie francuskie nazwisko, no wiesz... Renaud Cleret. Jak w filmie. Nieważne.

I wtedy opowiedziała mi resztę. Spanikowała, przekonana, że wydało się wszystko z Jamesem. Mówiła, że próbowała mi wysłać esemesa, ale ja przecież zmieniłam numer. Poszła więc do

British Pictures i wy musiała na recepcjonistce, żeby ją wpuściła do Ruperta.

– Wiesz, do twojego dawnego szefa. Tego, co go zawsze przedrzeźniałaś... Jak już go poznałam, to powiem ci, że nieźła byłaś.

I Rupert zdradził jej, że – jego zdaniem – jestem zamieszana w fałszerstwa, że muszą mnie znaleźć, częściowo z obawy, że zaszkodzę reputacji British Pictures, a częściowo z lęku o mnie. Wzruszające. Przestrzegł ją, że takie sprawy mogą się bardzo źle skończyć, że pewnie nie wiedziałam, że igram z ogniem. Wynajęli więc Clereta, jak wyjaśnił Rupert, żeby mnie znalazł. A teraz przyszła Leanne, moja stara przyjaciółka. Może spróbowałyby ze mną porozmawiać? Cleret jej powie, gdzie przebywam. Ona musi tylko tam pójść. Zapłacą za jej przejazd do Paryża i jeszcze coś dorzucą. Podkreślił, że to pilne, że się troszczy o moje dobro. Naprawdę, Leanne wyświadczyłaby koleżance wielką przysługę.

– Ile ci dorzucili? Mów, nie mam pretensji.

Dwa tysiące funtów. „Trzydzieści srebrników” – powiedziałam, ona jednak nie rozumiała.

– Ale ja im nie uwierzyłam. Udawałam, że wierzę, udawałam, że jestem tak głupia, jakim się wydaje. Ten Cleret wczoraj dał mi twój adres i powiedział, że mam natychmiast jechać.

– Gdzie on teraz jest?

– W Londynie. To Francuz, ale mieszka w Londynie.

– I przyjechałaś.

– Właśnie.

Upiłam kolejny łyk wina, dolałam Leanne. Usiadła trochę swobodniej. Po spowiedzi poczuła się pewniej, chytre oczka patrzyły na mnie z bliskiem.

– A teraz słucham, co ty masz do powiedzenia?

– Co to znaczy?

– No wiesz, nie jestem głupia. Ten Rupert mówił, że w coś się wplątałaś. Że w Rzymie zabito jakiegoś gościa i dlatego tak się martwi.

– Jakiego gościa?

– Nazywał się Cameron Fitzpatrick. Poszukałam w gazetach *online*. Zamordowano go. W Rzymie. Niedługo po tym, jak ty wyjechałaś z Riwiery. Był marszandem, tak jak ty, Jude. A ten Cleret, on mówi, że byłaś w Rzymie. Że byłaś tam, jakto się stało.

O kurwa! Skąd Cleret to wiedział? Zaraz, spokojnie, oddychaj. Moje nazwisko pojawiło się w raporcie da Silvy, chociaż gazety je przemilczały. To nie była informacja dostępna powszechnie, powiedzmy jednak, że ten Cleret jest jakimś detektywem. Na razie muszę się skupić na bieżącym problemie.

Może Leanne była ignorantką, ale nie była tępą. Dopóki ma na horyzoncie widoki na kasę, nie cofnie się przed niczym. Naprawdę mi zaimponowała, że poskładała tyle do kupy, ale czego się

spodziewała? Że jej wszystko wyznam, żeby mogła mnie szantażować?

– No i co? Byłam tam. Musiałam rozmawiać z włoską policją. To było straszne. Miałam nadzieję, że Cameron załatwi mi pracę. To znaczy, wiesz, bardzo, bardzo mi go żal. Pewnie Rupert także wiedział, że tam byłam, tylko ci nie powiedział. Może stąd się wzięły jego podejrzenia, ale co z tego? Mógł się ze mną skontaktować, spytać mnie. Bez tej całej durnej zabawy w kotka i myszkę. O co ci chodzi?

– Dlaczego Rupert tak bardzo chce z tobą rozmawiać? Dlaczego tak się ucieszył na mój widok?

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Może chciał mieć numerka za półdarmo.

To ją zabolalo, jak policzek, ale zmilczała.

– Nie przyszedł się tutaj kłócić, Jude. Ty jesteś w coś zamieszana, prawda? Dlatego ci goście chcą, żebym z tobą gadała. Żebym cię znalazła. Ale co my jesteśmy winne tym nadętym cipom? Pamiętasz Cannes? Zrobiliśmy to razem, prawda? Pomyślałam więc, że ci pomogę. Co dwie głowy to nie jedna, co nie?

– A co myśmy tam razem zrobiły? Co? Nie wiem, o czym mówisz.

– Daj spokój, Jude...

Staralam się nie okazać jej pogardy i prawie mi się udało. Zmusiłam się do uśmiechu i zrobiłam minę „karty na stół”.

– Nie wygłupiaj się, Leanne. Nie jesteś tu dla Ruperta, nie jesteś tutaj, ponieważ chcesz go ograć. Ile ci trzeba? Żebyś milczała na temat Jamesa, żebyś wróciła do Ruperta i powiedziała, że mnie nie znalazłaś, wydaje ci się bowiem, że tego właśnie się boję, prawda? Ile?

Nigdy się nie dowiedziałam, ile ta biedna tępą suką chciała, ponieważ zadziałało sześć benzodiazepin, które wmieszałam do butelki skądinąd przedniego madirana. Głowa Leanne opadła na poduszkę, kieliszek wysunął się jej z dłoni i reszta wina rozlała się na jej kolana. Środki uspokajające i odchudzające – francuscy lekarze są tacy uczynni. Dlatego francuskie kobiety nie tyją. Na szczęście sofę mam czarną.

Gdyby tylko francuscy taksówkarze byli równie ulegli jak lekarze. Całe wieki mi zajęło, zanim natrzaskałam Leanne po twarzy na tyle, żeby osiągnęła pozory przytomności, i przyniosłam jej trochę wody. Całe wieki ją prowadziłam lub niosłam po schodach i do bulwaru, całe wieki łapałam taksówkę, ale kierowca powiedział, że nas nie weźmie, ponieważ koleżanka jest nawalona i narzyga na jego ładne syntetyczne siedzenia. Miałam nadzieję, że nie zymiotuje – tego bym nie zniosła. Szeptalam do niej zachęcająco: „Nie martw się, nic się nie stało, to tylko za dużo wina, nic ci nie będzie”. Wsadziłam ją do drugiej taksówki, w której natychmiast znowu odleciała, oparta na moim ramieniu. Przez rzekę do placu Wogezów było niedaleko. Zdążyłam znaleźć w jej torebce kartę do pokoju, podać kierowcy dwadzieścia euro napiwku i już dotarliśmy do celu. Holowanie jej przez recepcję było jeszcze gorsze, na jednym ramieniu miałam Leanne, na

drugim nasze dwie torebki, że nie wspomnę o wielkiej parasolce, którą rozłożyłam, żeby nie zmoczył jej deszcz, ale lewym ramieniem obejmując ją przez plecy, zdołałam dowlec się do windy. Jeśli ktoś podnosił w zdumieniu brew, mówiłam ze skruchą, że to Angielka. Na szczęście akurat przyjechała japońska wycieczka, portier i recepcjonista mieli więc pełne ręce roboty. Leanne zajmowała pokój na trzecim piętrze, musiałam odłożyć parasol, żeby wyjąć kartę z torebki, ona zaś zjechała niemal na podłogę, rozkładając nogi w przysiadzie *plié*.

Zdjęłam jej płaszcz, oparłam ją o łóżko, podkładając kilka poduszek, tak żeby prawie siedziała. Zamknęłam drzwi, powiesiwszy na klamce starą dobrą tabliczkę *Proszę nie przeszkadzać*, włączyłam telewizor, przeskoczyłam do MTV, nastawiłam niezbyt głośno. Gdy się odwróciłam do łóżka, Leanne jęknęła i zatrzepotała powiekami, napędzając mi stracha, ale zaraz znowu odpłynęła. Wyjęłam rękawiczki jednorazowe i wszystko, co dostałam w Belleville, wraz z czarną elastyczną opaską z H&M wyszywaną cekinami. Następnie paczkę cameli, którą odebrałam w kawiarni, skąd również zwałowa wzięłam łyżeczkę. Miałam nadzieję, że Stéphane mnie nie okantował – nie było czasu rozglądać się za towarem, nawet jeśli miałam kilka godzin zapasu, ale przecież Yvette z niego korzystała, powinien być porządny. Widziałam, jak się to robi, ostatnio u Lawrence'a na cholernym Chester Square. Zdjęłam Leanne buty, wzięłam z minibaru wodę Evian i miniaturkę Johnniego Walkera i wlałam jej trochę trunku do gardła. Większość spłynęła po brodzie, ale to nie miało znaczenia.

Nie lubię igieł, naprawdę nie cierpię. Rihanna śpiewała o brylantach na niebie. Miałam przy sobie zapalniczkę Cartiera i wacik Towar miał kolor mocnej herbaty. Przytrzymując pasek zębami, wstrzyknęłam jej narkotyk w zgięcie łokcia lewej ręki. Połowę tego, co kupiłam od Stéphane'a, czyli aż za dużo. Drgnęła, gdy wbiłam się w żyłę, ale przyciskałam mocno jej ramię, a byłam silna. Czytałam, że zaledwie po kilku minutach ciało zapomina o oddychaniu. Jeden z lepszych sposobów na opuszczenie tego świata.

Już po raz drugi patrzyłam, jak ktoś umiera. Mogłam sobie wyemitować w głowie krótką retrospektywę – Leanne w swoich naturalnych kasztanowych włosach w szkole, w plisowanej granatowej spódnicy podkaszanej do ud, Leanne mieszająca swój koktajl w Ritzu, Leanne tańcząca ze mną w klubie na Riwerze – cała zakręcona, szczęśliwa i wrzuszająca. Gdyby mnie tacy ludzie w ogóle wrzuszali. Albo mogłam przypomnieć sobie, jaki odgłos wydaje głowa trzynastolatki, gdy uderza o ceglany mur sali gimnastycznej, mogłabym przypomnieć sobie szczupłą postać z kręconymi włosami, która stała tam i nic nie robiła. Taką osobą również jednak nie byłam. Zaczekałam więc, aż ciało Leanne zapomni. Następnie czekałam jeszcze trochę, czekając zaś, otworzyłam jej telefon. Pamiętałam datę jej urodzin, w tym jestem dobra. Miała dwadzieścia siedem lat, jak ja. Zadzwoiłam do Stéphane'a z jej telefonu i rozłączyłam się, zanim odebrał. Przepisałam numer francuskiej komórki do swojego telefonu, po czym zesłałam

z łóżka. Leanne opadła na bok. Nie zdejmując rękawiczek, drobiazgowo przejrzałam jej rzeczy. Torbę na kółkach ze stojaka na bagaż, kosmetyki w łazience. W kieszonce torebki Chanel znalazłam kolekcję wizytówek, pewnie z Gstaad Club – te rojujące. Wśród nich znalazła się wizytówka Ruperta. Uznałam, że nie ma sensu jej zabierać. W portfelu znalazłam kilkaset euro i bilet kolejowy typu open do Londynu. Schowałam to wszystko do kieszeni – jej paszport, kartę bankową, wszystko z jej nazwiskiem, ponadto szczotkę do włosów i szminkę, czyli rzeczy, które mogą wypaść z torebki, gdy jej właścicielka jest nawalona. Pewnie Cleret rezerwował jej pokój i on ją przyprowadził. Jedno spojrzenie i recepcja będzie wiedziała, że lepiej nie zadawać pytań – to był w końcu Paryż, Pavillion zaś to porządny hotel. Żadnych zdjęć, żadnych książek, magazynów na stoliku nocnym, zmięte ubrania, tanie i wymowne. W sumie nikt. Nie wiedziałam, gdzie mieszkała ani co się stało z jej rodzicami, była dla mnie nikim. Rihanna śpiewała swoją piosenkę o parasolce. Wzięłam parasolkę i wyszłam. Rzeczywiście, za każdym razem jest łatwiej. Może nie musiałam jej zabijać, choć przecież nie zabiłam jej dlatego, że musiałam. To był mój trzeci raz – i nie był ani trochę przypadkowy.

Rozdział 23

Dwa tygodnie. W porównaniu z nimi czas spędzony w Como przeleciał jak z bicia strzeł. Dwa tygodnie krążenia, palenia papierosów, domysłów, odgrywania wszystkiego, raz za razem i raz po raz. Gdy w końcu pewnego wieczoru zobaczyłam Clereta u wylotu mojej ulicy, mało nie podbiegłam go ucałować.

Podręcznik dobrych manier mówi jednak, że kobieta nie może wykazywać wobec dżentelmena inicjatywy. Poszłam więc do domu i z trudem skupiłam się na dwóch długich artykułach w „Art Newspaper”. Jakiś czas później zerknęłam na zegarek, wąski różowo-złoty vacheron aronde 1954. Była dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć. Przeczesałam włosy, zdjęłam sweter, włożyłam zaś marszczoną bluzkę od Isabel Marant, buty zmieniłam na eleganckie bordowe szpilki Yves Saint Laurent, śliczne skórzane, chociaż niezbyt wysokie. Czas na rozgrywkę. Skręciłam na bulwar i przeszłam na przystanek autobusowy, mijając go w niewielkiej odległości, tak żeby poczuł mój zapach (Tubéreuse Gantiera, dobre i mocne). Przeszłam na róg, świadoma, że obcisłe szare džinsy i szpilki przyciągają spojrzenia, skręciłam w lewo w rue Vaugirard, kierując się na postój taksówek na place Saint-Sulpice. Przy rue Mazarin znajdował się bar, który wcześniej znalazłam, urządzony tak, że wnętrza imprez Juliana wyglądały przy nim jak burżuazyjny salon. W tygodniu panował tutaj spokój. W lokalu podawali dobre koktajle, ale dziś zamówiłam burbon bez dodatków – piłam go powoli, wyglądając na ulicę przez fantazyjne firanki. Po dwudziestu minutach zajął pozycję w wejściu do budynku po drugiej stronie ulicy. Dzieliły nas raptem metry, gdy wyszłam z baru i ponownie skręciłam w lewo, kierując się nad rzekę. Nie słyszałam za sobą żadnych kroków – podeszwy jego butów, topornych i brązowych jak ciasto z supermarketu, musiały być wykonane z gumy. Nieźle, nieznamomy.

To było nawet zabawne. Wyszłam na *quai* i czekałam na skrzyżowaniu w tłumie turystów, którzy wylegli na romantyczną wieczorną wycieczkę. Przeszłam się do Cité, wokół Notre Dame i dalej do Wyspy św. Ludwika. Dla niego musiał to być nie lada spacer – zrzuci kilka tych niepotrzebnych kilogramów. Jak na listopad, mieliśmy niezwykle ciepły wieczór, knajpki na krańcu wyspy były zatłoczone, kolejka po lody w Berthillon wiała się po horyzont. Czułam ekscytację, ożywienie i podniecenie, mięśnie ud i tyłka czujnie wyczeływały jego wzroku. Skręciłam w rue Saint-Louis-en-l'Île i przez Pont Marie przeszłam na Prawy Brzeg. Była dwudziesta trzecia piętnaście. Pod mostem jak zwykle hulała jakaś banda włóczęgów. Czułam ich odór zmieszany z zapachem taniej wódki – zmysły miałam wyostrzone jak zwierzę. Przysiadłam na szerokiej balustradzie, zapaliłam papierosa i czekałam jeszcze trochę. Nie mógł być tak daleko.

Gdyby się okazało, że tak łatwo go zgubiłam, byłoby mi nawet przykro. Nagle go zobaczyłam – siedł w moją stronę z twarzą schowaną w cieniu zdobnej latarni. Widziałam z daleka, że jest zirytowany. Miałam przygotowany numer, ten, który spisałam z telefonu Leanne. Wybrałam *Zadzwoni*. Przystanął, żeby odebrać. Głowa mu się poruszała, gdy rozglądał się po moście.

– *Allô?*

– Panie Claret, mówi Judith Rashleigh. Trochę to panu zajęło.

– *Alors, bonsoir, mademoiselle.*

– Jestem na końcu mostu – powiedziałam i się rozłączyłam.

Zeskoczyłam z balustrady, podeszłam jeszcze kawałek do postoju taksówek, które obsługiwały rejon Hôtel de Ville, i znowu czekałam. Czuałam, jak przyspiesza kroku, gdy otwierałam drzwi taksówki i pytałam kierowcę, czy jest wolny – może nie chciał ryzykować, że mnie zgubi w paryskim ruchu, może nie miał zasobów na swoją taksówkę. Cofnęłam się i przytrzymałam dla niego drzwi.

– Pomyślałam, że może by się pan ze mną napił.

Nie odezwał się, tylko usiadł obok mnie na szerokiej kanapie mercedesa. Wychyliłam się do przodu i poprosiłam kierowcę, żeby zawiózł nas do Ritza.

– Rue Cambon? Mam ochotę na bar Hemingwaya.

Milczał przez całą rue de Rivoli, teraz odwrócił do mnie twarz. Wyglądał na znużonego, ale także ubawionego.

– Jaksobie pani ży czy .

Zaczekaliśmy, aż barman odprawi swoje rytuały – na bajeranckich podkładkach ustawił szklanki wody z pływającym ogórkiem i czerwonymi porzeczkami, po czym przyrządził różowe martini dla mnie i dżin z tonikiem dla mojego towarzysza. Gdy sięgnął po swoją szklankę, jego sfatygowana marynarka odchyliła się, odsłaniając delikatną wypukłość brzucha i absurdalny monogram. Poczułam ostry skurcz pożądania.

– A więc... możemy zacząć?

– Gdzie?

– Skoro już mnie zerżnąłeś, może odpuścimy sobie te wstępy.

Podniósł brew, jakby chciał powiedzieć: „Nieźle”.

– Monogram. Na twojej kieszulki. Impreza w domu na Montmartrze. Pewnie znasz Juliana?

W każdym razie poszedłeś do jego klubu pytać o mnie. La Lumière przy rue Thérèse?

Pochylił głowę, z lekką szarmanckó.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło. Rozpracowałam to kilka tygodni temu. Spotkaliśmy się w klubie tamtego wieczoru, gdy się tak niegrzecznie zachowywaliśmy w mrocznym pokoju. Dopóki nie rozumiałam dokładnie, czego on pragnie, nie mogłam tego rozegrać. Z kolei znaleźmy

już siebie nawzajem. Ten ciemny pokój pachnący kadzidłem... skórzane pasy ocierające mi dłonie... jego zęby na mojej szyi.

Otrząsnęłam się i wróciłam do rzeczywistości. Upiłam spory łyk swojego drinka. Boże, ale mi się chciało palić! Chciałam wypuścić mu prosto w oczy długi obłok dymu.

– Pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć?

Było coś absurdalnie nierealnego w tej naszej scenie à la Bogart z Bacall. „Trzymaj się tematu, Judith. Co z tego, że cię rznął kilka miesięcy temu w jakimś kiepskim klubie dla swingersów?” Poprawiłam się na krześle, usiadłam wyprostowana i przemówiłam rzeczowym, bezbarwnym głosem:

– A więc śledziłeś mnie wtedy? Teraz to już chyba oczywiste, prawda?

– Nie, wtedy nie. Niezupełnie. Wyšlo jednak na to, że to taki miły zbieg okoliczności.

– Chcę wiedzieć dlaczego.

– To chyba oczywiste...

– Nie ściemniaj. Dlaczego mnie śledzisz?

– Ponieważ zabiłaś Camerona Fitzpatricka.

Teraz to już, kurwa, naprawdę chciałam zapalić.

– Bzdura.

Rozsiadł się, wypił trochę wody i dodał lekkim tonem:

– Ja wiem, że zabiłaś Camerona Fitzpatricka. Widziałem, jak to robisz.

Przez kilka sekund naprawdę sądziłam, że zemdleję. Wpatrywałam się w mieszałdo do koktajlu wbite w bladoróżową różę kołyszącą się na skraju mojego kieliszka. Chciałabym zemdleć. Instykt mnie nie mylił – ten nagły napad strachu, poczucie, że jestem obserwowana, tam, pod tym mostem. Szczur, jasne. Szczur, który wyczuł krew.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. I proszę, powiedz mi natychmiast, dlaczego mnie śledzisz.

Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął wierzchu mojej dłoni.

– Nie martw się. Dopij drinka. Nie mam w gotowości oddziału szturmowego. Możemy więc pójść w jakieś bardziej ustronne miejsce.

– Nie muszę cię słuchać. Nie masz prawa...

– Owszem, nie musisz. Owszem, nie mam prawa. Ale myślę, że mnie wysłuchasz. A teraz dopij drinka.

Pozwoliłam mu zapłacić. Poprowadził mnie długimi korytarzami, lśniąco różowocia jak wnętrze muszli. Minęliśmy idiotyczne szklane witryny z biżuterią i apaszkami, następnie pogardliwych portierów, aż do place Vendôme. Szłam za nim w milczeniu wokół placu, przez

arkady na rue Castiglione, prosto do placu Zgody. Zrobiło się zimno, moje niskie buty trochę mnie już obcierały po tak długim spacerze. Ucieszyłam się, gdy usiedliśmy na ławce przed zamkniętą bramą do ogrodów Tuileries.

– Weź to. – Podał mi swoją marynarkę. Dygotałam. Dałam mu się nią otulić, poczułam powiew woni potu od syntetycznej podszewki, wpatrywałam się w światła autobusów pełnąch przez Champs. Próbowałam zapalić papierosa, wsadzić filtr do ust. Łatwizna.

– A więc, *mademoiselle* Bezimienna, możesz do mnie mówić Renaud. Ja będę do ciebie mówił Judith, chyba że wolisz Lauren?

– Na drugie mam Lauren. Moja matka była wielbicielek Lauren Bacall. Fajnie, co nie?

– Dobra, czyli Judith. Teraz ja będę mówił, a ty będziesz słuchać. – Wziął zapalniczkę z moich dygoczących rąk i podał mi ogień. – Dobra?

– Świetnie mówisz po angielsku.

– Dziękuję. A teraz pokażę ci pewne zdjęcie. To on, prawda? Cameron?

Musiałam zmrużyć oczy, żeby nie oslepiły mnie światła ze skrzyżowania. Przynasnął moją zapalniczkę do ekranu. Rzeczywiście. Po Schodach Hiszpańskich, z twarzą osłoniętą przed rzymskim słońcem, siedł Cameron. Tak długo udawało mi się nie myśleć o tej twarzy.

– Wiesz, że to on.

– Tak, wiem. Ty jednak nie wiesz, że on się nie nazywał Cameron Fitzpatrick. Tylko Tommaso Bianchetti.

Ach, ten irlandzki urok

– To niezły był – tylko tyle powiedziałam.

– Tak, to prawda. Nawet świetny. Matka Irlandka była pokojówką w hotelu w Rzymie. W każdym razie to właśnie muszę ci wyjaśnić. Bianchetti prał pieniądze dla... współników we Włoszech. Robił to od lat.

– Dla mafii?

Renaud spojrział na mnie z politowaniem.

– 'Ndrangheta, Camorra... Tylko amatorzy mówią „mafia”.

A więc instynkt co do Moncady mnie nie zmylił.

– Przepraszam. – O dziwo, zaczęłam się czuć lepiej.

– Twój dawny kolega Rupert nie wynajął Fitzpatricka. To Fitzpatrick wynajął Ruperta. Niezły plan, który realizował już setki razy. Na ogół dotyczył autentyków, ponieważ w wypadku falsyfikatów nie warto było sobie zawracać głowy. We Włoszech robiło się jednak coraz trudniej, marża w wypadku falsyfikatu mogła być zaś znacznie wyższa. Można było wyprać i obraz, i pieniądze. Stąd właśnie wziąłem się ja.

– Sądziłam, że pracujesz dla niego. Dla Ruperta.

– Cielawe, kto ci coś takiego powiedział? Zostawmy to na chwilę, dobra? Wynajął mnie wyjątkowo rozwścieczony Amerykanin. Bankier, Goldman Sachs. Okazało się, że Rothko, którego eksponował w swojej garsonierze w Hamptons, jest fałszy fikatem. Chciał odzyskać pieniądze. A to mnie doprowadziło do Alonsa Moncady.

– A więc Moncada handluje fałszy fikatami?

– Różnie to bywa.

– Dlaczego ty?

– A jak sądzisz, kim ja jestem? Jakimś przedpotopowym gliną? Pracuję dla ludzi, którzy chcą dyskretnie odzyskać swoje pieniądze.

Mimowolnie zerknęłam na fatalną koszulę i okropne buty.

– Nie wyglądasz jak ktoś, kto się zajmuje pieniędzmi.

– To prawda. A ty owszem, tak właśnie wyglądasz.

Zniosłam to po męsku.

– Bianchetti był jednym z ludzi Moncady. Moncada nabywał dzieła sztuki za gotówkę, dostarczał ją z niewielkiego rzymskiego banku kontrolowanego przez... współpracowników. Oficjalnie były to pożyczki biznesowe. Przenosili to na konto osoby prywatnej za procent, klient mógł zaś dzieło zatrzymać jako aktywa albo legalnie wystawić na aukcję. Moncada dostarczał pieniądze, Bianchetti proveniencję. Każdy był na plusie.

– I?

– I poszedłem do galerii, gdzie mój pracodawca znalazł swojego Rothka. Namówiłem ich, żeby podali mi nazwisko poprzedniego właściciela, i przekonałem go – w zasadzie ją, bardzo miłą kobietę z trójką dzieci – żeby skontaktowała mnie z Moncadą. Również nie miała pojęcia, że została oszukana. Długo go szukałem, a tymczasem wpadłem na nazwisko Bianchettiego, *alias* Fitzpatrick. Pojechałem do Londynu, żeby go wysledzić – to znaczy Bianchettiego – za nim pojechałem do Rzymu, potem ty wykonałaś swój mały numer – nie przerywaj – a ja śledziłem cię do Moncady. Wówczas po raz pierwszy widziałem go na własne oczy. Oczywiście ty także mnie zaintrygowałaś. Ale nie miałem pojęcia, co zwinęłaś, jakkolwiek to zrobiłaś.

– Nie...

– Daruj sobie. – Przewinął zdjęcia w telefonie i pokazał mi jeszcze jedno: ja i Moncada nad pizzą. Aż się zdziwiłam, jak spokojnie wyglądam na tym zdjęciu.

– Wreszcie Stubbs wypłynął zimą, a w proveniencji widniał Fitzpatrick. Przynajmniej już wiedziałem, co sprzedałaś Moncadzie.

– Ale Rupert?

– Cóż, w tym momencie byłem już tobą bardzo, bardzo zaintrygowany. Dotarłem więc do raportów policji, znalazłem twoje nazwisko. Domyślałem się, że masz coś wspólnego ze sztuką.

Wiedziałem, że jesteś Angielką. Zacząłem więc od drugiej strony. Dwa telefony.

W Anglii liczą się tylko dwa domy aukcyjne...

– Miła panna na recepcji w życiu o tobie nie słyszała, pogadałem więc z szefem działu.

I trafiłem na twójego dawnego pracodawcę.

– Mów dalej.

– Ucieliśmy sobie więc miłą pogawędkę. – Uśmiechnął się kącikiem ust. Nawet nie zauważyłam, kiedy znowu zaczęłam dygotać, ale on tak Mocniej otulił mnie swoją marynarką, troskliwie. – Rupert doznał szoku, gdy wspomniałem o Fitzpatricku. Powiedziałem, że widziałem w proweniencji jego nazwisko wraz z nazwiskiem Fitzpatricka. I wtedy spytałem o ciebie. Na wieść, że byłaś we Włoszech, mało go nie rozsadziło. Bardzo chciał mnie zatrudnić, żebym jakby to ująć... cię znalazł. Pokazał mi więc twoje zdjęcie. Oczywiście musiałem sprawdzić, czy jesteś tą samą dziewczyną, którą widziałem. I proszę. Piękna dziewczyna z Rzymu. Masz naprawdę niezapomnianą twarz.

– Dzięki. Bardzo to romantyczne. A tamto przyjęcie? Co robiłeś u Juliana?

– Ślepy traf. Mnóstwo ludzi zna Juliana, mnóstwo ważnych ludzi. Gdy jestem w Paryżu, lubię do niego wpaść, każdy przecież musi się czasami zabawić, prawda? W końcu jesteśmy w Paryżu, *chérie*. Próbowałem odszukać cię w Londynie, ale się nie udało. Twoja matka nic nie wie.

– Moja matka?

– Nietrudno ją znaleźć. Przez służby socjalne.

Wstrząśnięta przełknęłam ślinę.

– I co... co u niej?

– Pytasz, czy pije? Nie, w porządku. Nic jej nie powiedziałem, żeby jej nie martwić. I wtedy dopisało mi szczęście. Widzisz, twoje współlokatorki powiedziały, że przysłałaś czek na opłacenie czynszu, z zagranicy. Soo i Pai. Miłe spokojne dziewczyny, studentki medycyny. Zasugerowały, że lubisz chodzić na przyjęcia. Nie w ich guście, ale w moim jak najbardziej. Przyjechałem tutaj, spotkałem się ze znajomymi i proszę, wpadłem na ciebie.

– Jak powiedziałeś: ależ zbieg okoliczności.

– Może powinnaś być bardziej dyskretna. Jeśli chodzi o twoje... rozrywki.

– A co z Leanne?

– Ach, Leanne. Masz, jak wspomniałem, niezapomnianą twarz. Widziałem twoje zdjęcie w Londynie, widziałem w Paryżu kogoś, kto bardzo cię przypominał, ale światło na imprezach Juliana jest zawsze takie... taktowne.

Przeszedł na francuski.

– A więc musiałem mieć pewność, że chodzi o tę samą osobę. Julien nie znał twójego nazwiska, znał cię wyłącznie jako Lauren, ale podał mi namiary na kilka profesjonalistek, które

podzielają twoje... skłonności. Dziewcząt o międzynarodowej sławie, że użyję takiego staromodnego wyrażenia. I znowu jakiś czas mi to zajęło. Musiałem każdą z tych dziewczyn wyśledzić z osobna i ostatecznie jedna cię rozpoznała. W twoim poprzednim miejscu pracy znalazłem twoją koleżankę Ashley.

– Gstaad Club.

– Właśnie. A Rupert chyba w tym samym czasie znalazł twoją koleżankę Leanne. W tym samym miejscu. Postanowił skorzystać z jej pośrednictwa, nie chciał, żeby gdzieś wypłynęło twoje powiązanie z British Pictures. Ja przyjechałem tu z Leanne. Dała mi zdjęcie z klubu, żebym je mógł pokazać Julienowi, dla pewności. Nie nazwałbym tego zdradą – oboje cię szukaliśmy, tylko ona nie wiedziała dlaczego.

Nie ośmieliłam się już odezwać. Jebane debilne selfie! W jakiś spokojny wieczór strzeliłyśmy je sobie telefonem, szczerząc zęby do aparatu.

– Nie musisz się tym martwić, Judith. Zapomnij o Rupercie, on ma za dużo do stracenia. Trafił na coś, co go przerosło. Leanne była tylko taką prawie kurwą i ćpunką?

– Była?

– Judith, proszę cię. To nie było miłe, zostawiać trupa w pokoju, za który ja zapłaciłem. Z kolei miło, że zostawiłaś numer do diler. Policja z radością go dopadła.

– Policja? Mówiłeś przecież...

– Mówiłem, że nie jestem gliną. To nie oznacza, że nie mam przyjaciół w prefekturze. Są mi potrzebni. Jaksądzisz, skąd wziąłem twój adres?

– Myślałam, że mnie śledziłeś?

– Można tak to ująć. Dodałem dwa do dwóch. Mają mnóstwo pytań do twojego Stéphane'a. Powiedziałem koledze, że Leanne po prostu poderwałem, nie znałem jej, nie wiedziałem, że bierze. W końcu znajdu ją przez konsulat i wysła do kraju. Nie bój nic. Wróćmy do Ruperta. Myślę, że on chciał mieć cię na oku, upewnić się, że nic nie wygadasz. Gdybyś chciała teraz wrócić do Londynu, pewnie nawet ktoś by cię przyjął do pracy.

Pokręciłam tępo głową. Przez ten cały czas, gdy mnie się wydawało, że jestem taka sprytna, Cleret tylko czekał, aż mu się napatoczę przed nos.

– Czego chcesz? – wyduślam z trudem.

– Chcę Moncady. Chcę odzyskać pieniądze mojego klienta i dostać swój procent. Nic poza tym.

– Wiesz, kim on jest, wiesz, gdzie go szukać. Dlaczego go po prostu nie znajdziesz?

– Chcę go tu, w Paryżu. W Rzymie jest zbyt niebezpieczny.

– Co więc mogę zrobić?

– Sprzedać mu obraz, oczywiście.

– A potem?

– Dostarczasz go Moncadzie i na tym kończy się twoja rola. Możemy się nawet podzielić zyskiem z transakcji.

Zastanowiłam się chwilę.

– Ale jeśli to zrobię, to czy Moncada i jego, jak mówisz, współpracownicy nie będą mnie ścigać? Nie będą chcieli oddać kasy za Rothka, tego należącego do twojego bankiera. A mówisz, że on jest niebezpieczny.

Czułam się jak dziecko, zrozpaczone, bezradne. I nienawidziłam tego uczucia.

– A wolisz, żeby cię szukali oni czy policja? Mogę ci załatwić kilka rzeczy. Znam gościa w Amsterdamie, robi dobre paszporty. Będziesz musiała zniknąć na pewien czas, wyjechać z Paryża. Ale chyba nie masz wyboru, prawda?

Chwilę się zastanawiałam, czy to prawda. Mogłam protestować, zaprzeczać, choć i tak do niczego się nie przyznałam. Mogłam uciekać. Jak już wspomniałam, nie lubię gier, chyba że mogę w nich wygrać. Wyglądało na to, że Cleret machnie ręką i na Camerona, i na Leanne, o ile zrobię to, czego on chce.

– Chcesz więc tu Moncady? I tylko tyle? I mogę odejść?

– Muszę znaleźć sposób, żeby porozmawiać z nim na osobności. Tacy ludzie są ostrożni. Zaczynasz ogarniać, Judith.

Wstając, zdjął mi z ramion swoją marynarkę. Teraz wydawał mi się inny, opanowany, może nawet potężny.

– Idziemy do ciebie.

– Do mnie?

– Myślisz, że spuszczę cię z oczu? W razie konieczności mogę nawet biegać po Ogrodzie Luksemburskim. Ile trzeba.

Renaud trzymał swoje rzeczy w tanim hotelu w Dzielnicy Łacińskiej. Ruszyliśmy piechotą, próbując zatrzymać kilka taksówek, idąc w tamtą stronę, ale w iście paryski sposób żaden z taksówkarzy nie był zainteresowany zarobkiem. Zanim dotarliśmy do cuchnącego kębabem zaułka, nogi zamieniły mi się w krwawiące kikuty. Kazał mi iść ze sobą po bagaże na czwarte piętro piechotą, po wyścielonych wytartym chodnikiem schodach. Gdy on się krzątał w maleńkiej łazience, wyjrzałam przez okno na malownicze schody przeciwpożarowe i gąszcz anten satelitarnych.

– Dachy Paryża – powiedziałam, żeby coś powiedzieć. Nie zareagował, ale gdy ramiona zaczęły mi dygotać, poczułam jego dłoń na plecach. Odwróciłam się i przytuliłam twarz do tej cholernej kuszuli, a on poklepał mnie z taką nieporadną wymuszoną czułością, jaką mężczyźni okazują płaczącym kobietom. Płakałam długo, należycie, z gardłem pełnym łez i śluzu, aż

usłyszałam dziwny hałas. Miałam wrażenie, że dobiegł z zewnątrz, że to ktoś zawodzi, może dziecko albo parzące się koty. Nagle uświadomiłam sobie, że to ja. Że to ja tak wyję. Wypłakałam wszystkie łzy, które dusiłam od dnia, gdy wtedy w Londynie Rupert wysłał mnie do pułkownika Morrisa. Gdy tak płakałam, łkałam i szlochałam, moją ciekawość obudziło dziwne uczucie, które wreszcie pozwoliło mi odpuścić. To była ulga. Przynajmniej raz, w końcu, ktoś inny brał na siebie odpowiedzialność. Przez kilka chwil sądziłam nawet, że to się tak skończy – ja taka rozbrojona w jego ramionach, taka wdzięczna, i później czasami żałowałam, że się tak nie skończyło. Ponieważ oczywiście się tak nie skończyło.

Rozdział 24

Nie wiem, czy kiedykolwiek budziłam się u boku mężczyzny. Niewiele głów leżało pod moim wiarołomnym ramieniem do świtu. O piątej rano, otworzywszy oczy w swoim mieszkaniu, oszołomiona przeżyłam chwilę paniki na widok jakiegoś kształtu pod moją koldrą. Steve? Jean-Christophe? Jan? Matteo także nie. Renaud. Czułam zapach drinków z ostatniej nocy ulatniający się przez pory mojej skóry, ale po raz pierwszy nie wyskoczyłam od razu z łóżka, odwróciłam się na plecy i leżałam tak, słuchając jego ciężkiego oddechu. Czułam się lepka i obolała, najbardziej czułam miejsce poniżej prawego ucha, gdzie mnie uderzył, gdy uprawialiśmy seks. Ponieważ oczywiście uprawialiśmy seks. Dopiero jednak wtedy, kiedy zabrał mi paszport i karty kredytowe, aby mieć pewność, że naprawdę nigdzie nie ucieknę. Później robiliśmy to na zamkniętych drzwiach, potykając się o jego torby – ja uwalniałam się nieporadnie z ciasnych dżinsów, on na kolanach, z twarzą unurzaną w mojej już mokrej i zlaknionej cipce, jego ręka we mnie, potem na podłodze, gdy zanurzył zęby w moją szyję. W końcu jakoś dociągnęliśmy się do łóżka, już oboje nadzy, on nasmarował swojego pięknego penisa i mój wystawiony tyłek jakimś bezcennym olejkiem i wbił się we mnie, jedną ręką przytrzymując mnie mocno za szyję, drugą pocierając łechtaczkę do rytmu z ruchami swojego członka, aż moje usta znalazły miękkie wgłębienie jego dłoni i posmakowałam żelazistego smaku jego krwi, gdy on mnie rozdzierał i namaszczał. Fajne, chociaż pościel trzeba spisać na straty.

Odwrócił się na bok, po moim biodrze przesunął się zaś jego brzuch. Dziwne, jeśli wziąć pod uwagę moje upodobanie do przystojnych mężczyzn, ale coś było w jego ciężarze, w nieoczekiwanej solidności, co wydawało mi się erotyczne. Ja i grubas. Leżałam na plecach i słuchałam. Gdzie Gniew? Gdzie ten cichy głos prowokujący mnie, mówiący, że mam to zrobić, natychmiast? Nic. Tylko spokój. Zerknęłam w bok i ujrzałam jego oczy, pomarszczone w uśmiechu.

– Rozsuń nogi.

W ucho wpłynął mi jego kwaśny oddech, ale jakoś to również mi nie przeszkadzało.

– Nie mam siły.

– Rozsuń. O, ładnie. Szerzej.

Wyciągnęłam uda, aż poczułam napięcie mięśni. Otworzył mnie, dźwignął się nade mnie i z twarzą wtuloną w moje ramię powoli wsunął się do środka. Moja cipka mlasnęła łakomie, ale on się nie spieszył, tylko wprowadzał cały swój członek coraz głębiej, po centymetrze. Palcem dźgnął brutalnie mój odbyt. Krzyknęłam cicho, ale poczułam, jak moje mięśnie się odprężają,

już zaznajomione. Pod wpływem jego ciężaru moje ciało przylgnęło do niego jak liść zabezpieczony bibułą, mięśnie moich kończyn drgały w niespokojnych arpeggiach. Wsunęłam między nas rękę, ścisnęłam główkę jego penisa, gdy we mnie wchodził, czułam na dłoni swoją lechtaczkę i nabrzmiałą cipkę, ich gorączka rozchodziła się falami, docierając do wszystkich wnętrzności.

– Mocniej.

– Nie.

– Proszę.

– Nie.

Podniósł głowę, ponieważ unieruchomiłam go mięśniami.

– Spokojnie, doprowadzę cię do szczytu.

Po francusku ładniej: *Je vais te faire jouir*.

– Obliz mi twarz.

Wywaliłam języki lizałam jego policzki, szczękę, zwilżając go swoją śliną.

– O tak, tak lubię. Liz mnie, suko.

Byłam taka wilgotna, czułam, jak moje soki spływają po obolałych udach. Tak jak wiatr marszczy powierzchnię wody, tak w moje ciało uderzała pobłyskująca fala, wirując wokół czerwonej żądz między moimi udami. Byłam niczym. W każdym miejscu, którego dotknął jego członek, zamieniałam się w mięso. Powieki zamknęły mi się gwałtownie, otworzyły, zamknęły, widziałam, jak w orgazmie zaczyna dygotać jego blada klatka piersiowa, dłoń wsunął w gęstą płataninę moich włosów. Z jego gardła dobył się warkot, jego ciałem zarzuciło, żyły na rękach pulsowały niebieskim światłem, a ja zapadałam się coraz głębiej i głębiej we własnej ekstazie, tonąc w jego nasieniu.

Padł na mnie, drżący i zdyszany. Trzymałam go chwilę, czując, jak pot chłodzi owłosioną skórę jego pleców.

– Dlaczego się śmiesz?

Odrzuciłam głowę na poduszki.

– Dlatego że... O rany!

– O rany co?

– Dobra. Jesteś wyjątkowo utalentowany. I to jest wielka niespodzianka.

– Zdzira. Która godzina? Kurwa, to gorszące.

– Ja wstaję wcześniej. – Tymczasem on się zabierał ponownie do spania. Niezły test. Nie mówiąc ani słowa, dawał mi szansę ucieczki, ale dołąd miałam uciekać? Znajdzie mnie, oboje o tym wiedzieliśmy. Jeśli teraz dam nogę, on mnie po prostu wsypie. Wyskoczyłam więc z łóżka, zmyłam go z siebie, włożyłam dżinsy i sweter, chwyciłam torebkę i zbiegłam po schodach na

spłukany deszczem Paryż. Piekarnię przy mojej ulicy właśnie otwierano. Kupiłam *croissants au berre* i słoik pasty z solonym karmelem, mleko, sok pomarańczowy. Konsjerżka utyskiwała na życie w stróżówce. Podniosła wzrok, gdy pozdrowiłam ją z uśmiechem. Zrobiłam kawę, ułożyłam na talerzach łyżeczki i noże, po czym zaniiosłam to wszystko do łóżka, sama zaś położyłam się na posłaniu i przyglądałam się Renaudowi. Było coś tak kojącego w powolnym unoszeniu się klatki piersiowej, że ja również musiałam znowu zasnąć. W każdym razie gdy się obudziliśmy, na dziedzińcu świeciło słońce, a kawa była zimna.

Od tamtej chwili nie rozstawaliśmy się przez trzy tygodnie. Renaud nie żartował, gdy mówił, że nie spuści mnie z oka – kiedy byłam w łazience, musiałam zostawiać przy nim swój telefon, gdy on sam szedł do łazienki, zabierał go ze sobą. Co noc kładł pod poduszkę klucze do mieszkania, choć często stamtąd wypadaly. Czasami sama wsadzałam je z powrotem, zanim się obudził. Chciałam go zapytać, dlaczego mi nie ufa, ale to pytanie byłoby za głupie. Przez pierwszych kilka poranków miałam pracę do wykonania. Gdy przełuszył ze mną kółka po Ogrodzie, ubrany w jakąś przedpotopową koszulkę Nike i największe z moich spodenek, czytał gazety, ja zaś sprawdzałam w Internecie aukcje i ceny. Zastanawiałam się nad Ursem Fischerem i Alanem Gussowem, zdaniem Renauda powinnam była jednak sięgnąć po coś bardziej bezpiecznego. Nie było mnie stać na Bacona, ale Twombly i Calder mieli dzieła w zasięgu miliona, czyli sumy ustalonej przez Renauda. Wreszcie znalazłam Gerharda Richtera – właściwie bardziej Richterka – niewielkie płótno z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, czerwono-grafitowe, na jesiennej wystawie czasowej „u Tamtych”, jak jeszcze do niedawna mówiłam o konkurencji British Pictures. Oprócz mojego Fontany byłby to pierwszy większy zakup galerii Gentileschi. Wahałam się jednak. Może Moncada prędeż by się połaśli na coś bardziej klasycznego?

Wyjaśniłam Renaudowi, że potrzebuję porady. Powiedziałam mu o Davie i jego upodobaniu do malarstwa osiemnastowiecznego.

– Mogę go poprosić, żeby mi przesłał trochę katalogów? Z ostatnich aukcji?

– Po co?

– Ponieważ chcę wiedzieć, co się dzieje. Teoretycznie mam mieć z tego jakiś zysk.

– My mamy mieć z tego jakiś zysk. Pół na pół.

– Oczywiście. Chcę więc właśnie sprawdzić, zanim zacznę licytować Richtera.

Rzucił mi telefon.

– Dzwoni.

– Frankie, mówi Judith.

– Judith! O mój Boże, co u ciebie?

– Super, dzięki. A u ciebie?

– Cóż, to takie dziwne, że dzwonisz akurat dzisiaj. Właśnie się zaręczyłam!

– To wspaniale! Bardzo się cieszę, gratulacje. Kim jest ten szczęściarz?

– Ma na imię Henry, służy w Gwardii. Będziemy mieszkać w Kenii. Wyobrazasz sobie? Będę żoną wojskowego!

– Jest boski?

– No, mama jest w siódmym niebie.

Widziałam, że Renaud patrzy na mnie kąpiąco. Dość tych romantycznych.

– Frankie, pamiętasz, ja poprosiłam cię kiedyś o przysługę?

– O mój Boże, wiem. Czy to nie straszne, co się stało z Cameronem Fitzpatrickiem? Pisali o tym we wszystkich gazetach.

– Tak, wiem, koszmar. A ja się starałam o posadę u niego i właśnie dzięki tobie mogłam się z nim skontaktować. Wszystko na próżno. Boże, nie, to nie miało tak zabrzmieć.

– Daj spokój, rozumiem.

– Posłuchaj, Frankie. Tak sobie myślałam, czy mogę jeszcze raz nadużyć twojej uprzejmości?

– Dobra.

– Pamiętasz Dave'a? Tego, który pracował w magazynie?

– Tak, już całe lata go nie ma.

– Masz w aktach jeszcze jego adres?

– Mogę poszukać.

– A wysłałabyś mi go esemesem? Przepraszam, że znowu zawracam ci głowę, nie chcę, żebyś miała przeze mnie przykrości, ale...

– Spokój. Tak czy inaczej, wyjeżdżam do Afryki. – Ściszyła głos. – Tu i tak zostały same skurwiele.

„Skurwiele. Brawo, Frankie!”

Czekając na esemes od Frankie, posiedziałam trochę przy komputerze i zamówiłam w Amazonie dwa egzemplarze książki, która powinna się spodobać Dave'owi. Jeden dla mnie, jeden dla niego. Pojawiły się następnego dnia – chwała niebiosom za Amazon Prime. Później Renaud odprowadził mnie do banku i podał mi moją kartę. Celowo pomyliłam kod.

– Katalogi będą kosztowały kilka stów, ale bankomat jest zepsuty. Mogę wejść do środka?

Zaczekała na zewnątrz, z papierosem, ja zaś podeszłam do okienka i wypisałam sobie czek na dziesięć tysięcy euro. Wylegitymowałam się swoją *carte de séjour*. Pracownica banku trochę kręciła nosem, ale przypomniałam jej, że to przecież moje pieniądze. Wypłaciłam je pięćsetkami, z czego większość wsadziłam sobie do stanika. Następnie poszliśmy na rue de Sèvres, wyjaśniłam bowiem Renaudowi, że chcę wysłać prezent urodzinowy żonie przyjaciele. Brzmiało sensownie. Nie byłam pewna, jaki zapach spodobałby się żonie Dave'a, zadowoliliśmy się więc Chanel nr 5, zestaw podarunkowy z Le Bon Marché – perfumy, balsam do ciała i mydło.

Wpadłam do łazienki i schowana w kabinie wyjęłam gotówkę, a następnie schowałam ją pod plastikowymi osłonkami opakowań. Dodałam pospiesznie skreślony liścik ze swoim paryskim adresem wraz z listą odniesień do stron w książkach. U dołu napisałam *Pobory najemnika*. Renaud towarzyszył mi na pocztę, gdzie wsadziłam prezent do koperty bąbelkowej i wysłałam ekspresem do Londynu. Okazało się, że Dave mieszka w Finsbury. Pozostało mi się modlić, że wszystko zrozumie.

Wieczorami jedliśmy razem kolację – dla mnie kolejna pierwszozna. Czasami szliśmy sobie na rue Mouffetard. Renaud niósł z powagą koszyk wikinowy i kupowaliśmy produkty na posiłek. Okazało się, że on potrafi przygotować fantastyczne risotto. Kupiłam mu zestaw ceramicznych noży japońskich, żeby mógł przygotować rozplywające się w ustach *ossobuco*. Nalewał mi wina, gdy kroiliśmy produkty w naszych pizmach, po czym dopijaliśmy butellę i słuchaliśmy muzyki. Czasami wychodziliśmy do mniejszych, mniej oczywistych knajp, takie bowiem oboje woleliśmy. Odkryłam, że lubię towarzystwo. Może on także lubił? Opowiedział mi trochę o swojej pracy, o zadaniach, które wykonywał w Nowym Jorku i Los Angeles. Najwyraźniej odyskiwanie pieniędzy było mniej dramatyczne, niż się wydawało. Głównie polegało na czekaniu. Często jednak po prostu gawędziliśmy o artykułach, które czytaliśmy w gazetach – starałam się go odzwyczaić od „Le Figaro” – albo o najnowszych skandalach seksualnych wśród francuskich polityków, gdy po sezonie media krajowe przestały się wypełniać romansami celebrytów. Kilka razy poszliśmy do kina i on trzymał mnie za rękę w ciemności. Pewnego wieczoru zapytał jednak, czy chciałabym pójść do La Lumière. Zastanowiłam się.

– Albo do Regrattier, jeśli nie masz ochoty widzieć się z Julienem?

– Zorientowany jesteś.

– Ależ oczywiście, *mademoiselle* Bezimienna.

Uśmiechnęłam się, opuściłam głowę, tak by włosy mi się zsunęły na twarz, zakręciłam kieliszkiem.

– Wiesz, że nie wiem. Bo teraz... dobrze mi. Podoba mi się nasz związek.

– Związek?

Wycofałam się.

– Nasz układ. Ten obecny. Dopóki nie rozmówisz się z Moncadą.

Renaud wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął mi włosy za ucho.

– W porządku, Judith. Mnie się chyba podoba „związek”.

Innym razem, gdy wciągaliśmy wietnamskie żarcie w maleńkiej knajpce w Belleville, zapytał mnie o Rzym. Nie musiałam pytać, co dokładnie chciałby usłyszeć.

– Mówiłeś, zdaje się, że widziałeś.

– Widziałem, ile trzeba. Widziałem, jak wchodzić pod most. Widziałem, jak wychodzisz w stroju do biegania. Resztę sobie uzupełniłem na podstawie raportu policyjnego. Inspektora da Silvy.

– Renaud, ale z ciebie kutas.

Teatralnie wzruszył ramionami.

– No wielkie sorry.

– Ale mówisz po włosku?

– *Certo*. No, trochę.

Pochłonęłam porcję makaronu z grillowaną wieprzowiną, zastanawiając się nad czymś.

– Dlaczego nie powiedziałeś policji?

– Byłaś moim dojściem do Moncady. Poza tym już tłumaczyłem: nie jestem gliną. I byłem... zaintrygowany. Musiałem wiedzieć, jak to się stało.

Chciałam mu powiedzieć wszystko. Chciałam mu powiedzieć o Jamesie, o Leanne, o wszystkim. Chciałam mu powiedzieć o Davie – że zrobiłam to, ponieważ Dave stracił pracę, ale to nie byłoby prawdą, a jakoś nie chciałam go okłamywać. Chciałam mu powiedzieć, jak to jest żyć w innym świecie, w wyłączeniu, na zewnątrz, bez względu bowiem na to, jak jesteś błyskotliwa czy piękna, na całym świecie nie ma miejsca dla kogoś takiego jak ja. To jednak również nie była prawda.

– Nie chodziło o pieniądze – powiedziałam. – Pieniądze były efektem ubocznym.

– Zemsta? – uśmiechnęła się.

– Nie, to by było o wiele za proste. Żadna zemsta. Nic interesującego.

– Interesującego? Chyba ja... – urwał. Próbował mnie podejść? Własnymi zwierzeniami? Teraz nadeszła jego kolej na refleksyjny siorb.

– A więc co? – spytał ponownie.

Pewnie zrobiłam to dlatego, że mogłam. Musiałam bowiem sprawdzić, czy mogę. Naprawdę musiała w tym być jakaś logika? Zupełnie jak z seksem – ludzie ciągle chcą powodów, chcą wiedzieć, jaksię, kurde, czujesz.

– Mogę ci powiedzieć kiedy indziej?

– Jasne. W każdej chwili.

Dave spisał się z katalogami – dostałam lśniącą cegłę, której przesłanie musiało kosztować fortunę. Rozczulił mnie, dołączając pudełko na cygara zawierające batoniki Wispa – pamiętał, że zawsze byłam łasa na utwardzone tłuszcze roślinne. Gdy je otworzyłam, zrobiło mi się ciepło i miło. W końcu jednak na wspomnienie Steve'a, powiedziałam Renaudowi, że stawiam na Richtera. Sztuka współczesna była pewniakiem, jeśli chodzi o nowobogackich. Prawie się także zdecydowałam, żeby pojechać na aukcję do Londynu, wziąć nawet kochaną starą Frankie na

triumfalnego drinka, Rupert zaś mógłby się cmoknąć, ale Renaud uważał, że nie powinien korzystać z własnego paszportu.

– Niedługo będziesz miała nowy. Już to załatwiam. I dostaniesz go po spotkaniu z Moncadą.

Kupiłam „Condé Nast Traveller” i zaczęłam się zastanawiać nad swoją przyszłością. Czarnogóra prezentowała się obiecująco. Albo Norwegia. Zimno – to dobre otoczenie dla morderców.

– Dlaczego nie mogę zostać tutaj?

– Nie bądź głupia, Judith.

– A co z moimi kontami bankowymi?

– Spółka Gentileschi będzie musiała przyjąć nowego pracownika.

Przygotowałam się do licytacji telefonicznej pod nazwą firmy. Poszliśmy do FNAC po słuchawki, w domu Renaud przygotował zaś komputer, żeby podsłuchiwać rozmowę. Jeśli kupię obraz, zostanie wysłany w ciągu kilku tygodni. Aby sobie wynagrodzić nieobecność osobistą na aukcji, ubrałam się stosownie do okazji. Komplet Chanel – czarny z piękną skórzaną lamelią na kieszeni – pończochy, klasyczne dwunastocentymetrowe czarne louboutiny pigalle z lakierowanej skóry. Gładko związałam włosy i nałożyłam czerwoną szminkę, w której nie było mi do twarzy. Włożyłam majtki bez krocza Bensimona w stylu lat siedemdziesiątych. Czuję się trochę jak idiotka, ponieważ w tym wszystkim usiadłam przy własnym stole, ale było warto – dla samego spojrzenia Renauda, którym mnie uraczył, gdy powolnym krokiem przeszłam przez pokój.

Złożyłam wniosek *online*, żeby wziąć udział w aukcji w imieniu firmy Gentileschi, i otrzymałam numer trzydziesty ósmy do licytacji telefonicznej. Kupiliśmy na ten jeden raz telefon na kartę – dane konta bankowego będą potrzebne, jeśli wylicytuję Richtera. O jedenastej zadzwonili, że aukcja się rozpoczęła. Miałam przed sobą notes i długopis. Nie wiedziałam co prawda, do czego będzie mi to potrzebne – może żeby po prostu wyglądało urzędowo. W British Pictures miałam okazję oglądać wiele aukcji, podziwiałam showmański talent ekspertów i licytatora, wiceprezesa domu aukcyjnego, teraz więc próbowałam sobie wyobrazić salę w jasnym drewnie i pełen napięcia bezruch licytujących. O jedenastej czterdzieści dwie telefon znowu zadzwonił – zaczynała się licytacja Richtera. Renaud pochylił się nad komputerem, pod słuchawkami z włosów utworzył mu się papuzi czub. Zastanawiałam się, która z tych nadętych dziewczyn znanych mi z korytarzy „Tamtych” zajmuje się ofertą firmy Gentileschi, i kręciło mnie, po dziecięcemu, żeby krzyknąć do słuchawki, że to ja, Judith Rashleigh. Oczywiście tego nie zrobiłam. Nawet mówiłam z lekkim francuskim akcentem.

Cena wywoławcza wynosiła czterysta tysięcy. Richter szybko osiągnął czterysta pięćdziesiąt, pięćset, pięćset pięćdziesiąt, później sześćset. Czeakałam. Cena rosła o kolejne pięćdziesiątki.

– Numer trzydzieści osiem, mam siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Przebijaj pani?

Renaud ostro skinął głową.

– Osiemset ty sięcy. – Chwyć mnie za rękę.

– Doskonale.

Mimowolnie czułam ekscytację.

– Numer trzydzieści osiem? Jest osiemset pięćdziesiąt ty sięcy. Przebijaj pani?

– Dziewięćset.

Renaud zlał się potem z napięcia, koszula przykleiła mu się do pleców, dłoni ślizgała się w mojej. Usiadłam wyprostowana, chłodna i opanowana w swoim doskonałym stroju. Po drugiej stronie linii słyszałam głos prowadzącego aukcję pytającego o kolejne stawki. Cisza.

– Dziewięćset pięćdziesiąt ty sięcy, proszę pani. Przebijaj pani?

„O kurwa!”

– Milion. Milion funtów. – Wychodziliśmy na ostatnią prostą, dżokeje podskakiwali jak małpy, wywijając pejciami na ostatnim odcinku. Płonęłam.

– Będę miała orgasm – powiedziałam bezgłośnie do Renauda.

Wiedziałam, że kobieta kiwnie głową w kierunku podium, podnosząc jeden palec.

– Jeden milion pięćdziesiąt ty sięcy. Przebijaj pani?

– Milion sto.

Renaud się skrzywił, przesunął palcem po gardle. Zignorowałam go. Byłam w swoim żywiole.

– Doskonale.

Agentka podniosła telefon, także usłyszałam:

– Panie i panowie, mam milion sto tysięcy funtów. Po raz pierwszy... – Mocno zacisnęłam powieki, wstrzymałam oddech, palce zaciśnięte na słuchawce drżały.

– Gratuluję pani.

Ostrożnie przycisnęłam mały czerwony guzik, odchyliłam głowę i rozpuściłam włosy.

– Mamy go.

– Dziewięćset.

Zapaliłam papierosa i zaciągnęłam się nim niemal do końca. Później podeszłam do Renauda, usiadłam mu na kolanach i przyłożyłam czoło do jego czoła.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Po prostu nie mogę – wyszeptalam.

– Dlaczego? – To lubiłam w Renaudzie: że w przeciwieństwie do innych mężczyzn był szczerze zainteresowany moimi uczuciami.

– Właśnie kupiłam obraz za milion funtów. Ja. To jakieś szaleństwo.

– Przecież robiłaś już rzeczy o wiele trudniejsze.

Zgasił mnie. Przeszłam się nerwowym krokiem po pokoju.

– Musisz w kółko o tym? Nie możesz zostawić tego w spokoju? Przecież robię, co chcesz,

prawda?

Podszedł do mnie i przykucnął przy moich stopach. Absurdalne słuchawki nadal mierziły mu włosy, gdy przyciągał mnie mocno do siebie.

– Przepraszam. Pamiętaj, że dużo o tobie wiem. Widziałem, jak się rozwijałaś, widziałem, co musiałaś zrobić, żeby to osiągnąć. To, co mówię, pewnie ma wyrazić podziw dla ciebie.

– Naprawdę? Podziwiasz mnie?

– Już powiedziałem, nie każ mi powtarzać. Myślę, że teraz powinniśmy uczcić twój pierwszy duży zakup. Co w Paryżu lubisz jeść najbardziej?

– Sałatkę z homara u Laurenta.

– A więc idę się przebrać. Włożę nawet porządne ciuchy. Mam krawat, wyobrażasz sobie? A *mademoiselle* spożyje swojego homara.

Ja już jednak zrzuciłam spódniczkę. Wargi mojej cipki nabrzmiały pożądaniem, pulsowały przez szparę w czarnych siatkowych majtkach. Usiadłam na skraju stołu i rozsunęłam nogi.

– A może zjedlibyśmy w domu?

Wsunął we mnie palec, tak gwałtownie, że krzyknęłam cicho, wycofał go powoli, między nami rozciągnęło się cieniutkie pasmo śluzu. Podniósł palec do ust.

– Możemy zjeść w domu.

Rozdział 25

Zastanawiałam się, czy poprosić o przesłanie Richtera na mój adres, i ostatecznie tak zrobiłam. Galeria Gentileschi była zarejestrowana, moje pieniądze były czyste, a co robię ze swoją własnością, to moja sprawa. To była standardowa sprzedaż – Rupert nie miał powodu sprawdzać nabywcy obrazu, którego nawet nie sprzedawał. Na pewno nabywca wypłynie w raportach, ale nie było powodu łączyć mojej firmy ze mną osobiście, nawet jeśli nazwa Gentileschi z czymś mu się skojarzy. Poza tym Rupert miał inne zmartwienia na głowie, ponieważ po aferze z Cameronem był do tyłu pół miliona. Renaud przyznał mi rację. Gdy przyjechały dokumenty, wysłane ekspresem z Londynu po aukcji, byłam gotowa skontaktować się z Moncadą. Kolejny jednorazowy aparat, lista numerów z notesu Renauda.

– Skąd wiesz, że to kontakty Moncady?

– Jeden z nich na pewno. Już mówiłem, że mam dobre doświadczenia.

– Tak tak Ty i te twoje doświadczenia. Ale on nie oddzwoni pod ten numer. Musimy znaleźć telefon stacjonarny.

– Mądra dziewczynka.

– Odkryłam, że jeśli się skupisz, większości rzeczy możesz się nauczyć w pracy.

Podjechaliśmy metrem do osiemnastej dzielnicy, znaleźliśmy kawiarenkę internetową z telefonami na rue de la Goutte d'Or, gdzie imigranci mogli kupić karty, żeby rozmawiać ze swoimi rodzinami pośród stosów bananów, limetek i tanich afrykańskich chust. Renaud kupił kartę i czekał w kolejce na wolny aparat, podczas gdy ja zaczęłam obdzwaniać listę. Pierwsze dwa numery nie działały, pod trzecim ktoś odebrał i się rozłączył, pod czwartym usłyszałam „Pronto?”, ale ten ktoś również się rozłączył, gdy tylko się odezwałam. Zadzwoiłam pod dwa kolejne. Bezowocnie.

– Co zrobimy, jeśli on nie zareaguje? Nic więcej nie masz?

Renaud dotarł do końca kolejki. Kobieta ze skomplikowaną kompozycją bawełny drukowanej w melony na głowie zarzuciła w jego stronę swoim wielkim tyłkiem, po czym wróciła do krzyków w nieprzeniknionej kreolskiej gwarze. W pomieszczeniu unosił się gryzący zapach potu i melasy, nad ladą ryczał telewizor z teleturniejem, jednym okiem oglądany przez kilka osób czekających na telefon za Renaudem.

– To potrwa lata. A jeśli nawet się z nim skontaktujemy, telefon zwolni się tutaj najprędzej w Boże Narodzenie.

– Próbuje dalej.

To było żalodne. Czy on naprawdę chciał, żeby to się udało? Dzwoniłam i dzwoniłam, aż skończył się limit na karcie. Wyszliśmy na ławę i papierosa. Zaszło nam w ustach. Kupiłam nową kartę, znowu zaczęłam dzwonić. Kolejna kawa, kolejne papierosy – głowa mnie bolała od zaduchu w sklepiu i od nikotyny. Dzwoniłam tyle razy, że już nie musiałam sprawdzać numerów z listy.

– Renaud, to nie ma sensu.

W swojej okropnej marynarce i paskudnych butach doskonale pasował do Goutte d’Or. Musieliśmy wyglądać śmiesznie – dwójka szablonowych drobnych hochsztaplerów. O siedemnastej minęły trzy godziny, odkąd weszliśmy do tej nory. Renaud zrezygnował z miejsca w kolejce już tyle razy, że nawet oglądający teleturniej kasjer zaczął się nam przyglądać.

– Chcę do domu. Chcę wziąć prysznic.

Po raz pierwszy, odkąd wsiadł do mojej taksówki w Hôtel de Ville, Renaud sprawiał wrażenie zbitego z tropu, pogubionego.

– Zaczekaj tutaj. Ja zadzwonię.

– Jasne – odparłam zmęczonym głosem. Próbowałam obserwować jego wargi przez witrinę z etui do telefonów z Hello Kitty, ale odwrócił się do mnie plecami.

– Spróbuj te.

Podał mi trzy kolejne numery. Pod pierwszym nikł odebrał. Drugi dzwonił i dzwonił.

– *Pronto?* – Kobieta.

– Chciałabym rozmawiać z signorem Moncadą. Mówi Judith Rashleigh. Pracowałam dla Camerona Fitzpatricka.

Rozłączyła się. Wzięłam głęboki oddech. Zadzwoniłam raz jeszcze.

– Proszę podać *signorowi* Moncadzie ten numer. Będę czekać. – Skłębłam głowę Renaudowi. – Może teraz.

Renaud podszedł do wątego Somalijczyka w nylonowej szacie, zdjął mu słuchawkę z głowy, rozłączając go.

– Co jest, kurwa?

Renaud odchylił połą marynarki i wyjął odznakę z kieszeni.

– Policja.

Przez sekundę miałam wrażenie, że z pomieszczenia odessano cały tlen. Po czym cały tłum zaczął się tłoczyć do drzwi, potrącając otwarty worek z ryżem i pudło podróbek ray-banów. Kasjer wstał i położył na kontuarze dwie wielkie pięści z mnóstwem pierścionków.

– Słuchaj pan! Nie możesz tak sobie wchodzić...

– Siadaj i zamknij dziób. Lepiej zabierz się na zaplecze i napchaj sobie tę tłustą gębę

smażonymi kurczakami, i siedź tam, dopóki cię nie zawołam, inaczej zapytam o twoje, kurwa, dokumenty. Jasne? I wtedy odeślę cię do tej jakiejś jebanej dziury, z której przylazłeś, i to szybciej, niż zdążyś powiedzieć „rasizm”, ty tłusty zjebie. O ile z rozbitą mordą będziesz w stanie mówić. Jasne?

Zostaliśmy sami. Ryż chrząścił pod stopami Renauda, gdy obracał tabliczkę na drzwiach, napisem *Zamknięte* do zewnątrz.

– Nie musiałeś tak do niego mówić. I co to za odznaka? – szepnęłam po angielsku.

– Daj spokój. To ważna sprawa. A odznaka...

– Tak, wiem. Twój słynny kolega w prefekturze.

– Czekaj przy telefonie.

Renaud zapalił papierosa.

– Tutaj nie wolno palić! – krzyknął niepewnie kasjer zza plastikowej zasłanki.

– Chcesz fajkę? – zapytał mnie Renaud, ignorując ostrzeżenie.

– Nie, dzięki. Przystań zgrywać palanta, dobra? Zachowujesz się jak jakiś, kurwa, gliniarz.

– Wybacz. Jestem zdenerwowany. To dla mnie gra o duże pieniądze. Przepraszę go, obiecuję.

– Nieważne. Mógłbyś usiąść czy coś? Poczytać gazetę? Muszę się skupić.

Renaud bez przekonania próbował zgarnąć ryż do worka, poprawił okulary i postawił za kontuarem krzesło kasjera, następnie wyłączył telewizor. Czekaliśmy w milczeniu około dwudziestu minut, aż zaczęłam planować, gdzie powieszę Richtera, gdy telefon wreszcie zadzwonił.

– *Signor Moncada?* Mówi Judith Rashleigh.

– Słyszę.

Nie ułatwia! Rozpoczęłam swoją małą przemowę po włosku – naprawdę miałam czas to przećwiczyć. Napomknęłam, że mam coś, co moim zdaniem, chciałby kupić. Podałam szczegóły aukcji, żeby mógł sobie sprawdzić, zasugerowałam spotkanie w Paryżu, jeśli uzna, że to mu odpowiada. Autentyk Nie wspomniałam o pieniądzach. Ani o Fitzpatricku.

– Proszę mi podać swój numer. Oddzwonię.

Czekanie na oddzwonienie zajęło nam kolejną godzinę. Nie musieliśmy już siedzieć w sklepiku, ale wysłałam Renauda do McDonalda i teraz on z kasjerem odłożyli na bok różnice zdań i gawędzili jak kumple, żłopiąc dietetyczną colę XL i oglądając mecz piłki nożnej. W mojej dłoni zaburczał mały telefon. Z napięcia tak się spociłam, że mało go nie upuściłam, gorączkowymi gestami dałam znać kasjerowi, że ma się wycofać za zasłonkę, i przyłożyłam do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę, by dać znać Renaudowi, że może podsłuchiwać.

– Nie trzeba. Nie znam tak dobrze włoskiego – wyszeptał po angielsku.

– Ma pani cenę dla mnie, *signorina* Rashleigh?

– Jak pan sam zapewne sprawdzi, kupiłam obraz za milion sto tysięcy funtów. To mniej więcej półtora miliona euro. Moja cena to milion osiemset tysięcy euro.

Jeśli to kupi, połowa mojego udziału w zysku wyniesie jakieś sto tysięcy funtów. Nieźle jak na jeden obraz.

Cisza na linii.

– Moim zdaniem wartość obrazu w ciągu pół roku wzrośnie do dwóch milionów euro, po roku jeszcze bardziej.

Zastanawiałam się, ile Moncada naprawdę wie o legalnym rynku sztuki. Gdyby się znał na rzeczy, wiedziałby, że to jest naprawdę dobry układ, ponieważ Richter miał ustaloną wartość, a ceny na sztukę powojenną nieustannie i miarowo rosły.

– Doskonale.

Zrobił na mnie wrażenie.

– A więc tak jak poprzednim razem?

– Tak jak poprzednim razem.

Przedstawiłam mu swoją sugestię co do naszego spotkania, ale on się nie odzywał. Gdy skończyłam, odczekałam chwilę, po czym się pożegnałam grzecznym, formalnym „Je!”. Przypomniałam sobie, jak się bałam Moncady, jeszcze w Como, ale teraz wydawało mi się to irracjonalne. Niedługo Moncada będzie problemem Renauda. Ja zarobię na Richtercze, jeśli wszystko pójdzie dobrze, poza tym na spotkaniu Renaud będzie mnie ochraniał. Nawet jeśli uczucia go zawiodą, na pewno będzie chciał zadbać o swój udział w należności za Rothka.

Musiałam tylko czekać, aż obraz przybędzie z Londynu, przekazać go, zrobić przelewy i będzie po sprawie. Renaud zniknie, ja zaś będę wolna. Ani myślałam się roztkliwiać nad rozstaniem z nim, ale gdzieś tam, w głębi duszy, kołatała się nadzieja, że obraz nie przybędzie za szybko. To nie było przecież nic złego – pragnienie tych kilku dodatkowych dni.

Jak się okazało, w oczekiwaniu na dostarczenie Richtera miałam sporo zajęć – musiałam zdemontować swoje paryskie życie, jakbym cofała film. Znalazłam firmę specjalizującą się w transporcie dzieł sztuki, żeby przewiozła moje obrazy i antyki. Miały być przechowywane w odpowiednich warunkach w magazynie pod Brukselą, na firmę Gentileschi. Niechętnie wypowiedziałam umowę na mieszkanie i znalazłam kolejną firmę przeprowadzkową – ta miała przyjechać po resztę rzeczy, gdy już będę gotowa je wyekspediować do wynajętego magazynu w rejonie Porte de Vincennes. Gdy pojawił się gość z kartonami i folią bąbelkową, konsjerżka zapytała, dokąd jadę. Wyczułam, że wiele straciłam w jej oczach, odkąd zaczęłam żyć w grzechu z tak niechlujnym indywiduum jak Renaud, który zdecydowanie obniżał burżuazyjny standard budynku, ale nie pogodziłaby się z sytuacją, w której nie jest na bieżąco. Powiedziałam, że wyjeżdżam służbowo do Japonii. Miejsce dobre jak każde inne.

– *A monsieur?*

Wzruszyłam ramionami.

– Wie pani, jakto jest z mężczyznami...

– Będzie panienka tęsknić za Paryżem?

– O tak bardzo!

Może właśnie przez to jedno pytanie nakłoniłam Renauda, żebyśmy na kilka dni stali się turystami. Jak każdy, kto mieszka w mieście, nigdy go nie oglądałam oczyma przybysza. Poszliśmy więc na wieżę Eiffla i na Père-Lachaise przepchnąć się przez tłumy emo-upiórów u grobu Jima Morrisona, do Conciergerie zobaczyć celę Marii Antoniny i do Opéra Garnier popatrzeć na freski Chagalla, a także na koncert Vivaldiego do Sainte-Chapelle. W Luwrze pożegnaliśmy Giocondę i przeszliśmy się ogrodami w Musée Rodin. Gdy byłam studentką, spoglądałam szyderczo na japońskich turystów, którzy na wszystkie dzieła sztuki patrzyli przez obiektywy swoich kamer. Teraz podnosili iPady, żeby filmować skarby miasta, jedyną więc, co widzieli gołym okiem, to czarny ekran tabletu. Snujące się zombie nie zasługują na oglądanie pięknych rzeczy. Kupiliśmy obrzydliwe kębabę na Saint-Michel, przełknęliśmy je, siedząc na fontannie, na stacji metra zrobiliśmy sobie zdjęcia w budce. Przepłynęliśmy się nawet statkiem wycieczkowym, na którego pokładzie zjedliśmy zaskakująco dobry obiad składający się z zupy cebulowej i tournedos Rossini, gdy sunęliśmy powoli pod oświetlonymi mostami, a smukła młoda Algierka w czerwonej sukni kołtajowej obszytej cekinami śpiewała piosenki Édith Piaf. Renaud trzymał mnie za rękę i muskał nosem moją szyję, a choć widziałam, że jako para prezentujemy się dziwnie, jak te koszmarki, które widywałam w okresie rejsu „Mandarynką”, nie przeszkadzało mi to. Oczywiście zapytałam go o pretensjonalny monogram, który wciąż uparcie trzymał się jego paskudnych koszul.

– Szczerze mówiąc, sam je wyszywam. Jestem bardzo dobry w szyciu.

– Jakto? Nauczyłeś się w więzieniu?

– Bardzo śmieszne. Mój ojciec... Mój ojciec jest krawcem. Nadal pracuje, choć ma ponad osiemdziesiąt lat.

– Skąd pochodzisz?

Jedliśmy właśnie owoce morza w Bar à Huîtres na rue de Rennes. Renaud przegonił kęby mgiełki unoszące się nad suchym lodem z półmiska i przełknął zielonkawą ostrygę z Oleron z octem szalotkowym.

– Z małego prowincjonalnego miasteczka, o którym w życiu nie słyszałaś – odrzekł wreszcie. – Jakto mówimy: w dziurze na zadupiu.

Obrałam langusty nkę.

– A więc jak to się stało, że zacząłeś się zajmować tym, czym się zajmujesz? Pewnie uczono

cię innego zawodu. I głównie zresztą wiesz o malarstwie.

– Nie zajmuję się malarstwem. Mówiłem ci już: znajduję zaginione pieniądze. Głównie pracuję dla korporacji, jacyś szefowie, których przyłapano na kradzieży. Studiowałem ekonomię, kilka lat pracowałem w firmie rachunkowej w Londynie.

– Fuj!

– Właśnie. Pewnie zająłem się obecnymi obowiązkami, ponieważ chciałem robić coś innego. Tak jak ty, Judith.

– Dlaczego sądzisz, że jesteśmy do siebie podobni? – zapytałam prowokująco, dopominając się o komplement, ale on sięgnął przez ostrygowej cmentarz i ujął moją dłoń.

– Judith. Dlaczego to robisz?

– Co?

– Ten seks. Taki Julien, inne kluby.

Przełknęłam ostatni kęs ostrygowej uczyły i wstałam.

– Zapłać rachunek, to ci powiem.

Nie odzywałam się, gdy szliśmy bulwarem. Przy rue de Sèvres znalazłam ławkę, zapaliłam papierosa i wzięłam Renauda za rękę.

– Widziałeś moją matkę? To chyba wiesz, jaka ona jest?

– Tak

– No więc... sam rozumiesz, historia, jakich wiele. Połowę czasu spędzałam u babci. Alkohol, mężczyźni – przychodzili i odchodzili. Wujkowie na tydzień czy miesiąc. I klasyka. Posuwają matkę, słabą, bezbronną, spragnioną, zgłaszają się więc po córkę. Codziennie możesz sobie poczytać o takich sprawach w gazetach.

– Albo u Nabokowa?

– Nie, to nie ta półka. Był więc taki jeden, z początku wydawał się całkiem porządnym, miał pracę, jeździł ciężarówką, dobrze traktował mamę. Później jednak zaczął czekać na mnie po szkole, proponował, że mnie zawiezie do domu swoją szalową ciężarówką. To było lepsze niż autobus, w autobusie zawsze mnie bili, a on miał cukierki. Landrynkę. Do dziś nie mogę patrzeć na landrynkę. Kiedyś zaproponował, żebyśmy się przejechali. Nosiłam szkolny mundurek granatowa plisowana spódniczka, krawat i pod spodem granatowe majtki gimnastyczne. Poprosił, żeby mi rozpuściła warłoczce i podkasała spódniczkę. Bałam się, że jak tego nie zrobię, on zostawi mamę, mama powie, że to moja wina, i znowu zaczniesz pić. Zgodziłam się więc.

– Boże. Strasznie, strasznie mi przykro.

Schowałam twarz w koscioł na jego piersi, po chwili moje ramiona zaczęły się trząść. Poglaskał mnie po włosach, złożył pocałunek na czole.

– I co się stało?

Twarz miałam wciąż schowaną w taniej tkaninie jego marynarki. Poczułam coś pokrępiającego w zapachu jego potu.

– Nie mogłam już tego znieść. Któregoś ranka wzięłam więc nóż kuchenny i... i...

Padłam mu na kolana, nie mogłam tak dalej. Dopiero po kilku chwilach się zorientował, że targa mną śmiech.

– Judith!

– Och, na miłość boską, Renaud! Do czego zmierzasz? Mam ci opowiedzieć o jego plugawych dłoniach, o zgrubiałej skórze na moich delikatnych dziecięcych udach? O Boże!

Starłam łzy z twarzy i spojrzałam mu w twarz.

– Słuchaj, moja mama pije, ja zaś lubię się bzykać. OK? Lubię się bzykać. Koniec, kropka. A teraz idziemy do domu i do łóżka.

Próbował się uśmiechnąć, ale nie był w stanie. Gdy jednak wróciliśmy do domu, włożyłam białe bawełniane majtki i się pobawiliśmy – podobało mu się. Bardzo mu się podobało. Później wsadził mi palec do tyłka, po czym podniósł go do nosa.

– Pachniesz ostrymi gami. Chcesz powąchać?

Wciągnęłam zapach z jego dłoni. Miał rację.

– Nie wiedziałam, że tak się dzieje.

Naprawdę nie wiedziałam. Polizałam jego palec, żeby poczuć smak czystego morza.

Rozdział 26

Później nastał dzień Richtera. Renaud zrobił się nieprzystępny i pobudliwy, przemykał po mieszkaniu, kręcił się. Denerwował mnie, zaproponowałam więc spacer. Chodziliśmy po eleganckich sklepach na bulwarze St Germain. Powiedziałam, że niedługo będzie go stać na coś porządnego, ale się nie uśmiechnął.

Gdy zapytałam, o co chodzi, odparł, że po prostu denerwuje się spotkaniem.

– To nie tobie wyszykują betonowe buciki – zauważyłam.

– Judith, zamknij się! Nie wiesz, o czym mówisz.

– Co to znaczy? Robię to, co chcesz, prawda? To ty mówisz, że nie ma żadnego ryzyka.

W każdym razie ty niczego nie ryzykujesz.

– Tobie się zawsze wydaje, że wszystko wiesz. Że dasz sobie radę, ponieważ wiesz różne rzeczy, tak jak cię uczyli na twoim snobistycznym uniwersytecie.

– Przepraszam – odpowiedziałam pokornie. Może powinnam była dodać, że aby się zachowywać inteligentnie, potrzeba czegoś więcej niż inteligencja, ale to nie był dobry moment na dyskusje filozoficzne. Twarz mu złagodniała, objął mnie za ramiona.

– Nic ci się nie stanie – zapewnił mnie. Mogłam zauważyć, że nie zaszlibyśmy tak daleko, gdybym przejmowała się konsekwencjami, ale i na takie uwagi nie był to dobry moment. Wyczułam, że lepiej mu, gdy próbuje mnie uspokoić, zapytałam więc, czy Moncada naprawdę nie obchodzi los Camerona.

– Cosa nostra kieruje się zasadą, że każdy dysponuje tylko takimi informacjami, jakie są mu potrzebne – wyjaśnił. – Bezpieczniej jest, jeśli agent wykonuje polecenia, kontaktując się wyłącznie z tymi, którzy są bezpośrednio nad nim albo pod nim.

– Czyli Moncada po prostu dalej pracuje?

– Właśnie. A jego praca polega na zakupie obrazów za brudne pieniądze i na odsprzedawaniu tych obrazów, tak żeby pieniądze się wyprały.

– Domyślałam się, że śmierć to ryzyko zawodowe?

Pocałował mnie miękko w usta.

– Tak, można tak to ująć, *chérie*.

Umówiłam się z Moncadą w Café de Flore o dziewiętnastej. Przyszłam trochę przed czasem, na wypadek gdyby trzeba było zacząć na stolik, ponieważ na zewnątrz zawsze siedziały tłumy. Z perspektywy czasu trudno mi było uwierzyć, że byłam tak niewiarygodnie naiwna –

amatorska, jak ująłby to Renaud – gdy w Rzymie pojechałam do niego ze Stubbsem. Mimo wszystkich podejrzeń, których nabrałam w rezultacie poszukiwań w Internecie w pokoju hotelowym na Zatybrzu, nadal miałam pewność siebie ignorantki. Teraz już wiedziałam na pewno, kim jest Moncada, wiedziałam, że będzie mnie obserwował, wypatrując ewentualnej zasadzki. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby się go bać, teraz, choć zaraziłam się od Renauda spokojem, byłam przerażona. Powiedziałam sobie, że biznes to biznes, że nawet jeśli Moncada wie, że to ja stoję za śmiercią Camerona, oferuję mu po prostu dobry produkt. Jeśli jednak sądził, że robię go w balona? Odcinane członki i sztyletowanie było dla chłopców, dla kobiet pewnie mieli coś wyjątkowo wymyślnego.

Ubrałam się niezobowiązująco: płaskie buty, czarny sweter, dwurzędowa kurtka Chanel, dzinsy, jedwabna apaszka i nowa torba Miu Miu z moim laptopem, a także moje nowiutkie wizytówki galerii Gentileschi i dokumenty Richtera. Położyłam telefon na stoliku, żeby widział, że go nie dotykam, zamówiłam kir royal i wertowałam „Elle”. Moncada się spóźnił. Mimowolnie zerkałam na zegarek, gdy próbowałam się skupić na kolejnym artykule doradzającym mi, jak zrzucić te ostatnie oporne pięć kilogramów. Raz w życiu tylko chciałam schudnąć i po prostu przez tydzień nie jadłam. Moim zdaniem to skuteczne. Dziewiętnasta trzydzieści. Gdzie ten Moncado? Dlaczego „Elle” nie opublikuje artykułu o tym, że kobiety połowę życia czekają na mężczyzn? Mimo nagrzewaczy było mi zimno. Zapaliłam właśnie kolejnego papierosa, gdy zobaczyłam, że nadchodzi bulwarem St Germain. Mijał Brasserie Lipp. Rozpoznałam go po wielkich okularach przeciwsłonecznych, które wieczorem wyglądały absurdalnie. Wysunął krzesło naprzeciwko mnie, odstawił czarną skórzaną aktówkę i wychylił się do przodu, niezdarnie muskając mnie w policzek, na tyle blisko, że poczułam zapach wietwerowej wody kolońskiej.

– *Buona sera.*

Podszedł kelner. Zamówiłam kolejną kir royal, Moncada poprosił o dżin z tonikiem. Mówiłam z zapalem o pogodzie, aż podano nam zamówienie. Czasami przydaje się być Anglikiem.

– A więc ma go pani?

Spojrzałam w dół na swoją kremową przesywaną torebkę.

– Nie tutaj, oczywiście. W moim hotelu, bardzo blisko. Wszystko tak, jak ustaliliśmy?

– Oczywiście.

Zostawiłam kilka banknotów na spodeczku i ruszyliśmy w stronę place de l’Odeon. Renaud zarezerwował pokój, płacąc z góry gotówką, w ślicznym różowym hotelu na placu, o drzwiach obwieszonych lampkami. W ciemności wyglądało to czarownie. Jakoś zapomniałam, że niedługo będzie Boże Narodzenie. Winda była krępująco mała, sytuacji nie poprawiało zaś to, że większość miejsca zajmował duch Camerona Fitzpatricka. Moncada najwyraźniej nie należał do gadułów, ale ja czułam się zobowiązana do zasypywania go uwagami, zachwykami na temat wystawy

architektonicznej w Trocadéro i remontu Palais de Tokyo.

– Jesteśmy na miejscu! – zaświergotałam, gdy dojechaliśmy na czwarte piętro. Moncada przepuścił mnie w drzwiach, ale natychmiast po wejściu zajrzał do łazienki, po czym rozejrzał się jeszcze po korytarzu. Richter leżał na łóżku w takiej samej taniej studenckiej teczce, jakiej Cameron użył w wypadku Stubbsa. Obok położyłam dokumenty i usiadłam na jedynym krześle, białej podróbce Eames.

– Napije się pan czegoś? Wody?

– *No, grazie.*

Pieczołowicie przeczytał certyfikaty i dopiero zajął się obrazem. Ostentacyjnie przeanalizował proveniencje. Zastanawiałam się, czy podoba mu się Richter. Czy w ogóle komukolwiek się podoba.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Jest chyba niezłą bizneswoman, *signorina*.

– Pan również jest dobrym biznesmenem, *signor* Moncada. Widziałam, że Stubbs osiągnął świetną cenę w Pekinie.

– A tak, Stubbs. Jakie to przykre, co spotkało pani kolegę.

– Straszne. To naprawdę straszne.

Na chwilę przypomniała mi się scena z pokoju hotelowego, scena z da Silva. Nie mogę przesadzić z emocjami.

– Niemniej może będziemy czasami współpracować?

– Oczywiście.

Gdy zbierała dokumenty i zapalała teczkę, ja sięgnęłam do torebki po laptop. Ustawiłam go na biurku i wysłałam esemes, który wcześniej przygotowałam.

– Czyli tak, jak uzgodniliśmy? – Podałam mu kartkę z cyframi wypisanymi długopisem. – Milion osiemset tysięcy euro?

– Tak jak uzgodniliśmy.

Wykonaliśmy te same czynności co wtedy w pizzerii, tylko że tym razem nie musiałam zrobić przelewu. Ależ wyrosłam na bizneswoman. Mój telefon zadzwonił, w samą porę.

– Przepraszam bardzo, muszę odebrać. Wyjdę tylko na zewnątrz...

Nawet nie zauważyłam jego ręki, zanim zacisnęła się na moim nadgarstku. Pokręcił głową. Ja swoją skinęłam, potulnie poruszałam palcami.

– *Allô?* – miałam nadzieję, że nie zauważy drżenia w moim głosie.

– Wyjdź.

Moncada wciąż trzymał mnie za ramię. Postawiłam krok do tyłu, zupełnie jakbyśmy zaczęli *jive'a*.

– Tak, oczywiście. Mogę oddzwonić? Za kilka minut? – Rozłączyłam się.

– Przepraszam. – Puścił mnie, ale patrzył mi w oczy o sekundę dłużej.

– Nic się nie stało.

Odrzucił się do łóżka, żeby spać obraz, i wtedy do pokoju wpadł Renaud. Odepchnął mnie brutalnie na bok Ręce wznosił łukiem nad Moncadą z rozmachem magika zamiatającego peleryną. Mafioso był wyższy, ale Renaud kopnął go kolanem w krocze i Moncada padł do przodu. Prawą ręką gmerał pod marynarką, lewą sięgał do szyi. Nie rozumiałam, co widzę, dopóki nie ujrzałam, jak Moncada robi obrót, rzucając się całym ciężarem na Renauda. Gdy tak wirowali nieporadnie, zauważyłam coś, co podświadomie zarejestrowałam gdy byliśmy w łóżku, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Choć trochę sflaczały, Renaud był niewiarygodnie silny. Z roztargnieniem patrzyłam, jak wydatne mięśnie jego zaskakująco potężnych ramion napinają się pod luźną marynarką, jak idealnie zarysowuje się triceps, gdy Renaud walczy, żeby utrzymać przed sobą Moncadę. Pokój wypełnił się charczącym oddechem walczących, ponad tym usłyszałam jednak wyć syren, jak jakiś senny kontrapunkt. Zerknęłam na biały przewód na szyi Moncady, jakieś krótkie metalowe coś, które Renaud obraca pod jego uchem. Twarz Renauda zsiniała tak, że przez chwilę myślałam, że to Moncada dusi jego, i chciałam się rzucić ku nim, ale zauważyłam, że mafioso powoli osuwa się na kolana Renauda. Ten trzymał łokieć w górze, jakby tańczył kazaczoka. Oczy Włocha nabiegły krwią, rozwarłe wargi obrzękły i wtedy czas ruszył z miejsca. Patrzyłam, aż było po wszystkim. Po raz trzeci widziałam, jak ktoś umiera.

Przez chwilę w pokoju było słychać tylko zdyszany oddech Renauda. Ja nie byłam w stanie wydusić słowa. Pochylił się, oparł dłonie na kolanach jak biegacz na mecie, kilka razy powoli wypuścił powietrze. Przykłąkł przy ciele i przeszukał kieszenie, wyjął portfel Vuittona, paszport. Krzyknęłam cicho na widok pistoletu w kaburze pod pachą Włocha.

– Spakuj wszystko do torebki. Szybko. I weź komputer. I obraz. Pospiesz się.

W milczeniu wykonałam polecenie. Wepchnęłam do torebki laptop i dokumenty, zamknęłam teczkę z obrazem. Renaud wsadzał coś do swojej kieszeni. Gdy odzyskałam głos, okazało się, że jest piskliwy jak u nakręcanej lalki.

– Renaud! – odchrząknęłam, odkaslnęłam. – Renaud. To jakieś szaleństwo. Nic nie rozumiem.

– Za dziesięć minut będzie tutaj policja. Rób, co mówię, później ci wszystko wyjaśnię.

– Ale... odciski palców? – W moim pytaniu było słychać zaczątki hysterii.

– Mówiłem, że wszystko załatwione. Ruszaj się!

Moja przepełniona torba nie chciała się zapiąć. Zdjęłam apaszkę i w miarę możliwości zasłoniłam zawartość.

– Bierz obraz. Idź już! Weź taksówkę. Ja niedługo przyjadę. Idź!

– On... on miał aktówkę. – Wskazałam. Z trudem utrzymywałam się na nogach.

- Też ją weź. Już, zabieraj się. Wynocha, kurwa!

Rozdział 27

Znowu czekanie. Sofa i mój sekretarzyk były przykryte folią, siedziałam więc na podłodze pośród kartonów, plecami oparta o ścianę. Podsunęłam kolana pod brodę, zamknęłam oczy. W jakimś zakątku mózgu tłukła mi się refleksja, że patrzeć na morderstwo jest, o dziwo, bardziej wstrząsające niż popełnianie go. Nawet nie chciało mi się palić. Znowu brzęczyk domofonu, znowu ciężar jego kroków na schodach. Ze znużeniem obróciłam głowę. Miałam wrażenie, że moje oczy zrobiły się czarne, posępne, jak u rekina. Dopiero gdy Renaud włączył światło, uświadomiłam sobie, że siedziałam w ciemnościach. Wyglądał dziarsko, choć to może normalne w wypadku osoby, która właśnie udusiła słynnego mafiosa.

– Będzie dobrze.

Usiadł koło mnie, objął mnie ramieniem. Nie odtrąciłam go – nie cierpię takich babskich manifestacji.

– Przepraszam, Judith. To był jedyne sposób. On albo ja.

– Ale twój klient... Jak teraz zamierzasz odzyskać pieniądze za tego cholernego Rothka?

– Moncada wiedział, kim jestem. Szukał mnie. Był gotów mnie zabić. Widziałś jego broń.

– Ale on nie miał pojęcia, że jesteś w Paryżu.

– Właśnie. Jak powiedziałem, to była kwestia czasu. Który z nas pierwszy znajdzie tego drugiego. Nie musisz się przejmować policją. Mam przyjaciela w prefekturze, pamiętasz?

Nie uśmiechnęłam się.

– Dałem im cynk – ciągnął. – Wiedzą, czym Moncada się zajmuje, zobaczą, że był uzbrojony, i wycisną sprawę. Wyświadczyłaś im przysługę, tak o tym pomyśl.

– A twój klient?

– Skontaktuję się ze współnikami Moncady. Uznają, że to ostrzeżenie. Odzyskam pieniądze.

– No to super.

– Nie bądź taka. Popatrz.

Wyjął z marynarki złożoną brązową kopertę i podał mi ją. Wzięłam ją do ręki, zanim sobie uświadomiłam, że musiała dotyczyć garoty. W środku były nowiuteńki paszport, prawo jazdy i nawet *carte de séjour* z moim zdjęciem zrobionym w metrze.

– Leanne? To słabe, Renaud.

– Dwudziestosiedmioletnia Angielka zmarła niedawno? Taka okazja nieczęsto się trafia. I będzie ci przypominać, żebyś się trzymała z dala od kłopotów.

– Jak to zrobiłeś?

– Prefektura skonsultowała się z waszym konsulem. Biedna dziewczyna, która została napadnięta i obrabowana, dochodzi do siebie w szpitalu. Rodzice chcą, żeby jak najszybciej wróciła do domu. Czy sta sprawa.

– Niezły masz ten kontakt w prefekturze. Bardzo uczynna żandarmeria.

– To transakcja wiązana.

Spojrzałam na niego z wyrzutem.

– Nie martw się.

– Owszem, kurwa, martwię się! Czy ja ci wyglądam na Leanne?

Siedzieliśmy chwilę, opierając się głowami o ścianę.

– A ten Rothko... – odezwałam się wreszcie. – O który obraz chodzi?

– Nie mam pojęcia. Chyba wszystkie wyglądają tak samo, prawda? Duże, czerwone i z kwadratami. Tak mi się wydaje.

Jeśli się czegoś nauczyłam, to tego, że człowiek zawsze, ale to zawsze ma wygórowane oczekiwania. Mówi sobie, że niczego nie powinien oczekiwać, a jak przychodzi co do czego, to i tak następuje rozczarowanie. Chciałam dać mu jeszcze jedną szansę. Naprawdę chciałam. Mógł mi powiedzieć prawdę i dać mi fory, chociaż tyle. Oparłam policzek na jego ramieniu.

– A więc po robocie – powiedziałam.

– *Oui*. Coś mam. W torbie przy drzwiach.

Przyciągnęłam ją do siebie.

– Cristal. Mój ulubiony. Otworzę. – Oboje jednocześnie spojrzeliśmy na moją torbę leżącą na podłodze obok teczki Moncady i obok obrazu za milion funtów. W środku spoczywał jego pistolet.

– Nie, ja otworzę – powiedział szybko Renaud.

Napotkał mój wzrok i wybuchliśmy śmiechem, prawdziwym śmiechem współwinnych.

– A może ja zajmę się butelką, a ty przyniesiesz kieliszki? Są w którymś pudle.

Wstałam tak, żeby mnie widział.

– Widzisz? Żadnych gwałtownych ruchów.

Ulotny, anamorficzny moment. Spojrzałam z innej perspektywy i przez chwilę istnieliśmy w dwóch postaciach – on i ja, i widziałam, jak by to mogło być. Podeszłam do okna. Boże, ale będę tęsknić za tym mieszkaniem! Ależ będę tęsknić za nocnym niebem Paryża.

– Nie mogę ich znaleźć.

– Poszukaj w innym. Musisz odkleić taśmę.

Wciąż trzymając w górze prawą ręką butelkę, zwolniłam skrytkę na plecach sekretarzyni. Do lufy Glocka 26 już był przykręcony tłumik

– O, są!

Renaud stał z kieliszkami, po jednym w każdej dłoni. Jeszcze zdążył się zdziwić, zanim

pociągnęłam za spust.

Zdaniem autorów książki *Amerykańskie seryjne morderczynie* Glock 26 to idealna broń dla kobiet. Tak jak zbrodnie w filmach niemal zawsze rozwiązuje detektyw akurat zawieszony w obowiązkach, także tłumik jest przedstawiany fałszywie. Jedyna broń z tłumikiem, która naprawdę zdaje egzamin, to Ruger Mark II, ale ma ponad trzydzieści centymetrów długości i waży kilogram, nie za bardzo się więc nadaje do damskiej torebki. I trzeba jeszcze pójść na kompromis. Im cichszy chcesz oddać strzał, tym słabszego musisz użyć pocisku, im słabszy pocisk, tym mniejszą odległość pokonuje i tym mniejsze wyrządza szkody. Glock waży połowę tego co Ruger, ale jest seksownie mały, jeśli ktoś lubi takie rzeczy. Niesamowite, co można zmieścić w otworze wyciętym w katalogu, jeśli się bardzo postarasz. Naddźwiękowy pocisk wydaje głośny trzask, na który nic nie poradzi żaden tłumik, z kolei pocisk poddźwiękowy jest cichy, ale strzał trzeba oddać w głowę, żeby mieć pewność co do skuteczności. Dzięki kontaktom wojskowym Dave'a dostałam sześć kul poddźwiękowych w papierku od batonika Wispa, ponieważ moje doświadczenie z bronią palną ograniczało się do wesołego miasteczka w Southport i do noszenia Beretta Ruperta do jego range rovera w piątkowe popołudnie, Dave załączył również pocztówkę z *Madame de Pompadour* Bouchera, a na odwrocie napisał PIĘĆ METRÓW. Na szczęście mój salon nie należał do szczególnie przestronnych.

Przeszłam między kartonami i dla pewności strzeliłam w głowę Renauda jeszcze dwukrotnie. Tłumik wydał dość głośny świst, ale nawet przy zamkniętych oknach na zewnątrz słyszałam tylko błogosławioną nieśmiertelną telenowelę konsjerżki. W miastach, przynajmniej w dobrych dzielnicach, mieszkańcy nie słyszą strzałów. Albo raczej słyszą je i myślą: „Ale śmieszne, to brzmiało jak strzał”, po czym wracają do oglądania *Masz talent*. Otworzyłam cristala i pociągnęłam solidny haust wprost z butelki. Trochę był ciepły. Wsadziłam butelkę do lodówki, ochlapanej teraz mózgiem Renauda. Wyglądała jak wściekły Pollock.

Pukanie do drzwi.

– *Mademoiselle? Tout se passe bien?*

Kurwa! Sąsiad z dołu. Cholerni intelektualisci z Lewego Brzegu, nie mogli sobie oglądać telewizji? Był prawnikiem, widziałam na skrzynce na listy, starszy wiekiem, może wdowiec. Mówiliśmy sobie „dzień dobry” na dziedzińcu. Wyjęłam butelkę, razem z nią ruszyłam do drzwi, uchyliłam je i wysunęłam się na podest.

– Chwileczkę.

– *Bonsoir, mademoiselle.* Wszystko w porządku? Słyszałem hałas...

Wesoło pomachałam butelką.

– Małe święto. Wyprowadzam się, rozumie pan.

Nosił okulary i zielony kaszmirowy sweter, pod spodem koszulę i krawat. W lewej dłoni

trzymał serwetkę. Dżentelmen – używa serwetki, nawet gdy jada sam.

– Przepraszam, jeśli pana zaniepokoiłam. – Trzymałam rękę za plecami, ściskając kławkę, żeby drzwi nie otworzyły się szerzej. – Może pan do nas dołączy?

– Dziękuję, ale właśnie jem obiad. Na pewno wszystko w porządku?

– Absolutnie. Jeszcze raz przepraszam.

Korciło mnie, żeby go zaprosić do środka. Tak dla draki. O, to byłoby seksowne.

– *Alors, bonsoir, mademoiselle.*

– *Bonsoir, monsieur.*

Może Renaud spojrząłby na mnie z wyrzutem, gdy oparłam się o drzwi i zaciągnęłam papierosem, ale nie miał już twarzy. Wrzuciłam niedopałek do butelki, znalazłam karton z napisem KUCHNIA i poszukałam japońskiego tasaka, a także małego zestawu narzędzi, który kupiłam w arabskim sklepiku. Wzięłam folię z sofy, rozłożyłam ją na podłodze i zawinęłam w nią ciało, wcześniej wyjąwszy z okropnej marynarki telefon i portfel. Zanim włożyłam rękawiczki, zastanowiłam się chwilę nad akompaniamentem muzycznym. Znów Mozart, ale tym razem *Requiem*. Tani chwyt, Renaud jednak chciał nadać mi imię Leanne na najbliższą przyszłość. Przygasiłam światła i znalazłam świecę pod zlewem, żeby zrobić nastrój. I zabrałam się do pracy.

Po wykonaniu rewolucyjnego dzieła *Judyta odcinająca głowę Holofernesowi* Artemisia Gentileschi wyjechała z Rzymu do Florencji, gdzie namalowała bardziej tradycyjną wersję obrazu. *Giuditta con la sua ancella – Judyta ze służącą* – wisi w Palazzo Pitti. Na pierwszy rzut oka nie ma w nim nic strasznego. Przedstawia dwie sprzątające kobiety. Służąca widnieje na pierwszym planie, plecami do oglądającego, żółtą suknię osłoniła fartuchem, włosy zabezpieczyła zwyczajną tkaniną. Jej pani stoi profilem, za wyciągniętym lewym ramieniem służącej, ogląda się, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie śledzi. Ma nadzieję, że zdążą z robotą. Włosy ma starannie ułożone. Ciemna, chyba aksamitna suknia jest bogato wyszywana brokatem. Na ramieniu trzyma miecz. Pod rękojęścią miecza oko widza przyciąga koszyk, który służąca oparła o biodro. W koszyku spoczywa głowa Holofernesa zawinięta w muślin niczym bożonarodzeniowy pudding. Kobiety zostały uchwycone w chwili strasznego napięcia, ale z obrazu emanuje cisza. Denerwują się, lecz nie spieszą – zatrzymały się rozmyślnie, aby sprawdzić, czy ktoś je ściga, i zaraz powrócą do tego, co muszą zrobić. Widać w tym obrazie ciężar: potężny miecz na ramieniu Judyty, ogromna odcięta głowa w koszyku wspartym na biodrze służącej. To ich bieżące zadanie.

Posiłkując się folią, zaciągnęłam ciało przez parkiet do łazienki. Mięśnie ramion i brzucha napinałam z wysiłku, musiałam kilkakrotnie przystanąć, ale udało mi się. Zawsze lubiłam luksusowe kabiny prysznicowe typu *walk-in*. Rozebrałam się do majtek dżinsy i sweter

wsadziłam do wanny, po czym wróciłam do kuchni i napełniłam zlew wodą. Pochlapałam wszędzie obficie Mr. Properem i zaczęłam myć, wyzymając ściereczkę, aż z czerwonej stała się różowawa. Używałam coraz więcej i więcej ciepłej wody. Młynek na odpadki wypełnił się lepкими grudkami. Krzywiąc się, wybrałam je ręką i spuściłam w sedesie. Gdy już salon był czysty, splukałam łazienkę wodą i wybielaczem, żeby następny najemca zastał wnętrza nieskalane.

Sądziłam, że się będę wzdrygać przy pierwszym cięciu, ale chyba widziałam gorsze rzeczy, gdy pracowałam w chińskiej knajpie. Cztery litry krwi, którą zawiera ludzkie ciało, spłynęły ładnie wraz z wodą z prysznicą w ciągu kilku minut. Z szyi dobyło się żabie beknięcie, gdy dotarłam do arterii, ale nie trysnęła z niej żadna zakrzepła krew, tylko wydzieliny i zadziwiająco czysta warstwa białawego tłuszczu, jak w szynce wieprzowej. Zostawiłam głowę pod strumieniem wody i ruszyłam po zamówione wcześniej dodatkowe pudła. Innym japońskim nożem przecięłam zakrwawione ubrania i wsadziłam je do wanny. Rozpostarłam ręcznik i położyłam na nim ciało, następnie suszyłam je suszarką. Nie chciałam, żeby pudełka zaczęły przeciekać. Dwa worki na śmieci, naciągnięte jeden na drugi w przeciwnych kierunkach, na to wyścielany wieszak z pralni chemicznej, specjalnej wielkości XL. Takich się używa do sukien ślubnych. Cicho podeszłam do drzwi wejściowych po portfel i walizkę Moncady, położyłam je na dnie skrzyni i wtoczyłam ciało bokiem, zapierając się o umywalkę z rękoma pod krawędzią skrzynki i dźwignęłam je do pionu. Gdy przybijalam wieko, zrobiłam głośniejsze Mozarta. Kilkakrotnie okleiłam taśmą powertape wszystkie złączenia i nakleiłam wszystkie przydatne naklejki, które dostarczyła mi firma przeprowadzkowa: *Ciężkie, Nie odwracać*. Renaud był gotów na podróż do Vincennes. W każdym razie to, co z niego zostało.

Głowę owinęłam folią przylegającą i wrzuciłam ją do torby z supermarktu Casino, związałam uchwyty i wsadziłam pakunek do zamykanej na zatrzaski torby sportowej z Decathlona, wraz z pistoletem Moncady i uświnionymi adidasami, w których Renaud biegał ze mną po Ogrodzie Luksemburskim. Kopnęłam całość na próbę – żadnych zdradliwych przecieków. Jeszcze raz posprzątałam mieszkanie, za pomocą szczoteczki do zębów maczanej w wybielaczu czyszcząc krany i przewód prysznicowy. Zgarnęłam folie oraz nasze ubrania w jeden kłęb i wsadziłam wszystko do kolejnej torby, a potem wróciłam pod prysznic, żeby wreszcie umyć siebie. Później usiadłam mokra na podłodze i zapaliłam papierosa. Przede mną stały czarny wór na śmieci z krwawymi odpadami, skórzana torba, sportowa torba i czarna teczka z Richtermem. Ciuchy i narzędzia mogłam wrzucić do spalania za schowkiem na szczotki sprzątaczkę na podwórku. Paczkę z głową niczym mała bryczka wsadziłam do wiklinowego kosza, z którym chodziliśmy na targ. Wyjęłam z torby spodenki do biegania, sportowy stanik, adidasy i bluzę, na głowę założyłam kaszmirową czapkę i wybiegłam w noc. Dotarłam nad rzekę

w niespełna dziesięć minut – naprawdę niezły czas – tą samą trasą co wtedy, gdy bawiłam się z Renaudem w kotła i myszkę.

Jak większość ważnych momentów w moim życiu, ostatnie wspólne chwile otarły się o patos. Myślałam, że nasze ostatnie pożegnanie odbędzie się na Pont Neuf, moście kochanków prowadzącym do Île de la Cité, ale nawet o tej porze tuliły się tam jakieś pary wpatrzone w nasycony światłem nurt Sekwany. Kamiennymi schodami zbiegłam do mizernego ogrodu na końcu wyspy, zamierając, gdy dwaj żandarmi na patrolu przystanęli na dole, żeby mnie przepuścić. Grzecznie powiedzieli „*Bonsoir*”, ale widziałam, że mnie obserwują, gdy szłam do pomnika Henryka IV z koszykiem pod pachą. Nie ośmieliłam się zaryzykować, że plusk wzbudzi ich podejrzenia, po chwili więc minęłam ich ponownie i skierowałam się ku nabrzeżu, odwracając wzrok od śpiących włóczęgów. Usiadłam z nogami zwieszonymi nad lodowatą wodą i opuściłam torbę za rączki, aż się zanurzyła. Prąd szarpnął mnie za palce. Puściłam ją delikatnie.

Gdy wreszcie skończyłam, świtało. Sądziłam, że – koniec końców – właśnie paryski świt zapamiętam najlepiej, niezdecydowane chwile między nocą a dniem, gdy miasto już się rusza w posadach, te momenty między zacerwienionym okiem powracających z imprez a poranną krzątanią w krochmalonym fartuchu. Biała przestrzeń, odwrotność przestrzeni, luka między pragnieniem a tęsknotą. Renaud zawsze spał, gdy świtało, z drobną pomocą oczywiście. Te wszystkie miłe kolacje, każda z dodatkiem moich sekretnych ingrediencji... Nic mocnego, ot, coś wspomagającego, żeby mieć pewność, że gdy już się skończymy kochać, on zaśnie w ciągu godziny, ja zaś będę mogła wyciągnąć zapasowy laptop ukryty za książkami, żeby zacząć poszukiwania.

Czasami lepiej coś zaniedbać, niż z czymś przesadzić. Przyznaję – dałam się zwieść talentowi Camerona Fitzpatricka do pochlebstw, ale jedno słowo zdradziło, że Renaud nie jest tym, za kogo się podaje. „*Certo*”. Oczywiście. To „r” było zbyt doskonałe. I drobny szczegół modulacji na końcu wyrazu. Autentyk To i *ossobuco*.

A do tego przypadkowa wzmianka o da Silvie. Samochód, którym da Silva przyjechał do Como zeszłego lata, gdy zaczynał śledztwo, był radiowozem Guardia di Finanza. Włoskie siły policyjne są podzielone na kilka formacji i dziwnym trafem śledztwami w sprawie mafii nie zajmują się *carabinieri*, seksowni chłopcy z plakatu w swoich obcisłych mundurach przyprawiający o palpitacje zagraniczne studentki, tylko bardziej prozaiczni z nazwy żandarmi finansowi. W Rzymie domyślałam się, że Moncada należy do mafii, na widok tego radiowozu nabrałam jednak pewności.

Da Silva. Facebookowe przyjaźnie nigdy mi nie leżały, za to na pewno preferowała je *signora* da Silva. Franci, skrót od Francesca, najwyraźniej nie mogła nastawić garnka spaghetti, żeby nie wrzucić na profil najnowszych szczegółów ze swojego pasjonującego życia. Skoro miała ponad

ośmiuset znajomych, uznałam, że jedna obca osoba nie zrobi jej różnicy. Przykładowe zdjęcie wybrane z miejscowej gazety, z odpowiednim nazwiskiem dołączonym z rzymskiej książki telefonicznej, czyniło mnie jej nową znajomą. Ochocho wrzuciłam zdjęcie nowej sofy i słodkiego Kinder Hippo z polewą kokosową, dzięki czemu zyskałam dostęp do szczegółów egzystencji Franci na przedmieściach Rzymu. Boże Narodzenie, Wielkanoc, torebka Prady, którą mąż dał jej na urodziny, rodzinne wakacje na Sardynii, nowa zmywarka. Franci niewątpliwie żyła jak w bajce. Państwo da Silva mieli dwójkę dzieci – czteroletnią Giulię i małego Giovanniego, którego fotografowano chyba częściej niż bachory Beckhamów. W narożniku zdjęcia, obok dumnej mamy, która bezskutecznie usiłowała ukryć pociągowe kilogramy w czerwonej bluzce z baskinką, widniał i *papa*, elegancki i szczupły, w garniturze i krawacie, ze znajomym lekkim brzuszkiem, a na wypukłości brzuszka, gdy zrobiłam powiększenie i wpatrywałam się odpowiednio długo, dojrzałam monogram „RC”. Renato? Ronaldo? Nieważne. Krótkie wyszukiwanie przyniosło w wynikach niejakiego Chiotasso, *Sarto*, w dziale firm włoskiej książki telefonicznej na tym samym przedmieściu, gdzie Franci da Silva uwieczniła swoje bieżące życie. *Sarto* – krawiec. Renaud powiedział, że jego ojciec jest krawcem i że wciąż wykonuje swój zawód, jak przystało na mężnego Włocha, inicjały również się zgadzały. A więc dorastali razem, Renaud i da Silva, pozostali także wierni swojej dzielnicy. Byli przyjaciółmi, nie kolegami z pracy. Proszę, jakie tęgie głowy.

Wyjęłam z torby ostatni prezent od Dave’a i położyłam na podłodze. Najnowszy *catalogue raisonné* Rothka, wydany na wystawę Tate Modern Gallery w dwa tysiące dziewiątym roku. Galeria Gentileschi musiała powysyłać mnóstwo maili do nowojorskich galerii, rozglądając się za prywatnym właścicielem Rothka, ale ostatecznie zdołałam wyśledzić sprzedaż niemal wszystkich obrazów zakupionych do prywatnych kolekcji z ostatnich trzech lat i żadna nie pasowała do szczegółów podanych przez Renauda. Zdradzając nazwę banku, Goldman Sachs, przeholował.

To jednak nie wystarczyło, żeby mnie przekonać. To, że Renaud kłamał, nie czyniło z niego od razu policjanta. Łatwość, z jaką zajął się sprawą Leanne, radiowozy, które nadjechały w chwilę po śmierci Moncady? Myślę, że trochę nie doceniał potęgi Google. W materiałach z konferencji o nazwie „Kulturalne metody prania brudnych pieniędzy”, która odbyła się na uniwersytecie w Reggio Calabria, znalazłam wystąpienie inspektora R. Chiotassa na temat wykorzystania dzieł sztuki jako przykrywek kapitałowych nielegalnych funduszy. A więc jednak on i da Silva byli kolegami z pracy. Renaud przemawiał na konferencji o piętnastej. Wyobrażałam go sobie: koszula wilgotna pod pachami, występ w jakiejś zakurzonej sali na południu Włoch, delegaci przysypiający po sutym lunchu. A więc jednak w pewien sposób zajmował się pieniędzmi. Dopiero gdy przeczytałam streszczenie wystąpienia, nabrałam podejrzeń, co Renaud planuje

w sprawie Moncady. Renaud chciał zemsty.

Na początku lat dziewięćdziesiątych mafia zamordowała na Sycylii pewnego urzędnika o nazwisku Borsellino. Nazwisko to było łatwe do zapamiętania, tak samo nazywał się bowiem mój ulubiony mediolański kapelusznik. Zabójstwo wstrząsnęło Włochami, w jego następstwie z różnych regionów kraju ściągnięto na wyspę oddziały policji, żeby położyć kres znowie między władzami a mafią. Direzione Investigativa Antimafia utworzyła zespoły łączone z funkcjonariuszy z całej Włoch, w tym kilka oddziałów z rzymskiej Guardia di Finanza, między innymi R. Chiotassa. Dwadzieścia lat później w śledztwie w sprawie fałszyfikatów greckich artefaktów zginęli sycylijscy policjanci – byli to koledzy Renauda. Sprawców nigdy nie aresztowano, ale mieli być powiązani z międzynarodowym rynkiem sztuki.

Renaud musiał wiedzieć, że Moncada był uwikłany w zamach, w którym zginęli jego koledzy z policji. Pewnie on i da Silva prowadzili śledztwo w sprawie fałszowania dzieł sztuki, ale jak się dowiedziałam z własnego śledztwa, sprawy mafii ciągnęły się od dziesięcioleci, ze zmiennym szczęściem. Rozbicie szajki piorzącej pieniądze nie było prawdziwym celem Renauda. Zemsta i ostrzeżenie mocodawców Moncady w prawdziwie sycylijskim stylu. Dlatego nie ukatrupiłam go wcześniej – lubiłam go na tyle, że chciałam, aby miał swój moment triumfu. *Summa summarum* jego historyjka była naprawdę świetna. I musiałam także przyznać, że ta gra sprawiła mi przyjemność.

Wielu rzeczy nigdy się nie dowiem. Czy w Como da Silva naprawdę uwierzył w moją niewinność czy tylko udawał? Tak czy inaczej Renaud najwyraźniej przekonał go, żeby mnie nie ścigał, ponieważ przydam się w rozgrywce z Moncadą. Uznali, że na koniec i tak mnie dopadną. Byłam przynętą w policyjnej grze w starym stylu.

Ile da Silva wiedział o metodzie pracy Renauda, nie było moją sprawą, i domyślałam się, że skoro ma rodzinę, nie chce wiedzieć więcej niż to konieczne. Franci mogłaby się zdenerwować. Nie wyglądał także na gościa, który radośnie posuwa swoich podejrzanych. Renaud był indywidualistą, samotnym jeźdźcem, pracował nad sprawą na własnych warunkach, z prawdziwym żalem dokonałby więc aresztowania *femme fatale*. Fatalne ciuchy były jednak niezłym posunięciem. W wypadku Włocha musiało to być naprawdę wielkie poświęcenie. Tak więc Renaud zamierzał przestrzec współpracowników Moncady, da Silva wiarygodnie wyciszyłby zabójstwo jako samoobronę funkcjonariusza policji, mnie by zaś zatrzymano na lotnisku z paszportem zamordowanej dziewczyny.

Zastanawiałam się, czy się nie przespać, ale chciałam być na poczcie w chwili otwarcia. Wysłałam więc na spacer, obeszłam Ogród Luksemburski od zewnątrz, żeby nie zamarznąć do siódmej, kiedy znalazłam otwarty *café-tabac* i kupiłam kawę oraz nie najnowszą pocztówkę z panoramą Paryża. Pożyczyłam długopis od kelnera, który już zdążył oblec twarz

w obowiązkowy grymas niezadowolenia, napisałam adres swojego rycerza z Finsbury i to:

D,

to nie jest prezent. Wisisz mi 1 funta. Rupert na pewno z przyjemnością zajmie się sprzedażą.

Całusy,

J

Ostatecznie zarobiłam. Pieniądze Moncady, które sobie przywłaszczyłam, były zyskiem nieoficjalnym – sprzedając Richtera Dave’owi za funta, odzyskałam zainwestowaną sumę, plus zysk i narażę się na dwadzieścia osiem pensów podatku. Czegoś się przynajmniej nauczyłam w British Pictures.

Ponieważ tymczasem wybiła ósma, ustawiliśmy się z Richterem pierwsi w kolejce na pocztę.

Rozdział 28

Dałam konsjerżce donicę jaskrawych goździków i szal Sonii Rykiel, za którym nigdy nie przepadałam. Po bezsennej nocy i niezliczonych papierosach odczuwałam ból w uszach i swędzenie rąk, ale mój umysł lśnił równie jasno jak lizienka w moim mieszkaniu. Sinawe cienie pod oczami także się przydały, gdy podawałam jej schludny karton z nielicznymi rzeczami Renauda (bez plastikowego futerału, w który wkleił mój paszport i karty kredytowe) i zapytałam, czy mogłaby wyświadczyć mi tę wielką przysługę i przechować ten karton w służbówce, na wypadek gdyby *monsieur* kiedyś się zgłosił po swoje rzeczy. Nieodpowiedzialni kochankowie zmywający się cichaczem byli na porządku dziennym w telenowelach, ale mimo jej wylewnych wyrazów współczucia zdołałam dać jej do zrozumienia, że w obecnym stanie nie mogę o tym rozmawiać. Przypomniałam jej, że firma przeprowadzkowa powinna się zgłosić jeszcze tego dnia, i wyjaśniłam, że kolega podwozi mnie na lotnisko. Podziękowałam jej, przebijając się przez kolejne przestrogi, że mężczyznom nie można ufać, absolutnie żadnym, i zataszczyłam torbę na koniec ulicy, na przystanek autobusowy, z którego kiedyś obserwował mnie Renaud. Autobus był wypełniony ludźmi jadącymi do pracy, musiałam stać, trzymając się uchwytu, z torbą między nogami. Kiedy ostatnio jechałam autobusem? Ile czasu minie, zanim tajemniczy kolega z prefektury zrozumie, że „Leanne” nie pojawi się na lotnisku? Zakładałam, że mam dzień albo dwa dni, zanim przyjdą wypytać konsjerżkę. Przynajmniej się ucieszy. Straciłam swoje rzeczy, ale zawsze mogę sobie dokupić. I tak już nadszedł czas, żeby zmienić *look*.

Zanim autobus przejechał w porannym szczycie do przystanku końcowego za Sacré-Cœur, spośród pasażerów zostałam tylko ja. Powlokłam się za autokarem wspinającym się do katedry i kląpnęłam na schodach wśród porannych plecakowców. Ktoś grał na bongo i już można było wyczuć woń ziola. Pogrzebałam w torbie i wyjęłam portfel Renauda. Sądziłam, że jest pusty, jeśli nie liczyć kilku banknotów, „fałszywej” odznaki policyjnej, której użył w Goutte d’Or, i pokwitowania z poczty za specjalną przesyłkę do odebrania w Amsterdamie. To był przekonujący ruch – fałszywy paszport. Amsterdamski adres się przyda, gdy będę potrzebowała nowego. Następna była badziewna stara nokia Renauda, ten sam model, którego użyłam na jachcie Baleńskiego. Pewnie gdzieś miał coś bardziej nowoczesnego, ale ja nigdy tego nie widziałam. Niech mu będzie. Nie spodziewałam się wiele znaleźć, to byłoby zbyt łatwe, zwłaszcza że listę połączeń i skrzynkę esemesów wyczyszczono, oprócz jednej oferty France Telecom z dzisiejszego ranka. Jedyna zapisana rozmowa to ta do mnie, gdy byłam w hotelu

z Moncadą.

Znalazłam jednak zdjęcia, poczynając od tych z Rzymu, które już widziałam, przez te z okresu, gdy śledził mnie w Paryżu, jak kupowałam gazetę, paliłam papierosa w kawiarni w Pantheonie, jak biegałam po parku. A potem ujęcia, o których nie miałam pojęcia – jak śpię, zbliżenie moich włosów na poduszce, ja rozwalona naga na zrujnowanym łóżku jak pornograficzny Hogarth. Faj! Mój obcas, gdy Renaud wchodził za mną po schodach, ja pochyłająca się nad umywalką, żeby wypłuć pastę do zębów, przez drzwi sypialni, jak majstruję coś przy torbie z zakupami. Całe setki. Przeglądałam je przez długi czas, a im dłużej patrzyłam, tym mniej kojarzyły mi się z podglądaniem i kontrolą. Dostrzegłam coś łagodnie intymnego, nawet jakąś czułość w tym, jak utrwalił tyle chwil mojego życia.

– Przepraszam. Pani zdjęcie?

Dwójka Hiszpanów, potężnych i pryszczatych, wymachiwała telefonem. Jeszcze jeden, kurna, telefon. Z uśmiechem strzeliłam im fotkę, jak obejmują się ramionami na tle marmurowej fasady świątyni. Szczęśliwe chwile.

Rozejrzałam się za śmietnikiem, żeby wyrzucić nokię Renauda, ale zaburczała mi w dłoni. Numer zaczynał się od zero sześć – francuska komórka. Esemes o prozaicznej treści:

Na razie ani śladu.

Jakże miło z ich strony, że mi przypomnieli. Cały czas nękała mnie myśl, że da Silva mnie obwini o zniknięcie Renauda, nie zaś ludzi Moncady. A teraz Renaud nadal żył, odpisywał z Montmartre’u, gdzie się kiedyś poznałiśmy. Skorzystaj, Judith.

Odpisałam:

Jestem w drodze. Mówi Ci coś nazwa Gentileschi?

Musiałam wiedzieć, czy Renaud powiedział im, gdzie trzymam pieniądze. Ze śmietnika cuchnęło zwróconym fast foodem. Podszedł do mnie handlarz i zaoferował plastikowe bransoletki przyjaźni.

Kolejny warkot:

Dobra. Nie.

Czyli im nie powiedział, czyli nie wystąpią o nakaz przeszukania magazynu w Vincennes, czyli jeśli jego głowa kiedykolwiek zostanie wyłowiona z Sekwany, przypiszą to wendecie. Nie byłam tak głupia, żeby zakładać, że jedyne dowody mojego spotkania z Fitzpatrickiem i mojego powiązania z Renaudem znajdują się w tym telefonie. Da Silva na pewno ma takie zdjęcia, do tego pozostawała pomniejsza sprawa martwej ćpunka, ale Gentileschi może już jutro wynająć nowe pomieszczenie. Zdecydowanie czas na nowy look.

Odpisałam:

Dzięki. Na razie.

Jakoś jednak nie chciałam się rozstać z tym telefonem. Nigdy w życiu nie dostałam jeszcze listu miłosnego.

Przez całe popołudnie wędrowałam po zachodniej stronie miasta. W celu zabicia czasu mogłam pójść do muzeum, ale nie miałam ochoty oglądać teraz żadnych obrazów. Poszłam więc do Parc Monceau i mimo zimna zdrzemnęłam się godzinę z głową na torbie. Obudziłam się pod urażonym spojrzeniem szylkownej młodej matki, której dziecko bawiło się moimi sznurowadłami. Pewnie sądziła, że jestem bezdomną pijaczką albo uciekinierką, w każdym razie na pewno nie powinnam się znajdować w tym najelegantszym i najbardziej martwym z paryskich ogrodów. Kupiłam kawę i szklankę wody, żeby się rozbudzić, przejrzałam również gazety, bardziej z nawyku niż niepokoju. Niesamowicie, ilu ludzi można zabić bez rozgłosu.

Mniej więcej o dziewiętnastej napisałam esemesa do Yvette:

Jesteś w domu? Muszę wpaść.

Od czasu do czasu pisałyśmy do siebie. Swoje zniknięcie na tygodnie spędzone z Renaudem wyjaśniłam dymaniem z fantastycznym nowym facetem. Gdy odpisała, czekałam na taksówkę na postoju, myśląc o tym, jak miejskie życie cofnęło się do czasów, gdy ludzie mieszkali w mieszkaniach, a życie prowadzili w miejscach publicznych. Znałam Yvette niemal od roku i nie przyszło mi nigdy do głowy zapytać, gdzie mieszka. Okazało się, że w piętnastej dzielnicy, w jednym z tych wyjątkowo paskudnych nowoczesnych budynków, które szpeciły Paryż niczym źle wykonana koronka na zębie. Wpuściła mnie na kłatkę dopiero po dłuższej chwili, jakby zmieniła zdanie, ale w końcu usłyszałam „Allô” przez interkom i wtarabaniłam się na górę, pokonując pięć biegów betonowych schodów.

Yvette ewidentnie dopiero co wstała. Włosy miała sfilcowane, skórę bez podkładu pokrytą plamami, spod skąpej zmiętej bluzy, którą wciągnęła na majtki, wyłaniały się ramiona i nogi o zdecydowanie niezdrowym wyglądzie. Pomyślałam sobie, że na kończyńy także nakłada make up. Mała kawalerka była ciasna i zagracona, tanie kdzidełko paczuli na próżno starało się zatuszować intensywny odór fajek i śmieci. Wszędzie leżały stopy jej ubrań, w chwiejnych piramidach skóry i koronek, niemal zakrywających futon, który był tutaj jedynym meblem. Popatrzyła wyzywająco, tak samo, jak ja bym patrzyła, gdybym musiała komuś zaprezentować mieszkanie tak ohydne.

– Tu właśnie mieszkam. Chcesz herbaty?

– Dzięki, bardzo chętnie.

Miała kuchenkę elektryczną, czajnik i mikrofalówkę w zabudowie. Gdy wyjmowała dwa kubki i dwie torebki herbatki miętowej, zapytałam o łazienkę.

– Tam.

Kolejna szafka, maleńki prysznic, sedes i umywalka, niemożliwie brudne, na kranie zaschnięta

pasta do zębów. Dywanik na podłodze cuchnął stęchlizną, ale odkręciłam ciepłą wodę i podmyłam się, wyszorowałam zęby, szybko nakremowałam i pomalowałam twarz. Glock wystawał lekceważąco z kłębowiska w torbie. Przyszło mi do głowy, żeby teraz zabić Yvette i zabrać jej dokumenty, ale z kolorem skóry w życiu bym sobie nie poradziła.

– To jak? – zapytałam po wyjściu z łazienki. – Masz ochotę gdzie wyjść? Ja stawiam.

– Pewnie – odparła podejrzliwie. – Ale jest wcześniej.

– Możemy się napić, a potem na przykład pójść do Juliana.

– Dobra.

Wypiłyśmy herbatę, zjadłam kilka łyżek nutelli z samotnego słoika w lodóweczce Yvette. Gdy ona rozpoczęła długi proces przygotowań do wyjścia, ja położyłam się na futonie i przesłakiwałam po kanałach w telewizji. Teraz, gdy się skupiła, w jej ruchach pojawiło się coś nowego, jakaś lekkość baletnicy, kiedy z profesjonalną wprawą oglądała się od tyłu w lustrze w obcisłej sukience ze szmaragdowego szantungu, gdy wykrzywiła twarz przy nakładaniu eyelinera i mascary, gdy zapinała pasek w niebezpiecznie wysokich sandałach. Kiedy skończyła, trudno było uwierzyć, że wynurzyła się z tego gnojowiska. Mnie toaleta zajęła dwie minuty – prosta dżersejowa czarna sukienka od Alexandra Wang’a, do tego gładkie czarne szpilki.

– Weźmiemy trochę koki?

– Może później. Gotowa jesteś? – Kiwnęła głową, bawiąc się telefonem. Czegoś jej brakowało.

– Możesz to tutaj zostawić. Wiesz, jak chcesz, możesz tu prznocować.

– Nie, mogę potrzebować rzeczy.

– Spotykasz się ze swoim nowym?

– Może później.

Z wysiłkiem zarzuciłam torbę na ramię, zachwiałam się na wysokich obcasach.

– To idziemy.

Uwolniona ze swojej nory, Yvette poczuła się swobodniej – opowiadała mi o jakiejś wielkiej imprezie, którą ktoś organizował w magazynie przy Saint-Martin. Jakieś wydarzenie ze świata mody i sztuki, które będzie bardzo głośne. Yvette robiła tam „styling”, chociaż z tego co widziałam po łupach w mieszkaniu, jej kariera stylistki ograniczała się do doprowadzania wszelkich rzeczy dostarczanych przez biura prasowe na tyle naiwne, żeby ją do siebie dopuścić. Dochodziła dziewiąta wieczorem, było więc wcześniej, dlatego poszłyśmy do pobliskiej knajpy na aperitif. Później miałyśmy ruszyć z rue Thérèse. Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś jadłam, jeśli nie liczyć nutelli, wzięłam więc z kontuaru garść cuchnących moczem orzeszków. Nie mogły mi się trząść ręce.

Do Juliana dotarliśmy około dwudziestej drugiej, właśnie otwierano. Miałam nadzieję, że przychodząc z Yvette, zniechęcę Juliana do zadawania pytań, ale wpuszczał barman. Wprowadził

nas i przeszliśmy do pustej części klubu. Wpadł w ślad za nami, żeby nam dostarczyć koniak

– To słabe – powiedziała bez sensu Yvette, kąpiąc nogą stołek

– Rozgrzejesz się. Popatrz.

Wchodziło właśnie dwóch wysokich napaakowanych blondynów.

– Zobaczmy jak tam Hitlerjugend.

Podeszli do nas i zaproponowali drinka. Włączono muzykę i pół godziny później sala zaczęła się wypełniać ludźmi. Yvette trochę się wstawiła koniakiem, wyszła do kabin i wróciła w czarnych koronkowych stringach i gorsocie, wieszając się na swoim Aryjczyku, któremu nie trzeba było dwa razy powtarzać, że może ją zaciągnąć do mrocznego pokoju.

– Idziesz?

– Za chwilę.

Oddalili się, ja zaś przyglądałam się uważnie dziewczynom. Niewiele ich tutaj było, potrzebowałam jednak kogoś, kto przypominałby mnie chociaż z koloru włosów. Ostatni pociąg do Amsterdamu odjeżdżał z Gare du Nord dwanaście minut po północy, a oni weszli o dwudziestej trzeciej dwadzieścia. Młodziutka kobieta z dużo starszym mężczyzną, on władczo ścisnął jej dłoń, ona była bardziej opanowana, doświadczona. Lekko pocałowała go w usta i ruszyła do szatni, on podszedł do baru. Wróciła po kilku minutach w różowym, wysoko wyciętym koronkowym trykocie, ściśnięte brodawki sutkowe przeświły wały przez tkaninę. Doskonale. Kiwnęłam głową na mojego blondyna, który już dostrzegł cyszki, zesłałam ze stoła i, ciągnąc swoją torbę, poszłam do bokсів. Tylko jedna szatnia była zamknięta. Nie miałam pojęcia, jak sforsować zamek. Przeszłam więc pod krótkimi drzwiami i trafiłam prosto na torbę – miękka czarna Prady. Wysypałam jej zawartość, wyłuskałam portfel, wyrzuciłam kilka kart kredytowych i rachunków, zanim znalazłam dowód osobisty. W przyćmionym świetle niewiele było widać, ale na dzisiejszą noc zostałam sobowtórem Marie-Hélène Baudry. Mężatka, ale coś mi się wydawało, że starszy pan nie jest szczęśliwym małżonkiem. Niegrzeczna dziewczynka. Zastanawiałam się, czy zostawić jej paszport Leanne, było w nim moje zdjęcie, uporządkowałam więc portfel i zgarnęłam wszystko do torebki, dowód wsunęłam do kieszeni torby. Dwudziesta trzecia trzydzieści dwie – późno, ale miałam szansę.

Przed wyjściem zajrzałam jeszcze do mrocznego pokoju. Yvette leżała pod blondynem, wbijając mu w plecy swoje szpilki. Będzie musiała zapłacić rachunek ale z drugiej strony, nigdy nie zaproponowała, że zwróci mi tamtą pięćsetkę. Co prawda i tak bym jej nie wzięła, wypadałoby jednak zaproponować. O dwudziestej trzeciej trzydzieści pięć byłam w korytarzu, podnosiłam kurtynę i sięgałam do klamki, gdy z cienia wyłonił się Julien.

– *Mademoiselle* Lauren?

– Przykro mi, Julien, spieszę się.

Sięgnął ręką i delikatnie zamknął drzwi.

– Jeszcze nie. Muszę z tobą porozmawiać.

– Jasne, jasne, ale szybko.

– Oczywiście.

Przeszedł za kontuar recepcji i zaprowadził mnie do biura. Tu już nie było żadnych pozorów wyzywającego luksusu, tylko biurko z komputerem, tanie krzesło biurowe, szpikulec do rachunków, w którym odbijał się blask świetlówek. Postawiłam torbę na biurku.

– *Mademoiselle* Lauren, miałem kolejną wizytę. Tym razem z policji. Zadawali pytania. Znowu.

– Kiedy?

– Dziś. Wczoraj. Nie pamiętam dokładnie.

Naprawdę nie miałam czasu na tę zawołowaną zasną zabawę w kotka i myszkę.

– Ile chcesz?

Zerknął na torbę.

– Wybierasz się w podróż?

– Nie twoja sprawa. Powiedz mi ile.

– Pięć tysięcy.

– Za co? Jak ci się zdaje, co ja zrobiłam?

– Może mi powiesz?

– Nie mam tyle przy sobie.

– A więc daj, co masz. I nie przychodź tu już.

Chciałabym powiedzieć, że to było niechcący. Sięgałam do torby po pieniądze, pistolet zaś po prostu mi się napatoczył, wysoki sędzie. Problem w tym, że ja naprawdę nie miałam czasu. Mogłam mu powiedzieć, że to nie jest jego szczęśliwy dzień, że nie powinien był mi wchodzić w drogę, ale to nie był moment na takie występy. Pochyliłam się nad biurkiem, strzeliłam dwukrotnie w jego klatkę piersiową, ściągnęłam buty i ruszyłam biegiem rue Thérèse.

Siedziałam kiedyś przy drinku z Renaudem w barze Crillon, gdy przy sąsiednim marmurowym stoliku kłóciła się jakaś para. Młodzi, młodszy nawet ode mnie. On na tyle nieogolony i niechlujny, żeby być sławnym aktorem, ona przyzwoicie piękna jak Uma Thurman sprzed botoksu, popielate blond włosy zaczesane gładko z nieregularnej twarzy. Miała płaszcz z wyjątkowego kremowego kaszmiru, trochę za ciepły jak na tę pogodę. Zamówiła dwa drinki martini. On się spóźnił, przyszedł jednak z wygniecionym bukietem kwiatów z narożnej kwiaciarni. Chwilę rozmawiali spokojnie, ale gdy opróżnili kieliszki, ona zaczęła płakać. Śliczne łzy jak od Swarovskiego kapały z niepokojąco turkusowych oczu. Nagle wstała – od razu zrozumiałam, że doskonale wie, że patrzy na nią absolutnie każdy obecny tu mężczyzna. Zebrała miękki kołnierz przy długiej szyi

i pochyliła się do przodu:

– Przepraszam, nie mogę tak dłużej. Mam dość.

Następnie chwyciła wędnące kwiaty i trzasnęła go nimi w twarz, po czym wyszła dumnym krokiem. On wstał powoli, odkleił pojedynczy płatek od swojej szczęki i rozejrzał się z wyrazem twarzy pełnego urazy niedowierzania. Kelnerki jak jeden mąż ustawiły się niczym cheerleaderki i zaczęły krzyczeć zagrzewająco:

– Tam poszła! Dalej, proszę pana, tędy!

I on pobiegł za nią. Widzieliśmy ich później nad rzeką, całowali się roześmiani. Spod jej rozchylonego płaszcza wylała się tania dżinsowa spódniczka i góra od męskiej piżamy. Przepiękny sposób wyłudzenia drinka. Może byli to studenci szkoły filmowej, może aktorzy. Rzecz w tym, że mieszkańcy Paryża mają świadomość marki – wiedzą, że ich miasto powinno uwielbiać kłótnie kochanków, bosa dziewczyny z desperackim wyrazem twarzy pędzące nocą ulicami nie przyciągają więc niczyjej uwagi. Gdy tak biegłam, myślałam o innej dziewczynie, biegnącej boso wieczornymi ulicami, ale nawet tamten letni wieczór wydawał mi się teraz tak niewinny. Odległość z rue Thérèse do Gare du Nord wynosi dwa i pół kilometra – pokonałam ten dystans w szesnaście minut, i to z ciężką torbą. Nieźle.

Zdyszana minęłam codzienne grupki pijaków i bezdomnych przy wejściu na dworzec, podeszłam do automatu, żeby kupić bilet do Amsterdamu w jedną stronę. Oczywiście nie przyjął banknotu o nominale pięćdziesięciu euro, nie mogłam jednak użyć larty. Wyglądziłam banknot o udo, zerknęłam na zegar. Nie teraz, nie przez bilet. Nie mogłam tak skończyć. Jak Al Capone z podatkami. Usłyszałam dziwny bulgoczący głos. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to ja chichoczę jak wariatka. Automat drugi i trzeci raz bezceremonialnie zwrócił banknot. Stałam zdyszana, wyglądałam narożniki z chirurgiczną precyzją i raz jeszcze go wsunęłam. Przez dwadzieścia sekund chyba uwierzyłam w Boga. *Aller simple, 1 adulte*. Dzięki Ci, Panie! Nawet zdążyłam skasować bilet przed wejściem na peron, zanim moje brudne podeszwy wspięły się w ślad za torbą do wagonu.

EPILOG WEWNĄTRZ

Był to pierwszy wielki wieczór Biennale, od mojego wyjazdu z Paryża minął prawie rok. Niebo nad San Giorgio Maggiore miało niewiarygodny odcień różu i błękitu. Wszyscy powtarzali, że wygląda jak sufit Giambattisty Tiepola, ponieważ w Wenecji zawsze tak wszyscy mówią. Giętka kolejka motorówek kołysała się przy molo, czekając, aby przewieźć na drugi brzeg laguny jęczące stado marszandów i dziwek. Blżej Zattere widziałam „Mandarynkę” wciśniętą między dwa lewiatany z włókien węglowych. Ich cielska przysiadły za białym kościołem Massariego. Całość wyglądała jak jakaś surrealistyczna instalacja. Jeśli Steve chce nadążyć, musi kupić większy jacht. Byłam z nim umówiona na kolację. Nie dam mu się zabrać do Harry’s Bar. Najpijemy się na pięknym pływającym tarasie przy pałacu Gritti, później pójdziemy do La Madonna in San Polo na risotto z jeżowcami, bez względu na to, czy je lubi czy też nie. Miałam na oku trzy odlewy Quinna do ogrodu jego nowego londyńskiego domu – ogromne embriony umieszczone w granicie jak tajemnicze morskie stworzenia. Swoją drogą, całkiem ładne. Dla odmiany. Najpierw jednak party Johnsona Changa w bauerze, dla właścicieli galerii z Hongkongu, i chyba jeszcze zdążę zajrzeć do Fundacji Prady, zanim się spotkam ze Steve’em. Podałam rękę taksówkarzowi i ostrożnie weszłam do łódki, za mną podążyła grupa stylistów i fotografów, którzy przygotowywali materiał z imprez dla „Vanity Fair”. W czasie krótkiej przeprawy podjęłam niezobowiązującą rozmowę z nabywcą Maria Testina, ale naprawdę chciałam się tylko sycić widokami.

Na imprezę Changa wpuszczano wyłącznie za zaproszeniami. Ja miałam swój zwój antycznego chińskiego pergaminu w miękkiej kopertówce od Yves’a Saint-Laurenta. Kilku paparazzich i turyistów kręciło się w pobliżu, gapiąc się jak sroka w gnat. Obeszłam ich i zbliżyłam się do portierki. Gdy sprawdzała moje nazwisko na liście, zajrzałam za jej plecami do długiego holu z brązowego marmuru, wychodzącego na delikatną, wymyślną kamieniarkę tarasu. Rzędy kelnerów z tacami pełnymi oczwistych bellini stały między absurdalnymi okazami szanghajskiego street artu.

– Wchodzi pani?

– Lorenzo! *Ciao, bello!* Zastanawiałam się, gdzie cię znajdę.

Lorenzo reprezentował „Ich” w Mediolanie. Był weneccjaninem, miał złotawobrązowe włosy i wodniste oczy. Jeden z jego przodków podobno zaraził Byrona tryprem, w każdym razie tak mi powiedział, gdy bzykałam się z nim w Kijowie.

– Znasz oczywiście Ruperta?

Rupert. Jeszcze okrągłszy i czerwieny niż zawsze, wieczny Anglik za granicą w zmiętym płóciennym garniturze i w eleganckiej panamie od Locka. Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Nie – rzekł. – Chyba się nie znamy.

– Elisabeth Teerlinc. – Lorenza już ktoś porwał do środka. My zostaliśmy w centrum nieoczekiwanej luki w tłumie.

Podał mi rękę, oczywiście spoconą. Szukałam w jego oczach jakiegoś śladu rozpoznania, ale nic nie znalazłam. Jak to możliwe? Kobieta w kobaltowej zamszowej sukni od Céline, w doskonałych szpilkach, istniała w innym wymiarze niż Judith Rashleigh? Służby nikt nie zauważa. Ostatecznie zrezygnowałam nawet z farbowania włosów.

Nadal trzymał moją dłoń.

– Pani reprezentuje...?

– Mam własną galerię, Gentileschi. W Dorsoduro.

– Ach, Gentileschi. Oczywiście.

Cofnęłam dłoń i sięgnęłam do torebki po wizytówkę.

– Proszę przyjść jutro na otwarcie. Prezentuję grupę artystów bałkańskich. Bardzo zabawni.

– Z rozkoszą. – Patrzył na mnie pożądliwie. Rupert! Z czym do gości?

– Wchodzi pan? Lorenzo czeka.

Zarumienił się bardziej pod czerwoną opalenizną.

– Nie, uhm. Nie mam zaproszenia, niestety.

Och, biedny Rupert...

– Jaka szkoda.

– Za dużo ludzi.

– Tak, niezły tłum. A więc do jutra, Rupercie.

Podsunęłam mu policzek, po czym się odwróciłam – portierka odpięła welwetowy sznur. Gdy szłam wysoko wśród tłumu i dalej na wenecki zmierzch, czułam na sobie jego wzrok. Lazurowa woda lśniła u moich stóp. Wzięłam kieliszek, stanęłam samotnie przy balustradzie i patrzyłam na fale. I serce mi rosło.

Ciąg dalszy nastąpi...

1 „Mama sądzi, że mieszkam w klasztorze. Malutkim klasztorze na południu Francji”.